



NR 10 (180)

30 PAŹDZIERNIKA – 27 LISTOPADA 2025

ISSN 2083-084X
Wyd. A+B Nakł. 40 000
Cena 18,90 zł (w tym 8% VAT)

LESZEK SOSNOWSKI

Dyktatura, ale czyja?

JACEK SASIN

Niezależność Polski

**KS. ROBERT
SKRZYPCZAK**

Bez Jezusa błędzimy

**KS. JANUSZ
KRÓLIKOWSKI**

Bóg i święci

CZESŁAW RYSZKA

*Bp Dydycz kochał
Boga i Ojczyznę*

JOLANTA SOSNOWSKA

Rzeźba i małżeństwo

ZBIGNIEW STAWROWSKI

Między siłą a rozumem

WOJCIECH POLAK

Za polskość – do obozu

OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK

Miękka siła

HALINA ROGOZIŃSKA

Niemcy byli okrutni

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Fenomen wyspy

MICHAŁ WOJCIECHOWSKI

Rzymianie wierzyli i modlili się



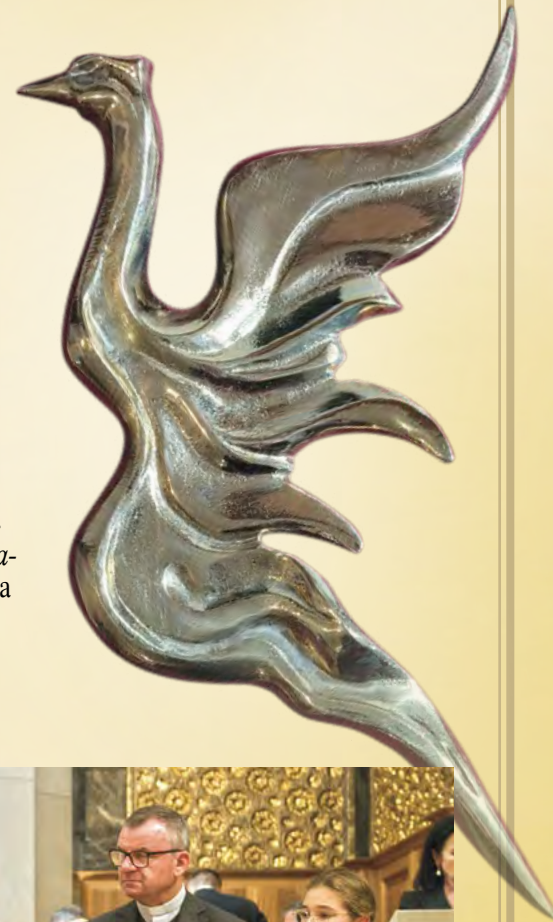
PROF. ANDRZEJ NOWAK

VII TOM „DZIEJÓW POLSKI”



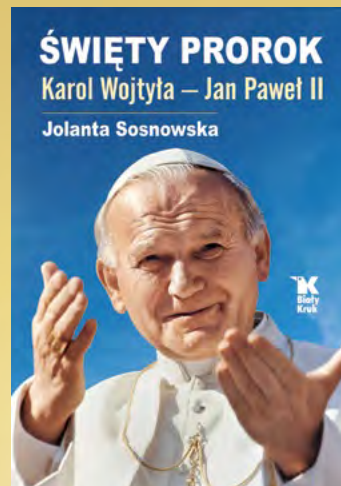
Feniksy 2025

Mamy zaszczyt i przyjemność poinformować o nagrodach dla Wydawnictwa BIAŁY KRUK w ramach konkursu o Nagrodę Stowarzyszenia Wydawców Katolickich FENIKS 2025

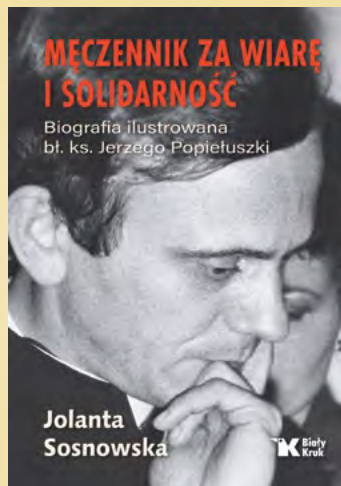


Nagroda!

Nagroda FENIKS 2025 w kategorii „publicystyka / eseistyka religijna” za publikację *Bezbożność, terror i propaganda. Fałszywe proroctwa marksizmu*, autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego



Wyróżnienie FENIKS 2025 w kategorii „duchowość / świadectwo” za publikację: *Święty prorok. Karol Wojtyła – Jan Paweł II*, autorstwa Jolanty Sosnowskiej



Wyróżnienie FENIKS 2025 w kategorii „Niezlomny ks. Jerzy Popiełuszko – błogosławiony na nasze czasy” za publikację *Męczennik za wiarę i Solidarność. Biografia ilustrowana bł. ks. Jerzego Popiełuszki*, autorstwa Jolanty Sosnowskiej



Wyróżnienie FENIKS 2025 w kategorii „literacka” za publikację *Moje zakazane piosenki*, autorstwa Jana Pietrzaka



WYDAWCA

Biały Kruk sp. z o.o.

Dyrektor zarządzający: Adam Sosnowski

ul. Szwedzka 38, 30–324 Kraków

telefon: 12 260 32 40, 12 260 32 90, 12 254 56 09

faks: 12 254 56 00

Redaktor prowadząca Jolanta Sosnowska

Projekt graficzny i opracowanie komputerowe

© Studio Biały Kruk: Monika Bubula, Paweł Lipa

REDAKCJA Magdalena Barta (marketing),

dr Mateusz Bednarz (redaktor graficzny), Adam

Bujak (zdjęcia), Jolanta Kochniarczyk (reklama),

dr Agnieszka Kowalczyk (adjustacja, korekta), Anna

Makowska (korekta), dr Monika Makowska (Polska,

historia), dr Adam Sosnowski

STALE WSPÓŁPRACUJĄ

prof. Piotr Biliński, dr Justyna Chłap-

-Nowakowa, ks. prof. Waldemar Chrostowski,

prof. Stefan Ciara, Józef Gawłowicz, prof. Ry-

szard Kantor, Michał Klag, Wacław Klag,

dr Marek Klecel, ks. prof. Janusz Królikowski,

dr Jerzy Kruszelnicki, Jakub A. Maciejewski,

Grzegorz Niedziela, prof. Andrzej Nowak,

prof. Krzysztof Ożóg, prof. Wojciech Polak,

prof. Wojciech Roszkowski, Czesław Ryszka,

Temida Stankiewicz-Podhorecka, Janusz Szew-

czak, Krzysztof Szujewski, prof. Artur Śliwiński,

prof. Michał Wojciechowski, o. dr hab. Marian

Zawada OCD

Reklama: tel. 12 254 56 21

Prenumerata „Wpisu”: tel. 12 260 32 40

Zamówienia książek: tel. 12 254 56 02, 12 254 56 19, 12 254 56 26

Redakcja: tel. 12 260 32 90, reklama: tel. 12 254 56 26

e-mail: dystrybucja@bialykrak.pl

www.bialykrak.pl

www.e-wpis.pl

facebook.com/MiesiecznikWPIS

Copyright © Biały Kruk

Wszelkie prawa zastrzeżone

DRUK

Drukarnia im. Adama Półtawskiego w Kielcach

Zastrzegamy sobie prawo do redakcji i skracania nadsyłanych tekstów. Nie gwarantujemy publikacji niezamówionych materiałów.

KRS 0000100097; NIP 678-21-99-259; BDO 000414736; Bank Pekao S.A. II o/Kraków 68 1240 1444 1111 0000 0936 2370

Następny numer: 28 listopada 2025 r.

NA OKŁADCE

Prof. Andrzej Nowak. Fot. Adam Bujak



DRUGA CZĘŚĆ „ANATOMII WIARY”

30 KTO WIERZY, WIDZI WIĘCEJ



Ks. prof. Robert Skrzypczak, autor najnowszej książki „Kto wierzy, widzi więcej”, przy stoisku Białego Kruka w czasie tegorocznych Targów Wydawców Katolickich w Arkadach Kubickiego Zamku Królewskiego w Warszawie. Fot. Michał Klag

4 REKOLEKCJE PÓŹNOJESIENNE

Leszek Długosz

5 DYKTATURA, ALE CZYJA?

Leszek Sosnowski

13 ONI BUDOWALI WSPÓLNOTĘ...

Ks. prof. Janusz Królikowski

16 SŁABOŚĆ RZECZYPOSPOLITEJ...

Z prof. Andrzejem Nowakiem rozmawia Leszek Sosnowski

25 BP ANTONI DYDYCZ...

Czesław Ryszka

36 RZEŹBIARSKIE MAŁŻEŃSTWO...

Jolanta Sosnowska

43 MIĘDZY SIŁĄ A ROZUMEM

Prof. Zbigniew Stawrowski

49 POLSKI PRZEDSIĘBIORCA...

Z Jackiem Sasinem rozmawia dr Adam Sosnowski

56 DZIAŁACZ MAZURSKI...

Prof. Wojciech Polak

60 ZJAWISKO AGRESYWNYCH IMPERIALIZMÓW...

Olga Doleśniak-Harczuk

66 JÓZEF CHEŁMOŃSKI...

Jolanta Sosnowska

72 MIMO MEDIALNEJ NAGONKI...

Ks. prof. Jan Machniak

75 JEST TU 2,7 TYS. KOŚCIOŁÓW...

Prof. Wojciech Roszkowski

78 RELIGIJNOŚĆ STANOWIŁA...

Prof. Michał Wojciechowski

81 POLACY SEKOWANI BYLI W ŁAGRACH...

Dr Marek Klecel

87 KSIĘDZA STAROWOLSKIEGO...

Jakub Maciejewski

92 BYLI WOBEC NAS CHOLERNIE OKRUTNI...

Z Haliną Rogozińską „Niebieską” rozmawia dr Monika Makowska

96 OD ZDRADY KIEJDAŃSKIEJ...

Prof. Stefan Ciara

101 BEZ KOBIETY...

Prof. Ryszard Kantor

106 WYPRAWY PO ZAKAZANĄ BIBULĘ...

Józef Gawłowicz

109 WYBITNA OSZCZEPNICZKA...

Krzysztof Szujewski

112 ŚWIATO-PODGLĄD

Krzysztof Szujewski

114 KRZYŻÓWKA

UWAGA! Miesięcznik „Wpis” znajdziesz m.in. w salonikach prasowych Kolportera, Ruchu, Garmondu i Empiku.

REKOLEKCJE PÓŻNOJESIENNE

Leszek Długosz

Lubię nawet trochę
Rozmowy te – niesłyszane przez nikogo
Nieglupia czasem, myślę i nie na próżno
Ta gadanina – z samym sobą?
Gdy dookoła nikt i nic
Pustka jak przed stworzeniem świata
Bóg, kiedy wyłączony z dialogów heretyckich tych
Błuznierstwo ich i narcyzm mój wybacza?
Ot, P o b ł a ż l i w y, gra ze mną w chowanego?

Trudne, nierozstrzygnięte są
Te bitwy, starcia rojeń płomiennych
I zimnych racji
– Nie wszystko z nich do opowieści
– Nie wszystko jest na afisz

Dobry ten dialog, gdy się trafia
– Wzroku i niemej wargi
Nad lustrem wody
Z udziałem trzciny, ptaka
Z przelotną tylko ingerencją wiatru...

To kołysanie, uciszanie samotności
Nie dość idealnej
Zmąconej wizją urojonej gwiazdy
– Na którą może jednak też ktoś patrzy?

Pseudopertraktacje
Pół żartem i pół serio

Fot. Adam Bujak

28 kwietnia 1926 r. zjawił się u Józefa Piłsudskiego redaktor „Kuriera Porannego”; był umówiony na wywiad, który miał ukazać się nazajutrz. Marszałek miał to do siebie, że w rozmowach z prasą często dzielił się refleksjami ogólniejszymi, albo i osobistymi wspomnieniami, udzielał także rad. Tak było i teraz. Sytuacja polityczna w kraju stała się katastrofalna, co i rusz następowały kryzysy rządowe, brak było nawet budżetu; uchwalano tylko prowdzoria budżetowe na dwa miesiące, a nawet na miesiąc.

W całym kraju dyskutowano od pewnego czasu, czy nie lepiej byłoby ogłosić jednak na jakiś czas dyktaturę. Niektórzy nawet, w tym Witos, zarzucali Pił-

w państwie. Otóż napisał on, również na Twitterze, tak: „Wielki Generał wykończony przez dyktatora! Powiedzieć ‘zmarł’ to za mało, kiedy pomija się bezprawne uwięzienie i chorobę z tym związaną... po czym dopiero ‘zmarł’”.

Tym dyktatorem miał być oczywiście Józef Piłsudski – jest to narracja nieustająca w niewielkim, ale czasami dość wpływowym kręgu ludzi działających głównie w Warszawie, uznających się współcześnie za endeków. Ludzie ci usiłują deprecjonować wszystko, co z Marszałkiem związane. Zupełnie tak, jak przed wojną główny i chamski antypiłsudczykowski narrator Jędrzej Giertych, autor licznych książek propagandowych i reprezentant dewiacji polityczno-ideowych. Czyż bo-

niewieranie największych nawet polskich patriotów, żyjących i nieżyjących, jest na porządku dziennym, to element ich programu. Cały ten zdradziecki obóz jest do potępienia i likwidacji.

Zdumiewające, że współcześnie istnieje w Polsce grupa ludzi, składająca w większości porządną, która uwzięła się na Piłsudskiego pod pretekstem odradzania endecji – niestety z jej najgorszymi tendencjami. W XXI wieku! Z młodszych i średnich roczników prawie nikt w ogóle nie ma pojęcia, co to takiego „endecja”. Ale w przeciwieństwie do niej Józef Piłsudski w powszechnej świadomości narodowej wciąż jeszcze tkwi: jako bardzo pozytywny i bohaterski przykład. Po co więc zatruwać tę świadomość? Mamy tworzyć

Smętne refleksje na Święto Niepodległości

Dyktatura, ale czyja?

Leszek Sosnowski

sudskiemu, że nie bierze władzy siłą, by uspokoić sytuację parlamentarną, unormować gospodarczą i finansową. Na pytanie redaktora, czy Marszałek wzięby dyktaturę w swoje ręce, odpowiedział: „Zagadnienie dyktatury stawiano przede mną tyle razy... Ja jednak twierdzę, że w ramach konstytucyjnych praca silnego rządu da się skutecznie, tylko trzeba uczynić wszystko, by skończyć ze złymi zwyczajami sejmowymi. Albowiem złe zwyczaje sejmowe są gorsze od złej konstytucji”.

1.

Napięcie w kraju mamy teraz takie, że byle drobiazg może być iskrą wywołującą mniejszy lub większy pożar. Oto np. kilka dni temu IPN w skróty sposób, za pośrednictwem Twittera, przypomniał rocznicę śmierci gen. Tadeusza Rozwadowskiego. To żaden okrągły jubileusz; Rozwadowski zmarł 97 lat temu. Nic nie ujmując generałowi, ale zapomina się o niejednej bardziej zasłużonej osobie... Nie byłoby jednak w tym wszystkim nic szczególnego, gdyby nie odzew na prostą notatkę IPN-u. Otóż wywołała ona oburzenie samego prof. Sławomira Cenckiewicza, od niedawna szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego – a więc ważnej osoby

wiem normalny człowiek, i Polak przecież, mógłby napisać: „Obóz narodowy uważa, że fakt istnienia rządów hitlerowskich w Niemczech jest dla Polski pożądanym”? To tylko mały przykład poglądów Giertycha, wielbiciela Hitlera, którego Piłsudski przejrzał jeszcze nim ten został kanclerzem Rzeszy. Marszałek usiłował nawet zorganizować przeciwko Hitlerowi wojnę przewencyjną, co najlepiej świadczy o jego dalekowzroczności i przenikliwości, a co z kolei było jeszcze jednym pretekstem dla ludzi typu Jędrzeja Giertycha, by uznawać twórcę Legionów za dyktatora.

No, ale żeby z poglądami przeciwko Marszałkowi występował w 2025 r. szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, biorący w znacznym stopniu cywilną odpowiedzialność za sytuację wojskową w kraju?

To, że ktoś walczył o prawdę z Wałęsą – za to Cenckiewiczowi chwala – nie upoważnia jednak do poniżania zasłużonych dla kraju ludzi tylko dlatego, że nie podobają się temu czy innemu politykowi lub historykowi. Gdyby głos ten nie pochodził od osoby publicznej, jej poglądy i widzenie bohaterów narodowych specjalnie by mnie nie interesowały. Przecież głos ten (nie jedyny, dodajmy) nie padł także z obozu przeciwnego, *de facto* targowickiego, co by też nie dziwiło, bo tam po-

narrację historyczną w oparciu o plotki i propagandę partyjną? Zamiast hołubić co się jeszcze da w naszej pamięci narodowej, odgrzewane są przedwojenne swary, w gruncie rzeczy haniebne – i naprawdę trudno pojąć, o co w tym chodzi.

Od dawna obserwujemy próby obalania narodowych autorytetów, jak choćby Tadeusza Kościuszki lub „Inki” (m.in. przez dewastowanie ich pomników). Ktoś może powie: ale tu nie o autorytety chodzi, lecz o mity, a mity trzeba obalać! Trzeba? A niby dlaczego? Bo to akurat modne? Wszak mity, których nie należy mylić ze stereotypami, spełniają niezwykle istotną rolę w tworzeniu wspólnoty, a potem w jej podtrzymywaniu, są jej spoiwem. Bez mitów nie ma narodów. Rzecz jasna, obalanie jakiegoś mitu przynosi zawsze rozgłos ich burzycielom, co jest np. rzeczą bezcenną dla polityków. Wpisuje się też idealnie w obecną genderowo-kosmopolityczną narrację.

Jak przed wojną, tak i dzisiejsi „endecy” przeciwstawiają Piłsudskiemu głównie dwie postaci: na polu politycznym Romana Dmowskiego, a na wojskowym właśnie gen. Tadeusza Rozwadowskiego. Zatrzymajmy się w tym artykule przy tym drugim, bo niektórzy usiłują zrobić z niego nawet głównego autora zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej. Szczegół-

nie zabiega o to rodzina, a pochodził on z famillii o bardzo dużych tradycjach wojskowych. Piłsudski i Rozwadowski byli w zasadzie rówieśnikami, ten ostatni był zaledwie 18 miesięcy starszy. Nic nikomu nie ujmując, porównajmy zatem drogi życiowe ich obu, bo jest to wielce poręczające.

2.

Tak Rozwadowski, jak i Piłsudski pochodzili z rodzin szlacheckich o dużych tradycjach, w tym także uczestnictwa w Powstaniu Styczniowym. Spędzali dzieciństwo w typowych dworach (oczywiście nie mieli o sobie pojęcia), ale już na poziomie gimnazjów przenoszą się do jakże różnych światów. Przede wszystkim żyją w dwóch różnych zaborach; młody Rozwadowski ma szczęście, bowiem warunki życia w „jego” zaborze austriackim są od roku jego urodzenia (1866) zdecydowanie luzowane. Po porażce Austrii w wojnie z Prusami zmienia się jej polityka wobec Polaków, w Galicji powstaje autonomia. Tadeusz po ukończeniu niższego gimnazjum we Lwowie bez problemu rozpoczyna naukę w austriackiej Szkole Kadetów na Morawach, tym samym przenosi się w świat dyscypliny, rozkazów i musztry, w którym już pozostanie.

Ziuk (Józef) natomiast w swoim gimnazjum w Wilnie, totalnie zrusyfikowanym, broni się jak może przed zaborczymi nakazami. Zakłada wraz z bratem Bronisławem i kolegami kółko samokształceniowe „Spójnia”, mające na celu doskonalenie się w polskość. Oczywiście jest to działalność nielegalna, bowiem rygory życia w zaborze rosyjskim, odwrotnie niż w austriackim, zostały po Powstaniu Styczniowym jeszcze zaostrzone. Tu nie ma mowy o jakimkolwiek współdziałaniu z władzami carskimi poza kolaboracją i pełnym poddaństwem. Droga awansu, także w wojsku, ma dla ludzi polskiego pochodzenia, nawet zrusyfikowanych, swoje granice.

Młody Rozwadowski, wyróżniający się austriacki kadet, trafia następnie do Wojskowej Akademii Technicznej w Wiedniu, którą kończy (1886) w stopniu podporucznika artylerii cesarskiej armii. Młody Piłsudski natomiast po maturze trafia na uniwersytet w Charkowie na medycynę. Natychmiast rozpoczyna tam działalność konspiracyjną w organizacjach niepodległościowych. W czasie, gdy Rozwadowski przywdziewa mundur austriackiego oficera, on bierze udział w manifestacji studenckiej i zostaje po raz pierwszy aresztowany, wraz ze 150 kolegami. Jeszcze go wypuszczają, ale za niecały rok znowu trafia do więzienia z poważnym podejrzeniem o branie udziału w zamachu na życie cara. Bezpośrednim zamachow-

cem nie był, ale zamachowcom pomagał, więc tym razem sprawa kończy się zsyłką na Syberię.

A młody austriacki podporucznik? Prowadzi pogodne życie w dość beztrojskim wówczas imperium Habsburgów, pragnie kariery i poszczęści mu się, bo pięć lat później (1891) zostanie przyjęty do elitarniej Szkoły Wojennej w Wiedniu. Studia odbywa oczywiście w jak najbardziej cywilizowanych warunkach, na uczelni prestiżowej. Rozwadowski jest zdolnym artylerzystą i droga do najwyższych nawet awansów stoi przed nim otworem.

Piłsudski przechodzi natomiast tzw. szkołę życia, albo lepiej powiedzieć: przeżycia. Jednym z jej świadectw będzie brak dwóch przednich zębów, wybitych kolbą carskiego żołdata. Na Syberii piękna przyroda, owszem, ale zimą mróz minus 40 stopni, wielu zesłańców umiera. Piłsudskiemu jednak też się poszczęściło, bo przeniesiono go do wioski Tunka, ok. 200 km na południe od Irkucka, gdzie warunki bytowania okazują się znośniejsze; tu jest szansa na przeżycie. Poznaje wielu innych polskich zesłańców, którymi usiana jest daleka Syberia. Wśród nich przeważają działacze niepodległościowi i socjalistyczni – dużo z nimi rozmawia, co jest dla niego rodzajem szkoły. Nawykły od gimnazjum do samokształcenia, czyta co tylko się da w tych warunkach skombinować. Samokształcenie było pasją wielu rodaków w rosyjskim zaborze i sposobem na utrzymywanie się przy polskość.

Ziuk ma cały czas obawę, czy „naczalstwo” nie dołoży mu do wyroku sądu paru lat odsiadki, co było powszechną praktyką. Ale znów dopisuje mu szczęście i po zasądzonych 5 latach pozwalają mu wrócić do kraju. „Naczalstwo” nie widziało w nim kogoś groźnego, może uważano, że i tak długo nie pożyje, bo wyglądał bardzo mizernie. Tak pisał o nim inny zesłaniec, Stefan Juszczynski, były działacz „Proletariatu”: „On był najmłodszy z nas wszystkich. Był bardzo chudy i wątył, trochę przygarbiony, piersi miał wpadnięte, ciągle kaszlał”. Latem 1892 r. Piłsudski spaceruje znów ulicami swego ukochanego Wilna. Odżywa – i niezniechęcony syberyjską poniewierką od razu rzuca się w nurt roboty konspiracyjnej, świadom, że ponowna „wpadka” będzie oznaczać dożywocie albo i gorzej.

W tym czasie Rozwadowski oczywiście przed nikim nie musi się ukrywać, nie myśli o żadnej konspiracji, żyje komfortowo. Przepowiada mu się generalską karierę w armii cesarza Franciszka Józefa; na razie zostaje adiutantem sztabu w 3. Brygadzie Kawalerii w pięknie położonym i obdarzonym przyjaznym klimatem słoweńskim Mariborze. W 1894 r. przydzielono go do sztabu 31. Dywizji Piechoty

w Budapeszcie i awansuje na kapitana. Bez problemu zdaje egzaminy na oficera sztabowego. Mijają ponad dwa lata i jest już majorem.

3.

Rozwadowski korzysta w pełni z dobrodziejstw habsburskiego imperium, któremu służy z oddaniem i talentem. Powierza mu się zatem coraz ważniejsze zadania, także dyplomatyczne; austriacy przełożeni mają do niego pełne zaufanie. Jeździ po Europie z cesarskimi misjami wojskowymi, pracuje na opinię jednej z największych nadziei austriackiej armii.

Młody Piłsudski widzi świat inaczej i inne dostrzega w nim problemy. Pobyt na Syberii wzmocnił w nim wrażliwość na krzywdę społeczną, stąd jego skłonność do ruchu socjalistycznego. Ale wszystko, co robi, zdecydowanie podporządkowuje sprawie niepodległości Ojczyzny. Po powrocie z Syberii poświęca się nielegalnej pracy wydawniczej, co kończy się ostatecznie aresztowaniem i pobytem w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej (1900). Ale jest już sprawnym i wyćwiczonym konspiratorem; z więzienia ucieka.

Piłsudski nie zapomina o samokształceniu; teraz już mniej są mu potrzebne lektury patriotyczno-narodowe, zapamiętałe studiuje prace wojskowe. Najpierw analizuje polskie wojny, potem fascynuje się strategią napoleońską, bada przebieg operacji militarnych podczas Powstania Styczniowego. Interesuje się przyczynami i przebiegiem różnych konfliktów zbrojnych nie tylko w Europie, czyta uważnie i krytycznie pisma największych strategów. Nie jest mu dane zdobywać wiedzę w komfortowych warunkach w elitarnych szkołach, ale mimo to posiadał wszechstronną wiedzę militarną. Po co mu to jednak, skoro nie robił kariery w armii?

Otóż ten młody człowiek miał pełną świadomość, że kluczem do odzyskania niepodległości będzie wojsko, polskie wojsko. Że po odzyskaniu niepodległości, do czego zapewne dojdzie w wyniku odpowiednich przewartościowań politycznych i osłabienia sił zaborców, rodzima armia będzie potrzebna od pierwszego dnia. Te przewidywania, jak wiemy, miały się w stu procentach spełnić.

Kiedy w 1904 r. wybuchła wojna rosyjsko-japońska, wydawało się, że do osłabienia jednego z zaborców może dojść niebawem. Piłsudski coraz intensywniej myśli o stworzeniu załążka armii *stricte* polskiej, przynajmniej jakichś zakonspirowanych oddziałów bojowych. W 1904 r. przez Londyn i USA dostał się nawet do Tokio, gdzie prowadził rozmowy w sprawie utworzenia u boku wojsk japońskich polskiego legionu. Wydaje się



„Nocą w Belwederze”. Rys. Ewa Barańska-Jamrozik

to dziś krokiem dość desperackim, gdyby jednak Rosja w wojnie została całkowicie pokonana, na co się początkowo zanosilo, to wówczas powstałaby szansa na uszczknięcie terytorium carów i stworzenia wolnej Polski. Ostatecznie wyprawa japońska nie doprowadziła do konkretnych ustaleń. Jednak idea szkolenia bojowego i zbrojenia się nie mogła upaść. W 1905 r. powołano z inicjatywy Piłsudskiego Organizację Spiskowo-Bojową, zaś rok później – PPS Frakcję Rewolucyjną. Wszystko rzecz jasna w konspiracji.

Te organizacje bojowe nie istnieją tylko na papierze; podejmują konkretne i niebezpieczne zadania. Ochraniają coraz liczniejsze demonstracje narodowe i robotnicze, dokonują zamachów na dygnitarzy rosyjskich, napadają na pociągi przewożące carskie pieniądze, uwalniają więźniów zagrożonych karą śmierci. Liczba bojowców rośnie, by osiągnąć imponujący stan 2 tys. Są tak dobrze zorga-

nizowani, że potrafią skoordynować jednoczesne zamachy na carskich luminarzy w 19 miastach zaboru rosyjskiego. Endecja, czyli Narodowa Demokracja, wykonywała później te akty odwagi w swojej czarnej propagandzie, nazywając działania Piłsudskiego i jego ludzi – bandytyzmem. Powieli to w swojej narracji propaganda bolszewicka i niemiecka.

W tamtym czasie Tadeusz Rozwadowski, niemający większego pojęcia o tym, czym jest życie w konspiracji, niezaangażowany w żadną walkę ani o niepodległość, ani z nierównościami społecznymi, spokojnie awansuje na podpułkownika zaborczej armii. Nie można powiedzieć, że przestaje być Polakiem, nie o to chodzi, ale na pewno nie bierze udziału w przygotowaniu kraju do odzyskania niepodległości. Jeśli ma być Wielkim Generałem, jak to dziś niektórzy piszą, to nie naszej armii. Z polskiego punktu widzenia może się on komuś wydawać kimś w rodzaju

kondotiera, ale władza austriacka jak najbardziej uznaje go za swojego, nie jest dla niej dowódcą najemnym. W 1908 r., nie wykazując się w żadnej walce osobistej, w żadnym boju, bez jakichkolwiek zagrożeń otrzymuje kolejny awans, już na pułkownika.

W tymże roku Piłsudski znów rzuca natomiast na szalę swoje życie; dowodzi grupą kilkunastu konspiratorów, którzy dokonują pod Bezdanami, niedaleko Wilna, brawurowego napadu na rosyjski pociąg, opanowują wagon pocztowy i zdobywają 200 tys. rubli – na nielegalne wydatki, na broń, na zapomogi dla rodzin uwięzionych, na dalszą walkę o Polskę. Sława akcji pod Bezdanami wychodzi szeroko poza granice rosyjskiego zaboru.

4.

Piłsudski nie wierzył nigdy w żaden korzystny dla Polski alians z którymkolwiek z zaborców. Choć rozumie, że trzeba z nimi jakoś współpracować, to trzeba czekać na moment, kiedy grabieżcze imperia osłabną, kiedy rzuca się na siebie. Wtedy dla nas decydująca okaże się gotowość do natychmiastowego podjęcia samodzielnego bytu narodowego. A nie ma takiego bytu bez wojska. Należy zatem czekać, ale czekać przyczajonym do walki zbrojnej. Przyczajonym i wyćwiczonym. Na tym koncentrują się jego dalsze działania. Jest mu teraz o tyle łatwiej, że choć się ukrywa, używa pseudonimów, zmienia adresy, to w narodzie ma już sławę bohatera, człowieka niebywale odważnego i zręczności, niezłomnego patrioty. Ta sława będzie rosła, co u wielu działaczy politycznych i wojskowych obdarzonych przerostem ambicji wywoła zawiść, a nawet jawną wrogość do Piłsudskiego.

Najbardziej zdumiewające jest jednak to, że owa zawiść ogarnia środowiska endecji, organizacji, jak wynika z jej nazwy, narodowej, a więc takiej, która powinna być sojusznikiem wszystkich walczących o niepodległość. No cóż, nie pierwszy i nie ostatni raz osobiste urazy zdominowały poczynania przywódców, a w konsekwencji całych ugrupowań... Nie inaczej jest i dzisiaj.

Piłsudskiego słusznie kojarzy się z PPS, ale nie zapominajmy, że w pewnym momencie *de facto* wyłamał się on z tego ugrupowania, już w 1906 r., kiedy tylko zorientował się, że partia ta rezygnuje z celów niepodległościowych, że wchodzi na kurs kosmopolityczny. Tak naprawdę był on człowiekiem niechętnym, z biegiem lat coraz bardziej, jakimkolwiek partiom, zawsze skłóconym. Można nawet powiedzieć, że był antypartyjny. Zaraz po uzyskaniu niepodległości taka postawa była po prostu skarbem; każdy mógł się mniej lub bardziej identyfikować



Ćwiczenia strzeleckie gorlickich sokołów. W 1908 r. wprowadzono je dla druhów we wszystkich sokolich gniazdach jako obowiązkowe, a od 1912 r. tworzone Stale Drużyny Sokole; przed I wojną światową osiągnęły one liczebność 7 tys. druhów. Fot. wsokole.pl

z Naczelnikiem. Wówczas nawet szef endeków, Roman Dmowski, przełamuje się i współpracuje z Piłsudskim przy tworzeniu państwa.

Wtedy Naczelnik mógł zostać dyktatorem, tak, proponowano mu to z różnych stron. I byłoby to logiczne, bowiem w okresie tak niestabilnym, w obliczu zagrożeń na ruchomych jeszcze granicach, kiedy instytucje państwowe funkcjonowały w większości tylko prowizorycznie, silna władza skupiona w jednym ręku dawała większą gwarancję stabilizacji i przetrwania. Oczywiście po skupieniu jej w ręku człowieka niedążącego do osobistego bogactwa, w ręku narodowego bohatera podziwianego w całym kraju. Piłsudski jednak po 11 listopada 1918 r. uporczywie zmierzał do jak najszybszego przeprowadzenia demokratycznych wyborów, naturalnie z udziałem kobiet. To ostatnie nie było wówczas oczywiste nawet w krajach tak niby postępowych jak Francja czy Anglia; kobiety poszły tam do urn pierwszy raz odpowiednio w 1944 i 1928 r.

Józef Piłsudski nie miał natury dyktatora, choć z biegiem lat stawał się nieraz apodyktyczny. Walił prosto z mostu, co miał do powiedzenia, ale to jeszcze daleka droga do jakiejś tyranii. W 1925 r. na prośbę francuskiego wydawcy napisał aforyzm: „Siła bez wolności i sprawiedliwości jest tylko przemocą i tyranią, sprawiedliwość i wolność bez siły jest gadulstwem i dziecinadą”. Ta krótka sentencja wyznaczała mu kierunki działania już dużo wcześniej niż w 1925 r.

5.

Wróćmy jeszcze do równoległości życiorysów Rozwadowskiego i Piłsudskiego.

Przez kilka lat poprzedzających wybuch I wojny światowej ten pierwszy żyje dostatnio, spokojnie, pracuje nad udoskonaleniem (jest też wynalazcą) artylerii armii austriackiej. A więc, jak by na to nie patrzeć – armii zaborczej. Ten drugi natomiast miota się po terenie dawnej Rzeczypospolitej oraz Europy, przygotowując podwaliny pod polskie wojsko. Że wojna między imperiami wisi w powietrzu, wszyscy już to czują; z naszego, polskiego punktu widzenia ma to być szansa na wyrwanie się z imperialnych łap zaborców. Czy wyrwalibyśmy się z nich skutecznie, nie posiadając w 1918 r. możliwości zorganizowania w ciągu kilkunastu miesięcy milionowej armii, która odeprze potężną nawałę bolszewicką? To pytanie uważam za retoryczne. Pozostawiam je wszakże do przemyślenia Czytelnikom.

Tylko proszę też przy okazji rozważyć, czy dałoby coś przejście na stronę niepodległej Polski nawet najzdolniejszych generałów z zaborczych armii, gdyby nie było tych tysięcy przeszkolonych i duchowo przygotowanych do walki strzelców, powoiaków, legionistów, sokołów... Po prostu zwykłych żołnierzy. Istniały nawet tajne polskie szkoły oficerskie. To wszystko była robota patriotyczno-wojskowa zakrojona naprawdę na wielką skalę (na którą to robotę władze austriackie przymykały oczy). Rozwadowski, wiedziony prusko-austriacko-rosyjskim wzorem, zawsze będzie uważał, że sprawę zwykłego żołnierza załatwia się przymusowym poborem, podczas gdy Piłsudski stawiał zawsze na armię ochotniczą, bo tylko taka gwarantuje najwyższe morale wojska.

No i zastanówmy się, co by było bez charyzmatycznego wodza. Takiego, który mógł porwać za sobą milion żołnierzy i miliony wspomagających ich cywi-

łów, który przykładem osobistym, słowem i czynem budził ducha, zagrzewał serca.

Bez tych lat pracy u podstaw byłoby w l. 1919–1920 tak, jak w 1830 i 1831 r., w tzw. Powstaniu Listopadowym, które było *de facto* regularną wojną polsko-rosyjską. Ta wojna była do wygrania, co przyznali potem w swoich pamiętnikach nawet carscy dowódcy; już rozważali warunki jej zakończenia. Ale Polacy nie mieli wówczas charyzmatycznego wodza. Mieli generałów doświadczonych nawet w słynnych wojnach napoleońskich, odważnych, ale skłóconych między sobą i, co najgorsze, absolutnie niewierzących w możliwość pokonania carskiego imperium. Rosja tymczasem nie była w stanie rzucić na Polskę wszystkich swoich sił i tylko brak kogoś takiego jak hetmani sprzed dwóch wieków lub jak Piłsudski niespełna sto lat później spowodował, że zmarnowana została największa w ciągu 123 lat niewoli szansa na zrzucenie jarzma.

W 1920 r. to nie sztabowcy porwali naród, ale bohater spod Bezdan. „Pierwszym i fundamentalnym elementem zwycięstwa [w wojnie z bolszewikami] było bez wątpienia niezwykle silne morale armii” – napisał niedawno na tych łamach prof. Andrzej Nowak. Nad każdym morale trzeba jednak wcześniej intensywnie pracować, nie spada ono z nieba. Tak, jak teraz intensywnie pracuje się, niestety, nad pozbawieniem naszego narodu tego morale, tej dumy z polskości, tej siły zakorzenionej w pięknej historii Ojczyzny i w Chrystusowej tradycji.

Kiedy w 1914 r. wybucha wojna, która szybko okaże się światową, Rozwadowski wyrusza na nią 9 sierpnia w pięknym mundurze cesarskiego generała. Jest oczywiście dumny z posiadania od ponad roku stopnia generał-majora. Jako komendant

XII Brygady Artylerii nie musi całymi dniami i nocami leżeć w okopach i nie cierpi niedostatku prowiantu. Okaże się dowódcą utalentowanym, choć nie osobie na placu boju.

Natomiast w Krakowie formuje się „śmieszna” armia 145 (niektóre źródła podają trochę większą liczbę) żołnierzy i oficerów, odzianych w drelichowe mundury. Na głowach mają proste maciejówki, czapki pochodzenia chłopskiego. Zostali wyselekcjonowani przez Piłsudskiego z drużyn strzeleckich. Ubogie to wojsko powstaje za zgodą władz austriackich, które od rozpoczęcia wojny będą coraz intensywniej szukać żołnierza, gdzie się da. 6 sierpnia 1914 r. z ulicy Oleandry przy Błoniach wyrusza oddział maszerujący dziarsko w stronę pobliskiej granicy rosyjskiej. Rosja jest w tym momencie naszym wspólnym wrogiem: cesarstwa habsburskiego zajmującego na mapie Europy szmat miejsca, od Adriatyku po Karpaty, oraz w ogóle nieistniejącej na mapie Polski. Żołnierze są pełni zapału, choć nie wyglądają imponująco, dumnie brzmi tylko nazwa: Pierwsza Kompania Kadrowa. Przekształci się ona niebawem i rozwinie w Legiony Polskie; dla Austriaków to wspólne ruszenie (*Landsturm*), dla Polaków – nadzieja, spełniona! na odrodzenie wojska polskiego.

Tadeusz Rozwadowski od początku znacząco wpisywał się w działania cesarskiej armii. Szczególnie w maju 1915 r., gdy w bitwie pod Gorlicami potrafił ogniem samej artylerii powstrzymać kontrnatarcie Rosjan. Otrzymał najwyższe odznaczenie, jakie przyznaje dwór wiedeński: order Marii Teresy – współautorki naszych rozbiorów... Dotychczas order ten był dla Polaków niedostępny.

Piłsudskiego w tym czasie możemy spotkać w ogniu walk; dowodzi I Brygadą legionową w kilku bardzo ciężkich i krwawych bitwach. Zdecydowany, kreatywny, nieulekły, potrafiący zmobilizować swoich żołnierzy do maksymalnego wysiłku. Pełni służbę w warunkach naprawdę wojennych. Nocują wszyscy, razem z Komendantem, pod gołym niebem, także w zimnie i deszczu. Nękają ich choroby, doskwiera totalne zmęczenie, na dodatek ciągle brakuje sprzętu dla tej jakiejś „podwórkowej” armii. Ale ich ducha nic nie jest w stanie załamać. Nie było zwątpienia, bo „dodawał sił wędrówki kres”.

6.

Tymczasem kariera Rozwadowskiego gwałtownie się kończy; podpada najwyższemu dowództwu. Szwankuje też na zdrowiu i 1 lutego 1916 r. zostaje... emerytem. Od tego czasu o walkach tylko czyta w gazetach. Do ostatniego dnia wojny pozostaje w obozie państw centralnych,

a więc w obozie przegranych. Nawet tuż przed jej końcem, 28 października 1918 r., daje dowód braku orientacji politycznej, ale i militarnej, godząc się na objęcie stanowiska szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, czyli na propozycję Rady Regencyjnej ustanowionej z łaski zaborców dla jakiegoś marionetkowego i enigmatycznego królestwa polskiego.

Rada Regencyjna tymczasem rozwiązuje się już kilka dni później i przekazuje pełnię władzy Józefowi Piłsudskiemu – który od dłuższego czasu znajduje się w obozie Ententy, czyli zwycięskim. Dał się bowiem aresztować władzom pruskim jako inspirator buntu polskich żołnierzy przeciwko żołnierskiej przysiędze dochowania „braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier”. W lipcu 1917 r. pojechał do Warszawy, wiedząc, że Prusacy muszą go aresztować. Stając się ich więźniem, ułokował się tym samym po stronie państw Ententy. Po zakończeniu wojny rozmawiał ze zwycięzcami z pozycji nieobciążonej przeszłością. Był już człowiekiem legendą, którego więzienie pruskie tylko umocniło. Dla największych polityków ówczesnej Europy był naturalnym partnerem do rozmów, z którego zdaniem warto było się liczyć.

Nie chcę przez to wszystko powiedzieć, że Tadeusz Rozwadowski jest godzien potępienia lub mało wart. Nie o to chodzi. Ale jeśli popatrzeć z innej strony na jego karierę wojskową, to widać przecież, że tak czy owak musiała się ona urwać wraz z przegraną wojną jego cesarza. W listopadzie 1918 r. imperium już nie było, cesarza też, armia pozostała mikroskopijna. W małej Austrii nie było już miejsca dla ludzi typu Rozwadowskiego. Przygarnęła go Polska i powinien być jej za to wdzięczny. Zwłaszcza że nie brał udziału ani w jej wyzwaniu, ani w wieloletnich i niebezpiecznych przygotowaniach do odzyskania niepodległości. Sądzę zresztą, że pewnie i był wdzięczny.

Podobnie było z innymi dowódcami z przegranych imperiów, pruskiego i rosyjskiego (to ostatnie przegrało samo z sobą), którzy przybyli do niepodległej Rzeczypospolitej; w zrujnowanych imperiach nie było dla nich miejsca. Okazali się Polsce przydatni, bo trzeba było na gwałt tworzyć wielką armię, by stawić czoła bolszewikom. W olbrzymiej większości służyli wiernie, ale często mieli problemy z własnym charakterem, przyzwyczajeniami wyniesionymi z imperiów co do sposobu dowodzenia, poboru do wojska (na tym tle zaiskrzył pierwszy spór Rozwadowskiego z Piłsudskim) itd. Nigdy by się nie sprzeciwili wspinałemu cesarzowi, ale jakimś Na-

czelnikowi Państwa, tylko brygadierowi, co całe życie w maciejówce chodził... Nie rozumieli tego narodowego uwielbienia dla człowieka w ich mniemaniu pospolitego, bo nieraz przeszkadzała im w tym pycha. Oczywiście, gdyby wtedy Piłsudski ogłosił się dyktatorem, musieliby zachowywać się inaczej.

Można jeszcze trochę „pogdybać”, wszak ten artykuł to publicystyka, nie naukowe rozważania. Co by było z Rozwadowskim, a co z Piłsudskim, gdyby wojnę wygrały państwa centralne? Rozwadowski zostałby może marszałkiem cesarskim ubranym w olśniewający mundur i z dumą wypinałby pierś z orderem Marii Teresy oraz z pruskim Krzyżem Żelaznym wysokiej klasy. Wszak przechodząc na przyspieszoną emeryturę, już miał tytuł *Feldmarschalleutnant*, w dosłownym tłumaczeniu marszałek połowy porucznik (w naszej nomenklaturze generał dywizji). Na pewno trafiłyby się też jakieś nadania za wierną służbę.

A Piłsudski? W przypadku zwycięstwa państw centralnych nie trzymano by go

Wśród wiozących taczkami ziemię na usypianie kopca Piłsudskiego były nawet dzieci, które w czasach międzywojennych od najmłodszych lat uczono polskiego patriotyzmu. Kopiec zaczęto sypać 6 sierpnia 1934 r., w 20. rocznicę wymarszu z Krakowa I kompanii kadrowej Legionów. Uczestniczył w tej akcji cały naród. Fot. NAC



w dość eleganckim zamknięciu w Magdeburgu, lecz w podłym więzieniu. I gdyby nawet stamtąd uciekł, czekałaby go tylko poniewierka, w najlepszym wypadku daleka emigracja.

Czyż takie refleksje nie rzucają innego światła na postawy tych ludzi? Czy świadomość, czym kto ryzykował, nie powinna weryfikować naszych opinii?

7.

Państwa centralne jednak przegrały, i gdyby w tej sytuacji Polska nie przegrała Tadeusza Rozwadowskiego, to byłby on od 1916 r. po prostu zwykłym ziemianinem, a nie żadnym Wielkim Generałem. Takie stwierdzenie nie jest zarzutem. Takie były te polskie losy i nie chodzi o to, żeby kogoś dezawuować. Ale też nie wolno tego robić wobec żadnej ze stron, a tym bardziej wobec ludzi wybitnych i szczerych Polaków, którzy powinni stanowić wzór dla młodzieży. Piłsudski ze swoim życiorysem bojownika i charyzmatycznego wodza może porwać młodych ludzi również dzisiaj, sztywny sztabowiec austriacki, choćby nie wiem jak zdolny, na pewno nie. To też trzeba rozważać. A że

mi młodych ludzi, mówiąc bez ogródek: „Młodzież identyfikuje się z pewnymi wartościami tożsamościowymi. Nie chodzi tylko o np. wartości patriotyczne, ale o to, że w obrębie polityki – dobrym przykładem jest Partia Razem – istnieją tendencje do tego, żeby opierać etos polskiej lewicy z powrotem na historii PPS”.

Ale jakiej historii PPS? Takiej, z której dowiemy się, jak za PRL-u, że Organizacja Bojowa była zbiorowiskiem bandytów, a Piłsudski to buntownik i narodowy szowinista (wszak Partii Razem nie chodzi o polskość, co podkreślają). Albo raczej Marszałek zostanie przedstawiony właśnie jako dyktator, bo to będzie zbieżne z opiniami prawicowych endeków, a więc bardziej wiarygodne. A „pewne wartości tożsamościowe”, do których chcą przyciągać młodzież, to dla tego towarzystwa np. likwidacja klauzuli sumienia, zapewnienie darmowej aborcji do co najmniej 12. tygodnia ciąży, wprowadzenie tzw. małżeństw jednopłciowych etc. Słowem – walka z wartościami chrześcijańskimi; te już nie mają być tożsamościowe.

Na marginesie zapytam tylko, co daje organizatorom tego Kongresu zapraszanie takich ludzi i stwarzanie im forum

powstał jako symbol czynu zbrojnego polskiego żołnierza. W sypaniu kopca na cześć Marszałka brał udział cały naród, zarówno wpływowi politycy, jak i zwykli obywatele. Dzieje kopca (prapoczątki tego miejsca to osadnictwo z okresu paleolitu) opisane były skrótnie na eleganckiej tablicy wielkości ok. 2,5 m x 1,5 m. Tablica ta kilka tygodni temu nagle zniknęła. I to tak, że usunięto wszelki ślad po niej, zniwelowano nawet dwa otwory w murawie po słupkach mocujących. Zapewne przeszkadzał taki fragment tekstu: „W czasie okupacji niemieckiej gubernator nakazał zniwelowanie Kopca, jednak do tego nigdy nie doszło. Władze powojennej Polski także dążyły do usunięcia Kopca Piłsudskiego. Na mapach i w oficjalnej nomenklaturze pojawił się jako ‘punkt widokowy na Sowińcu’. W 1953 roku przy pomocy ciężkiego sprzętu zdjęto płytę z krzyżem legionowym ze szczytu Kopca, znacznie uszkadzając jego stoki. Następnie obsadzono je drzewami, na kilkadziesiąt lat usuwając Kopiec z panoramy Krakowa”.

Tamta okolica jest dla krakowian od lat pięknym miejscem spacerowym, Kopiec elegancko odrestaurowano, ale cóż, skoro jego idea zupełnie nie pasuje do obecnej narracji politycznej, usłużnej wobec nowych zaborców.

8.

„Złe zwyczaje sejmowe”, złe już od XVII/XVIII w., o czym możemy się przekonać, czytając najnowszy, siódmy już, tom „Dziejów Polski” Andrzeja Nowaka, który lada moment trafi do księgarń. Piłsudski dobrze te zwyczaje znał z historii, którą studiował nie dla kariery naukowej, ale dla doskonalenia się w przywództwie. W XXI w. doświadczamy tych złych zwyczajów w jeszcze perfidniejszej postaci.

„Przeżywamy kryzys parlamentarny w ostrzejszej formie niż cała Europa. Istnieje zasada parlamentarna, że rząd rządzi, Sejm sądzi [uchwala]. Gdy nastąpił zanik podziału pomiędzy władzą wykonawczą a władzą sądzącą, musiało zniknąć poczucie sprawiedliwości. Ten stan demoralizuje to, co jest rządem, i to, co jest sądem”. Aktualne? Nic dodać, nic ująć.

Lepiej byłoby uczyć się od Piłsudskiego, niż wpisywać się we wrogiemu i naszej tradycji narracje.

Takie smętne refleksje naszyły mnie na Święto Niepodległości...



Kopiec Piłsudskiego na krakowskim Sowińcu; z prawej widoczna tablica informacyjna, która przed kilkoma tygodniami stamtąd znikła. Usunięto po niej starannie jakikolwiek ślad.
Fot. Adam Bujak

trzeba, niech świadczy choćby taki niewielki przykład z ostatnich dni.

Właśnie zakończyła się kolejna edycja Kongresu „Polska Wielki Projekt”. Impreza uznawana jest za prawicową, kiedyś była bardziej prestiżowa, dziś trochę podupadła. O dziwo wypowiadał się tam również działacz skrajnej lewicy, agitując oczywiście za swoim ugrupowaniem, Partią Razem. Wykazał duże zatroskanie pogląda-

do głoszenia hasel będących antytezą formacji prawicowej. Oni i tak mają po wielokroć więcej forów do sączenia społeczeństwu lewicowego jadu, więc jak ktoś chce tego słuchać, to naprawdę nie musi uczestniczyć w prawicowym kongresie.

W narrację endecko-lewacką wpisało się ostatnio inne dokonanie. Na obrzeżach Krakowa istnieje kopiec Piłsudskiego, zwany też kopcem Niepodległości;

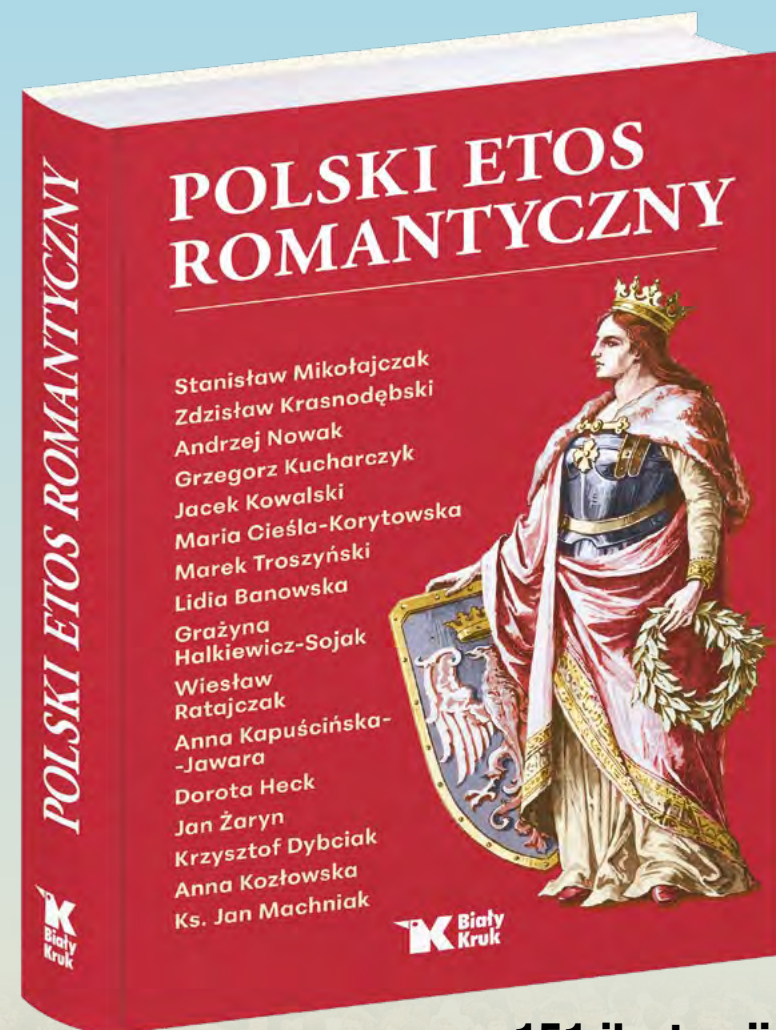
Warto być Polakiem!

Etos polski, na dodatek romantyczny, budzi wzniosłe skojarzenia. Przywołuje wizerunki naszych wielkich wieszczów, czyny bohaterów, powoduje zadumę nad szczytnymi ideami, budzi wspomnienia największych uniesień patriotycznych, ale i – miłosnych. Etos to pojęcie, które odnosi się do całej społeczności, do narodu, i dlatego może zaskakiwać w zestawieniu z romantyzmem, ten bowiem wielbił jednostkę, jej indywidualizm, jej emocje. Naród jednakże wybija się ponad przeciętność właśnie silnymi, twórczymi lub bohaterskimi indywidualnościami. A ileż mieliśmy ich od początku XIX wieku! O nich właśnie, o ich czynach, o ich widzeniu Boga, Ojczyzny i świata opowiada ta oryginalna, fantastycznie ilustrowana książka, praca kilkanaściorga wybitnych polskich humanistów.

Fascynacja romantyzmem w naszym kraju pewnie nigdy nie zgaśnie, ponieważ epoka ta odpowiada w pełni na ponadczasowe potrzeby Polaków – duchowe, intelektualne i niepodległościowe. Zresztą polski romantyzm różnił się np. od niemieckiego czy francuskiego z uwagi na jakże różną sytuację naszego kraju, który wówczas przeżywał zniewolenie. Jak wyrwać się z tej niewoli – właśnie to zagadnienie przede wszystkim nurtowało wszystkich polskich romantyków. Ale przecież i dziś pozostaje aktualne w sytuacji, gdy kawałek po kawałku przykrawana jest nasza suwerenność i przekazywana do Brukseli oraz Berlina.

PLEJADA
WYBITNYCH
AUTORÓW!

Nowość!



400 str., 151 ilustracji,
format 16,5 x 23,5 cm, twarda oprawa,
Cena det. ~~89~~ 59 zł

ZAMÓW:

bialykruk.pl,

12/254 56 02, 12/254 56 19

lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl.

Przy zamówieniu powyżej 300 zł

koszty przesyłki (17 zł)

ponosi wydawnictwo.

Propozycja adwentowa



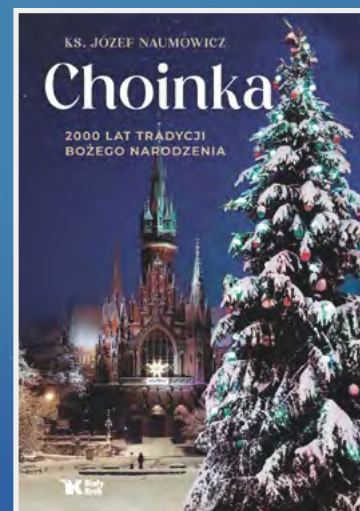
80 str., 22 x 25 cm,
twarda oprawa. Cena 45 zł **35 zł**



80 str., 22 x 25 cm,
twarda oprawa. Cena 55 zł **35 zł**



160 str., 20 x 26 cm,
twarda oprawa. Cena 79 zł **39 zł**



240 str., 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa. Cena 59 zł **39 zł**

ZAMÓW: bialykrak.pl, 12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl.
Przy zamówieniu powyżej 300 zł koszty
przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Bóg przedziwny w swoich świętych

Oni budowali wspólnotę Kościoła i naszą zachodnią cywilizację

Ks. prof. Janusz Królikowski

Liturgiczna Uroczystość Wszystkich Świętych, nazywana zwyczajowo także dniem Wszystkich Świętych, jest bardzo ważnym wydarzeniem dla katolików. Wiąże się bowiem z oddaniem czci Bogu „przedziwnemu w Jego świętych”, tych kanonizowanych oraz tych zapomnianych i nieznanych. Jest to dzień spojrzenia naszej wiary w kierunku Kościoła tryumfującego, jak mówiono w dawnej eklezjologii, albo – jak częściej mówimy dzisiaj – dzień Kościoła chwalebego, do którego wytrwale zmierzamy jako Kościół pielgrzymujący. Zachowujemy pamięć o mieszkańcach nieba, do których mamy nadzieję dołączyć. W naszym kalendarzu liturgicznym Uroczystość Wszystkich Świętych przypada w dniu 1 listopada, po którym, 2 listopada, następuje wspomnienie wszystkich wiernych zmarłych, zwyczajowo nazywane „dniem zaduszyn”.

Wieczna chwała zbawionych

Początki Uroczystości Wszystkich Świętych są zamierzchłe, sięgają starożytności i łączą się, jak pokazały prowadzone badania historyczne, z kulturą ludów celtyckich. Od samego początku uroczystość ta posiada duże znaczenie teologiczne i religijne. Pierwsze wspomnienia świętych sięgają IV w. i łączą się z tradycją Kościoła w Antiochii. Przypadały one na niedzielę po Zesłaniu Ducha Świętego. Posiadamy wiele świadectw przekazujących nam tradycję i teologię całościowego niejako wspomniania męczenników i świętych, których zrodziła łaska przyjęta na glebie pokory. Szeroko na ten temat mówi św. Jan Chryzostom w 74. homilii, przypominając zwłaszcza, że celem tego wspomnienia jest pobudzenie do ich naśladowania: „Kto podziwia z religijną miłością zasługi świętych i celebrowe częstymi pochwałami chwałę sprawiedliwych, jest zobowiązany do naśladowania ich cnotliwego życia i ich świętości. Jest konieczne,

aby temu, kto radośnie wywyższa zasługi jakiegoś świętego, leżało na sercu wierne zaangażowanie się na jego wzór w służbę Bożą. Albo się czci i naśladuje, albo trzeba się powstrzymać od chwaleń. Oddając zatem cześć drugiemu, staje się ktoś godnym czci, a podziwiając zasługi świętych, staje się godnym podziwu ze względu na święte życie. Jeśli kochamy dusze sprawiedliwe i wierne, ponieważ doceniamy ich sprawiedliwość i ich wiarę, możemy być także tym, czym oni są, czyniąc to, co oni czynią”.

Do wspomnienia męczenników i świętych nawiązuje św. Efreem Syryjczyk, sytuując je w dniu 13 maja. W 411 r. w kalendarzu syryjskim jest mowa o wspomnieniu wyznawców w szóstym dniu tygodnia, a w roku 539, 13 maja w Odessie, „wspomina się męczenników całej ziemi”. W Kościele zachodnim wspomnienie to łączone jest najczęściej z rzymskim świętem poświęcenia kościoła Świętej Maryi *ad Martyres*. Chodzi o celebrację w rocznicę przekształcenia przez papieża Bonifacego IV pogańskiego Panteonu w kościół poświęcony Matce Bożej, ale także dziewicom i wszystkim męczennikom, co miało miejsce 13 maja 610 r.

Jak to się stało, że wspomnienie początkowo obchodzone w maju wypada dzisiaj 1 listopada? Odpowiedzi trzeba szukać u papieża Grzegorza III, który zdecydował przyjąć tę datę w nawiązaniu do dnia konsekracji w Bazylice św. Piotra kaplicy dedykowanej relikwiom Apostołów i wszystkich świętych, męczenników i wyznawców. Papież Grzegorz IV, za zgodą wszystkich biskupów, poprosił w 835 r. króla Franków Ludwika Pobożnego o zmodyfikowanie święta nakazanego. Początkowo było ono obchodzone lokalnie, a w 935 r. papież Jan XI rozszerzył je na cały Kościół.

Po przeprowadzeniu pogłębionych analiz wiemy dzisiaj, że data 1 listopada dla oddawania czci wszystkim świętym miała na celu połączenie tego wspomnie-



Efreem Syryjczyk, czyli św. Efreem (305?–373), kaznodzieja, diakon, poeta, komentator Pisma Świętego. Jeden z Ojców Kościoła, a także Ojców Pustyni. Ikona nieznanego artysty. Fot. saintephrem.org

nia ze starożytnym świętem celtyckim, powiązaniem, już po zdobyciu Galii, ze świętem rzymskim. Bardzo prawdopodobne jest, że racji tego trzeba szukać w dążeniu do schrystianizowania pogańskiego święta nowego roku ludu celtyckiego, które obchodzone w pierwszych dniach listopada. Z rolniczym i pogańskim znaczeniem tego święta zostało złączone znaczenie duchowe i religijne. Papież Bonifacy IV przyczynił się do wzmocnienia wymiaru religijnego święta pogańskiego, noszącego wiele rysów związanych z kulturą celtycką, która tradycyjnie dzieliła rok na dwa okresy. Był więc okres narodzin i rozwoju natury oraz okres, w którym wchodziła ona w stan uśpienia.

Początkowe dni obydwu okresów były świętowane pod znakiem dobrych życzeń na nadchodzącą przyszłość i ożywiania nadziei. Pierwszy dzień świąteczny – dzień odrodzenia – przypadał w maju, podczas gdy drugi – dzień śmierci i spoczynku – przypadał w połowie listopada. W tym samym okresie także Rzymianie przeżywali obchody świąteczne bardzo podobne do obchodów celtyckich zarówno pod względem daty, jak i znaczenia. W czasie tych obchodów pozdrawiano koniec okresu rolniczego zwieńczonego plonami oraz dziękowano ziemi za otrzymane dary. Gdy Rzymianie zdobyli Galię, te dwa święta pogańskie zbliżyły się do siebie i były obchodzone między końcem października i pierwszymi dniami listopada. Następnie dni świąteczne zostały połączone i obchody miały miejsce w nocy z 31 października na 1 listopada. Uroczystości odbywające się w tym okresie były zasadniczo związane ze światem rolniczym i pogańskim.

Wraz z utwierdzaniem się chrześcijaństwa obchodzone święta nabrały charakteru religijnego i duchowego. Widzimy więc – z jednej strony – wspomnianie spoczynku natury, a z drugiej – zapowiedź wieczności, a zatem nowego świata, w którym uczestniczą już du-

sze zmarłych. Aby uniknąć sprzeciwu ze strony ludzi zakorzenionych w starożytnych zwyczajach pogańskich, zdecydowano się połączyć dwa obchody, stopniowo kładąc coraz większy nacisk na treści chrześcijańskie dotyczące rzeczywistości ostatecznych. Także dzisiaj Uroczystość Wszystkich Świętych przypada 1 listopada, czyli w dzień następujący po kalendarzach zimowych.

Wkład teologiczny św. Bernarda z Clairvaux

Do szczególnego rozpowszechnienia wspomnienia Wszystkich Świętych w okresie średniowiecza przyczynili się cystersi, którzy inspirowali się pięcioma wspaniałymi kazaniami, które z okazji tej uroczystości wygłosił św. Bernard z Clairvaux (1090–1153). Trwałym tego świadectwem są liczne średniowieczne tytuły kościołów i parafii Wszystkich Świętych, co dowodzi ich niewątpliwych związków z tradycją cysterską.

Warto w tym miejscu przytoczyć kilka myśli z kazań św. Bernarda, aby uchwycić znaczenie tej radosnej uroczystości: „Na coś potrzebne świętym wygłaszane przez nas pochwały, na coś oddawana im cześć, na coś wreszcie cała ta uroczy-

stość? Po cóż im chwała ziemską, skoro zgodnie z wierną obietnicą Syna sam Ojciec niebieski obdarza ich chwałą? Na cóż im nasze śpiewy? Nie potrzebują święci naszych pochwał i niczego nie dodaje im nasz kult. Tak naprawdę, gdy obchodzimy ich wspomnienie, my sami odnosimy korzyść, nie oni. Co do mnie, przysną, że ilekroć myślę o świętych, czuję, jak się we mnie rozpala płomień wielkich pragnień.

Pierwszym pragnieniem, które wywołuje albo pomnaża w nas wspomnienie świętych, jest chęć przebywania w ich upragnionym gronie, zasłużenie na to, aby się stać współobywatelami i współmieszkańcami błogosławionych duchów, nadzieja połączenia się z zastępem patriarchów, ze zgromadzeniem proroków, z orszakiem Apostołów, z niezmierną rzeszą męczenników, wspólnotą wyznawców, z chórem dzievic, wreszcie zjednoczenie się i radość we wspólnocie wszystkich świętych. ‘Kościoł pierworodnych’ chce nas przyjąć, a nas to niewiele obchodzi, pragną nas spotkać święci, my zaś nie zważamy na to, oczekują nas sprawiedliwi, a my się ociągamy.

Obudźmy się wreszcie, bracia, powstańmy z Chrystusem. Szukajmy tego, co w górze; do tego, co w górze, podążajmy. Chciejmy ujrzyć tych, którzy za nami

tęsknią, śpieszmy ku tym, którzy nas oczekują, duchowym pragnieniem ogarnijmy tych, którzy nas wyglądają. A nie tylko trzeba nam pragnąć wspólnoty ze świętymi, lecz także udziału w ich szczęściu. Gdy więc pragniemy ich obecności, z największą gorliwością zabiegajmy również o wspólną z nimi chwałę. Taka gorliwość nie jest zgubna ani też zabieganie o taką chwałę nie jest niebezpieczne.

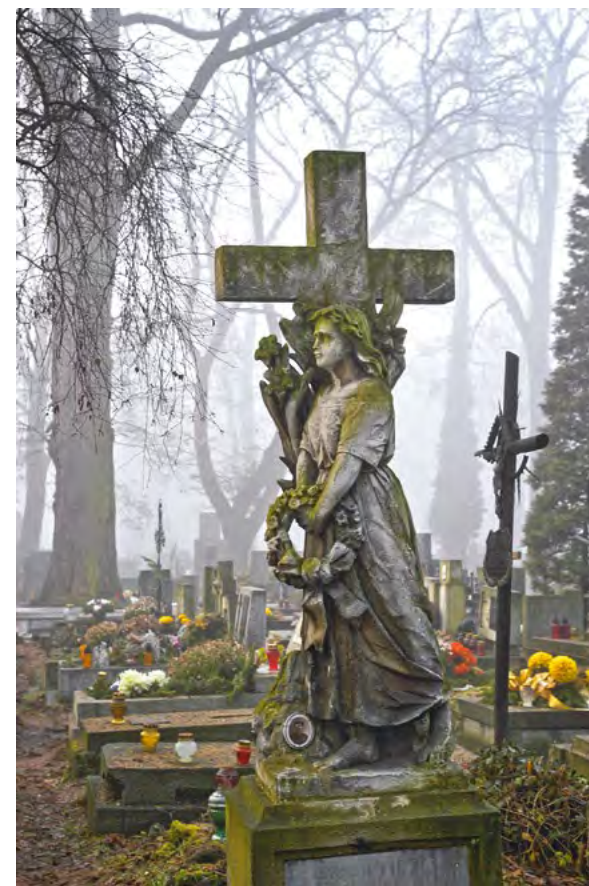
Drugim pragnieniem, które budzi w nas wspomnienie świętych, jest, aby Chrystus, nasze życie, ukazał się tak jak im również i nam, abyśmy i my ukazali się z Nim w chwale. Teraz bowiem nasza Głowa, Chrystus, objawia się nam, nie jakim jest, ale jakim stał się dla nas; ukoronowany nie chwałą, ale cierniami naszych grzechów. Byłoby rzeczą niegodną, aby ten, kto przynależał do Głowy ukoronowanej cierniami, szukał łatwego życia, albowiem purpura nie jest dlań oznaką chwały, ale hańby. Nadejście chwila pojawienia się Chrystusa i Jego śmierć nie będzie już głoszona. Wówczas poznamy, że i my umarliśmy, a nasze życie ukryte jest w Chrystusie. Ukaże się Głowa w chwale, a wraz z nią zajaśnieją uwielbione członki. Wtedy to Chrystus odnowi nasze ciało poniżone, upodabniając je do chwały Głowy, którą jest On sam.

Do tej chwały podążajmy bezpiecznie i z całą usilnością. Aby zaś dane nam było pragnąć i dążyć do tak wielkiego szczęścia, powinniśmy się starać o pomoc świętych. Za ich łaskawym wstawiennictwem otrzymamy to, co przerasta nasze możliwości”.

Dzień zaduszny

Idea wspominania wszystkich zmarłych sięga X w., łącząc się z postacią opata benedyktyńskiego z Cluny św. Odyłona (ok. 962–1049). Wspomnienie to związane jest z modlitwą za dusze wszystkich tych, którzy poprzedzili nas ze znakiem wiary i zasnęli w nadziei zmartwychwstania, oraz za wszystkich tych, których wiara znalazł jedynie sam Bóg. 2 listopada jest dniem, który Kościół poświęca więc wspomnieniu wszystkich wiernych zmarłych.

Potocznie mówimy o „dniu zmarłych” czy „dniu zadusznym”, bądź też o „zaduszkach”, niekiedy błędnie łącząc ten dzień z Uroczystością Wszystkich Świętych. Być może jest to jeszcze pozostałość bardzo dawnych uroczystości obchodzonych nocą z 31 października na



Zabytkowy nagrobek z postacią anioła na cmentarzu Rakowickim. Fot. Adam Bujak

1 listopada. W jakiś sposób wspomnienie zmarłych łączy się z tym, że w czasie każdej Mszy św. modlimy się za wszystkich zmarłych: „Pamiętaj także o naszych zmarłych braciach i siostrach...”. Pamiętamy o nich w ofiarowanych za nich Mszach św. i w modlitwie wiernych, a także w indywidualnych modlitwach. Szaty liturgiczne tego dnia mają kolor fioletowy, symbolizujący pokutę, oczekiwanie i ból; jest to kolor Mszy św. pogrzebowych.

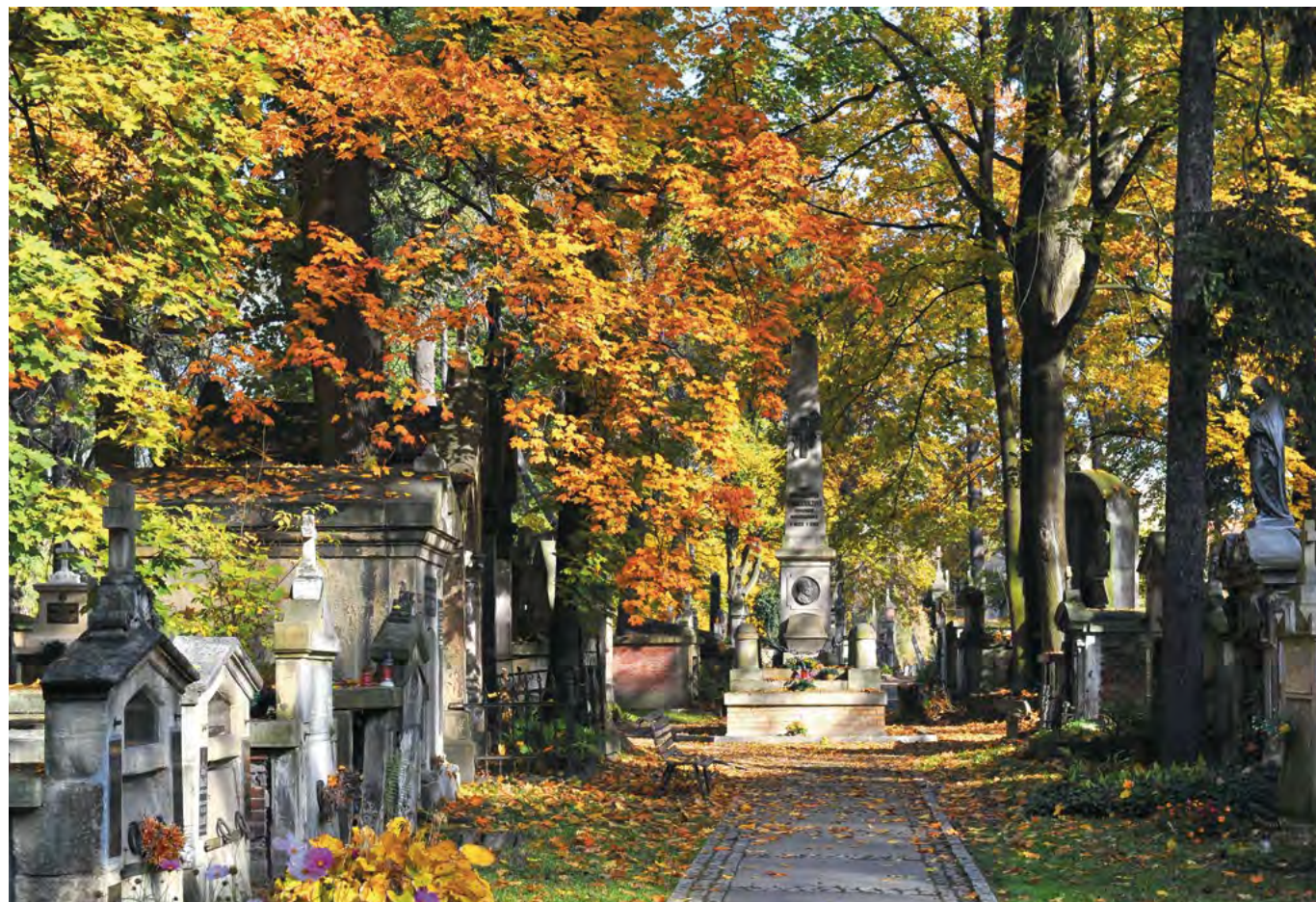
Wspomnienie wiernych zmarłych pojawiło się w IX w. w niewątpliwie łączności ze zwyczajami monastycznymi z wieku VII, gdy specjalnymi obchodami wyrażano pamięć o zmarłych fundatorach klasztorów i ich dobrodziejach. Amalariusz w IX w. łączył pamięć o wszystkich zmarłych ze świętymi, którzy byli już w niebie. Dopiero jednak Odyłon z Cluny ustalił dzień 2 listopada na wspomnienie wszystkich wiernych zmarłych. Było to nawiązanie do wskazań św. Augustyna, który pochwałiał zwyczaj modlitwy za zmarłych zanoszonej do Boga nie tylko w czasie rocznic ich śmierci. Chodziło o to, by pozostawali oni w stałej pamięci potomnych, by nie byli zapomniani przez kolejne pokolenia i by ofiarowano za nich modlitwy i ofiary, pomagając im w osiągnięciu nieba. Kościół zawsze pozostawał

szczególnie wierny zwyczajowi takiej modlitwy, łącząc go z nadzieją chrześcijańską opartą na nieskończonej dobroci i miłosierdziu Boga.

W dniu zadusznym rozbrzmiewają w liturgii słowa starotestamentalnego Hioba: „Lecz ja wiem: Wybawca mój żyje, na ziemi wystąpi jako ostatni. Potem me szczątki skórą odzieje, i ciałem swym Boga zobaczę” (Hi 19,25–26). Przypominają one, że rozpadnięcie się w proch nie jest ostatecznym przeznaczeniem człowieka, ale jest nim oglądanie Boga po przekroczeniu zasłony śmierci. Temat ten został szeroko rozwinięty przez św. Pawła, który w centrum orędzia chrześcijańskiego sytuuje śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Uczniowie są powołani do tego samego doświadczenia, czyli do powstania z martwych; co więcej, ich życie nosi znamiona tajemnicy paschalnej, którą ożywia Duch Święty – Duch Zmartwychwstałego, który nieustannie daje w niej udział przez sakramenty i przez cnoty.

Św. Odyłon z wielką miłością oddawał cześć duszom w czyśćcu, a czynił to do tego stopnia, że ofiarował za nie wszystkie swoje modlitwy, cierpienia, pokuty, umartwienia, zwłaszcza zaś Msze św. za ich wyzwolenie z czyśćca. Jeden z jego współbraci opowiedział mu, że powracając z Ziemi Świętej został w czasie burzy wyrzucony na brzegu Sycylii. Tam spotkał eremitę, który mu wyznał, że często słyszał krzyki i głosy naznaczone bólem dusz czyścicowych, wychodzące z groty wraz z krzykami i głosami demonów zwracających się z gniewem przeciw opatowi Odylonowi, albowiem jego modlitwy i ofiarne życie miały wyzwalać dusze spod wpływu demonów i otwierać im drogę do Boga. Słyszając te słowa, św. Odyłon polecił wszystkim mnichom związanym z klasztorem w Cluny, aby 2 listopada był uroczystym dniem wspominania wszystkich zmarłych, połączonym z modlitwą wstawienniczą o ich wyzwolenie z czyśćca. Był to rok 998, od którego datuje się obchodzenie tego wspomnienia.

Dzień zmarłych stanowi dla nas okazję do zatrzymania się w życiu, aby z pewną nostalgią wspominać przeszłość związaną z naszymi bliskimi, których czas i śmierć przeniosły do nowego życia. Oni nas poprzedzili w tym, do czego i my jesteśmy przeznaczeni. Wspominamy zwłaszcza ich wiarę, nadzieję i miłość wyrastającą z łaski w Kościele, za pośrednictwem których budowali jego świętą wspólnotę i naszą zachodnią cywilizację.



Przed premierą VII tomu „Dziejów Polski”

Słabość Rzeczypospolitej zbiegła się z kryzysem wartości chrześcijańskich

Z prof. ANDRZEJEM NOWAKIEM rozmawia Leszek Sosnowski

Leszek Sosnowski: Pamiętajsz, ile już lat pracujesz, a my jako wydawnictwo razem z Tobą, nad „Dziejami Polski”? Trochę czasu już minęło...

Prof. Andrzej Nowak: To prawda, trochę lat już minęło, dokładnie 13, odkąd piszę tę syntezę; sam pomysł pojawił się 14 lat temu. Wczoraj nawet policzyłem strony przygotowane do tych siedmiu tomów – według znormalizowanego maszynopisu, czyli 1800 znaków na stronę, wychodzi mi, że przez te 13 lat pisałem średnio dokładnie jedną stronę dziennie. Nie wiem, czy to powód do dumy, czy do wstydu, ale taka wyszła średnia.

Nie przesadzajmy, jakiego wstydu – to jest gigantyczna praca, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, co zresztą często podkreślasz i co widać w Twoim dziele, ile wcześniej trzeba przeczytać, żeby móc te strony napisać.

Przede wszystkim mam satysfakcję z tego, że ta w sumie gigantyczna książka znajduje sporo odbiorców. Na pewno dzięki znakomitej formie edytorskiej dociera do nich szerzej. Mam też wrażenie, że – co najważniejsze i co chyba łączy wydawnictwo, autora i czytelników – również dzięki tej serii historia Polski w jakiś sposób „żyje”. Moje założenie – o którym rozmawialiśmy prawie 14 lat temu – było takie, by całą wcześniejszą historię pokazać w perspektywie najnowszych wydarzeń XX i XXI w.

Historia i teraźniejszość...

Tak, tylko przeniesiona na ponad tysiąc lat naszych dziejów. Wydaje mi

się, że tylko w ten sposób można naprawić zrozumieć i historię, i teraźniejszość. To perspektywa sięgająca daleko w głąb historii, inaczej niż w Waszym znakomitym podręczniku prof. Roszkowskiego „Historia i teraźniejszość”. Skądinąd ten podręcznik jest bezwzględnie potrzebny, bo w szkolnych programach najczęściej zapomina się właśnie o tym, co najnowsze – i to jest fatalne. By dobrze pojąć to, co najnowsze, trzeba koniecznie wiedzieć, co było wcześniej. Historia jest nauczy-

Polski szlachcic w kontuszu i żupanie przepasany słuckim pasem na kolorowanym akwarelę miedziorycie weneckiego artysty Teodoro Viero. Fot. MNK



cielką życia – tak po prostu jest, czy ktoś tego chce, czy nie.

A przynajmniej nauczycielką powinna być.

Powinna, bo kto tej nauczycielki nie słucha, nie korzysta z jej wiedzy, ten błędzi. Najczęściej błędzą ci, którzy sprawują władzę i powtarzają te same pomyłki. Oczywiście, pewnie każdy w jakimś zakresie to robi, ale właśnie historia pomaga w ograniczeniu błędów, w lepszym rozumieniu naszej rzeczywistości – jeśli

się ją zna. Specjalnie wspominam tu o władzy, poświęcam jej dużo miejsca w moich książkach. Choć nie tylko jej, bo także obyczajom, zachowaniom ludzi, postawom moralnym i psychologicznym, sprawom gospodarczym, kulturalnym – ale władza rzeczywiście zajmuje wiele mojej uwagi. Wszak czy tego chcemy, czy nie, w różnym stopniu od niej zależamy.

Ta zależność nie narodziła się w XX czy XXI w., ona chyba istnieje od zawsze, rozważania na ten temat snuli już starożytni.

Staram się to podkreślać, zwłaszcza że w ostatnich co najmniej kilkadziesiąt latach nastąpił bunt przeciwko historii politycznej. Pierwszy raz zaczął się ten bunt chyba w epoce oświecenia. Dziś mówi się: nie zajmujmy się historią polityczną, zajmujmy się historią obyczajów, bo historia polityczna to tylko walki, spory, kłótnie, a czasem wojny, słowem nic przyjemnego. Zajmijmy się więc historią np. zupy, historią fryzury, historią – przepraszam – pierwszej miesięczki, bo też taka praca się ukazała. Tego



Św. Bruno z Kwerfurtu chrzci pogańskiego władcę. Obraz nieznanego artysty. Fot. Wikimedia

typu tematy wracają i dominują w kolejnych falach zniechęcenia do historii politycznej, poczynając już od czasu Woltera. A w ostatnim okresie są najsilniejszym nurtem także w historii akademickiej; historia polityczna jest już *passé*, wszystko zostało napisane – to nieciekawe, nudne i bezsensowne. Otóż nie. Jeżeli piszemy historię Polski – a to jest mój cel – to rzecz jasna trzeba koniecznie nieustannie wspominać o tym, co stanowi wykwit naszej kultury, zaczynając od kultury wysokiej, od tego, co w niej najpiękniejsze, utrwalone przez największych autorów. Tyle że nie byłoby literatury, muzyki, malarstwa, a co więcej – nie byłoby wielu polskich zup, gdyby nie istniała państwowość polska. (Jako wielki admirator polskiej zupy stwierdzam, że pod względem jej różnorodności nie znam lepszej kuchni na świecie...) Nie sądzę, by to bogactwo mogło się utrwalić i rozwinąć, gdyby tej państwowości nie było.

Ona ulega jednak załamaniu...

Owszem, ona ulega w pewnym momencie załamaniu, i właśnie w ten okres wchodzę w siódmym tomie. Polska została, jak wiadomo, wymazana z mapy na 123 lata, ale mimo to spójnia polityczna zbudowana przez poprzednie wieki była już tak głęboka, że na jej bazie powstała spójnia kulturowa i narodowa, której przez te 123 lata nie dało się wypłenić. W XX w. Polska wraca na mapę i wszystko, co tworzy polską kulturę, tradycję i obyczaje, mogło od razu mieć swoją kontynuację w niepodległym państwie. Bo znów: gdyby nie było niepodległego państwa w 1918 r., to, po pierwsze, nie rozmawialibyśmy teraz tutaj ze sobą, a po drugie – ktoś inny, rozmawiający w tym miejscu, czyli w Krakowie w roku 2025,

przy hipotetycznym założeniu, że Polska nie odzyskała niepodległości w 1918 r., nie mówiłby po polsku, tylko po niemiecku albo rosyjsku. Pewnie kultywowano by to, co mnie w Krakowie – z którym jestem związany od urodzenia i który kocham – strasznie irytuje: modę na Galicję.

O tak, to jest irytujące. Niestety, ta moda rozwinęła się pod Wawelem już kilkadziesiąt lat temu i nie przeminęła, a to przecież de facto kultywowanie podległości.

To moda na upodlenie, upokorzenie, podporządkowanie, na obcą władzę, dodajmy: skrajnie antypolską przez zdecydowaną większość czasu austriackiego zaboru. Owszem, wspominaliśmy panowanie Franza Josefa jako „piękne, złote czasy”, ale pamiętajmy, że do roku 1866 to nie Rosja i nie Prusy, lecz Austria była najgorszym zaborcą Polski. Więc wracam do myśli, że bez polskiej państwowości po prostu zatriumfowałaby germanizacja lub rusyfikacja. Zniknęłoby doświadczenie polskie, które wyraża się m.in. w obyczaju, choćby w jadłospisie. I może przez jakiś czas trwałoby to jeszcze jako folklor – jak wspomnienie o narodzie Prusów czy Jąćwągów – gdzieś odżywałoby się echem, jakimś śladem. Ale olbrzymia większość tego dziedzictwa nigdy by nie powstała, gdyby wcześniej nie istniało państwo polskie, i by nie ocalała, gdyby to państwo nie odrodziło się w XX w. Dlatego uważam, że historia polityczna musi zachować priorytet. Dam przykład oczywisty dla każdego, kto zajmuje się początkami naszych dziejów: nie byłoby narodu polskiego, gdyby nie było wcześniej państwa piastowskiego. Przecież gdy pierwsi Piastowie budowali swoją władzę polityczną, narodu jeszcze nie było. To właśnie po-

łączenie tej władzy z chrztem stworzyło wspólnotę – zakorzenioną w konkretnym miejscu i czasie, z określonym początkiem rozwoju; pierwsza była jednak władza polityczna. Może się nam to podobać lub nie, ale takie są fakty historyczne.

Wielu politykom bardzo jednak odpowiada koncepcja, by ludzie „nie mieszały się do polityki”. Po co mają się mieszać – skoro są od tego „znawcy”. Jakimi zaś znawcami są ci, którzy dziś decydują o naszym państwie, lepiej w tej rozmowie pominąć... Niestety hasła „nie mieszać się do polityki” przeniknęły do różnych środowisk, również do Kościoła. A co to w praktyce znaczy? Ano pozwolić niewielkiej grupie ludzi robić z całym narodem i społeczeństwem, co im się żywnie podoba.

Myszę, że tu trzeba rozróżnić dwa porządki. Pierwszy to porządek polityki, ten sam, o którym mówiłem, wspominając pierwszych Piastów i państwa piastowskie. Można go opisać metaforą domu. Jest dom – budujemy go, bronimy, staramy się go wyposażać najlepiej jak potrafimy, by było w nim wygodnie, pięknie i zasobnie dla następnych. I to jest właśnie obowiązki władzy politycznej: dbać o dom i go bronić. Jeśli przyjdzie ktoś z zewnątrz – napadnie albo spróbuje wtargnąć nieproszony – od tego jest władza, by ten dom obronić. Jeśli natomiast w klasie politycznej nie ma poczucia, że to nasz dom, że to nasze wspólne gospodarstwo, za które odpowiadamy, jeśli zamiast tego panuje myślenie, że „to moje”, czyli pierwszego sekretarza, premiera czy ministra, że to mój prywatny folwark – to znaczy, że zatraciliśmy sens polityki. Polityka bowiem to służba w domu wspólnym, w któ-



Ekscesy błaznów na dworze carycy Anny Iwanowny. Obraz Valerego Jacobiego. Fot. Wikimedia

rym gospodarz jest sługą wszystkich jego mieszkańców. To niezwykle trudne, ale dawniej było oczywiste – nawet dla królów – że władza oznacza służbę. Królowie przysięgali, że będą służyć dobru Rzeczypospolitej, dobru Królestwa. I właśnie to jest prawidłowe rozumienie polityki.

Tak pojmowali to już starożytni myśliciele; dla nich państwo było stanem naturalnym, bez którego człowiek jako istota społeczna nie może funkcjonować.

Oczywiście, ale to jest właśnie ta wiedza, o której zbyt często zapominają politycy, nie tylko dzisiejsi: odpowiedzialność za dom, za wspólny dom. A przecież ich odpowiedzialność jest największa.

Mówiłeś o drugim porządku, o Kościele.

Kościół ma oczywiście inny układ odniesienia – uniwersalny. Nie może dać się zamknąć w jednym domu, w jednym narodzie. Słowo *katolicki* oznacza przecież z greckiego „powszechny”. A jednak w historii ma też wymiar partykularny, w tym w historii Polski. Bóg wszedł w dzieje w konkretnym miejscu i czasie, a chrześcijaństwo rozwija się zawsze w określonych warunkach historycznych i kulturowych. W tym sensie, kiedy przychodzi do Polski – do państwa piastowskiego w X w. – pojawia się także w konkretnym położeniu, które nazwałbym „geoduchowym”. To niezgrabne określenie, wiem,

może wymyśle lepsze, ale chodzi mi o to, że ścierają się tu różne wizje człowieka, nawet takie, w których próbuje się dziś poddać człowieka władzy szatańskiej pod hasłem „emancypacji” – wyzwolenia od Boga.

Zaczęto znów oddawać cześć rozmaitym bożkom, obserwujemy nawrót do pogaństwa i to jakoby w imię wyzwolenia człowieka. Tylko wyzwolenia od czego? Chyba od rozumu... To jest zjawisko obserwowane w kręgu całej cywilizacji zachodniej.

Nasi przodkowie byli poganami, zostali ochrzczeni – i wtedy wkroczyli na ścieżkę rozwoju i postępu, nie odwrotnie. Wraz z tą misją, którą podjął Bolesław Chrobry, przyszła też misja szersza, skierowana do pogan żyjących na krańcach piastowskiego królestwa. Chrobremu pomagał w niej św. Wojciech, a po jego męczeńskiej śmierci król wciąż ją kontynuował.

Wtedy bardzo pomocny okazał się Bruno z Kwerfurtu, Niemiec, wielki misjonarz w służbie Chrobrego, który ginie z rąk pogan, a następnie zostaje polskim świętym.

Bruno z Kwerfurtu jest doskonałym przykładem, że nie ma sprzeczności między tymi dwoma wymiarami – narodowym i uniwersalnym. Był Niemcem z pochodzenia, a przecież został polskim świętym. I chwala Bogu, że mamy takiego orędownika – świętego, który bronił nas

przed cesarzem niemieckim, agresorem sprzymierzonym z poganami, próbującym zniszczyć chrześcijańskiego władcę, Bolesława Chrobrego. Oczywiście trochę później następuje schizma w Kościele i zmienia się sens naszego położenia, bo znaleźliśmy się na granicy ze światem prawosławnym. Najpóźniej do XV w. nasze sąsiedztwo z tym światem było sąsiedztwem z rzeczywistością odmienną, ale zrozumiałą, bo jednak podobną. Istniało mnóstwo wzajemnych małżeństw między książętami i księżniczkami po obu stronach – ruskimi i piastowskimi.

Ruskimi, ale nie rosyjskimi, nie moskiewskimi – warto to chyba różnić, bo późniejszy imperializm rosyjski, aż do teraz, będzie kłamliwie odwoływał się do swoich korzeni sięgających jakoby wieku X i terenów dzisiejszej Ukrainy.

Do powstania Rosji jeszcze jest dość daleko, dopiero rodzi się Księstwo Moskiewskie. Później na tamtych terenach nadszedł okres jeszcze nie panowania carów, lecz poddaństwa mongolskiego, które wiele zmieniło. Przez około 250 lat panowała tam cywilizacja zupełnie obca – okupacyjna wobec tych ziem – co przeobraziło tamtejsze prawosławie i utworowało drogę formacji polityczno-cywilizacyjnej, której symbolem stanie się właśnie Moskwa, kształtująca się dalej na północ i na wschód,

poza Kijowem. Daje to do dziś rezultaty, np. w postaci reżimu Putina wraz z jego rzekomym „spowiednikiem” Tichonem Szewkunowem, biskupem rodem z KGB.

Nie wiadomo, kto komu się spowiada...

W każdym razie to sąsiedztwo nie jest już sąsiedztwem ze światem prawosławnym jako takim, lecz ze światem cywilizacji, która w perfidny sposób niszczy chrześcijaństwo, powołując się na – chrześcijaństwo. Putin występuje jako obrońca Krzyża, „katechon”, ten, który powstrzymuje antychrysta. A wracając do historii: nasze położenie „geoduchowe” trzeba następnie uzupełnić – od XV w. – o położenie na granicy z agresywnym światem islamu. Wcześniej tego nie było; świat ten nie graniczył z królestwem polskim.

Czytając VII tom „Dziejów”, zanurzamy się w okresie końca wieku XVII i początku XVIII. I widzimy, że wtedy przestaje nam zagrażać islam. Zastanawiające, że właśnie wówczas popadamy krok po kroku w niewolę. Kończy się zagrożenie ze strony islamu, który toczy z nami ostatnie bitwy, unika frontalnego starcia, a my jednak coraz bardziej zmierzamy ku utracie wolności.

To bardzo ciekawa refleksja. Bo faktycznie Imperium Osmańskie, bardzo osłabione po klęsce pod Wiedniem, przestaje nam zagrażać. Problem w tym, że już wcześniej pojawia się cały szereg innych negatywnych procesów. Następnym etapem w zmianie położenia naszego „domu” – wciąż mówimy o relacji chrześcijaństwo-polskość – jest bowiem coraz wyraźniejszy podział wewnątrz chrześcijaństwa zachodniego: reformacja, luteranizm, kalwinizm rozbijają chrześcijaństwo łacińskie, rozbijają katolicyzm i zamieniają to w europejską wojnę domową. Polska zachowuje wierność katolicyzmowi; po rozmaitych wstrząsach, wewnętrznych poruszeniach oraz dobrych i złych wpływach reformacji w XVII w. dokonuje wyraźnego wyboru.

Przypomnijmy, że innowierca nie mógł zostać polskim królem. To był warunek sine qua non: władca ma być katolikiem. Sas, żeby zostać królem w Rzeczypospolitej, musiał zrezygnować z wyznania luteranckiego.

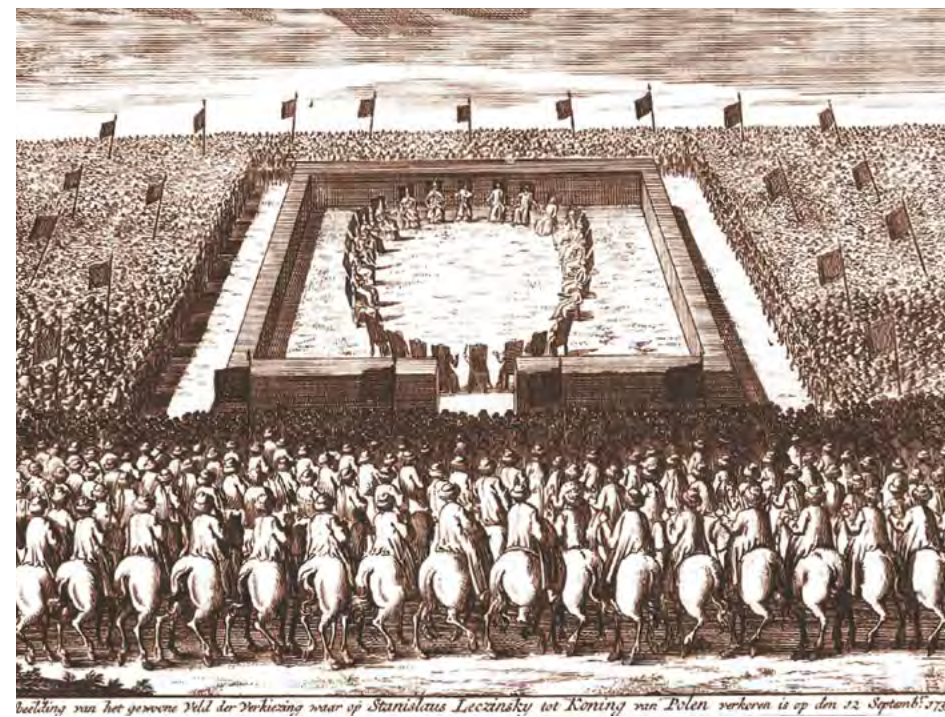
Przypomnijmy też, iż w czasach Zygmunta Augusta większość senatorów stanowili luteranie, a raczej przede wszystkim kalwini. Naciskano, by król oderwał się od Rzymu i ogłosił Kościół narodowy. Ale Polska ostatecznie wybrała drogę wierności katolicyzmowi.

Nieco inaczej niż Węgry, gdzie kalwinizm był równoważny katolicyzmowi i do dziś pozostał tam na tyle silny, że kalwin Viktor Orbán jest premierem. Choć, dodajmy, jego żona jest katoliczką.

Węgry pozostały więc na granicy, podczas gdy my jednoznacznie, od XVII w. na pewno, utożsamiamy polskość z katolicyzmem. W podzielonym już chrześcijaństwie, gdzie są protestanci i prawosławni, pojawia się wtedy jeszcze jedno zjawisko: wojny domowe między luteranami, kalwinami a katolikami oraz ich konsekwencja: obowiązująca zasada polityczna „czyja władza, tego religia”. I znów wracamy do tego, jak istotna jest rola władzy – także, a może przede wszystkim, w łonie ludzi wierzących. Myślę, że to, co dzieje się w zakresie historii, którą podejmuję w tomie siódmym, jest kontynuacją owego wewnętrznego kryzysu w chrześcijaństwie zachodnim. Najbardziej wpływowe kraje Europy Zachodniej i Środkowej – cesarstwo Habsburgów, Francja, Anglia i Niderlandy – podzielone religijnie, dochodzą do układu, w którym zgadzają się, że o wszystkim rozstrzygać ma siła; liczy się tylko siła. Oczywiście ich siła. Wcześniej chrześcijaństwo do pewnego stopnia hamowało tę pierwotną zasadę, że znaczenie ma wyłącznie ten, kto dzierży mocniejszą pałkę.

Czyli mamy do czynienia z efektem osłabienia jeszcze nie tyle świata chrześcijańskiego, bo do tego dopiero dojdzie, ale z osłabieniem znaczenia samego nauczania Chrystusa?

Elekcja Stanisława Leszczyńskiego w 1733 r.; widoczny krąg senatorów oraz interrex prymas Teodor Potocki. Prawdopodobnie jest to ilustracja nieznanego autora umieszczona w „Europische Mercurius”, wydanym w 1734 r. w Amsterdamie. Fot. Wikimedia



Wybudowanie nowego pałacu w Warszawie, 1733 r. Wykresienie planu pałacu przez Stanisława Leszczyńskiego, 1733 r.

Jest oczywiste, że stosowanie siły jako elementu rozstrzygania jakichkolwiek sporów nie wynika z nauczania Chrystusa. Na początku XVIII w., jak o tym piszę w tomie siódmym. pokój w Utrechcie (1713) wprowadził jako oficjalną regułę polityki międzynarodowej zasadę równowagi sił, *balance of power*. Liczy się tylko siła, a więc żeby zachować ład, należy równoważyć najsilniejszego. To jest jednak moment, gdy Rzeczpospolita traci siły, a na jej miejsce wchodzi agresywne imperium ze wschodu, czyli Rosja. W układzie równowagi sił, który abstrahuje od chrześcijaństwa – w układzie całkowicie achryześcijańskim, by nie powiedzieć antychryześcijańskim – nie ma już miejsca dla Rzeczypospolitej. Na wschodzie czynnikiem tej równowagi staje się Rosja. I to właśnie stanowi o nowej sytuacji geopolityczno-duchowej XVIII w.

Przyszła wówczas jeszcze druga nowość polityczna: w wielką siłę rosną Prusy. Zajmują, można powiedzieć, miejsce Szwecji, która wcześniej była mocarstwem, miała liczne posiadłości w Europie, po czym została zepchnięta za Bałtyk. Opisujesz to dokładnie, jak Prusy wyrastają w miejsce słabnącej Szwecji, a potem – w miejsce Rzeczypospolitej.

To jeden z głównych wątków tomu siódmego: śmiertelnie niebezpieczny dla Polski (choć nie tylko dla niej, a dla całej Europy) wzrost potęgi Prus, wynikły właśnie z owej zgubnej logiki *balance of power*. Na czym bowiem wyrosły Prusy? Wyłącznie na pomocy arcykatolickiej Francji,

której zależało na równoważeniu katolickiego cesarstwa, z którym od wieków toczyła zażartą walkę o prymat. Konsekwentnie korzystał na tej wojnie dwóch wielkich katolickich krajów świat protestancki, a traciła Rzeczpospolita – kolejny ważny na mapie Europy kraj katolicki.

W ramach owej, można rzec, wiecznej wojny z cesarstwem (Habsburgami) Francja najpierw wspierała Szwecję, co miało dla Polski skutki katastrofalne: w XVII w. Szwecja była „rapierem” Francji. Ów rapier przebijał się do Pragi, niszczył kolejne kraje niemieckie podczas wojny trzydziestoletniej, ale ostatecznie zrujnował Rzeczpospolitą – jak żaden inny kraj – i to z francuskim błogosławieństwem. Gdy Szwecja się „stępiła”, nie miała już takiego potencjału i, co ważne, nie była zakorzeniona w samej Rzeszy, Francja postawiła na Prusy. Prusy stały się faworytem francuskiej polityki od czasów Ludwika XIV, który kilkakrotnie ratował je od zagłady. Był jeden wyjątkowy moment za panowania Jana III, gdy Ludwik XIV na chwilę odwrócił się od Prus, a Sobieski, w dobrej wierze, ludził się, że przy pomocy Francji można będzie pozbyć się „problemu pruskiego”. To był jednak wyjątek.

Może gdyby król ruszył wtedy z armią na Pomorze Gdańskie, złudzenie stałoby się faktem. Rozważasz to w książce.

Tak, rozważam to; do dziś historycy zastanawiają się, czy była to realna szan-

sa na ostateczne zwycięstwo, czy nie. Generalnie jednak Francja wspierała Prusy – aż do wojny siedmioletniej, na której w siódmym tomie kończę opowieść o historii międzynarodowej.

Którą nazywasz, jakże słusznie, wojną globalną.

Wojna siedmioletnia z lat 1756 – 1763 z pewnością była wojną światową: toczyła się na wszystkich kontynentach – właściwie tylko Oceania nie została w nią wciągnięta. W tej wojnie po raz pierwszy Francja wystąpiła przeciwko Prusom, ale za to, w imię równowagi sił, Prusy poparła Wielka Brytania. To była największa szansa, by przy pomocy Rosji i Francji wyazać Prusy z mapy, bo w tym wyjątkowym momencie Rosja, Francja i cesarstwo wszystkie stanęły przeciw Prusom. Niestety nastąpił, jak to opisuję, największy z cudów domu brandenburskiego: śmierć cesarzowej Elżbiety, imperatorowej rosyjskiej, która była bardzo bliska zniszczenia Prus. Na tronie zasiada jednak Piotr III, wielbiciel wszystkiego, co pruskie, który ratuje dom brandenburski od unicestwienia. Rosja wówczas dwukrotnie zajęła Berlin. Fryderyk II znalazł się w sytuacji absolutnie beznadziejnej, gdy nagle śmierć Elżbiety i następstwo tronu w Petersburgu odwróciły bieg wydarzeń.

Wówczas wojna zwycięska dla Rosji została przerwana, a jej oddziały wycofały się, oczywiście przez terytorium Polski i Litwy, pozostawiając za

sobą poważne zniszczenia – w kraju, który niby nie brał udziału w wojnie.

Rzeczpospolita nie była podmiotem w tej wojnie, ale była już państwem całkowicie podległym. Wojna została przerwana, a Rosja wychodziła z niej pustymi rękami, co wprost przyczyniło się do genezy pierwszego rozbioru Polski. Rosyjscy dowódcy i biurokracja wojskowa uznali, że po tylu wysiłkach i zwycięstwach pozostanie bez konkretnych zdobyczy jest nie do przyjęcia. Skoro więc nie mogli otrzymać nic z działań w Prusach, postanowili zyskać coś na bezbronny państwie, jakim była wówczas Rzeczpospolita. W ten sposób Rosja odeszła od polityki Piotra I – „kontrolujemy całą Rzeczpospolitą, nie dajemy ani kawałka Rzeczypospolitej nikomu” – i zaczęła realizować wobec Rzeczypospolitej politykę ekspansywną.

Zmierzam do konkluzji – długiej, wiem, w której posłużę się moim ulubionym historykiem, Reinhardem Koselleckiem. Zwraca on uwagę, jak przełomowy jest rok 1772: rozbiór Polski oraz likwidacja zakonu jezuitów. To największy triumf, jaki świat protestancki odniósł nad światem katolickim. Zlikwidowany został główny zakon, który w XVI w. uratował Europę i Polskę przed protestantyzacją. Można nie lubić późniejszych meandrów jezuitów, to zupełnie inna historia, ale ich zasługa w obronie katolicyzmu jest nie do przecenienia. Sens likwidacji jezuitów był jasny: pozbawić katolicyzm narzędzia walki o przetrwanie cywilizacji chrześcijańskiej. Bo o ile „bramy piekielne nie przemogą” Kościoła Chrystusowego, o tyle cywilizacja chrześcijańska nie ma gwarancji życia wiecznego – w odróżnieniu od Kościoła. A do tego, by ona trwała, potrzebna była Polska i potrzebny był zakon jezuitów. I to zobaczył protestant Koselleck, który obiektywnie analizował historię Europy. Wskazał też jeszcze jeden aspekt, którym zajmę się w następnym tomie: kluczową rolę Gdańska. Cała geopolityczna gra toczy się o Gdańsk. Mocarstwa protestanckie, Holandia i Anglia, próbują go kontrolować; ze swej strony czyni to także Rosja. Opisuję wydarzenie wyjątkowe w naszej historii, gdy Gdańsk pięknie opowiada się za przynależnością do Rzeczypospolitej: gdańszczanie zapisują bohaterską kartę w obronie miasta przed Rosjanami.

Czy to jest faktycznie tak bardzo wyjątkowe?

W tamtym czasie – tak; to było naprawdę wielkie bohaterstwo, ale pamiętajmy, że świadomość mieszkańców Prus Królewskich wykształciła silne przywiązanie do tradycji i kultury politycznej Rzeczypospolitej. Wielu z nich nie czuło się Pola-



Król Jan III Sobieski wręcza kanonikowi Denhoffowi list do papieża Innocentego XI z wiadomością o zwycięstwie nad Turkami pod Wiedniem (1683). To w tym liście padły słynne słowa *Venimus, vidimus, Deus vicit*. Obraz Jana Matejki. Fot. Wikimedia

kami w narodowym sensie, ale absolutnie nie chciało być Niemcami. Chcieli być gdańszczanami, wysoko ceniącymi związek z Rzeczpospolitą. Po drugim rozborze, gdy Gdańsk wpadł w pruskie ręce, mieszczenie przez kilka lat nosił żałobę – chodzili ubrani na czarno. W tomie, który właśnie oddałem do wydawnictwa, opisuję ważny, piękny epizod wielomiesięcznej obrony Gdańska – głównie siłami samych gdańszczan – przed armią rosyjską w latach 1733–1734, gdy Rosjanie narzucili Polsce Augusta III, a wybrany przez szlachtę olbrzymią większością głosów Stanisław Leszczyński schronił się właśnie w Gdańsku. To karta naprawdę znamienita. Rosja zdobyła Gdańsk w 1734 r., upokorzyła miasto i wymusiła ogromną kontrybucję. Prusy wyciągnęły z tego lekcję dla siebie: „tylko z Rosją”.

Jak więc widać z kart siódmego tomu, nie same Prusy i nie sama Rosja, lecz połączenie tych dwóch sił jest zabójcze dla Polski – i, dodajmy, dla Europy. Brak silnej Rzeczypospolitej w tej części kontynentu oznaczał i oznacza potężne konflikty, wojny naprawdę światowe, większe i bardziej mordercze niż wojna siedmioletnia. Obecność silnej Rzeczypospolitej skutecznie rozdzielała te dwa imperia.

Geopolitycznie sytuację można streścić tak: Rosja i Niemcy dążą do tego, by między nimi nie było nic, co przeszkadzałoby ich uściskowi i dominacji nad resztą. Z punktu widzenia pozostałych mo-

carstw zachodnich pojawiała się pokusa, by uznać to za wzorcowy układ równowagi sił: wspólna granica Rosji i Niemiec miałyby je wzajemnie równoważyć, rzekomo zniechęcając do niszczenia czegokolwiek pomiędzy nimi. Część zachodnich mężów stanu tak właśnie to widziała. Francja rozważała sojusz z Rosją przeciw Niemcom, Wielka Brytania dopatrywała się w tym „balansu” czterech potęg: Rosji, Niemiec, Francji i Anglii.

Rosja i Niemcy, motywowane ekspansywną polityką imperialną, znajdują wspólnotę działania we wspólnej nienawiści do dziedzictwa katolickiego. To bardzo ważne i w XIX w. objawi się najbardziej otwarcie polityką likwidacji niemal wszystkich klasztorów i zakonów, masowymi zsyłkami księży w zaborze rosyjskim, walką z Krzyżem łacińskim pod sztandarem Krzyża prawosławnego. Po stronie pruskiej będziemy mieć *Kulturkampf* – walkę z katolicyzmem numer jeden, z polskością numer dwa. Niektórzy odwracają te proporcje, ale w istocie było to „dwa w jednym”: Bismarck chciał zniszczyć i katolicyzm, i polskość. To pokazuje wymiar niebezpieczeństwa: religia podporządkowana konkretnemu centrum politycznemu – Berlinowi i Moskwie czy Petersburgowi. W protestantyzmie oraz w prawosławiu moskiewskim, inaczej niż w chrześcijaństwie łacińskim, nie ma niezależnego centrum duchowego; władza duchowna jest podporządkowana władzy świeckiej i jej służy.

A czyja władza, tego religia, jak to zaordynowano europejskiej polityce już ponad cztery wieki temu...

Ale Polska, wybierając katolicyzm, wybrała układ, w którym jej serce duchowe jest w Rzymie jako stolicy katolicyzmu – nie w Warszawie lub w Krakowie. Papieństwo, którego symbolem najważniejszym dla nas w ostatnich dziesięcioleciach stał się św. Jan Paweł II, jest naszym głównym punktem odniesienia, powiedziałbym: sternikiem naszej nawy duchowej. Jeżeli źle się dzieje na Stolicy Piotrowej, źle dzieje się i u nas. Jesteśmy związani z Rzymem i nie możemy tej więzi przeciąć. U nas nie przeważała imperialna pokusa podporządkowywania władzy duchownej władzy świeckiej.

Mówimy tu cały czas o drugiej partii siódmego tomu „Dziejów”, o czasach saskich. Ale powróćmy jeszcze do okresu chlubnego, do wielkiego króla polskiego, Jana III Sobieskiego. Wśród tych, którzy interesują się historią, nieustannie pojawia się pytanie: czy Sobieski dobrze zrobił, pomagając Austrii zagrożonej ofensywą islamu w 1683 r.? Tej Austrii Habsburgów, która miała zostać naszym zaborcą...

W tym tomie przypominam zasadniczą zasługę Jana III Sobieskiego w odsieczy, o czym niektórzy próbują zapominać. W samej Austrii mówi się o tym półgębkiem albo wcale; jeśli już, to jako o zwycięstwie księcia Lotaryńskiego, a nie



Sobieskiego. Wystarczy zobaczyć, jakie miejsce w Wiedniu zajmuje Sobieskigasse – to po prostu mała i wyjątkowo nieurodziwa ulica, daleko poza centrum. Jak na formę uczczenia władcy, który uratował stolicę cesarstwa przed okupacją islamską, to niewiele... Zasługa Sobieskiego i w ogóle polskiego wojska, bo litewskie nie zdążyło pod Wiedeń, w zwycięstwie pod Wiedniem była decydująca, to dla historii nie ulega wątpliwości.

Ale czy faktycznie warto było tam pójść?

Odpowiadam jednoznacznie: warto było. Nieprawdą jest, że islam „skończył się” w XVII w., że był już tylko „truchłem”. Przypomnijmy ponadto, że król, obejmując tron, zaprzysiął *pacta conventa*, w których jasno zobowiązywał się do odzyskania ziem utraconych. Gdy w 1674 r.



Jan III Sobieski podpisuje w Żurawnie w 1676 r. rozejm z Turcją, na mocy którego Rzeczpospolita nie musiała już płacić Turkom corocznego haraczu, ale Podole i Ukraina prawobrzeżna pozostawały przy imperium osmańskim. Obraz Romana Postempskiego z przełomu XIX i XX w. Fot. Wikimedia

wstępował na tron, Turcja zabrała Rzeczpospolitej znaczny obszar – kawał Podola i kawał Ukrainy. Haniebnym pokojem w Buczaczu strata ta została zaakceptowana przez króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, który nie miał wyjścia. To była świeża, paląca rana na ciele Rzeczpospolitej. Przecież liczny zastęp szlachty z owych zagarniętych województw zbierał się na „sejmikach wygnańców” – nie na Podolu czy pod Kamieńcem, lecz w Warszawie i gdzie indziej, by upominać się: „Natychmiast odzyskajcie nasze ziemie, dopiero co zostaliśmy stamtąd wygnani”. Sobieski, jako król, uroczyście to zaprzysiął. Zresztą całe życie walczył z Tatarami i Turcją.

W momencie, gdy flirt z Francją okazał się jałowy, a sama Francja przygotowywała projekt obalenia Jana III Sobieskiego, co zdemaskowano; na czele stał podskarbi Morsztyn, wydalony z Rzeczypospolitej (nie za zdradę, lecz formalnie za nadużycia finansowe) – stało się jasne, że opcja profrancuska jest dla króla zła. Cesarstwo błagało o pomoc i tylko w sojuszu z nim można było odzyskać świeżo utracone ziemie. To była jedyna racjonalna decyzja.

Nie wolno też pomijać aspektu, który dziś – w kontekście powszechnej ateizacji – bywa lekceważony, a wtedy był najistotniejszy: obrony chrześcijaństwa, już nie tylko katolicyzmu.

Słusznie to przypominasz, od tego należałoby zacząć. Dla samego króla chrze-

wy. Dziś niektórzy mówią: „a głupio zrobił, przecież sto lat później Maria Teresa dążyła do rozbioru...”. Ale to jest perspektywa kawiarniana.

To trafne określenie: „rozmowy kawiarniane”, które kompletnie nie biorą pod uwagę kontekstu historycznego, mentalnościowego, religijnego, obyczajowego etc. O decyzji Marii Teresy, o jej udziale w rozbiorach, będzie okazja porozmawiać przy tomie ósmym. Czy pisanie tomu siódmego nastroczyło Ci więcej trudności niż pozostałe tomy?

Chyba tak. Tom, który teraz oddaję do rąk drogich Czytelników, był dla mnie szczególnie trudny do pisania, bo zawiera czarne karty naszej historii – epoka saska niewątpliwie ma ich wiele. Stałem się jednak, zgodnie z prawdą historyczną, pokazać także znaki otrzeźwienia, dążenie do wyjścia z upadku. To epoka upadku, owszem, ale jednocześnie czas, w którym wielu Polaków dochodzi do wniosku, że „tak być nie może”. Podtytuł tego tomu brzmi: „Upadanie i powstawanie”; właśnie o to mi chodziło: pokazać powstawanie z upadku, bo bez tego odruchu Polska by nie przetrwała. Tak więc to był tom bardzo trudny, bo trzeba było zmagać się z rzeczywistością pełną powodów do pesymizmu. Nie piszę historii „optymistycznej”, ale też nie „pesymistycznej” – staram się opisać ją taką, jaka była. Następny tom, wchodzący w najtragiczniejszy z punktu widzenia naszej historii politycznej okres rozbiorów, będzie paradoksalnie dużo bardziej optymistyczny. Choć w 1795 r. przychodzi trzeci rozbiór, zdawałoby się ostateczny, to już trzydzieści wcześniejszych lat niezwykle mocno pokazuje żywotność Polski, jej zdolność do autokorekty i reformy. Nie jakieś zbawcze siły z zewnątrz podnoszą Polskę, robią to sami Polacy na dwa sposoby: reformami instytucjonalnymi i gospodarczymi (kulminującymi w ustawodawstwie Sejmu Wielkiego, w Konstytucji 3 maja, w uobywatelnieniu mieszczan) oraz przygotowaniem do walki zbrojnej o Polskę. To najpierw Konfederacja Barska, potem bardzo dzielnie stoczona kampania w 1792 r.; gdyby nie zła postawa króla, nazwijmy to wprost: zdrada, wynik mógł być inny. Nie o nim jednym będzie mowa: pojawiają się postaci takie jak książę Józef, Jan Henryk Dąbrowski, Wybicki – bohaterowie, którzy w następnej epoce stają się figurami nadziei w pozornej beznadziejności. Polska upadła, ale właśnie wtedy zaczyna jedną z najwspanialszych kart w historii kultury i swojej mocy – zwłaszcza mocy ducha. Do tej tradycji najpiękniej nawiąże św. Jan Paweł II, wyrastający z kultury romantycznej, z kultury niezgody na niewolę.

PREMIERA VII TOMU!

20.11.2025



ZAMÓW:

bialykrak.pl,
12/254 56 02,
12/254 56 19
lub e-mail:
handlowy@bialykrak.pl.
Przy zamówieniu powyżej 300 zł
koszty przesyłki (17 zł)
ponosi wydawnictwo.

**496 str.,
ponad 200 ilustracji**

19,5 x 24 cm,
twarda oprawa, złocenia, tłoczenia

Cena det. ~~110~~ **99 zł**

Można już zamawiać





DZIEŁO NARODOWE

KUP W PAKIECIE
LUB UZUPEŁNIJ
BRAKUJĄCE TOMY

384+384+464+456+488+496 str.,
19,5 x 24 cm,
oprawa twarda, złocenia,
tłoczenia.

Tomy 1–6

544zł 360zł

ZAMÓW:
bialykrak.pl, 12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl.
Przy zamówieniu powyżej 300 zł koszty
przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Był odważnym mentorem polskiej kultury politycznej

Bp Antoni Dydycz kochał Boga, honor i Ojczyznę

Czesław Ryszka

Jego życiowym mottem były słowa Cypriana Kamila Norwida: „Nie trzeba kłaniać się Okolicznościom, a Prawdom kazać, by za drzwiami stały”. Ileż wygłosił w tym duchu patriotycznych kazań, konferencji i prelekcji, iluż udzielił wywiadów dla różnych mediów, zawsze z nadzieją, że przyczynią się one choćby w niewielkim stopniu do umocnienia poczucia dumy z bycia Polakiem. W każdym publicznym wystąpieniu starał się promować historię Polski, mówił z odwagą o dobru wspólnym, o wierności chrześcijańskim wartościom. Nie lękał się narazić tzw. celebrytom i pseudoautorytetom.

Pierwszy raz spotkałem go, kiedy nie był jeszcze biskupem: w 1987 r. w Rzymie, gdzie przebywałem na skromnym stypendium dziennikarskim. Wystarczyło ono na wynajęcie pokoiku i szczupły wikt, a ja bardzo chciałem pojechać do sanktuarium Ojca Pio. Poradzono mi, bym udał się w tym celu do Kurii Generalnej Ojców Kapucynów, gdzie zatrzymywały się pielgrzymki z Polski, które potem jechały do San Giovanni Rotondo. Drzwi otworzył mi młody zakonnik, o. Pacyfik Dydycz. Wytlumaczyłem mu, o co chodzi, kazał mi zaczekać i gdzieś zniknął. Po jakimś czasie przyniósł list do gwardiana klasztoru w San Giovanni Rotondo, w którym polecał mnie jego opiece, a dodatkowo włożył do koperty niemałą sumę pieniędzy na przejazd i pobyt. Dzięki temu poleceniu mieszkałem w San Giovanni Rotondo za darmo w najlepszym hotelu z pełnym wyżywieniem, z butelką wina do obiadu. Przez dwa tygodnie pobytu napisałem wtedy niemalże całą książkę, którą pod tytułem „Tajemnica Ojca Pio” wydało potem wrocławskie wydawnictwo archidiecezjalne; miała ona potem kilka wydań, ostatnie ukazało się pod tytułem „Winnica Padre Pio”.

Współczesny Skarga

Będąc posłem w latach 1997–2001, wielokrotnie spotykałem bp. Dydycz;

pomagał nam walczyć w parlamencie o częstotliwości dla Radia Maryja. Był w Toruniu na obchodach każdej rocznicy Radia Maryja wśród nielicznych wówczas biskupów trzymających z o. Tadeuszem Rydzykiem. Jednego razu zorganizowaliśmy grupę posłów i senatorów, z którymi bp Antoni Dydycz poprowadził dzień skupienia. Z moich notatek wynika, że mówił wtedy o aktualnym kryzysie wartości w konsekwencji ataku na chrześcijaństwo, na Kościół, na naszą wyrosłą na katolicyzmie kulturę i obyczajowość. Podkreślał, że nie jest to nic nowego; wskazał na czasy rewolucji francuskiej, kiedy w imię wolności, równości i braterstwa mordowano ludzi pragnących żyć wiarą w Chrystusa, a rewolucjoniści skonfiskowali kościelne dobra, burzyli kościoły, próbowali podporządkować sobie księży. Dlaczego trzeba o tym pamiętać? – pytał ks. biskup i jednocześnie wyjaśniał, że od tamtego czasu do dziś następuje już tylko „zmiana warty” wrogów chrześcijaństwa i Kościoła, a więc tych, którzy w myśl identycznych idei działają w tych samych zakłamanych celach: „Dopóki nie oderwiemy się od tego mrocznego dziedzictwa rewolucji francuskiej, które poszło w świat, nadal będzie tak samo, nadal będą nas niszczyły kłamstwo i obłuda. Bo one atakują wartości, na których zbudowane są chrześcijańskie narody i państwa, także nasza Ojczyzna”.

Dalej mówił bp Antoni Dydycz do posłów i senatorów o zakłamywaniu i wysmiewaniu konserwatyzmu i konserwatystów, a więc ludzi, którzy szanują pracę, dorobek pokoleń, tradycyjne przekonania i kulturę, i z tego wyciągają wnioski na dziś. Jeśli ktoś nazywa to ciemnogrodem, świadczy, że jest zakłamanym – przekonywał. Uważał, że największą chorobą naszego życia społeczno-politycznego jest kłamstwo. Był zdania, że pośród wielu innych niedobrych rzeczy najgroźniejsze jest zakłamanie życia politycznego i dziennikar-

skiego, gdyż kłamstwo niszczy człowieka, rozbija rodziny, zatrzuwa życie społeczne. Bp Dydycz mówił też wówczas o potrzebie nowej ewangelizacji nas, polityków, oraz o ewangelizacji tzw. autorytetów, którzy odwołują się do tego, że są wierzący, używają swych wpływów, kierują do ludzi swe wywiady, listy otwarte, komentarze, ale tak naprawdę chodzi im tylko o nich samych, o ich kariery, a nie o wiarę, chrześcijaństwo czy Kościół: „Tacy zepsuci chrześcijanie czy byli chrześcijanie często bardzo szkodzą i wierze, i w ogóle człowiekowi”. Biskup przypominał, że od posłów ludzie oczekują prawdy, a czasem niestety otrzymują od nich truciznę; nieprzypadkowo Pan Jezus tak ostro potraktował tych, którzy gorszą małuczkich. Hierarcha przestrzegał, że zawsze były próby rozmiękczenia Kościoła od środka – powinniśmy o tym pamiętać, zachowywać czujność i nie dawać się zastraszyć.

Będąc senatorem, spotkałem bp. Antoniego Dydycz w 2006 r. w Skarżysku-Kamiennym, gdzie na zaproszenie ks. Jerzego Karbownika, kustosza sanktuarium Matki Bożej Ostrobramskiej, przewodniczył Mszy św. odpustowej i spotkaniu Rodziny Radia Maryja. W homilii przywołał poważny dramat związany z kryzysem demograficznym. Ponieważ w parlamencie powstał wówczas Zespół ds. ochrony życia, zapamiętałem jego płomienne słowa przestrogi, aby nie lekceważyć tego prawdziwego zagrożenia dla przyszłości Polski: „Dlaczego coraz mniej rodzi się dzieci? Dlaczego coraz więcej młodych opuszcza Polskę? Co to wszystko znaczy? Gdzie się podziela nasza cześć do Matki Najświętszej? Nasza miłość do Polski? Nasza samoświadomość przyszłego bytu narodowego? Jak to się stało, że stajemy się narodem wymierającym? Przy Matce o to pytajmy! Czyżby egoizm okazał się tak straszny w swoich skutkach? A co będzie z naszym dziedzictwem narodowym? Komu będą śpiewały nianki o obrońcach naszych polskich gra-

nic, o rycerstwie znad kresowych stanic?! Komu będą nuciły przepiękne Godzinki o Najświętszej Maryi Pannie? Kto wreszcie będzie przesuwiał paciorki różańca? Komu nasza ziemia, krwią i potem przez tyle wieków użyźniana, ma być przekazana? Nie pozwólmy, aby z naszych serc wyrwana resztki nadziei i zaufania do Polski”. Hierarcha zakończył wezwaniem: „Królowo Korony Polskiej, pomóż odnowić naszą miłość do Ojczyzny”.

Bp Dydycz przy każdej okazji nawiązywał do bieżących wydarzeń. Podczas uroczystości pogrzebowych premiera Jana Olszewskiego w 2019 r. w Warszawie (byłem wówczas czwartą kadencję senatorem) mówił o odwadze zmarłego, który jako adwokat bezinteresownie bronił niesłusznie oskarżonych, bo dla niego liczyła się tylko prawda walczących o wolność Polek i Polaków: „Jestem głęboko przekonany, że Jan Olszewski już teraz modli się, by Matka Najświętsza pukała do serc Polek i Polaków, by wyrzekli się złych postaw”. Podejmując dalej w homilii temat podziału Polaków na dwa zwalczające się plemiona, zachęcał: „Trzeba walczyć ze złem. Ono przecież zdarza się w życiu, może mieć miejsce w naszych czasach, ale nigdy nie można nawet pomyśleć o tym, aby Polska walczyła z Polską, wszakże nie można lekceważyć ani zdrad, ani chciwości, ani pychy, ani nienawiści. To nie Polska walczy z Polską. Taka choroba może dotknąć Polkę lub Polaka, ale nigdy Polskę”.

Bp drohiczyński Antoni Pacyfik Dydycz ze współbraćmi kapucynami w lipcu 2004 r. w Serpelicach, gdzie znajduje się ich klasztor. Fot. Archiwum BK



Wielokrotnie przewodniczył bp Antoni Dydycz Mszom św. w archikatedrze warszawskiej z okazji kolejnych rocznic zbrodni katyńskiej i katastrofy smoleńskiej. 10 kwietnia 2014 r. odniósł się w homilii do przyczyn tragedii pod Smoleńskiem: „ogłoszono embargo na poszukiwanie przyczyn katastrofy. Zabroniono nawet myśleć o zamachu. Może i go nie było, ale dlaczego nie szukać każdej możliwości, wersja zamachu również powinna być badana”. Zaś 10 kwietnia 2016 r., podczas Mszy św. na cmentarzu polskich oficerów zamordowanych w Katyniu, podkreślił: „w lesie katyńskim spoczywają ofiary, dzięki ich przelanej krwi przysła wolność dla ich potomków”.

W warszawskim kościele Świętego Krzyża podczas Eucharystii w 2016 r., upamiętniającej 35. rocznicę wprowadzenie stanu wojennego, bp Dydycz z odwagą odniósł się do ataków na rząd Zjednoczonej Prawicy: „Lekceważy się i pogardza wyborem narodu, chętnie się szuka poparcia u obcych. Czyż nie jest obecnie tak, że ci, którzy płaszczyli się przed Wschodem, obecnie płaszcą się przed Zachodem? Ale zawsze pozostają bez honoru i bez sumienia. Na wszelkie sposoby usiłuje się przeszkadzać w odradzaniu się ducha patriotycznego. W tej walce nie zwraca się uwagi ani na prawdę, ani na mądrość, ani nawet na demokrację; rzeczownik ten tak często bywa wymieniany, że dodatkowo budzi podejrzenie o niegodziwe nim manipulowanie”.

Kierując leżącą na peryferiach Polski diecezją, graniczącą z utraconymi po II wojnie światowej polskimi Kresami, bp Antoni Dydycz mocno angażował się w pomoc Kościołowi katolickiemu na dawnych Kresach, odradzającemu się po latach komunizmu. Jako przewodniczący Zespołu Konferencji Episkopatu Polski ds. Pomocy Kościołowi na Wschodzie stale zwracał uwagę, że tamtejsi katolicy są potomkami licznych męczenników, wśród których było wielu naszych krewnych, rodaków. Przy wielu okazjach hierarcha podkreślał: „Pamiętajmy, na jakie trudności byli tam narażeni wierzący w Chrystusa, jak wiele kościołów zamknięto, jak wielu spotykały kary za próby wyznawania wiary. (...) Nie obeszło się bez licznych męczeństw. Dziękujemy Bogu, że to już jest historia, cieszymy się, że odradza się życie religijne, a dzieci mogą poznawać wiarę i ją wyznawać. Jednak nadal ludzie tam napotykają wiele problemów natury duchowej, kulturowej, religijnej i materialnej”.

Także osobiście o nich pamiętał i śpieszył z pomocą, którą objął przynajmniej kilkaset parafii, wspólnot parafialnych i osób indywidualnych. Właśnie za pomoc katolikom na Wschodzie, za promowanie wartości chrześcijańskich, humanistycznych w kulturze, sztuce, życiu społecznym, ruchu ekumenicznym, działalności charytatywnej, odebrał bp Antoni w 2013 r. w Muzeum Niepodległości w Warszawie Nagrodę im. św. Brata Alberta.

Miał wizję historii jako nauczycielki życia i często się do tego odwoływał. Narodowy Dzień Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką odbył się 24 marca 2019 r. w kościele św. Jana Chrzciciela w Sadownem. Podczas Mszy św. w intencji mieszkańców gminy Sadowne i rodziny Lubkiewiczów, zamordowanej przez Niemców zimą 1943 r. za niesienie pomocy żydowskiemu współobywatelom (Leon Lubkiewicz był miejscowym piekarzem i dawał chleb Żydom, którzy ukrywali się w lesie), biskup podkreślił w homilii, że bolesne wydarzenia dotyczące tej rodziny odnoszą się nie tylko do męczenników, ale i do morderców: „Przypominamy [te wydarzenia], ale jednocześnie, czy robimy wszystko, aby do czegoś podobnego nigdy nie dochodziło? W naszej pamięci mogą zacierać się mordy i okrucieństwa, oprawcy i ofiary, tymczasem nie wolno zapominać, że takie straszliwe wydarzenia nie przychodzą z zaskoczenia”. Hierarcha zwrócił uwagę, że zbrodnie z okresu II wojny

światowej były poprzedzone przygotowaniami, które tolerował świat: „Znane były zapowiedzi, znane były ‘marzenia’, ale wielu z ówczesnych przywódców pocieszało się, że ich to ominie. Nie ominęło! Takie zło daje o sobie znać, niekiedy od dziesięcioleci i ważne jest, aby mu się od początku przeciwstawiać”. Przypomnę, że słowa te padły przed totalnym atakiem Rosji na Ukrainę, w czasie pełnej współpracy gospodarczej Zachodu z Rosją.

Kartki z życiorysu

Ks. bp Antoni Pacyfik Dydycz urodził się 24 sierpnia 1938 r. w miejscowości Serpelice nad Bugiem, w rolniczej rodzinie, w której Bóg i Ojczyzna byli na pierwszym miejscu. Już w dzieciństwie znalazł się pod wpływem kapucynów o korzeniach unickich, wypędzonych z Lubieszewa na Ukrainie. W 1954 r. wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów w Łomży; w zakonie otrzymał imię Pacyfik. Studia filozoficzno-teologiczne odbył w Łomży w latach 1957–1963. 29 czerwca 1963 r. przyjął tam święcenia kapłańskie z rąk bp. Czesława Falkowskiego. W latach 1964–1967 studiował socjologię na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej KUL. Doktorat z nauk humanistycznych uzyskał w 1994 r. na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. W 1982 r. wyjechał do Rzymu, gdzie pełnił urząd definitora generalnego zakonu kapucynów (zastępcy generała). Do jego obowiązków należało wówczas m.in. niesienie pomocy zakonnikom z państw socjalistycznych w Europie. Wielokrotnie w konspiracji odwiedzał zakony i parafie na terenie byłego Związku Radzieckiego. Także po upadku komunizmu zajmował się odbudową życia zakonnego w tym regionie.

20 czerwca 1994 r. został biskupem drohiczyńskim, przyjąwszy zawołanie: *Populus Tuus – hereditas Tua* („Lud Twój – dziedzictwem Twoim”). Był członkiem dwóch komisji Episkopatu Polski – ds. świeckich oraz ds. duszpasterstwa ogólnego, oraz przewodniczącym Konferencji Przełożonych Franciszkańskich. Pochodzenie z Podlasia ułatwiło mu pracę w nowej diecezji, która dopiero co powstała w 1991 r. z dawnej diecezji pińskiej. Zainteresowanie historią pomagało mu w promocji regionu. Był autorem ponad 150 publikacji, w tym książek „Z podlaskiej ziemi wezwany... Bł. Honorat Koźmiński – kapucyn”, „Tą samą drogą”, „Niosąc ziarno na zasiew” czy „Kapucyni na Litwie”. W ciągu niemal 20 lat posługi pasterskiej przeprowadził I Synod Diecezji Drohiczyńskiej, erygował nowe parafie, sprowadził do diecezji nowe zgromadzenia zakonne, utworzył Katolickie Radio Podlasie. Był otwarty na współpracę zarówno z mediami katolickimi, w szcze-



Bp Antoni Pacyfik Dydycz świętował w czerwcu 2013 r. jubileusz 50-lecia kapłaństwa. Obchody odbywały się w Drohiczyźnie i w Serpelicach. Fot. Adam Bujak

gólności z Radiem Maryja i TV Trwam, jak też z publicznymi – Polskim Radiem i TVP. Przygotował wizytę apostolską Jana Pawła II w Drohiczyźnie 10 czerwca 1999 r., a potem świętował z wiernymi każdorazową jej rocznicę, doprowadzając do ustanowienia tego dnia Dniem Podlasia; został on zatwierdzony jako święto regionalne przez sejmiki samorządowe tego regionu. Bp Antoni Pacyfik zorganizował ponadto peregrynację figury Matki Bożej Fatimskiej oraz obrazu Jezusa Miłosiernego w parafiach swej diecezji. Dzięki jego staraniom koronacji obrazu Matki Bożej Miedzeńskiej koronami pobłogosławionymi przez Jana Pawła II dokonał kard. prymas Józef Glemp, a obrazy Matki Bożej w Ciechanowcu i Łazówku oraz figura św. Anny w Prostyni również zostały ukoronowane. Hierarcha zorganizował obchody 750-lecia Zjazdu Drohiczyńskiego, wystarał się o podniesienie kościołów w Bielsku Podlaskim, Węgrowie i Prostyni do godności bazylik mniejszych oraz ustanowił kilka sanktuariów diecezjalnych. Przeszczepił do diecezji ruchy i stowarzyszenia katolickie, takie jak Akcja Katolic-

ka, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Apostolat Maryjny, Rodziny Nazaretanki. Proklamował doroczny Dzień Młodzieży na Kalwarii Podlaskiej w Serpelicach. Wspierał działalność charytatywną Caritas i związanego z nią Domu Miłosierdzia im. Jana Pawła II w Sokołowie Podlaskim. Przyczynił się do utworzenia Drohiczyńskiego Towarzystwa Naukowego, którego był prezydentem, mającego przybliżać walory Podlasia i jego historię. Liczne zabytkowe kościoły zawdzięczają mu pomoc w remontach.

W 2014 r. papież Franciszek przyjął jego rezygnację z urzędu biskupa diecezjalnego. Na emeryturze mieszkał w Drohiczyźnie jako biskup senior i nadal pozostawał aktywny duszpasterko. Niespełna miesiąc przed śmiercią, w niedzielę 17 sierpnia 2025 r., w rodzinnych Serpelicach nad Bugiem, w miejscowym kościele parafialnym, a zarazem w klasztorze oo. Kapucynów, świętował uroczyste jubileusz 70-lecia życia zakonnego. Zawsze był pełen życia, dobrych pomysłów i życzliwości dla każdego, kogo spotkał na swej drodze.



21 kwietnia 2012 r. bp Antoni Dydycz odprawił Mszę św. na placu Trzech Krzyży w Warszawie, po której ulicami stolicy wyruszył II Ogólnopolski Marsz w Obronie Wolnych Mediów. Fot. Adam Bujak

Bp Antoni Pacyfik zmarł 14 września br. w wieku 87 lat – w 62. roku prezbiteratu i w 31. roku biskupstwa. Msza św. pogrzebowa odbyła się 20 września w Drohiczynie na placu przed katedrą, celebrowana pod przewodnictwem metropolity białostockiego gen. bryg. abp. Józefa Guzdką; homilię wygłosił biskup drohiczyński Piotr Sawczuk. Trumna z ciałem zmarłego została złożona w krypcie pod katedrą. Zamiast kwiatów można było złożyć ofiary na nowo budujące się w Bielsku Podlaskim Centrum Charytatywno-Opiekuńcze Caritas Diecezji Drohiczyńskiej, którego powstanie było szczególnym pragnieniem bp. Antoniego.

Hierarcha był komandorem z Gwiazdą Zakonu Rycerskiego Świętego Grobu w Jerozolimie. Wśród licznych nagród i odznaczeń miał Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski od prezydenta Lecha Kaczyńskiego w uznaniu zasług dla Kościoła w Polsce oraz za działalność społeczną na rzecz polskich rodzin. Nosił także tytuł Rycerza Św. Andrzeja Boboli nadany mu przez Bractwo Kurkowe. W 2023 r. – z okazji 85. urodzin oraz 60. rocznicy święceń kapłańskich – minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek odznaczył go medalem „Zasłużony dla Nauki Polskiej *Sapientia et Veritas*”.

W laudacji minister podkreślił: „*Sapientia et Veritas* (Mądrość i Prawda) – te dwie przepiękne i najważniejsze cechy największych ludzi – ucieleśnia w sobie ks. bp Antoni Pacyfik Dydycz i robi to w sposób konsekwentny od wielu lat, za co dziękujemy przy tym jubileuszu”.

Trzy miłości

Pisząc przed kilku laty swój testament, zaczął go od słów: „Ja, biskup Antoni, kapucyn, syn ziemi polskiej”. Przywołał te słowa na pogrzebie bp Piotr Sawczuk, podkreślając, że zmarły cenił trzy domy: Kościół drohiczyński, który został mu powierzony, wspólnotę kapucyńską oraz Polskę, że stanowiły one trzy podstawowe elementy jego tożsamości: „Był prawdziwie synem polskiej ziemi, który kocha swoją Ojczyznę i który wiernie jej służy”. W czasie swego duszpasterzowania bp Antoni Pacyfik odwiedził, nawet kilkakrotnie, wszystkie kościoły, kaplice, szkoły, zakłady pracy, szpitale, urzędy, więzienia, ośrodki kultury i muzea na terenie diecezji. Był otwarty na każdego człowieka i chętnie dzielił się swoimi doświadczeniami. O jego wpływie na życie społeczne przekonali się zarówno politycy, jak i hierarchowie. Oddzia-

ływał przez niezliczone homilie, publikacje, spotkania. Śledził wydarzenia i na nie reagował.

Abp Józef Michalik podczas Mszy św. żałobnej powiedział wprost: „Dzisiaj stoimy przed trumną człowieka wielkiego formatu, formatu na skalę europejską, więcej nawet – na skalę powszechnego Kościoła”. Rozwijając tę myśl, uzasadniał: „Ciągłe włączał się w walkę o dobro i prawdę, o wolność dla ludzi wierzących w życiu społecznym, o prawo do wychowywania dzieci zgodnie z wyznawaną wiarą rodziców i zgodnie z przyjętym chrztem, o prawo wolności dla katolickich środków komunikacji, o prawo do obecności Boga w dzisiejszym świecie, którego próbuje się takimi siłami, takimi pieniędzmi, takimi strukturami zła wyeliminować z tego świata, z symboliki i z sumień ludzkich. Wszyscy wiedziliśmy po której stronie stał śp. bp Antoni. Zawsze był po stronie Kościoła, po stronie Ewangelii po stronie Ojczyzny, po stronie człowieka, który nie ma głosu”.

Abp Michalik podkreślił ponadto zaangażowanie zmarłego hierarchy w życie społeczne: „Na wydarzenia publiczne, dokąd mógł, reagował jednoznacznie, przywołując porządek sumienia obiektywnego. Nie subiektywnego, nie indy-

widualistycznego, nie ateistycznego, ale sumienia powszechnie wpisanego przez Boga w serca ludzkie, opartego na prawie naturalnym i na dziesięciorgu Bożych przykazania”.

Pamiętam, jakie zamieszanie wywołał bp Antoni Dydycz w 2012 r., kiedy podczas pielgrzymki ludzi pracy na Jasną Górę rzekomo zaapelował w kazaniu o rozwiązanie Sejmu. A on mówił, że „największy kryzys przeżywa władza. Sejm zupełnie nie wypełnia swojej misji. Opozycja jest totalnie torpedowana. Gorzej jeszcze, bo wychodzi na to, że to nie Sejm kontroluje rząd, ale rząd steruje, wbrew Konstytucji, Sejmem. Czy można sobie wyobrazić większe zagrożenie dla demokracji?”. Zwracając się zaś do związków zawodowych, bp Dydycz podkreślił, że „rola związków zawodowych, które stoją na straży godności człowieka pracy, jest nie do przecenienia. Wszystkie powinny się zjednoczyć i udoskonalać formy ochrony praw pracowniczych. Ważna jest jedność wszystkich związków. Odwołujemy się najczęściej do Solidarności, gdyż to dzięki niej mogły powstać inne związki, ale mamy na myśli każdą organizację, która strzeże sprawiedliwości, zwłaszcza że i w tej dziedzinie nie można liczyć na pomoc struktur państwowych”.

Krytykując ze szczytu Jasnej Góry sytuację na scenie politycznej, bp Antoni Dydycz cytował „Kazania sejmowe” ks. Skargi: „kiedy siedzicie w sejmowych ławach, stać was tylko na cyniczne uśmiechy i gromy rzucone na posłów usiłujących pełnić swoją rolę i was kontrolować”. Mówił, że ratunkiem dla Polski jest głośne wołanie o ludzi sumienia i modlitwa do Ducha Świętego o „nowe oblicze” polskiej ziemi, a także, jak potrzeba – wyjście na ulice i udział w pokojowych manifestacjach. Było to w czasie pierwszych rządów Donalda Tuska, kiedy próbowano usunąć krzyże w miejscach publicznych i odejść od pierwotnego ducha Solidarności. Bp Dydycz mówił wtedy, że odejście Polski od ducha ludzkiej solidarności jest coraz wyraźniejsze i bardzo niebezpieczne.

Ówczesnie sprawujący w Polsce władzę uznali jego słowa za mieszanie się do polityki, a jeden z posłów koalicji rządzącej zawiadomił nawet prokuraturę, że biskup drohiczyński nawołuje do rozwiązania Sejmu i że powinien ponieść odpowiedzialność karną za znieważenie posłów. Prokurator odmówił wszczęcia śledztwa, gdyż po wysłuchaniu nagrania uznał, że nie padły słowa nawołujące do usunięcia posłów przemocą, że dotyczyły one rozwiązania rządu. Podkreślił, że wypowiedź biskupa „nie miała na celu znieważenia lub poniżenia organu konstytucyjnego, bo aby kogoś znieważać czy poniżyć, sprawca musi działać z taką

intencją”. Uznał, że nie ma żadnych dowodów na to, aby słowa hierarchy miały stanowić przygotowanie do zamachu na organ konstytucyjny. Prokurator powołał się na art. 54 Konstytucji RP, który gwarantuje wolność wyrażania poglądów, w tym krytycznych opinii na temat rządzących.

Bp Dydycz został bohaterem mediów, a jego wystąpienie na Jasnej Górze lewicowe i liberalne media analizowały wybiórczo, przez przysłowiową lupę szukając dowodów przeciwko hierarsze. Tymczasem częstochowski kazanie drohiczyńskiego biskupa zawierało naprawdę wiele godnych uwagi, dobitnych stwierdzeń. Szczególnie ważne w nim z punktu widzenia nauczania Kościoła były diagnozy sytuacji społecznej w naszym kraju, w tym oparta na tekstach Norwida, rzadko spotykana, analiza ścisłych związków pracy z wolnością. Bardzo ciekawa była też próba powiązania współczesnej działalności związkowej z dawną formacją cechową. Do mediów głównego nurtu trafiły tymczasem wyłącznie polityczne uszczegółowienia i jednoznaczne oceny aktualnych działań władzy wykonawczej i ustawodawczej. Cała głębia myśli została świadomie pominięta. W kazaniu bp. Dydycza wielokrotnie pojawiały się obszernie cytaty z „Kazań sejmowych” ks. Piotra Skargi, z akcentem na ich aktualność mimo

upływu czterech stuleci. Biskup drohiczyński poważnie potraktował zatroskanie ks. Skargi o losy Ojczyzny i państwa, tym bardziej że patronem roku 2012 Sejm ogłosił właśnie ks. Skargę.

Na koniec chciałbym zwrócić uwagę na tekst Małgorzaty Bochenek „Polska rządem niszczone” („Nasz Dziennik” z 18 września 2012 r.), w którym bp Dydycz ostrzegał, że w Polsce został zachwiany trójpodział władzy, a to zagraża demokracji i państwu, łamie Konstytucję, prowadzi do ograniczenia znaczenia parlamentu, a w końcu do tego, że obywateli przestają się utożsamiać ze swoim państwem. Zwrócił uwagę na to, że wszędzie, gdzie patrzymy na rzeczywistość naszego państwa, „dostrzegamy tam brud albo nawet smród. Czy to będzie problem ustawodawstwa, sądownictwa, władzy wykonawczej, oświaty, służby zdrowia... Większość parlamentarna nie bierze pod uwagę stanowiska mniejszości, stanowiska opozycji. Mechanizmy dyscypliny partyjnej powodują, że niewielki krąg osób jest w stanie przeforsować swoje stanowisko w konkretnych sprawach. Państwo jest chore” – alarmował. W odpowiedzi na pytanie, co może uczynić naród, nie miał wątpliwości: „bić na alarm i protestować. Innego wyjścia nie ma. Trzeba budzić ludzkie sumienia”.

Bp Antoni Pacyfik Dydycz odprawia Mszę św. w kościele w rodzinnych Serpelicach. Od lewej widoczni: o. Honoriusz Wysocki OFM Cap, o. Klaudiusz Przytmont OFM Cap (siedzący), o. Gabriel Bartoszewski OFM Cap, ks. prał. Andrzej Jakubowicz, ks. inf. Jan Sobechowicz, ks. J. Zając i o. Franciszek Alberty OFM Cap. Fot. Adam Bujak



Leon XIV to papież, który znów mówi o Chrystusie

Bez Jezusa nie ma azymutu, nie ma nawigacji, nie ma przyszłości

Ks. prof. Robert Skrzypczak

Na początku chciałbym przywołać epizod z życia św. Augustyna mówiący o tym, jak to rzekomo spotkał on kiedyś nad morzem dziecko, które usiłowało przelewać ocean do niewielkiego otworu wykopanego w piasku. Mędrzec z Hippony, wielki Ojciec Kościoła zatrzymał się na ów widok i zdziwiony zapytał: „Chcesz przelać ten ocean do małego dołka?”. Chłopczyk miał mu na to odpowiedzieć: „Przedzej ja przeleję ocean do tego dołka, niż ty zrozumiesz tajemnicę Trójcy Świętej”. Ten wymowny obraz mogę dziś odnieść do sytuacji, w jakiej sam się znalazłem – mam bowiem przelać „wspaniałość chrześcijaństwa” do dołka o pojemności jednego artykułu.

Ponieważ życie jest sztuką dokonywania wyborów, chciałbym zatrzymać się w tym tekście nad kwestią: co czyni dziś „wspaniałość chrześcijaństwa” niewspaniałą. Na początku odniosę się do papieża Leona XIV, którego 70. urodziny obchodziliśmy niedawno, 14 września, darząc go naszą szczerą życiowością. Jednocześnie z wielkim zainteresowaniem patrzymy od kilku miesięcy na fenomen jego pontyfikatu. Kiedy 8 maja 2025 r. ogłoszono wybór nowego papieża i wybrzmiało nazwisko Roberta Prevosta, wszyscy byliśmy zaskoczeni. Póki padło tylko imię, sądziłem, że mowa o kardynale Robercie Sarahu, i pomyślałem: „Ale się będzie działo, papież z Afryki, czarnoskóry, spełnią się wszystkie nostradamusy, będzie ciekawie”. Tymczasem chodziło o Roberta Prevosta, Amerykanina.

Leon XIV jest papieżem zaskakującym, nowym, mało o nim wiemy. Do jego biografii nie została dołączona żadna bibliografia, bo nie napisał wcześniej właściwie żadnej książki. Znamy tylko jego wcześniejsze dokonania, a teraz obserwujemy, co obecnie mówi i robi. Szczególne refleksje nad słowem i czynem Leona wzbudziło celebrowanie w mediach stu pierwszych dni jego pontyfikatu, co sprowokowało różne artykuły i analizy, dokonywane pod kątem swego bilan-

su papieskiej działalności. Wszystkie podsumowania koncentrowały się jakby na jednym fenomenie, który został mocno wyeksponowany jako zaskakujący w trakcie stu dni Leona XIV na Stolicy Piotrowej. Podjęte analizy dobitnie świadczą o tym, że dzisiejsze czasy są rzeczywiście trudne. Żyjemy bowiem w jakimś „pęknięciu rzeczywistości”, o czym piszą niektórzy wrażliwi dziennikarze, odwołując się do tego, co wydarzyło się 10 września br. w Stanach Zjednoczonych, czyli – publicznej egzekucji Charliego Kirka, jak również do wcześniejszego morderstwa w USA – niewinnej młodej Ukrainki Iryny Zaruckiej, którego 22 sierpnia dopuścił się w metrze człowiek siedzący za nią, zadając jej śmiertelny cios nożem. Wstrząsnęło to nami bardzo mocno i doprowadziło do wniosku, że żyjemy w jakimś „pęknięciu rzeczywistości”. Określenie tego stanu mianem „kryzysu” nie oddałoby całej powagi sytuacji.

I tu wracamy do pierwszych bilansów pontyfikatu papieża Leona XIV, w których da się zauważyć coś, co z jednej strony zachwyca, ale też z drugiej pokazuje w tle owo rozdarcie rzeczywistości, ów kryzys, ową poważną sytuację, w jakiej dziś się znajdujemy. Należy z całą siłą podkreślić, że podsumowania te skupiają się jakby na jednej myśli: „Mamy papieża, który mówi o Chrystusie”; cały czas w tych bilansach podkreślany jest chrystocentryzm Ojca Świętego. Mnie też to poruszyło, zwłaszcza w jednym z pierwszych jego wystąpień po wyborze na Stolicę Piotrową, kiedy przemawiał do rzymskiego korpusu dyplomatycznego. Wtedy to powołał się na Chrystusa jako na sens dziejów i główną zasadę chrześcijaństwa, mówił o kerygmacie, którym Kościół żyje i który nadaje Kościołowi sens istnienia. Kerygmat zaś to Dobra Nowina, która nigdy się nie wyczerpuje, z którą utożsamia się żywy, osobowy Bóg. Kerygmat to śmierć i zmartwychwstanie Jezusa jako wiadomość ważna i istotna dla każdego człowieka.

Niewątpliwie mamy do czynienia z papieżem, który przede wszystkim mówi o Chrystusie. Dało się to także zauważyć w przemówieniu Leona XIV do młodzieży w czasie tegorocznego Jubileuszu Młodych pod koniec lipca w Rzymie, kiedy to przypominał: „Pamiętajcie, Chrystus, najważniejszy jest Chrystus” – Chrystus w centrum liturgii i wrażliwości Kościoła; Chrystus, który skupia na sobie nadzieję i modlitwę ludzi; Chrystus, który jest odpowiedzią na najważniejsze pytania człowieka. Przywołał także fragment przemówienia św. Jana Pawła II wygłoszonego przed 25 laty na Tor Vergata, podczas ówczesnych Światowych Dni Młodzieży, o tym właśnie, że Chrystus jest odpowiedzią na tęsknoty, pragnienia, kryzysy, dotkliwy ból istnienia każdego człowieka. Jeśli w życiu nie spotkasz Chrystusa, nie znajdziesz formuły dla samego siebie, nie znajdziesz odpowiedzi. Dotrzesz do pewnej ściany, która oznacza wyczerpanie wszystkich możliwości interpretacji twojego życia. Bez Chrystusa nie ma azymutu, nie ma GPS-u, nie ma przyszłości. I to zdaje się nieustannie powtarzać papież Leon XIV.

Chciałem zwrócić szczególną uwagę na ten rys, który u komentatorów stu dni nowego pontyfikatu wywołał ton zaskoczenia czy nawet zdziwienia, pokazując tym samym tło naszego życia.

Już przed 25 laty, kiedy gościliśmy w Europie Josepha Weilera, amerykańskiego Żyda, prawnika i politologa, zaproszonego, żeby pomóc w przygotowaniu tzw. preambuły do przyszłej Konstytucji Unii Europejskiej, wyraził on swoje zaskoczenie tym, co zastał na Starym Kontynencie: „Europa zachorowała na chrystofobię”. Tak właśnie to wtedy sformułował.

W życiu są różnego rodzaju fobie; fobia to poważne słowo. To nie jest niechęć, to nie pomijanie argumentów w dyskusji, to nie niedostateczne uwzględnienie czegoś. Jeśli ktoś dostaje napadu paniki, kiedy wchodzi do windy, ma klaustrofobię. Ktoś, kogo ni-

gdy nie da się namówić, żeby wyszedł na dach, bo odczuwa organiczny lęk przed przestrzenią, ten cierpi na akrofobię. Arachnofobię z kolei ma ktoś, kto sztywnieje na widok pajaka. To są właśnie fobie.

Jeśli zaproszony gość, który przyjeżdża z innego kontynentu, przebywa jakiś czas na naszej ziemi, oddycha naszym powietrzem, przygląda się naszej kulturze, naszemu stylowi życia, właściwemu dla krajów, które do dziś nazywane są katolickimi, mówi, że Europa zachorowała na chrystofobię – to jest to właśnie tło, na które trzeba patrzeć dużo szerzej.

W tym roku obchodzimy akurat 25-lecie powstania jednego z najważniejszych dokumentów Magisterium Kościoła, któ-

ry przyjęty został w sposób pełen dramatyzmu. Mam tu na myśli opublikowaną 6 sierpnia 2000 r. deklarację *Dominus Iesus*, niewielką pod względem objętościowym, ale bardzo znaczącą, która miała być pewnym *Credo* – sposobem wyznania wiary przy okazji obchodzonego wówczas w Kościele Jubileuszu Roku 2000. Padły w niej stwierdzenia, że Kościół katolicki wszystkim ludziom i całemu światu głosi, iż „Jezus Chrystus jest jedynym i powszechnym Zbawicielem świata i że posługuje się Kościołem jako miejscem zbawienia”. Znaczy to, że Kościół jest środowiskiem, które zostało człowiekowi podarowane, jeśli chce on skorzystać z wszystkich środków zba-

wienia, jakie Mesjasz Zmartwychwstały wniósł i wnosi w nasze życie. Karol Wojtyła nazywał to pięknie „środowiskiem osobotwórczym”.

Ta prawda Kościoła mówi o tym, że człowiek nie tylko rozwija się w pełni swojego człowieczeństwa, ale rozwija swoje człowieczeństwo aż do wymiarów Syna Bożego, nabierając w ten sposób obywatelstwa Królestwa Niebieskiego, Nieba. Trzeba wiedzieć, że deklaracja *Dominus Iesus* powstała wówczas w następstwie pewnego szaleństwa, które zaczęło przenikać także Kościół i myśl teologiczną, a które nazywa się teologią pluralizmu religijnego.

Póki mieliśmy wielkiego papieża św. Jana Pawła II i jego „anioła stróża teologicznego” – kardynała Josepha Ratzingera, Kościół stawiał opór, Kościół budował barierę przeciwko temu szaleństwu. Zmierzało ono bowiem do tego, żeby zabsolutyzować coś, co wcześniej zostało zasiane w naszej wyobraźni, świadomości i umysłach. Tym czymś jest przeświadczenie, że Pan Bóg może także działać poza katolicyzmem i poza chrześcijaństwem, że może także przemawiać przez tzw. rozsiane ziarna poznania i uświęcenia. Mówił już o tym św. Justyn Męczennik z początków II w., odwołując się do pojęcia *Logos spermatikos* (ziarna prawdy Słowa Bożego), chcąc uzmysłowić, że Pan Bóg poza głównym nurtem zbawienia, który proponował w swoim Synu, Jezusie Chrystusie, może przemawiać również na inne sposoby, posługując się kulturami czy także filozofiami różnych narodów. W XX w. dotarliśmy natomiast do takiego śmiałego przekonania, że owe ziarna prawdy i uświęcenia mogą znajdować się także w innych religiach.

Kiedy przyjrzymy się głównemu nurtowi świadomości Ojców Kościoła pierwszych wieków chrześcijaństwa, zauważymy, że nigdy nie szukali oni tych ziaren prawdy i uświęcenia w innych religiach, które traktowali z wielkim dystansem. Nie wiedzieli oni bowiem, czy nie są to czasem środowiska, którymi posługiwać się może także demon. Tymczasem obecnie znaleźliśmy się w takiej sytuacji, że budowane są apoteozy innych religii. Jesteśmy w świecie spluralizowanym, w którym uważa się, że inne religie również mogą stawać się miejscami objawienia się Boga. Przyjmuje się, że jeden i jedyny Logos z Boga, czyli Syn Boga, poza wcieleniem się w postać historyczną Jezusa Chrystusa i chrześcijaństwo, może działać w różnych innych religiach, dokonując różnych innych wcieleń. Na tym właśnie polega to szaleństwo.

Ojciec Święty Leon XIV – „papież zaskakujący”, a jednocześnie – wielka nadzieja Kościoła. Fot. Michał Klag



Szaleństwo to przenika także naszą myśl i nasz Kościół, bo argument powtarzany wielokrotnie zaczyna być czymś, do czego myśl człowieka się przyzwyczaja. Adaptujemy się do tego sposobu myślenia, przestaje nas ono zdumiewać. Tak samo jak przestaje ono zdumiewać np. Włochów. Niedawno dowiedziałem się, że w jednej z tamtejszych parafii co niedzielę uczestniczy we Mszy św. delegacja muzułmańska razem z ima-

Cudowny połów ryb; tapiseria wykonana według rysunku Rafaela Santiago. Fot. Wikimedia



mem, który działa w tamtej dzielnicy. Co oni robią na katolickiej Eucharystii, która kiedyś zawsze była chroniona tzw. *disciplina arcana*, czyli dyscypliną tajemnicy, zgodnie z którą mogli w niej brać udział tylko ci, którzy zostali w Chrystusie ożywieni przez chrzest wiary. Inni nie mogli uczestniczyć w religijnym życiu chrześcijan i jego świętych obrzędach. Doszliśmy jednak obecnie do takiego momentu, że w ubiegłym roku podczas Międzyreligij-

nego Spotkania z Młodymi w Singapurze, 13 września 2024 r., z ust ówczesnego pontifexa *maximusa* Franciszka młodzież usłyszała: „Jedną z rzeczy, która najbardziej poruszyła mnie i was, młodych, to wasze zamiłowanie do dialogu międzyreligijnego. To jest bardzo ważne, bo jeśli zaczniecie się kłócić, twierdząc, że moja religia jest ważniejsza od twojej, albo że moja jest prawdziwa, a twoja nie jest prawdziwa, to dokąd to wszystko nas doprowadzi, ktoś powie – do zguby. Tymczasem wszystkie religie są drogami prowadzącymi do Boga. Są jak różne języki używane do tego, aby tam dotrzeć. Ale Bóg jest Bogiem wszystkich. A ponieważ Bóg jest Bogiem wszystkich, wszyscy jesteśmy Jego dziećmi. Ale mój Bóg jest ważniejszy od twojego. Czy to prawda? Jest tylko jeden Bóg, zaś nasze religie stanowią różne języki, różne ścieżki wiodące do Boga. Niektóre z nich są sikhijskie, niektóre muzułmańskie, niektóre hinduskie, niektóre chrześcijańskie, ale są one jedynie różnymi drogami. Rozumiecie?”.

Tym natomiast, co wnosi papież Leon XIV i co chciałem bardzo wyraźnie podkreślić jako mój sposób publicznego wyrażenia wdzięczności wobec Pana Boga, to fakt, że od samego początku swojego pontyfikatu usiłuje on zjednoczyć Kościół wobec najważniejszych prawd wiary chrześcijańskiej. A najważniejszą prawdą chrześcijańską, w którą wierzymy i do której się nieustannie zbliżamy, jest ta mówiąca, że jedyny Bóg, jedyna prawda, jedyna droga prowadząca do życia wiecznego wcieliła się i pojawiła w żywej osobie Jezusa z Nazaretu, który stał się Synem Boga, Drogą, Prawdą i Życiem. On pokazał uczniom swoje rany chwalebne w momencie, kiedy wrócił z cmentarza i objawił się jako Pan Zmartwychwstały – ktoś, kto zwyciężył śmierć.

Szwajcarski teolog ks. Hans Urs von Balthasar, jeden z największych umysłów XX w., a także mistyk, poruszając kwestię dialogu religijnego powiedział z właściwą sobie finezją intelektualną: „Jeśli mamy mówić o dialogu religijnym, jeśli mamy mówić o tym, że inne religie są na tym samym poziomie, co chrześcijaństwo, to niech wcześniej wykażą, że mają odpowiedź na śmierć. Niech pokażą, że mają w sobie to antidotum, to lekarstwo, które jest w stanie człowieka uratować przed śmiercią”.

Na zakończenie chciałbym przywołać piękny fragment przemówienia, które 25 sierpnia br. Ojciec Święty Leon XIV poświęcił francuskim ministrantom, którzy przyjechali, żeby go odwiedzić podczas Jubileuszu Nadziei. W czasie tego przemówienia wrócił do podstawowych prawd wiary, wokół których jednoczy się dzisiaj na nowo Kościół XXI w. Wyraził też tę fundamental-

ną, że „tylko Jezus przychodzi, aby nas zbawić, nikt inny”. Papież nie powoływał się wtedy na deklarację sprzed 25 lat o jedyności i powszechności zbawczej Jezusa Chrystusa i Kościoła *Dominus Iesus* ani nie opowiadał dzieciom, jak wiele poważnych przeszkód musiała ona pokonać, by zostać przyjętą. Nie wspominał, ile było kontestacji, ile napięć, ile krytyki Ojca Świętego Jana Pawła II i prefekta Kongregacji Nauki Wiary kard. Josepha Ratzingera, ile było deprecjonujących, sarkastycznych wypowiedzi wychodzących nieraz także z ust znaczących autorytetów Kościoła, że taki dokument mógł napisać tylko adept, który jeszcze nie skończył teologii.

Papież Leon XIV zwrócił się po prostu do młodych Francuzów, zachęcając ich, by wryli sobie w sercu słowa św. Piotra o Jezusie, że nie ma innego Imienia danego ludziom pod niebem, za sprawą którego moglibyśmy zostać zbawieni. I dodał: „Kościół z pokolenia na pokolenie pilnie strzeże pamięci o śmierci i zmartwychwstaniu Pana, którego jest świadkiem, jako swego najcenniejszego skarbu. On ją zachowuje i przekazuje, sprawując Eucharystię, której Wy macie przyjemność i zaszczyt służyć. Eucharystia jest skarbem Kościoła, skarbem skarbów. Od pierwszego dnia swojego istnienia przez wieki Kościół sprawuje Mszę świętą co niedziela, by pamiętać, co uczynił dla Niego Pan. Przez ręce kapłana i na Jego słowa – ‘to jest Ciało moje’, ‘to jest Krew moja’ – Jezus nadal składa swoje życie na ołtarzu i nadal przelewa swoją krew za nas. Drodzy ministranci, odprawianie Mszy świętej ratuje nas każdego dnia i uratuje dzisiejszy świat. Jest to najważniejsze wydarzenie w życiu chrześcijanina i w życiu Kościoła, ponieważ jest to spotkanie, podczas którego Bóg daje nam siebie z miłości, wciąż na nowo. Chrześcijanin nie chodzi na Mszę świętą z obowiązku, ale dlatego, że jest mu to absolutnie potrzebne. Potrzebuje życia Boga, który daje mu samego siebie, nie żądając niczego w zamian”.

Jezus to jedyny i powszechny Zbawiciel świata, Pan Zmartwychwstały. Potrzeba, żeby On wrócił na nowo i zajął centralne miejsce w naszej modlitwie i w naszej liturgii nie jako człowiek-Chrystus, ale jako Syn Boży, który oświeca życie ludzkie. Potrzeba, żeby On uobecnił się w naszej teologii, w naszych przemówieniach, w naszych publikacjach. A ostatecznie, żeby Chrystus stał się także głównym, najbardziej zapraszającym i chcianym gościem w sercu i duszy człowieka. Żadna propaganda i żadne publikacje nie przekonają człowieka w tym miejscu. Musi tam dojść do pewnego cudu polegającego na tym, że ludzkie serce odkryje, że to jest prawda. W tym jest sens, rzeczywiście w to wierzę.



Pan Jezus – jedyny i powszechny Zbawiciel świata, Pan Zmartwychwstały głoszony jest i wyznawany publicznie podczas dorocznych Spotkań Młodych na Lednicy. Fot. Adam Bujak

Dali temu wyraz męczennicy kopci, którzy na oczach świata byli mordowani przez szaleńców muzułmańskich na plaży Morza Egiptego. Oddając tam swoje życie za wiarę, mówili: „Jezus”. Nigdy też nie zapomnę mojej parafianki, pani doktor, której towarzyszyłem przez kilka lat. Zmagająca się ona sama z sobą i zawsze robiła sobie wyrzuty, że niedostatecznie kocha Boga, że niedostatecznie słucha Chrystusa, a chciała by bardziej i bardziej... Potem znalazła się

w pewnym szpitalu, gdzie powoli odchodziła i wreszcie umarła. Przed pogrzebem jej wnuk, pewien młody ksiądz z Warszawy, przyszedł mi opowiedzieć, że gdy był u babci i widział, że ona już gaśnie, odchodzi, chciał ją pocieszyć. Powiedział jej wtedy: „Babciu, nie martw się. Niedługo zobaczysz swojego ukochanego Jerzyka” (to był jej mąż, którego straciła parę lat wcześniej, stając się wdową). Wtedy ona odwróciła twarz i powiedziała: „Jakiego Jerzyka? Jezusa”...

ŹRÓDŁA DUCHOWEGO UZDROWIENIA



Czy żyjemy w czasach ostatecznych? Czy zbliża się sąd Boży? Czy zjawiska, których dziś doświadczamy, są zapowiedzianymi od dawna znakami? Takie pytania coraz częściej rodzą się w sercach wierzących i poszukujących. Ks. prof. Robert Skrzypczak nie ucieka od nich – przeciwnie, prowadzi czytelnika ku źródłom nadziei, pokazując, że odpowiedzią Boga na dramat człowieka, także współcześnie, zawsze pozostaje Jego miłość i obecność w sakramentach.

Centralnym motywem książki jest ukazanie niezwyklej mocy sakramentów, np. sakramentu małżeństwa. To one są źródłem duchowego uzdrowienia, drogą do pojednania i miejscem spotkania człowieka z Bogiem. Eucharystia ukazana zostaje jako tajemnica oblubieńcza, spowiedź – jako wymóg szczęśliwego życia, chrzest – jako fundament tożsamości chrześcijanina, a sakramenty uzdrowienia – jako niezawodny dar łaski. W świecie nękanym kryzysem sensu i pustką właśnie sakramenty stają się niezniszczalnym ogniskiem nadziei.

Autor zabiera nas w duchową podróż przez tematy fundamentalne, na przykład: adorację jako portret Kościoła z Chrystusem w centrum, tajemnicę paschalną, rolę kobiecości i męskości w planie Bożym, a także głębię maryjnego zawierzenia. W dalszych częściach

Autor prowadzi refleksję o przyszłości chrześcijan, o tajemnicy końca czasów, o doświadczeniu śmierci, czyśćca i piekła – zawsze z perspektywy nadziei, która wyrasta z Ewangelii.

Niniejszy tom jest drugą częścią cyklu *Anatomia wiary*, w którym ks. Robert Skrzypczak krok po kroku analizuje problemy Kościoła. Każda kolejna część serii ukazuje się nakładem wydawnictwa Biały Kruk – oficyny znanej z najwyższej jakości edytorskiej, dbałości o piękno słowa i obrazu oraz troski o wierne przekazywanie prawdy katolickiej. Tak więc i to dzieło zostało przygotowane z wyjątkową starannością – bogato ilustrowane, wydane na najwyższym poziomie artystycznym i graficznym, aby treść duchowa znalazła godną oprawę.

Kto wierzy, widzi więcej to książka, która nie tylko przekazuje głęboką wiedzę na temat dawnego i dzisiejszego Kościoła oraz naszej wiary, ale skłania także do przemiany serce człowieka i oblicza współczesnego świata – oby Bóg w tym nam pomóc raczył.

PREMIERA!



328 str.,
110 ilustracji, 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa. Cena det. 79 zł

Kup 2 tomy za **118**
zamiast **158 zł**

ZAMÓW:

bialykrak.pl, 12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl.
Przy zamówieniu powyżej 300 zł
koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

344 str.,
125 ilustracji,
16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa
Cena det. 79 zł



Teresa Pastuszka-Kowalska i Dariusz Kowalski Kodar

Rzeźbiarskie małżeństwo na wspólnej drodze

Jolanta Sosnowska

Łączą ich 44 lata małżeństwa i 40 lat twórczości. To duet rodzinny i artystyczny dialogujący harmonijnie zarówno w przestrzeni domowej, jak i w pracowni. Ich rzeźby również współgrają ze sobą, choć czasami bardzo się różnią. One także prowadzą ze sobą interesujący dialog, co w piękny sposób unaocznia ich jubileuszowa wystawa „Via nostra – nasza droga”, eksponowana w przestrzeni krakowskiej Galerii Krypta u Pijarów, w podziemiach kościoła pw. Przemienienia Pańskiego przy

ul. Pijarskiej 2. To właśnie tam rozmowa owych rzeźb małżonków-artystów Teresy Pastuszki-Kowalskiej i Dariusza Kowalskiego Kodara nabrała szczególnej wymowy. I jakże głębokiego sensu.

Scenerię dla ich trzydziestu wybranych prac, z różnych okresów twórczości, tworzą tu zarówno barokowe freski Andrzeja Radwańskiego z przedstawieniami tajemnic Męki Pańskiej, jak i forma architektoniczna samego wnętrza pełnej zakamarków krypty. Niewielu bowiem wie, że pierwotnie była to kaplica Świę-

tych Schodów (konsekrowana w 1733 r.), nazywana dolnym kościołem, przeznaczona do kontemplacji Męki Chrystusa. Schodziło się do niej bezpośrednio z kościoła górnego; dzisiaj zejście do krypty jest tylko od ulicy.

Wnętrze, w którym prezentowana jest wystawa artystycznego małżeństwa Kowalskich „Via nostra – nasza droga”, warto opisać dokładniej, bo ma ono szczególne znaczenie, odgrywa w tej ich jubileuszowej ekspozycji rolę nader istotną. Na szczycie asymetrycznych, dwuspadowych, wykonanych ze zbitego wapienia Świętych Schodów, zaprojektowanych przez Kacpra Bażankę, zajmujących znaczną część krypty, znajduje się zakratowany ołtarz Więzienia Jezusowego. Poniżej jest pusta grotą, która pierwotnie była grotą Grobu Pańskiego. W sklepieniu krypty był dawniej otwarty okulus (obecnie zamurowany), który wpuszczał tam snop światła z wnętrza kościoła, będący znakiem Zmartwychwstania – zwycięstwa Chrystusa nad grzechem i śmiercią; wspominał o tym swego czasu z podziwem poeta i malarz Stanisław Wyspiański. Wcześniej kaplicę otaczały katakumby, znajdujące się w kryptach bocznych. Obecnie są one puste i stanowią obejście wokół głównego pomieszczenia, tworząc arcyckawą przestrzeń wystawienniczą.

Choć w XIX w. kult Świętych Schodów (wspinano się po nich na kolanach!) zaczął zanikać, miejsce to pozostało związane historycznie z niezmiennie żywą tradycją stawiania tu w okresie Wielkiego Tygodnia Grobu Pańskiego, do którego pielgrzymowali i nadal pielgrzymują krakowscy mieszkańcy; najstarsze zachowane zdjęcie z inscenizacji Grobu pochodzi z 1912 r. W Wielką Sobotę w stanie wojennym kolejki, by zobaczyć Grób, sięgały aż Rynku Głównego!

Dolny kościół był wykorzystywany od 1887 r. jako kaplica pogrzebowa dla

zasłużonych osób. Uroczyscie wyprowadzono z niej na Skałkę trumny Józefa Ignacego Kraszewskiego (18 kwietnia 1887 r.) i Stanisława Wyspiańskiego (2 grudnia 1907 r.). Warto wspomnieć, że w czasie komuny odbywały się w Kryptcie u Pijarów słynne na całą Polskę wystawy, koncerty, spektakle i wykłady organizowane przez ruch Kultury Niezależnej.

Galeria dzieł sztuki powstała w tym miejscu w 1997 r. – przed pielgrzymką do Polski św. Jana Pawła II – dzięki inicjatywie i staraniom bardzo zasłużonego dla krakowskiej sztuki kapłana – ks. prał. Antoniego Bednarza (potem powołał Ogród Rzeźb przy kościele św. Józefa w Krakowie-Podgórzu i tworzy go do dziś z Wincentym Kućmą, o czym niejednokrotnie pisaliśmy na łamach „Wpisu”). Od 1998 r. do końca roku 2024 odbyły się w Kryptcie u Pijarów 183 wystawy sztuki współczesnej: dzieł artystów polskich i europejskich. Choć to wnętrze pochodzi z czasów baroku, sprzed 300 lat, to jednak poziom miasta jest tu średnio-wieczny. Mury oddychają prastarym Krakowem.

Kompozycja wystawy prac Teresy Pastuszki-Kowalskiej i Dariusza Kowalskiego Kodara w Kryptcie nawiązuje do inscenizacji Grobu Pańskiego poprzez wyraźne oddanie w tym miejscu hołdu *sacrum*. W przestrzeni, gdzie w Wielkim Tygodniu stawiany jest przykryty białym welonem Najświętszy Sakrament, umieszczona została marmurowa rzeźba Dariusza Kowalskiego Kodara „Puchar zwycięstwa”. Zanim jeszcze zobaczyłam zdjęcia stawianych u pijarów Grobów Chrystusa – rzeźba ta skojarzyła mi się z monstancją. A czyż monstancja, która ma przywilej noszenia w sobie Ciała Boga i ukazywania Go na widok publiczny, nie jest najwspanialszym „pucharem zwycięstwa”? Owo skojarzenie nasunęło mi się jako pierwsze, nie wiedzieć czemu, wręcz mi się ono narzuciło, kiedy z ulicy Pijarskiej schodziłam do podziemia. W głębi, w grocie, która znajduje się na osi owej rzeźby, dostrzegłam też zaraz „Matkę Bożą” Teresy Pastuszki-Kowalskiej – miniaturę trzymetrowej rzeźby z fasady żoliborskiego kościoła św. Stanisława Kostki.

Przyciągnięta tymi dwoma dziełami, które całkowicie skupiły moją uwagę, początkowo nie dostrzegałam innych rzeźb, aż zauważyłam ustawione przed wejściem do groty głowy aniołów. A że wprost przepadam za aniołami, długo przyglądałam się tym, które są dziełem Kowalskich. Najbliżej Maryi ustawieni zostali dwaj, którzy oddają Jej hołd: wielkoocy, z rozwianymi włosami, uważnie nasłuchujący. Nieco dalej, na balustradzie Świętych Schodów, dostrzegłam popiersie krótkowłosego Archanioła o pięknej, zamyślonej twarzy, wziętego



Teresa i Dariusz Kowalscy w 1989 r. w trakcie prac nad rzeźbami świętych Honorata Koźmińskiego i Maksymiliana Kolbego do ołtarza kościoła Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny w Sokołowie Podlaskim. Fot. Archiwum prywatne

niczym z „roztraskanego lustra” naszej cywilizacji. Kiedy broni człowieka, dostaje ciosy rykoszetem – pomyślałam – dlatego sam jest pokiereszowany, popekany, upodobniony do współczesnych ludzi, narażanych na nieustanną konfrontację z wszechogarniającym złem. Te codzienne zmagania każdego z nas świetnie oddaje znakomita rzeźba Teresy Kowalskiej „Pod wiatr”, wykuta w kararyjskim marmurze.

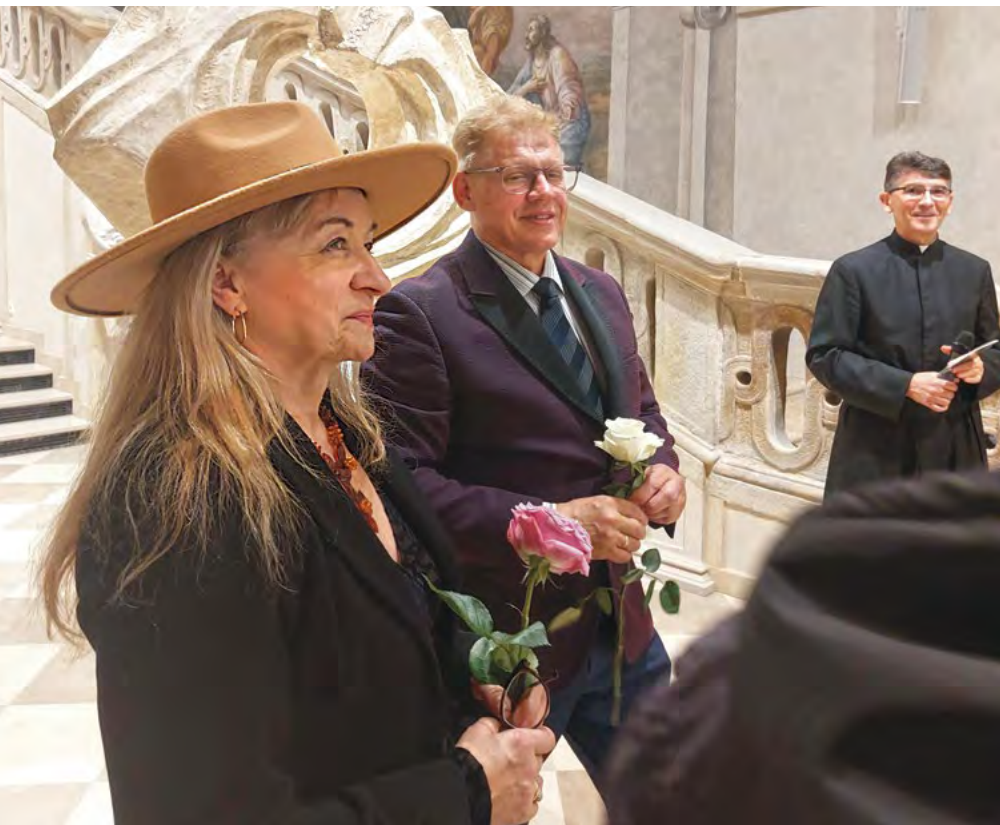
W zakamarkach na prawo od Świętych Schodów prezentowane są właśnie dzieła Teresy, w tym leżąca naga „Gea” – w mitologii greckiej Matka-Ziemia, wyrzeźbiona w 1995 r. w czarnym szwedzkim granicie, abstrakcyjne wyobrażenie „Nokturnu” (z 2012 r.) wykute w granicie wołyńskim, przeszysujące i jakże wymowne instalacje „Pierwiastek męski zniewolony” i „Męski pierwiastek zamknięty” – każda ukazująca wykonany z ceramiki męski tułów (pozbawiony głowy, twarzy). Jeden z nich ma wyciągnięte w górę zaledwie kikuty ramion, oba są ściśle ogrodzone (odgradzone) metalową siatką. Zwraca uwagę rozmaitość tworzywa, w którym pracuje artystka.

W podziemiach na lewo od Świętych Schodów podziwiamy natomiast pra-

ce Dariusza, w tym jego poruszające do głębi, skłaniające do zamyślenia „rzeźby ogniem gładzone” – wykonane z brązu, który jest jego ulubionym materiałem. Znajdziemy pośród nich popiersia czy też dzieła o wymownych tytułach: „Stajesz wobec wyzwania”, „Kondycja ludzka”, „Bez oręża”. Choć niektóre prace nie mają nazw, można by je zaliczyć do cyklu poświęconego właśnie ludzkiej kondycji – nieustannemu zakładaniu i zdejmowaniu masek, graniu wielu ról, biegowi na oślep, utracie tożsamości, walce z wiatrakami, stawianiu na głowie, zatracaniu się w chaosie, życiu kosztem innych. Bardzo piękne jest popiersie „Kobiety syryjskiej”.

Ekspozycję marmurowych rzeźb pośrodku krypty nazwałam strefą wspólną artystycznego małżeństwa. Są tam zarówno marmurowe rzeźby jej: „Zapomniana melodia”, „Ich dwoje”, „W rytmie serca”, „Romantyczny sygnał” (już same tytuły silnie wskazują na pierwiastek kobiecy), jak i jego: „Przenikanie”, wspomniany już „Puchar zwycięstwa”, „Rozwijanie przestrzeni”, czy „Confusione”.

Po wystawie biegały radosne dzieci – trzech wnuków małżonków-artystów, w wieku od dwóch do sześciu lat, któ-





Fragment wystawy w krakowskiej Galerii Krypta u Pijarów. Na pierwszym planie będąca wspólnym dziełem obojga artystów rzeźba anioła, w głębi figura Matki Bożej dłuta Teresy Pastuszki-Kowalskiej. Fot. Leszek Sosnowski

rzy bawili się odnajdywaniem na wystawie rzeźb babci i dziadka umieszczonych w katalogu. Baraszkujący chłopcy w niezwykły sposób dopełniali obrazu całości ekspozycji „Via nostra – nasza droga” – rodzinnego życia ze sztuką i dla sztuki, obcowania z nią od najmłodszych lat. Dwaj synowie Teresy i Dariusza Kowalskich – Filip i Ksawery, również są po Akademii Sztuk Pięknych, choć żaden z nich nie specjalizuje się w rzeźbie. Bliżej im do nowoczesnych form sztuk wizualnych.

Przenieśmy się teraz z Galerii Krypta u Pijarów na szerszy teren działalności artystycznej Teresy i Dariusza Kowalskich. Znają się oboje od średniej szkoły, ukończyli to samo kieleckie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Józefa Szermentowskiego (ona ze złotym medalem im. Henryka Czarneckiego dla najlepszego absolwenta roku). Oboje są też absolwentami Wydziału Rzeźby na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, choć pierwszy rok Dariusz studiował w Państwowym Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Na wystawie w Krypcie

u Pijarów można podziwiać jego dyplomową rzeźbę z brązu „Quo vado” (Dokąd idę) z 1985 r., wizualizującą dylemat wyboru przyszłej drogi twórczej; Kodar otrzymał za nią wyróżnienie.

Teresa Pastuszka dyplom zrobiła w 1985 r. w pracowni słynnego prof. Gustawa Zemły. W 1987 r. miała pierwszą indywidualną wystawę w Starej Kordegardzie. Artystka specjalizuje się w rzeźbie kameralnej i monumentalnej, jest mistrzynią portretu. Pracuje najchętniej w marmurze, skrywającym w sobie – jak mówi – „tajemnicze kształty”, które z pasją odkrywa, oraz w ceramice, bo ta jest „krucha tak, jak ludzkie życie, poznając je, można analizować ludzką, wewnętrzną doskonałość opartą na wartościach duchowych”. Wydaje się, że sama artystka, uroczą kobietą o drobnej posturze, łączy w sobie twardość i szlachetność marmuru z kruchością ceramiki.

Dziełem Teresy Pastuszki-Kowalskiej są m.in. rzeźba św. Jana Pawła II w Iwie na Białorusi, pomnik św. Jana Pawła II we wsi Urle w powiecie wołomińskim, figura św. Józefa do prezbiterium kościoła

św. Ojca Pio w Węgrowie, płaskorzeźba Stanisława Barei na cmentarzu Czerniakowskim w Warszawie czy rzeźba Księdza Jerzego z 1996 r. przy kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Z powstawaniem tej ostatniej wiąże się... wyproszony cud uzdrowienia za wstawiennictwem ks. Popiełuszki.

Zanim cud ten się wydarzył, Teresa pewnego dnia zabrała do Zakładu Wyrobów Kamionkowych „Marywil” w Suchedniowie, gdzie z czerwonej gliny baranowskiej rzeźba była realizowana (wypalano ją w całości, w jednym kawałku, co stanowiło fenomen), swego pięcioletniego synka Filipa. Chłopczyk, dowiedziawszy się, że mama rzeźbi postać Księdza Jerzego, uparł się, że on musi mieć serce. Wyciął więc je z gliny i włożył do środka figury przed jej wypaleniem. W niedługim czasie przy pomniku Księdza Jerzego poznały się rzeźbiarka Teresa i aktorka Halina Łabonarska, która niebawem dowiedziała się o nieuleczalnej chorobie... serca swego małego synka Tomka. Poprosiła wtedy przyjaciół o modlitewny szturm do Nieba w jego intencji. Kiedy Te-

resa Kowalska odmawiała za Tomka Różaniec, przyszedł do niej w duchu Ksiądz Jerzy i zapewnił, że chłopiec wyzdrowieje, choć proces wychodzenia z choroby będzie długi. Tak też się stało.

Wcześniej, w 1991 r., Teresa Pastuszka-Kowalska wykonała dla żoliborskiego kościoła św. Stanisława Kostki tryptyk maryjny, który został umieszczony na elewacji – nad balkonem, nad wejściem do świątyni. Tworzą go rzeźba Matki Bożej (pośrodku) oraz dwie płaskorzeźby (po bokach) z przedstawieniem scen Zwiastowania i Narodzenia. Krytyk sztuki Zbigniew Pindor pisze z podziwem o dziełach artystki: „Precyzyjna konstrukcja formy, perfekcyjne opracowanie materiału. Te klasyczne i wydawałoby się zapomniane już we współczesnej rzeźbie wartości to jeden z podstawowych elementów artystycznej ekspresji, jakimi artystka się posługuje. Jej język artystyczny jest oryginalny, w pełni już ukształtowany. Teresa interpretuje rzeczywistość, która wrasta coraz dojrzej w rzeźby, stara się przedzierać od jednej płaszczyzny do drugiej, obserwując naturę i nasłuchując. Artystka wchodzi w głąb marmuru, jakby chciała odsłonić jego wewnętrzną tajemnicę ujawniając siłę ludzkiego ducha”.

Jedną z wizytówek Teresy jest cykl rzeźb „Świątynie naszej codzienności” – fryzowane kamienne kolumny, symbolizujące ludzkie sylwetki, zwieńczone lub przechodzące w płaskorzeźbione twarze wpatrujących się w niebo, szukających sensu życia, oparcia. Niektóre z nich widziałam na tarasie Promu Kultury na Saskiej Kępie, gdzie znajduje się niewielka galeria prac małżeństwa Kowalskich.

Dariusz Kowalski używa pseudonimu Kodar (od pierwszych liter nazwiska i imienia) dla odróżnienia się od innych twórców, którzy nazywają się tak samo. Również on debiutował wystawą indywidualną w Starej Kordegardzie w 1987 r., za którą otrzymał nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych (za najlepszą wystawę roku). Jest nie tylko rzeźbiarzem, ale także nagradzanym animatorem kultury, koordynatorem realizacji rzeźbiarskich, kuratorem wystaw, w tym wielkiej wystawy w Gnieźnie na 1050-lecie Chrztu Polski, wykładowcą. W latach 1996–2000 był kierownikiem Galerii Rzeźby w Warszawie, w l. 2001–2003 prowadził Galerię Sztuka Wnętrza, a w l. 2004–2007 – Galerię Do Trzech Razy Sztuka. Podobnie jak Teresa, uczestniczył w dziesiątkach wystaw zbiorowych w kraju i za granicą, w tym w Argentynie (Buenos Aires), Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Syrii, Francji, Belgii, Litwie i Łotwie, oraz miał wiele wystaw indywidualnych, m.in. w Niemczech – w tym w Düsseldorfie i w Menden (Nad-

renia Północna-Westfalia). W tym ostatnim stoi jego wspaniała monumentalna rzeźba z brązu „Z ducha wolności”, którą wykonał w 1999 r. Została zamontowana i usadowiona na betonowym postumencie w kształcie litery L, będącym częścią Muru Berlińskiego – w 10. rocznicę interpretacji problemu monument Kodara ustawiono i odsłonięto. Z płataniny ludzkich półpostaci o wyrazistych, indywidualnych twarzach wylania się jedna zwycięska – w pozie Chrystusa na krzyżu (rozpięte ręce), który na nim zmartwychwstaje. Ma głowę podniesioną do góry, a rysy twarzy Księdza Jerzego. Na postumencie widnieje napis po niemiecku „Aus dem Geiste der Freiheit” (Z ducha wolności). Trzy lata wcześniej Kodar wykonał dla parku rzeźb w niemieckim mieście Durbach w Badenii-Wirtembergii rzeźbę „Generationen” (Pokolenia).

Tak twórczość Dariusza Kowalskiego Kodara, odznaczonego medalem „Zasłużony dla Warszawy”, widzi krytyk sztuki

Jerzy Brukwicki: „W poszukiwaniu prawdy o życiu, na przekór wszelkim trudnościom, tworzy fascynujące, ekspresyjne rzeźby – rzeźby ujawniające dziedzictwo romantyzmu. Ich źródło tkwi w niezależnej i konsekwentnej obserwacji otaczającego świata, szczerzej interpretacji problemów współczesności. Podpatruje ludzi w szczęściu i w nieszczęściu, rejestruje radości i smutki codzienności. W swoim opisywaniu świata wspomaga się rysunkiem. Linie, plamy, znaki układają się w artystyczny zapis czasów współczesnych”.

Idąc po Polach Mokotowskich w Warszawie, warto zwrócić uwagę na rzeźbę Kodara, którą wykonał z piaskowca w 2010 r. Nosi ona tytuł „Pani S”, co można odczytać jako Pani Solidarność, Pani Sztuka, Pani Sława – a nawet Pani Syrenka (warszawska). Ma piękną, ale smutną (zamyśloną, zrezygnowaną) twarz, a jej włosy rozwiewa wiatr. Rzeźba ta jest na poły abstrakcyjna – wło-

Będąca wspólnym dziełem małżeństwa Kowalskich dekoracja rzeźbiarska ołtarza głównego w kościele Podwyższenia Krzyża Świętego w Gdańsku Chełmie. Fot. Dariusz Kowalski



sy po drugiej stronie twarzy pozostają w domyśle, zamiast loków – dwa duże klocki. Figura jest jakby brzemienne, ma obnażone piersi. Zmusza, by dopytywać: co stało się z jej płodnością, z jej odwagą, walecznością – z mieczem i tarczą? W tym samym parku możemy oglądać rzeźbę Teresy Pastuszki-Kowalskiej „Trębacz” ukazującą dwie muzykujące postacie o wyrzeźbionych głowach i rękach. Dolne części ich sylwetek mają formę brył na dwóch nogach (szczudłach?), ukrytych w szerokich spodniach. Muzykom towarzyszy tabliczka z wersem zaczerpniętym z Mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza”: „...a to echo grało”.

I tu dochodzimy do wspólnej twórczości Teresy i Dariusza – pary, jak powiedziałam na wstępie – małżeńsko-artystycznej. Wiele realizacji jest dziełem ich duetu, począwszy od pierwszej, tej z 1986 r., czyli znakomitych płaskorzeźb na bramie cmentarza żydowskiego w Warszawie. Od samego początku pracują razem przy wszystkich większych realizacjach, a jako autor zawsze figuruje to z nich, które jest twórcą zamysłu dzieła. Kowalscy ze sobą nie konkurują, tylko współpracują, wzajemnie też dokonują korekt swoich prac, wymagając przy tym od siebie jak najwyższego poziomu. Mówią nawet, że są wobec siebie surowi.

Warto chodząc po tych różnych miejscach, które już wymieniałam i jeszcze wymienię, mieć świadomość nazwisk artystów, którzy je stworzyli. Na stronach internetowych owych obiektów, nie tylko sakralnych, próżno by szukać informacji o ich autorach. Gospodarze tych miejsc nie poświęcają im uwagi. Wielka szkoda, nie są to przecież dzieła artystów anonimowych.

W 1989 r. Teresa i Dariusz Kowalscy wykonali wiszące na wysokości 12 metrów figury archaniołów oraz wysokie, stojące postaci świętych Honorata Koźmińskiego i Maksymiliana Kolbego do ołtarza konkatedry Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny w Sokołowie Podlaskim. Są przekonani, że rzeźbiąc je, wyprosili sobie dzieci, których długo po ślubie nie mieli. Dziełem artystów są też np. monumentalne rzeźby archaniołów w dwóch bocznych ołtarzach oraz złoczone tondo z wizerunkiem Chrystusa Pana (*Christus Dominus*) w kościele św. Bonifacego w Zgorzelcu, płaskorzeźba w kamieniu z wizerunkiem Matki Bożej Miłosierdzia w Domu Sióstr Miłosierdzia w Warszawie, Pieta w kościele Narodzenia Najświętszej Marii Panny w podlaskim Kundzinie.

W latach 2014–2022 artyści zaprojektowali i wykonali dekorację prezbiterium dla kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego w Gdańsku Chełmie. Zwraca tam uwagę piękne, wznoszące się na 4 m taberna-



Posąg bł. Księdza Jerzego Popiełuszki, dzieło Teresy Pastuszki-Kowalskiej, stojący na terenie żoliborskiego kościoła św. Stanisława Kostki. Fot. Adam Bujak

kulum przypominające Krzew gorejący, z którego idą iskry na całą ścianę. Harmonizuje z nim mensa ołtarzowa – marmurowy stół do sprawowania Najświętszej Ofiary podtrzymują dwaj wyrzeźbieni z brązu aniołowie adorujący relikwie Krzyża św. Także wystrój oddzielnej kaplicy po prawej stronie prezbiterium, poświęconej ślubom jasnogórskim Prymasa Tysiąclecia kard. Stefana Wyszyńskiego, z artystycznym zapisem złotymi literami całego tekstu ślubowań, jest ich projektem i wykonaniem. Ich dziełem jest w tej świątyni ponadto kamienna chrzcielnica zwieńczona brązową figurą św. Wojciecha.

Dwa wspaniałe, ogromne krużcyfiks – podświetlany, jakby potrójny, otoczony glorią, wykonany do kościoła Królowej Meksyku w Łaskach, oraz wpisany w ogromną białą Hostię, do kościoła św. Józefa w Cycowie

– okupione zostały natomiast osobistą ofiarą Teresy i Dariusza. W trakcie jednego roku zmarli wówczas ich ojcowie. W świątyni w Cycowie znajduje się również chrzcielnica ich autorstwa.

W 2003 r. oboje współtworzyli wystrój rzeźbiarski Muzeum Powstania Warszawskiego (zrobili m.in. repliki pomników Syrenki i Małego Powstańca oraz inscenizację zwalonych fragmentów architektonicznych). Ich dziełem jest ponadto pomnik Pomordowanych w Praskich Więzieniach przy ul. Namysłowskiej w Warszawie, a także pomnik Pomordowanych i Pogrzebanych w bezimiennych mogiłach na cmentarzu Bródzińskim; w tej nekropolii znajduje się również monumentalna rzeźba Anioła ich autorstwa. Dla wsi Kolonia Inwalidzka w województwie świętokrzyskim artyści wykonali pomnik Inwalidów Wojennych 1918–1920. Z kolei w Myszyncu można po-

dziwiać zrealizowany przez Kowalskich wysoki na 9 m pomnik Bitwy pod Myszynem na 150. rocznicę Powstania Styczniowego (wcześniejszy monument został wysadzony przez Niemców). W granitowy monument wpisali oni krzyż oraz Orła Białego. W Magnuszewie natomiast znajduje się ich pomnik upamiętniający walki na przyczółku warecko-magnuszewskim w formie dziewięciometrowej kolumny zwieńczonej orłem. Ich dziełem jest ponadto Pomnik Niepodległości w Dorohusku – rozpościerający skrzydła orzeł w koronie na szczycie granitowej kolumny. Znakomita jest też dynamiczna rzeźba Teresy i Dariusza „Pojedynek Bohuna z Wołodyjowskim” (we współpracy z małżeństwem Fijałkowskich) znajdująca się w mazowieckich Babicach Starych. Obaj walczący tak mają ułożone względem siebie szable, że tworzą one krzyż.

Ciekawe zamówienie zrealizowali Kowalscy w 2006 r. na prośbę polonijnej działaczki Jennie Gowaty w amerykańskim mieście Doylestown, zwanym amerykańską Częstochową. Rzeźba w brązie upamiętnia tam wizytę prezydenta USA Ronalda Reagana w 1984 r., kiedy uczestniczył on w Polskim Festiwalu. Przedstawia go siedzącego przy stole, w towarzystwie owej Polki, kosztującego ze smakiem polskich pierogów. Na warszawskiej Saskiej Kępie, przy skrzyżowaniu ul. Francuskiej i ul. Obrońców, można z kolei podziwiać rzeźbę-ławeczkę Agnieszki Osieckiej autorstwa Teresy Pastuszki-Kowalskiej i Dariusza Kowalskiego Kodara. Ich dziełem są ponadto kamienne hermy i portret Pierre’a de Coubertina dla Muzeum Sportu w Warszawie. Kompozycja rzeźbiarska „Wspomnienie”, w formie trzech stylizowanych kolumn, przypominających targane wiatrem bezlistne pnienie drzew, zdobi natomiast jeden z warszawskich salonów samochodowych. Warto też wspomnieć, że dla Muzeum Dom Rodzinny Ojca Świętego Jana Pawła II w Wadowicach artyści wykonali stylizację wawelskiej krypty św. Leonarda oraz krakowskiej fabryki Solvay.

Najwięcej nieoczekiwanych perturbacji mieli z trzymetrową, ważącą 9 ton rzeźbą w granicie „Kamienne oblicze” („Granitowe spojrzenie”). Przez 15 lat stała ona spokojnie w Strzegomiu, aż wiceburmistrz Pragi Północ zwrócił się do nich, by na plac Wileński, w miejscu przygotowanym pod pomnik Ofiarom Rzezi Pragi (stał tam już podest z odpowiednią inskrypcją), wypożyczyli oni na pół roku, do czasu postawienia właściwego pomnika, jakąś swoją rzeźbę, z możliwością jej zakupu. Teresa i Dariusz zaproponowali wtedy bardzo odpowiednie dla tego miejsca „Kamienne oblicze”. Jak czytamy na stronie www.twoja-praga.pl, rzeźba ta miała „pomóc w dyskusji na temat osta-

tecznej formy przyszłego pomnika poświęconego Polakom bestialsko pomordowanym z rąk wojsk Suworowa”. Kiedy rzeźba Kowalskich stanęła 5 kwietnia 2024 r. na pl. Wileńskim, ówczesny wiceburmistrz Pragi Północ Jacek Wachowicz tak ją recenzował: „W obliczu – twarzy odbija się cała historia życia człowieka. W twardym granicie o szarym odcieniu wpisuje się los człowieczy i historia pokolenia, w którym żyje. Kompozycję kontrastują czarne kamienne elementy, niczym pieczęcie, ślady czy ciosy zadawane z zewnątrz. Twardość kamienia prowokuje do lakonicznych i zwięzłych form” (<https://www.twoja-praga.pl/info/informacje/12047.html>; dostęp 14 października 2025 r.). Niedługo potem rozpetęła się jednak w ratuszu polityczna burza i zażądano od Kowalskich usunięcia tego pomnika, mimo iż reakcje mieszkańców na ten pomnik były bardzo pozytywne (odwrotnie niż na ten, który stoi obecnie). Znakomicie wpisywał się on bowiem w tamtą przestrzeń i miał rangę symbolu uniwersalnego, a nawet odbierany był jako monument ku czci ofiar rzezi Pragi. Na szczęście przy zawieraniu umowy artyści zadbali przytomnie o klauzulę dotyczącą kosztów transportu potężnego monumentu ze Strzegomia do Warszawy, a potem w inne wskazane miejsce, oraz kosztów ustawienia i demontażu, do cze-

go konieczne są odpowiednie dźwigi – inaczej za polityczną aferę rozpętaną nie z ich winy przyszłoby im słono zapłacić. „Kamienne oblicze” stoi obecnie na przedmieściach Warszawy, w Jankach.

Większość z przedstawionych tu dzieł powstała w dawnej, bardzo obszernej, warszawskiej pracowni małżeństwa Kowalskich przy ul. Lubelskiej. Tę jednak półtora roku temu artyści zmuszeni byli definitywnie w trybie pilnym opuścić. Od tego czasu budynek stoi pusty... Teraz mają dużą pracownię w Starachowicach, ale leży ona 150 km od stolicy. Pracują tam właśnie nad rzeźbą do Lubawy, obrazującą historyczne spotkanie Mikołaja Kopernika w 1541 r. na tamtejszym zamku u ówczesnego biskupa chełmińskiego Tiedemana Giesego. Biskup wraz z prof. Jerzym Joachimem Retykiem z uniwersytetu w Wittenberdze namówili Kopernika do wydania drukiem jego epokowego dzieła „De revolutionibus orbium coelestium”. Kompozycja przedstawia scenę, w której astronom przekazuje Retykowi swój rękopis. W pracowni Teresy i Dariusza Kowalskich powstaje, pośród innych dzieł, także rzeźba, która stanąć ma przed Muzeum Starożytnego Hutnictwa Świętokrzyskiego im. Mieczysława Radwana w Nowej Słupi.

Prezentowana na krakowskiej wystawie w Galerii Krypta u Pijarów rzeźba Dariusza Kowalskiego Kodara „Kondycja ludzka”. Fot. Leszek Sosnowski



Niepodległa zaczyna się od pamięci

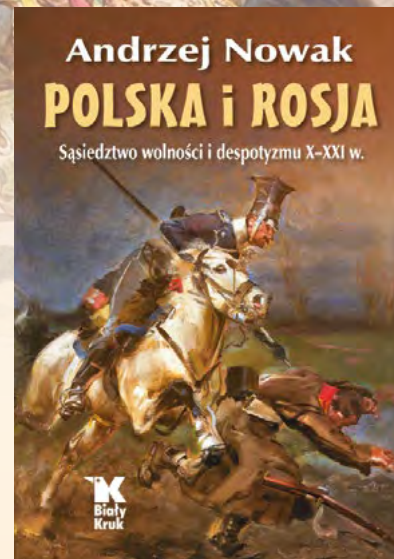
Na hasło NIEPODLEGŁA
30% taniej!



344 str., 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa. Cena 89 zł



232 str., 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa. Cena 79 zł



440 str., 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa. Cena 89 zł



368 str., 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa. Cena 69 zł



512 str., 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa. Cena 89 zł



192 str., 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa. Cena 82 zł

ZAMÓW: bialykrak.pl, 12/254 56 02, 12/254 56 19 lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl.
Przy zamówieniu powyżej 300 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Rozważania nad sensem praworządności

Między siłą a rozumem

Prof. Zbigniew Stawrowski

„Lepsza jest mądrość niżli siła
i mąż roztropny niżli mocny”.

Praworządność to określenie, które współcześnie w krajach Zachodu uchodzi za podstawowy wyznacznik właściwie funkcjonujących organizmów politycznych. W ramach Unii Europejskiej nie ma dziś chyba poważniejszego zarzutu niż zarzut łamania praworządności, a państwa o to oskarżane stawiane są pod pręgierzem opinii publicznej jako te, które same wykluczają się z grona cywilizowanych narodów. Już jednak pobieżna obserwacja pokazuje, że kryterium praworządności stosowane bywa niezwykle wybiórczo, że podobne działania polityczne czy rozwiązania instytucjonalne są w przypadku jednych państw gwałtownie potępiane, a w przypadku innych – zazwyczaj tych silniejszych, taktownie przemilczane albo wręcz traktowane jako nienaganne czy nawet wzorcowe.

Także w praktyce politycznej naszego kraju i to od samego początku III RP – podobne zjawiska naginania siłą prawa nie były niczym rzadkim. Wcześniej, w PRL-u, podobnie jak w innych krajach podporządkowanych Związkowi Sowieckiemu, obowiązywała doktryna, zgodnie z którą prawo stanowiło czystą emanację woli sprawujących władzę. Jak pisał jeden z teoretyków i praktyków tak rozumianej praworządności, zasłużony w procesach moskiewskich prokurator Andriej Wyszynski: „Prawo to system reguł (norm) ustanowionych przez państwo w celu wyrażenia woli dominującej klasy, opartych na władztwie państwa po to, by chronić, utrzymywać i rozwijać relacje i porządki społeczne, które są aprobowane i korzystne dla klasy panującej”.

Po 1989 r. doktryna zmieniła się, ale praktyki już niekoniecznie. Wystarczy przypomnieć zmianę ordynacji po odrzuceniu listy krajowej między I a II turą w wyborach kontraktowych 1989 r., zablokowanie lustracji i dekomunizacji czy też to, co od czasów

prezydentury Lecha Wałęsy przyjęło się nazywać „falandyzacją prawa”. Starano się jednak przy tym zachowywać choćby pozory legalności, pozory przestrzegania obowiązującego porządku prawnego. Potężnym impulsem, który odchodzeniu od zasad rządów prawa nadał gwałtowną dynamikę, stało się przyjęcie 25 czerwca 2015 r. ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, co umożliwiło wybór pięciu sędziów TK na „zapas”. To, ilu sędziów zostało wybranych wówczas „na zapas”, wymaga wyjaśnienia, ponieważ pochopnie i niemal powszechnie twierdzi się, że było ich tylko dwóch, zaś trzech zostało wybranych prawidłowo, tak jak to stwierdził Trybunał Konstytucyjny 3 grudnia 2015 r. Sprawa wygląda jednak inaczej.

Przyjęta 25 czerwca 2015 r. skandaliczna ustawa o Trybunale Konstytucyjnym pozwalała wybrać sędziów Trybunału na miejsce tych, których kadencja miała bądź mogła minąć dopiero w następnej kadencji Sejmu, co oznaczało, że kolejny nowo wybrany Parlament pozbawiony zostanie swoich podstawowych konstytucyjnych uprawnień. Sejm VII kadencji, który uchwalił tę ustawę, na swoim ostatnim posiedzeniu 8 października 2015 r. powołał pięciu nowych sędziów: na miejsce trzech, których kadencja miała 6 listopada, oraz dwóch, których kadencja upływała 2 i 8 grudnia tegoż roku. Zwycięskie dla Prawa i Sprawiedliwości wybory odbyły się 25 października, po czym prezydent Andrzej Duda pierwsze posiedzenie Sejmu VIII kadencji zwołał na dzień 12 listopada. Gdyby wyznaczył je tydzień wcześniej, potwierdziłoby to w sposób oczywisty, że cała piątka sędziów wybrana została przedwcześnie. Jednak to właśnie niedopatrznie czy zaniedbanie ze strony prezydenta i osób mu doradzających spowodowało, że 6 listopada sytuacja trzech z pięciu wybranych na „zapas” sędziów zmieniła się i TK w orzeczeniu z 3 grudnia mógł orzec tak, jak orzekł, konwalidując niejako *post factum*, zresztą za pomocą mocno naciąganej argumentacji, wątpliwy prawnie wybór owych trzech sędziów. Ciekawe jednak,

jak brzmiałoby orzeczenie Trybunału, gdyby Sejm zebrał się wcześniej – a przecież mógł – np. 5 listopada 2015 r.

W instrumentalnym traktowaniu praworządności miał w latach 2015–2023 znaczący udział także ówczesny obóz rządzący. Jednak to, co wydarzyło się w ciągu ostatniego roku – powoływanie się „na prawo tak, jak my je rozumiemy”, czy praktyka przywracania „konstytucyjności, a następnie poszukiwania jakiejś podstawy prawnej, żeby to zrobić” – stanowi zupełnie nową jakość i warte będzie uwiecznienia w annałach opisujących dzieje praworządności, i to nie tylko w Polsce.

Okazuje się, że zarówno w relacjach międzynarodowych, zwłaszcza w ramach Unii Europejskiej, jak i niestety w praktyce politycznej naszego kraju o tym, co jest, a co nie jest praworządne, coraz jawniej i bezwstydniej decyduje argument siły – interes silniejszego. Dlatego ci, którzy nie są dostatecznie mocni, muszą liczyć się z tym, że ich słuszne uprawnienia nie będą respektowane, że w istotnych kwestiach spornych zostaną oni potraktowani niesprawiedliwie, czyli po prostu skrzywdzeni. Nie powinno nas to jednak zaskakiwać, ponieważ rozumienie zasady praworządności jako samowoli silniejszego towarzyszy cywilizacji europejskiej od samego jej początku jako jeden – choć na szczęście nie jedyny – z możliwych sposobów porządkowania relacji między jednostkami w ramach wspólnoty politycznej, a także – analogicznie – między poszczególnymi państwami.

Sięgnijmy zatem do źródeł i postawmy pytanie podstawowe: co to jest praworządność i w jakim sensie możemy o niej mówić jako o fundamencie zarówno wspólnoty politycznej, jak i relacji między państwami.

Pojęcie praworządności lub – innymi słowy – rządów prawa zawiera w sobie dwa elementy niezbędne dla funkcjonowania wspólnoty politycznej. Z jednej strony jest to czynnik rządzący – władza, z drugiej – konkretny porządek wy-

znaczony prawami, czyli ogólnymi regulacjami normującymi sposób życia danej wspólnoty. Oba te elementy nie są bynajmniej równoważne. O ile bez uwzględnienia jakiegoś ośrodka centralnej władzy nie da się nawet pomyśleć o trwałym istnieniu jakiegokolwiek wspólnoty politycznej – jak pisał św. Tomasz z Akwinu: „wszędzie tam, gdzie jest wielość, musi być czynnik rządzący”, o tyle jest jednak możliwy przypadek przeciwny – społeczność, której życie regulowane byłoby nie przez stabilne prawa, lecz aktualną wolę władcy wyrażaną w formie konkretnych szczegółowych rozkazów. Taka skrajna wersja pozbawionego stałych praw „porządku”, którego kształt zależy całkowicie od kaprysów panującego despoty czy tyra, jest w dłuższej perspektywie nie do utrzymania i w czystej postaci nie zdarza się zbyt często. Ostatecznie, despoti mogą i zazwyczaj wolą sprawować swoje rządy, wydając nie tylko szczegółowe polecenia i dyspozycje, ale również ogłaszając despotyczne prawa, które poddanych – zazwyczaj jakąś ich część – traktują jak podludzi. Taki charakter miały np. ustawy norymberskie z 1935 r., taki też mają współczesne ustawy legalizujące aborcję i eutanazję – jedne i drugie wyłączają z bezwzględnej ochrony prawnej określone grupy ludzi.

Jednak tego rodzaju arbitralne regulacje, choćby przedstawiane były jako obowiązujące prawa i faktycznie przypominały je swoją ogólną formą, a nawet jeśli zostałyby wpisywane do konstytucji, pod względem swej treści – jako prawa dogłębnie zdeprawowane – z pewnością nie zasługują na to miano. Prawo – także to stanowione – nie ma bowiem swego źródła wyłącznie w samowoli i potędze panujących, lecz jeśli ma być prawem w sensie ścisłym, to znaczy prawem sprawiedliwym i – *nomen omen* – prawym, musi opierać się na rozumnych uniwersalnych zasadach.

Przekonanie o rozumnej podstawie praw obowiązujących ludzkie społeczności narodziło się i rozpowszechniło już w czasach przedchrześcijańskich. Można je bez trudu odnaleźć w religijnej tradycji żydowskiej, podobnie jak u starożytnych filozofów greckich, którzy jako miarę „prawości” obowiązujących w państwie ustaw wprowadzili pojęcie prawa naturalnego. Klasyczne sformułowanie tego przekonania znajdziemy później u św. Tomasza z Akwinu: „Prawo ludzkie jest prawem w takiej mierze, w jakiej jest zgodne z prawym rozumem, a tym samym wypływa z prawa wiecznego. Kiedy natomiast jakieś prawo jest sprzeczne z rozumem, nazywane jest prawem niegodziwym; w takim przypadku jednak przestaje być prawem i staje się raczej aktem przemocy”. Tomasz idzie

tu zresztą śladem przetartym wcześniej przez św. Augustyna, dla którego „niesprawiedliwe prawo przestaje być prawem”, zaś wyzute ze sprawiedliwości państwo niczym nie różni się od band rozbójników.

Z drugiej strony należałoby również dodać, że nawet najlepsze, najbardziej rozumne i sprawiedliwe ustanowione prawa bez konsekwentnego egzekwowania ich przez istniejącą władzę przestają obowiązywać – niby są, a jakby ich nie było. Społeczny ład ulega wtedy destrukcji, pojawia się i narasta stan anormii. Z tego względu dopiero połączenie obu tych elementów: porządku opartego na rozumnych prawach oraz efektywnej władzy, która ten porządek podtrzymuje i skutecznie chroni, wyznacza w naszym kręgu cywilizacyjnym ideał właściwie urządzanej – praworządnej – wspólnoty politycznej. Ideał ten przyjął współcześnie postać państwa prawa (*Rechtsstaat*), albo – jak to się ujmuje w tradycji anglosaskiej – rządów prawa (*the Rule of Law*).

Mówiąc o prawie i rządach prawa, poruszamy się w przestrzeni, gdzie rozum

Św. Tomasz z Akwinu, wybitny teolog, Doktor Kościoła, jak mało kto potrafił opisać, na czym polega istota władzy – oczywiście w zgodzie z chrześcijańskim systemem wartości. Rycina flamandzkiego artysty Cornelisa Boela. Fot. Wikimedia



łączy się, ale i zderza, z siłą. Aby pokazać, na czym polega to napięcie, sięgnijmy do samych korzeni cywilizacji Zachodu: do początków filozoficznego namysłu nad rządami prawa, a więc do starożytnych Aten, które pod pewnymi względami bardzo przypominają nasz współczesny świat. Cofnijmy się więc w czasie o mniej więcej dwa i pół tysiąca lat.

WV w. przed Chrystusem, po zwycięskich dla Greków wojnach z imperium perskim, utworzony został Związek Ateński [*symmachia*]. Była to pierwsza w dziejach Europy i świata unia demokratycznych państw, kierowana przez Ateny. Najbardziej znanym świadectwem wielkości i zarazem peanem na cześć demokratycznych Aten stała się mowa Peryklesa wygłoszona na zbiorowym pogrzebie poległych na wojnie Ateńczyków, zapisana w II księdze „Wojny peloponeskiej” Tukidydesa.

Skądinąd pierwsze zdania owej mowy miały otwierać jako motto preambułę konstytucji Wspólnoty Europejskiej – odrzuconej ostatecznie w referendum w 2005 r.

Tym jednak, którzy tak chętnie chcieliby powoływać się dziś w Europie na tę właśnie antyczną tradycję, wymazując przy okazji pamięć o judeochrześcijańskim korzeniu naszej cywilizacji, warto przypomnieć, że ówczesny demokratyczny Związek Ateński miał charakter zdecydowanie imperialny, bo został zbudowany na zasadzie przejętej z imperium perskiego. Jego członkowie zobowiązani byli do posłuszeństwa wobec hegemonu; musieli Atenom płacić coroczną daninę i na żądanie dostarczać odpowiedni kontyngent wojska i okrętów. Co więcej, Ateńczycy wymuszali na swych sprzymierzeńcach ujednolicenie ustrojowe – wszyscy oni musieli wprowadzić u siebie ustrój demokratyczny. To zresztą stało się bezpośrednią przyczyną wybuchu wojny peloponeskiej. Druga grecka potęga – arystokratyczna Sparta – widząc bogacące się szybko imperialne Ateny, zażądała od nich, by te szanowały *autonomię* swoich sojuszników i – jak to czyniła Sparta – pozwoliły im rządzić się takimi prawami i organizować swoje życie polityczne w taki sposób, jaki oni sami uważali za najwłaściwszy. Dla Aten żądanie to było nie do przyjęcia. Doszło do wojny, która zrujnowała ówczesną Grecję, ale szczególnie dotkliwie spustoszyła Ateny.

To, jakim prawem kierowali się Ateńczycy, widać najlepiej na przykładzie wydarzeń z 416 r. przed Chr. na wyspie Melos. Wojska ateńskie wylądowały tam, a ich dowódcy zaproponowali Melijczykom, którzy do tej pory pozostawali w wojnie neutralni, by przystąpili do ich sojuszu – to znaczy, by płacili Atenom coroczną daninę. Warto uważnie posłuchać, jak Ateńczycy – wedle relacji Tukidydesa – uzasadniali swoje żądania: „Nie domagamy się bowiem ani nie czynimy niczego, co by się sprzeciwiało przyjętym wyobrażeniom o bogach i ludzkim skłonnościom. Sądzimy bowiem, że zarówno bogowie, zgodnie z naszym o nich wyobrażeniem, jak i sami ludzie – z powodu wrodzonych sobie cech – całkiem jawnie, wszędzie i zawsze rządzą tymi, od których są silniejsi. Również nie my wymyśliliśmy to prawo i nie my zaczęliśmy je pierwsi stosować, lecz posługujemy się nim, przejąwszy je od przodków i jako prawo niezmiennie przekazując potomnym. Wiemy przecież, że i wy, i wszyscy inni, mając potęgę równą naszej, postąpilibyście tak samo”.

Melijczycy, nie chcąc rezygnować ze swej autonomii, odrzucili to żądanie. Po wielu miesiącach oblężenia miasto poddało się Ateńczykom. „Ci zaś – jak pisze Tukidydes – wszystkich mężczyzn wymordowali, dzieci i kobiety sprzedali w niewolę.



Temida – grecka bogini sprawiedliwości, prawa i wiecznego porządku. Przedstawiana z wagą (sprawiedliwość) i z opaską na oczach (bezsstronność). Do dziś jej figury pojawiają się na salach sądowych. Fot. Wikimedia

Miasto zaś sami skolonizowali, posławszy później pięciuset osadników”.

Tak wyglądał ówczesny świat i dopiero na tym tle możemy w pełni docenić wartość dzieła greckich filozofów – przede wszystkim Sokratesa i Platona. To w Platońskich dialogach pojawi się po raz pierwszy dojrzała koncepcja praworządności – rządów rozumnego, sprawiedliwego prawa, z którą wielu z nas może się dziś utożsamiać. Koncepcja ta rodziła się w ostrym sporze z rozpowszechnioną – nie tylko wówczas – opinią, jakoby o kształcie relacji międzyludzkich decydowała ostatecznie siła. Istotę tego sporu opisał Platon w dialogu „Politeja”, natomiast w ostatnim swoim dziele – „Prawach”, pozostawił nam pierwszy w dziejach, całościowy, a zarazem szczegółowy, projekt państwa praworządnego – wspólnoty politycznej rządzonej w oparciu o sprawiedliwe prawa i rozumne instytucje.

Ducha tego projektu najlepiej oddają słowa samego autora: „Działalność polityczna niczym innym nie jest dla nas zaprawdę, jak wprowadzaniem w życie zasad sprawiedliwości”. Przy czym według Platona najważniejszą formą działalności politycznej jest stanowienie sprawiedliwych praw, to znaczy takich, którym wszyscy podlegają na równi (...). W dobrze urządzonym państwie takie właśnie rozumne i sprawiedliwe prawo pełni funkcję zwierzchnika, ci zaś, któ-

rzy sprawują nawet najwyższe funkcje władcze, mają być jego posłusznymi sługami: „Mówię zaś o służbie i tak zwanych zwierzchników nazywam teraz ‘sługami prawa’ nie dlatego, żebym chciał was zadziwić niezwykłym powiedzeniem, ale jestem przekonany, że od tej ‘służby’ rzeczywiście zależy więcej niż od czegokolwiek innego, czy państwo się utrzyma. Dostrzegam bowiem zagładę nieuchronnie zagrażającą państwu, w którym prawo podwładne jest i bezsilne, i widzę, że to państwo, w którym jest prawo panem zwierzchników, a zwierzchnicy sługami praw, cieszy się bezpieczeństwem i pełnią błogosławieństw, jakie bogowie zyskują państwu”. Trudno zaiste o bardziej jednoznaczne wywyższenie praworządności i uznanie jej za nadrzędną wartość.

Platon podkreśla zarazem, że rządy prawa możliwe są tylko tam, gdzie sprawujący władzę politycy – osoby odpowiedzialne za losy wspólnoty – wyróżniają się postawą służebną: „Rządzić w sposób godny pochwali nie potrafi nikt, kto służyć się nie nauczył, i że chlubić się należy nie tyle z tego, że się umie pięknie rządzić, ile raczej z tego, że służyć umie się pięknie przede wszystkim prawom, bo to jest właśnie służba boża”.

Niech wystarczy te kilka przytoczonych myśli Platona jako inspiracja i zachęta do tego, by do jego dzieł, zwłaszcza do „Praw”, zaglądali czasem ci, którzy zajmują się – teoretycznie i praktycznie

– kwestią praworządności. Przyjrzyjmy się natomiast bliżej sporowi, jaki w swoim wczesnym dialogu „Politeja”, a także w dialogu „Gorgiasz” toczył on z ludźmi przekonanymi, że o wszystkim ostatecznie decyduje siła.

Platon bynajmniej nie lekceważy takiego przekonania, lecz dogłębnie analizuje, co leży u jego podstaw i co z niego wynika. Zwolenników takiego stanowiska reprezentują w Platońskich dialogach sofisci Trazymach i Kallikles. Według pierwszego: „to, co sprawiedliwe, to nic innego, jak tylko to, co leży w interesie silniejszego”. Podobnie twierdzi Kallikles: „sama natura objawia, iż jest sprawiedliwe, by lepszy miał więcej niż gorszy, a silniejszy więcej niż słabszy”. Innymi słowy: kto dysponuje potęgą i władzą, ten według własnego upodobania wyznacza sobie i innym miarę tego, co obowiązuje. Mocniejszy może zatem nie tylko krzywdzić słabszych, ale, co więcej, wymuszać na nich, by zło, które im wyrządza, uznawali za akt sprawiedliwości.

Dotyczy to zresztą zarówno relacji między poszczególnymi osobami, jak i całymi państwami. Mówi o tym wprost Kallikles: „najczęściej tak właśnie się dzieje, nie tylko wśród zwierząt, ale i w ludzkich państwach i plemionach, iż za sprawiedliwe uważana jest władza silniejszego nad słabszym i jego wyższość. Jakim bowiem prawem się posługując, wprowadził Kserkses wojska do Hellady czy jego ojciec – Dariusz – do Scytów; i ileż podobnych wypadków można by wymienić? [Moglibyśmy tu dziś dopowiedzieć: takim samym prawem, jakim kierował się Hitler i Stalin, napadając na Polskę, czy Putin na Ukrainę – przyp. ZSJ] Jak sądzę, ludzie ci działają zgodnie z naturą sprawiedliwości i, na Dzeusa, zgodnie z prawem natury”.

Prawo, na jakie powołuje się tu Kallikles, jest dla niego czymś oczywistym i naturalnym. To właśnie „prawo natury”, ale rozumiane jako „prawo silniejszego” – a więc to, co dzisiaj nazwalibyśmy raczej „prawem dżungli”, wedle którego silniejszy słusznie, to znaczy zgodnie z naturą, „pożera” słabszego. Dlatego warto od razu zaznaczyć, że ten pierwszy w dziejach zapis powołujący się wprost na prawo natury (*nomos fyseos*) znajduje się na antypodach tego, co później określono pojęciem prawa naturalnego.

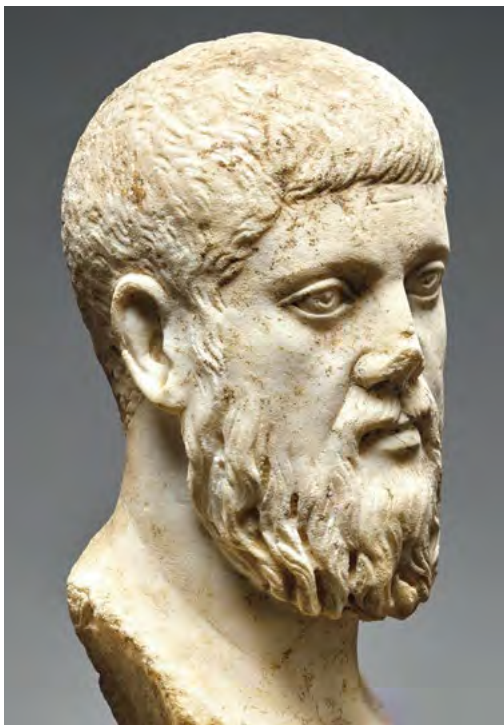
(...)

Przy założeniu jednak, że to człowiek jest miarą wszystkich rzeczy, że w istocie marzy on o tym, by despotycznie panować nad innymi i całym światem, otwiera się jeszcze jedna możliwość. Fragment dialogu, który ją przywołuje, to jeden z najważniej-

szych tekstów politycznych całej naszej cywilizacji. Platon, który tę nową perspektywę przed nami odsłania, czyni to w „Politei” za pośrednictwem Glaukona – swojego rodzonego brata – wkładając w jego usta następujące słowa: „Mówią przecież, że wyrządzanie krzywd jest z natury dobre, a doznawanie krzywd – złe. Ale większym złem góruje doznawanie krzywd, niż dobrem ich wyrządzanie. Tak że gdy się ludzie nawzajem krzywdzą i wzajemnych krzywd od siebie doznają (...), wtedy ci, którzy nie mogą jednego uniknąć, a na drugie sobie pozwolić, uważają za rzecz pożyteczną umówić się wzajemnie, że się nie będzie krzywd ani wyrządzało ani doznawało. Dlatego zaczęli prawa układać i umowy wzajemne i nazwali to, co prawem przepisane, czymś legalnym i sprawiedliwym. Takie jest pochodzenie i taka jest istota sprawiedliwości; ona jest czymś pośrednim pomiędzy tym, co jest najlepsze: jeżeli się krzywdy wyrządza, a nie ponosi kary, i tym, co najgorsze: kiedy pokrzywdzony nie może się mścić. Sprawiedliwość leży pośrodku pomiędzy jednym i drugim, więc jej nie kochają jako dobra, tylko ją cenią dlatego, że nie czują się na siłach, żeby krzywdy wyrządzać. Przecież, kto by to mógł i był mężczyzną naprawdę, ten by się z nikim na świecie nie umówił, że ani krzywd wyrządzać nie będzie, ani ich doznawać. Musiałby być szalony”.

Glaukon zwraca uwagę, że nawet jeśli przyjmiemy, iż człowiek kieruje się wyłącznie własnym interesem i zawsze

Rzymska kopia zaginionego greckiego popiersia starożytnego filozofa Platona, który mówił: „Rządzić w sposób godny pochwały nie potrafi nikt, kto służyć się nie nauczył”. Fot. Wikimedia



stara się go przeforsować kosztem innych, to żeby móc w każdej sytuacji realizować skutecznie swoje cele, musiałby być wszechmocny. Tak jednak nie jest. Pozostawiając na boku zadufanych w sobie niebezpiecznych szaleńców, którzy – jak Trazymach, Kallikles i ich następcy ze wszystkich epok – w iluzorycznym poczuciu swojej potęgi nie liczą się z niczym i nikim, już sama świadomość własnej słabości, kruchości i śmiertelności wydaje się wystarczającym motywem, by zrezygnować z krzywdzenia innych, jeżeli oni również zgodzą się na to samo. Pożyteczne dla wszystkich jest zatem umówić się, że nie będzie się wzajemnie wyrządzało krzywd – to leży po prostu w moim własnym, dobrze pojętym interesie, o ile tylko realistycznie oceniam swoje możliwości i siły. Taka właśnie umowa tkwi u podstaw ustanawianych w społeczeństwie praw. Ich konkretne przepisy stanowią w gruncie rzeczy rozwinięcie tej jednej prostej zasady: *nie będziemy się krzywdzić wzajemnie*. W ten sposób, dzięki umowie, która potwierdza wzajemną rezygnację z działania na szkodę innych, powstaje prawo stanowione jako wspólna miara dla ludzkich czynów – to, czego przestrzeganie zgodnie uznajemy za sprawiedliwe, bo leży to w naszym interesie, wzmacniając poczucie osobistego bezpieczeństwa każdego człowieka.

Tu odnajdziemy również początek legalizmu i pozytywizmu prawniczego – to, na co się zgodziliśmy i umówiliśmy, i co zapisaliśmy jako ustanowione reguły postępowania, ma odtąd stanowić ostateczny fundament wspólnoty. Odniesienie do transcendentnego porządku moralnego i będących jego wyrazem praw naturalnych wydaje się w tej perspektywie zbędne.

Warto jednak dostrzec i podkreślić, że zasada wzajemnego niekrzywdzenia nie jest wcale uważana przez takie jednostki za coś bezwzględnie dobrego ani też nie stanowi podstawowego motywu ich działania. Jest raczej chwilową rezygnacją z aktualnie nieosiągalnego, ale wciąż najbardziej pożądanego najwyższego „dobra”, czyli absolutnej dominacji. Okazuje się więc tymczasowym kompromisem, którego warto przestrzegać w dobrze pojętym interesie własnym, dopóki nie stanemy się na tyle silni, by nie musieć już liczyć się z innymi. Co istotne, gdy przyjmujemy takie założenia i taką wizję człowieka, to pokusa łamania zasad sprawiedliwości i krzywdzenia innych, jeśli tylko moglibyśmy to czynić bezkarnie, choć stłumiona, pozostaje nieustannie obecna.

(...) Trzeba zapytać: kogo ta zasada „niekrzywdzenia” właściwie doty-



Zgromadzenie przed budynkiem Sądu Najwyższego w Warszawie 1 lipca 2025 r., kiedy podejmowana była uchwała nt. ważności wyborów prezydenta RP. Fot. East News/Adam Burakowski

czy i kogo obejmuje? Kto może liczyć na to, że będzie mógł cieszyć się prawami na równi z innymi i spotka się ze strony państwa ze sprawiedliwym traktowaniem? Odpowiedź znajdziemy już w samym założeniu. Podstawą takiej sprawiedliwości i takich rządów prawa jest – jak widzieliśmy – zgoda na wzajemną rezygnację z krzywdzenia innych. Ci, którzy są skłonni i zdolni do tego, by krzywdzić innych, rezygnują z takich czynów we własnym egoistycznym interesie – dzięki temu sami mogą czuć się bardziej bezpieczni. Rodzą się jednak natychmiast następne pytania: a co z tymi, którzy nie stanowią dla nikogo żadnego zagrożenia, bo nie mają nawet takiej możliwości – są zbyt słabi, by móc komukolwiek wyrządzać krzywdę? A co z tymi, którzy – jak np. chrześcijanie – choć dostatecznie silni, krzywdzić innych po prostu nie chcą i nie zamierzają, bo nie widzą w tym niczego dobrego; przeciwnie, uważają takie działanie zawsze i wszędzie za bezwzględnie złe?

Wygląda na to, że przedstawiona powyżej argumentacja takich osób nie uwzględniła i nie bierze pod uwagę, co może stać się powodem do wykluczenia ich z dobrodziejstw tak ufundowanych rządów prawa. Przysługują one bowiem

wyłącznie tym, którzy, przynajmniej potencjalnie, są odbierani przez innych jako zagrożenie. W ten sposób otwiera się przed nami perspektywa szczególnej społeczności równych podmiotów, których równość, także wobec prawa, jest pochodną ich siły. Dostrzegł to znakomicie Hobbes, gdy pisał: „Równi są ci, którzy mogą uczynić sobie wzajemnie takie same rzeczy. I również równą mają moc ci, którzy mogą najwięcej, a mianowicie zabić innych. Tak więc wszyscy ludzie z natury są sobie równi”. Nikt tak dobitnie jak autor „Lewiatana” nie wyraził przekonania, że na miano pełnoprawnego człowieka – równego w swym człowieczeństwie innym ludziom – zasługuje wyłącznie ten, kto posiada wolę i moc, by dla innych stanowić faktyczne zagrożenie. Logiczną konsekwencją takiego stanowiska jest tendencja do wyłączenia z grona osób (to znaczy podmiotów prawa chronionych mocą państwa) tych, którzy – choć żyją – nie posiadają (jeszcze lub już) wystarczającej mocy, by dla innych stanowić śmiertelne niebezpieczeństwo. Współczesny model państwa „praworządnego”, w którym legalizacja aborcji i eutanazji oraz eksperymentów na zarodkach staje się rzeczą powszechną, wyraźnie zbliża się do takiej wizji.

Analogicznie, w relacjach międzypaństwowych, które według wielu (przede wszystkim reprezentantów szkoły realistycznej w teorii stosunków międzynarodowych) przypominają w gruncie rzeczy Hobbesowski „stan wojny wszystkich ze wszystkimi”, odnajdziemy bez trudu podobny model myślenia. Państwo – tak jak ludzka jednostka – kieruje się przede wszystkim własnym interesem, dbając o swoje bezpieczeństwo i wzmacnianie swej siły. Zawierane umowy bywają przestrzegane dopóty, dopóki umawiające się strony uznają je za w sumie korzystne dla siebie, uwzględniając w swej kalkulacji to, iż naruszenie ustalonych zasad mogłoby się spotkać z bolesnymi dla nich retorsjami. Nie powinno zatem dziwić, że dla jakiegoś potężnego państwa w jego relacji do państw słabszych – zwłaszcza tych, których agresji samo nigdy nie doznało, co więcej, to one bywały często jego ofiarami – pokusa, by nie traktować ich jako równorzędnego podmiotu prawa międzynarodowego, okazuje się wręcz naturalna i trudna do pohamowania.

Podsumowując: specyficzne uzasadnienie równości wobec prawa, jakie odnajdujemy w nowoczesnych państwach, dopuszcza wykluczenie czy dyskrymina-



Grecki Partenon na fotografii z ok. 1868 r. współcześnie pokolorowanej. Fot. Wikimedia

cję najsłabszych. Ci, co w podobny sposób rozumieją praworządność, skłonni są przymykać oczy na czyny ewidentnie krzywdzące i niesprawiedliwe wobec tych podmiotów, które same nie potrafią się obronić. Taki właśnie sposób argumentacji odziedziczył po Hobbesie główny nurt nowożytnej myśli politycznej i prawnej, i takie rozumienie „praworządności” dominuje we współczesnej polityce.

Wróćmy na koniec do Sokratesa i Platona – ich wizja praworządności jest bowiem zupełnie odmienna i to już na poziomie metafizycznym. Jak pisze Platon w „Prawach”, to „bóg ma być dla nas miarą wszystkich rzeczy, o wiele bardziej z pewnością niż, jak mówią, człowiek. Kto więc takiej istocie, jak bóg, chce stać się miły, takim, jak on, stać się musi możliwie najbardziej”.

Powołanie się na Boga nie oznacza tutaj wcale, że mamy odwoływać się do jakichś treści religijnych, lecz przede wszystkim, że kryterium sprawiedliwości jest nam dane i zadane z góry, a jako takie niezależne od naszej woli. To stworzony przez Boga ład natury stanowi miarę, która pozwala na właściwą ocenę naszego życia, działania i wszystkich naszych dzieł. Świat, w którym żyjemy, także świat relacji międzyludzkich, w tym politycznych, nie jest bowiem chaosem, lecz kosmosem – ładem przenikniętym wszechobecną rozumnością, który zaprasza, by poznawać rządzące nim prawa i podejmować zgodne z nimi działania. Do tego sprowadza się zapoczątkowana przez Platona i Sokratesa tradycja, nazwana później tradycją klasycznie rozumianego prawa naturalnego. Również dla niej zasada niekrzywdzenia

innych jest w relacjach międzyludzkich czymś najistotniejszym – fundamentem wszelkich stanowionych praw. Do uznania tego nie potrzebuje ona jednak kalkulacji, czy przestrzeganie owej zasady jest dla nas korzystne i leży w naszym egoistycznym interesie. Przeciwnie, zasada ta jest tu postrzegana jako coś oczywistego i bezwarunkowego – coś, o czym się wie i co się widzi, że jest tak, a nie inaczej i co obowiązuje bez wyjątku – zawsze i wobec wszystkich. To właśnie Sokrates, tak ostrożny i krytyczny wobec wszelkiej pozornej wiedzy, to jedno wiedział bezwzględnie: „A że krzywdy wyrządzać [*adikein*] (...) jest czymś złym i hańbą, to wiem”. Co więcej, to on – według relacji Platona – wiedział, i to 500 lat przed św. Pawłem, że zła nie zwycięża się złem, lecz dobrem: „Ja wiem, że dziś mało kto tak myśli i mało kto będzie tego zdania (...), że nigdy nie godzi się ani zbrodni popełniać, ani zbrodnią odpłacać, ani jeśli się zła doznało, złem za złe oddawać. (...) Bo ja mam to przekonanie od dawna”. Człowiek sprawiedliwy, idący za głosem sumienia, nie odpłaca bowiem krzywdą za krzywdę, lecz raczej cierpliwie ją znosi: „Dlatego też za mniejsze zło poczytywać należy znośnienie wielkich uchybień i krzywd niż ich wyrządzanie” oraz „popełniać jakąś niesprawiedliwość względem mnie czy tego, co do mnie należy, jest czymś gorszym i haniebniejszym dla tego, kto to czyni, niż dla mnie, który to znośnię”.

Ta właśnie tradycja rozumienia praworządności – tradycja prawa naturalnego – kontynuowana i rozwijana następnie przez stoików, Cyserona, a później przez myślicieli chrze-

ścijańskich ukształtowała, i to od samego jej początku, również polską tradycję myślenia o państwie i prawie. W „Kronice polskiej” Mistrza Wincentego Kadłubka pisanej na przełomie XII i XIII w. możemy przeczytać, jak to w mitycznych jeszcze czasach, u zarania naszej państwowości, odrzucono zasadę, że sprawiedliwe ma być to, co największą korzyść przynosi najmniejszemu, a „sprawiedliwością nazwano to, co sprzyja najbardziej temu, co może najmnie”.

Dzisiejsze polityczne spory o praworządność – dotyczące czy to porządku wewnątrzpaństwowego, czy też relacji międzypaństwowych, a także nowych ich form, które pojawiły się w Unii Europejskiej – nie są niczym innym niż współczesną aktualizacją przedstawionego powyżej odwiecznego konfliktu między wizją człowieka reprezentowaną przez, z jednej strony, tych, dla których liczy się tylko własny interes, zaś o wszystkim decyduje ostatecznie siła, a z drugiej strony tych, którzy wiedzą, że sensowne życie człowieka

przeniknięte jest doświadczeniem metafizycznego ładu oraz poczuciem wspólnoty, solidarności i powinności wobec innych, zwłaszcza tych najsłabszych. Trudno też nie dostrzec, że obie te konkurujące ze sobą wizje mają swoje religijne oparcie – pierwsza w samoubóstwieniu człowieka, który czyniąc się miarą wszystkich rzeczy, sam siebie uważa za absolutny punkt odniesienia, druga w uznaniu istnienia transcendentnego Boga – stwórcy wszystkich rzeczy i gwaranta przenikającego je fizycznego i moralnego ładu.

Która z owych wizji odniesie zwycięstwo? Nawet jeśli dzisiaj wiele znaków wskazuje na narastającą w świecie dominację zwolenników interesu i siły, to w wymiarze najważniejszym – intelektualnym, moralnym i eschatologicznym – a więc wszędzie tam, gdzie sprawa dotyczy w istocie naszego człowieczeństwa, odpowiedź na to pytanie wydaje się oczywista. Każdy publiczny akt, który o tym przypomina – tak jak to uczynił wyrok polskiego Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r., który zdelegalizował praktyki eugeniczne w stosunku do dzieci jeszcze nieurodzonych, odmawiające najsłabszym poszanowania i ochrony godności człowieka – potwierdza i wzmacnia nadzieję ludzi rozumnych, że ostatecznie *plus ratio quam vis*.

Skrót wykładu wygłoszonego 5 listopada 2024 r. w Trybunale Konstytucyjnym na konferencji: „*Quo vadis Polsko? W obronie demokratycznego państwa prawa*”.

Jeśli zbudujemy gospodarczą i polityczną niezależność, Niemcy nie będą mogli dyktować nam warunków

Polski przedsiębiorca, żeby kupić np. Carrefoura, potrzebowałby wsparcia państwa

Z byłym wicepremierem i ministrem aktywów państwowych JACKIEM SASINEM rozmawia dr Adam Sosnowski

Adam Sosnowski: Czy to prawda, że Carrefour jest na sprzedaż i polskie państwo pod rządami Donalda Tuska nie jest zainteresowane jego zakupem, a ta popularna sieć handlowa ma trafić w ręce ukraińskiego kapitału?

Jacek Sasin: Tak donoszą media. Nikt oficjalnie się do tego nie odniósł, ale rzeczywiście nie ma też żadnego sygnału, aby polskie państwo było zainteresowane wejściem na rynek dużych sieci handlowych czy w ogóle w segment dużego handlu. Z drugiej strony, nie ma dziś na tyle silnego polskiego podmiotu prywatnego działającego w branży spożywczej i dysponującego kapitałem, który pozwoliłby kupić Carrefoura. Mówi się, że cena za polski Carrefour to około miliarda euro, czyli nieco ponad cztery miliardy złotych. Dla państwa nie byłaby to kwota przerażająca, natomiast dla prywatnego biznesu w tej branży, w dużej mierze zdominowanej przez podmioty zagraniczne, to już bardzo dużo. Wiem, że są w kraju polscy przedsiębiorcy prowadzący działalność w tym obszarze, którzy byliby tym zainteresowani, ale potrzebowałiby wsparcia ze strony państwa, choćby w postaci zaangażowania kapitałowego.

Czy państwo może się angażować w taki sposób?

Mógłby tutaj działać choćby Polski Fundusz Rozwoju, który podczas rządów Prawa i Sprawiedliwości odgrywał taką rolę – wspierał polskie firmy w różnego rodzaju inwestycjach. Nie mam żadnej wątpliwości, że teraz nie ma takiego zainteresowania; Donald Tusk mówi o repolonizacji,

ale jego działania są przeciwne polskiemu interesowi. Zamiast wspierać polski kapitał, on pozwala na dalszą dominację zagranicznych sieci handlowych, które niszczą polski rynek pracy i rolnictwo. Dlatego obawiam się, że wielka szansa, jaką jest dziś możliwość nabycia jednej z dużych sieci handlowych, zostanie przegapiona i stracona, a podobna okazja nieprędko się powtórzy. Państwo ma narzędzia, aby stać się tutaj aktywnym graczem. Kiedy byłem ministrem aktywów państwowych, skonsolidowaliśmy państwowe podmioty w branży rolno-spożywczej, tworząc

Krajową Grupę Spożywczą. Powstała ona właśnie po to, by wzmocnić polski udział w segmencie rolno-spożywczym. Handel traktowaliśmy jako zwieńczenie całego łańcucha rolno-spożywczego. Widzimy, co dzieje się dziś na polskiej wsi – polski rolnik produkuje, ale zarabiają na tym głównie pośrednicy i handel. Polski rolnik dostaje grosze za produkty, które potem, w detalu, kosztują nie grosze, a już całkiem niemałe kwoty.

Doszliśmy do takiego kryzysu produkcji rolnej, że polskiemu rolnikowi bardziej opłaca się rozdawać za dar-

Według doniesień medialnych ogromna sieć sklepów Carrefour ma zostać sprzedana. Niestety nie ma polskich chętnych i brakuje wsparcia ze strony państwa. Wśród potencjalnych kupców wymieniane są koncerny ukraińskie. Fot. PAP/Tomasz Wojtasik



mo. Co rusz widać apele w sieci, załamani rolnicy zapraszają ludzi do siebie, aby sami zebrali warzywa z pól, bo ich „sprzedaż” do dystrybutorów jest tak skrajnie nieopłacalna.

Niestety tak jest. Sam zbiór plonów jest kosztowny, a pieniądze, które otrzymuje rolnik, nie pokrywają nawet kosztów produkcji. Mamy w tej chwili sytuację dramatyczną, a pojawienie się dużego polskiego gracza na rynku sprzedaży detalicznej mogłoby wprowadzić uczciwe zasady konkurencji. Nie mówimy o dopłacie przez państwo, lecz o stworzeniu uczciwego rynku, gdzie polski rolnik będzie zarabiał godziwie, a nie będzie zmuszony rozdawać plonów za darmo, bo nie opłaca się ich sprzedawać. Zarabia oczywiście handel, bo marża musi istnieć, ale zarabia też producent. Nie może on być wyłącznie ofiarą maksymalizowania marży. Powstanie Krajowej Grupy Spożywczej miało służyć m.in. wykorzystywaniu takich właśnie okazji – odkupieniu dużych firm przetwórczych. Nie jest tajemnicą, że prowadziliśmy rozmowy dotyczące choćby Hortexu, których do końca naszych rządów nie udało się doprowadzić do finału. Nie wiem, czy były one potem kontynuowane, czy po prostu nie przyniosły rezultatu.

Można sobie wyobrazić, że udziałowcami Krajowej Grupy Spożywczej stawali by się polscy producenci również z innych branż rolnych. Powinien zadziałać mechanizm dokapitalizowania KGS czy to przez Skarb Państwa, czy przez instrumenty finansowe, którymi dysponuje państwo, jak PFR czy BGK, zapewniające odpowiednie zabezpieczenie kapitałowe dla takiej transakcji. Uważam, że powinno to nastąpić bezwzględnie.

Z doniesień medialnych wynika, że pojawiają się już chętni z zagranicy i że Carrefourem zainteresowany jest podmiot z Ukrainy.

Najwidoczniej ten podmiot rozumie to, co zachodnie koncerny pojęły już lata temu, że handel na polskim rynku po prostu się opłaca. Może się opłacać również na zasadach innych niż obecnie – bez zdzierania z polskich rolników i puszczania ich już nie w skarpetkach, ale boso. Kalkulacje są proste: jeśli zabraknie polskiego producenta rolnego, nawet jeśli się go wykończy, to żywność zostanie sprowadzona z innych krajów – skupionych w organizacji Mercosur czy w ramach umów z Ukrainą – i będzie sprzedawana dalej. Tylko czy Polska poradzi sobie bez polskiego rolnika i czy bez rodzimego rolnictwa będziemy krajem suwerennym? Czy interesuje nas bezpieczeństwo żywnościowe, czy nie? Mnie i moją formację polityczną bezpieczeństwo żywnościowe interesuje. Wiemy, że jest ono tak samo ważne jak bezpieczeństwo militarne,

energetyczne czy zdrowotne. Bez bezpieczeństwa żywnościowego nie ma kraju, który może czuć się bezpieczny i w pełni suwerenny. Państwo może bowiem podlegać wówczas różnego rodzaju naciskom ze strony zagranicznych dostawców oraz krajów, które kontrolują te dostawy. Poza tym, wielkie kryzysy z drugiej kadencji naszych rządów – choćby COVID, a potem także wojna na Ukrainie, pokazały, jak łatwo jest dziś zerwać łańcuchy dostaw i jak łatwo jest pozbawić się dostępu do strategicznych produktów, bez których państwo nie może normalnie funkcjonować. Dotyczy to surowców, zaawansowanych technologii, ale również żywności.

Z tą różnicą, że bez technologii można jakoś przeżyć – ale bez żywności już nie. Czy Polska z kraju eksportującego żywność może zamienić się w importera, uzależnionego od zagranicy?

Tak. Jeśli sami nie będziemy produkować odpowiedniej ilości żywności, narazimy się na ryzyko, że w pewnym momencie może jej w Polsce po prostu zabraknąć. Bardzo wiele ryzykujemy, akceptując zwijanie polskiego rolnictwa. Tymczasem obecny rząd robi dziś niestety wszystko, by zamordować polskie rolnictwo. Po pierwsze, przyjęcie umowy z Mercosurem to potężny cios w polskie rolnictwo. Po drugie, zaakceptowanie umowy o wolnym handlu z Ukrainą oznacza zalew produktów spożywczych stamtąd na polski rynek. Polska jest dla Ukrainy naturalnym rynkiem zbytu – powiedzenie w tym przypadku „dla Ukraińców” byłoby może nadużyciem, bo to jest przemysł, a nie rolnictwo. Tamtejsze wielkie latyfundia kontrolowane są częściowo przez oligarchów,

Polskie rolnictwo znajduje się w dramatycznym położeniu. Regulacje unijne oraz bierność państwa polskiego powodują sytuację, w której rolnicy wolą rozdawać swoje plony niż je sprzedawać i dokładać do interesu. Fot. East News/Wojciech Olkuśnik



a częściowo przez wielki kapitał zagraniczny; obecne są tam firmy niemieckie, amerykańskie – po prostu wielkie korporacje. W zderzeniu z nimi polski rolnik nie ma szans wytrzymać konkurencji. Zawarcie więc umowy o wolnym handlu to drugi gwóźdź do trumny polskiego rolnika. W dodatku w obliczu wielkiej konfrontacji z nieuczciwą konkurencją, bo na Ukrainie czy w Ameryce Południowej obowiązują inne zasady produkcji rolnej niż w Polsce i w Unii Europejskiej; za granicą można produkować taniej. Na domiar złego polski rolnik dobijany jest jeszcze przez działające w Polsce zagraniczne sieci handlowe. Donald Tusk mówi, że nie rozumie, dlaczego wołowina argentyńska ma być tańsza od polskiej. Taka wypowiedź odbiera mu kompetencje do pełnienia w Polsce jakiegokolwiek funkcji, nie tylko premiera. Albo doskonale to rozumie i jest po prostu skrajnie cyniczny.

Uczciwy polski podmiot w handlu detalicznym mógłby być rzeczywiście pewnym rozwiązaniem problemu, ale tylko wtedy, jeżeli dbałby o tę uczciwość.

Dokładnie. Ale kiedy pojawia się możliwość zrobienia wyłomu i wejścia na polski rynek, posiadania polskiego podmiotu, który narzuci pewne zasady uczciwości i rozbije monopol wielkich sieci – polskie państwo pozostaje całkowicie bierne i godzi się na to, by dalej było tak, jak jest. Bardzo trudno jest mi się z tym pogodzić. Mogę powiedzieć, że gdybyśmy my jako PiS dziś w Polsce rządzieli, na pewno skorzystalibyśmy z tej okazji.

Rząd nie robi również nic, aby doprowadzić wreszcie do tego, by zagraniczne sieci handlowe zaczęły płacić w Polsce podatki.

To jest coś, co i nam – powiem szczerze – średnio się udało.

Ale dlaczego? Jaki jest z tym problem? Każda mała i średnia firma płaci podatek dochodowy. My również uczciwie odprowadzamy wszystko, jak Pan Bóg przykazał, a tymczasem widzę, że wielkie koncerny płacą podatek dochodowy niższy niż my.

Istnieją różnego rodzaju mechanizmy, które powodują, że te firmy ukrywają zyski w Polsce.

Ale przecież mechanizmy te są znane.

Tak, w dużej mierze je znamy. Oczywiście ta walka nigdy się nie kończy, bo kiedy my wymyślamy pewne zabezpieczenia, druga strona – dysponująca ogromnymi środkami na prawników, kancelarie, analityków i ekspertów – wymyśla sto sposobów, by je ominąć albo otworzyć różnego rodzaju furtki. Nie jest tak, że jak raz coś się zrobi, to funkcjonuje to bez końca. Zrobiliśmy tyle, ile w tamtym czasie wydawało nam się wystarczające,

a dziś widać, że nie jest to wystarczające i że potrzebne są nowe regulacje. To jak z technologiami: ktoś jakąś wprowadzi i przez kilka lat wydaje mu się, że świat nie idzie do przodu. Ale jeśli nie idzie, to się cofa. Tak samo jest z regulacjami, o których mówimy. Pracuję z ekspertami z mojego zaplecza nad przygotowaniem projektu rozwiązań, które będą skuteczne teraz. Dziwię się, że obecny rząd tego nie robi, ma przecież Rządowe Centrum Legislacji, ma ministra finansów, który – jak słyszymy – jest wielkim geniuszem, bo kieruje także ministerstwem gospodarki. Obiema tymi sferami zarządza jednak tak, że obie pogrążają się w kryzysie. Mamy dziś kryzys finansów publicznych, co widać gołym okiem po stanie budżetu – po stronie dochodów będzie znacznie poniżej tej kwoty, którą w nim zapisano, a po stronie wydatków – znacznie powyżej. Dziura budżetowa będzie jeszcze większa niż przewidziano, a i tak przewidywano gigantyczną. Zamiast prawie 280 miliardów złotych będzie to zapewne grubo ponad 300 miliardów; niektórzy mówią nawet o 350 miliardach. Oznacza to krach finansów publicznych, mimo to rząd nie jest zainteresowany ściąganiem do budżetu dodatkowych pieniędzy od sieci handlowych, które po prostu śmieją nam się w twarz. Zarabiają tu gigantyczne pieniądze, a podatków albo nie płacą w ogóle, albo płacą mikroskopijne. Charytatywne tutaj w Polsce przecież nie działają.

Zagraniczne spółki śmieją się również w twarz takim przedsiębiorstwom jak my – osiągają przychody liczone w setkach milionów czy nawet w miliardach złotych, a płacą dużo mniejszy od nas podatek dochodowy. Polskie państwo nie wspiera własnych przedsiębiorców, tylko zagraniczne koncerny.

Takich firm jak Wasza jest mnóstwo. To jest uderzenie w polski biznes. Nawet duzi gracze na rynku mają z tym problem. Ostatnio widziałem w mediach społecznościowych wpis Rafała Brzozki, prezesa InPostu, który zwrócił uwagę na to, że InPost, płacąc podatki w Polsce, odprowadza ich dużo więcej niż jego niemiecka konkurencja, odprowadzająca zaledwie niewielki ułamek tej kwoty. Znowu mamy do czynienia z obchodzeniem przepisów podatkowych w Polsce, które dotyczy wszystkich branż, nie tylko spożywczej. Wydaje mi się, że w przypadku wielkich sieci handlowych problem jest szczególnie nabrzmiały – zwłaszcza wobec konsekwencji społecznych, które te sieci dziś w Polsce powodują. Należy podjąć wiele działań chroniących polskiego rolnika. A wracając do głównego pytania – jednym z nich musi być właśnie akwizycja państwa lub polskich podmiotów w sferze handlu detalicznego artykuła-



Jacek Sasin był bliskim współpracownikiem Lecha Kaczyńskiego, a w czasie rządów PiS pełnił różne funkcje ministerialne. W latach 2019–2023 był wiceprezesem Rady Ministrów oraz ministrem aktywów państwowych. Pod jego nadzorem polskie spółki skarbu państwa osiągały rekordowe zyski. Fot. PAP/Marian Zubrzycki

mi rolno-spożywczymi i żywnościowymi. Mam ogromny żal do Donalda Tuska i jego ekipy, że tego nie robią, a wręcz przeciwnie – że robią coś dokładnie odwrotnego.

Dlaczego tego nie robią? Nie chcą, nie potrafią, czy może działają pod naciskiem zagranicy?

Ten rząd jest całkowicie uzależniony od zagranicy, przecież większość handlu w Polsce zdominowana jest przez kapitał niemiecki. Każde uderzenie w ten obszar jest uderzeniem w żywotny interes Niemiec w Polsce – gospodarczy, ale również polityczny. Każde zaś wzmocnienie polskiej pozycji w handlu jest jednocześnie uderzeniem w polityczne wpływy Niemiec w Polsce. Na budowanie przez Polskę suwerenności gospodarczej Niemcy nie chcą i nie mogą pozwolić, ponieważ dążą do odgrywania roli hegemonu w tej części Europy. Tę niemiecką doktrynę opisał już w 1915 r. Friedrich Naumann w książce „Mitteleuropa”. Niemcy godzą się na to, by w tej części Europy, między Niemcami a Rosją, funkcjonował szereg małych państw – okrojonych terytorialnie, a tym samym, jak wówczas rozumiano (dziś nie do końca tak jest, bo są małe państwa będące potęgami gospodarczymi), całkowicie uzależnionych od Niemiec politycznie i gospodarczo, będących ich satelitami.

Wielkie słońce – Rzesza Niemiecka i krążące wokół niej małe planety, czyli małe państwa. Polityka niemiecka nie zmieniła się pod tym względem do dziś, a według niej Polska ma być jednym z wasali Niemiec w tej części Europy. Tymczasem Polska, która zbuduje swoją polityczną i gospodarczą suwerenność, z taką rolą godzić się nie będzie. Dlatego Niemcy tak zajadłe zwalczają wszelkie próby jej budowania, dlatego są przeciwko wielkim inwestycjom w Polsce, jak Centralny Port Komunikacyjny, energetyka jądrowa czy rozwój portów. Jeśli zbudujemy polskie porty, po co nam porty niemieckie? Jeśli zbudujemy CPK, staniemy się, dzięki swemu położeniu w centrum Europy – atrakcyjnym hubem logistycznym i pasażerskim. Jeśli zbudujemy energetykę jądrową, będziemy energetycznie niezależni i Niemcy nie będą mogli dyktować nam warunków.

To jest jasne i perspektywa Niemiec też jest zrozumiała – oni pilnują swojego interesu. Tyle że to nie Niemcy wybrali nam ten rząd. Polacy sami go wybrali. I tu pojawia się kolejne pytanie – czy Polacy nie chcą Polski suwerennej? Skoro 70–80 proc. jest za budową CPK, to dlaczego mimo wszystko rządzi Platforma? Może nasi obywatele inaczej na to patrzą?

Polacy chcą Polski suwerennej, ale być może my – politycy prawicy, politycy Prawa i Sprawiedliwości, jako ci, którzy suwerenność Polski stawiają na pierwszym miejscu – za mało o tym ze społeczeństwem rozmawiamy. Przecież wszystko się z tej suwerenności bierze, również bogactwo narodu. Człowiek pozbawiony własności zawsze jest uzależniony. Jeśli naród nie ma suwerennego państwa – czyli najwyższej formy własności, nie może być wolny ani zamożny. Być może musimy znaleźć inne argumenty i inną formę argumentacji w rozmowach z Polakami. Ogromną rolę w tym zakresie odgrywają media, które w Polsce są w dużej mierze zdominowane przez kapitał zagraniczny. A nawet te, które formalnie są polskie, w praktyce wcale nie są niezależne. Prezentują określony punkt widzenia, zgodnie z którym przez lata robiono Polakom wodę z móżgu. Wmawiano nam, że kapitał nie ma narodowości, że nic złego nie ma w tym, iż polska gospodarka została całkowicie zdominowana przez obcy kapitał. Dlatego bez opamiętania ściągano do nas zagraniczne inwestycje i jednocześnie w żaden sposób nie zadbano o to, by rozkwitł polski biznes. Nie wspierano polskich firm rodzinnych, które powstawały na przełomie lat 1980. i 1990., gdy rozpoczął się w Polsce boom polityczno-gospodarczy. Wręcz przeciwnie – dawano przywileje wielkim zagranicznym koncernom, a uderzano w firmy rodzime. Jaskrawym tego przykładem, choć dziś może już nieco zapomnianym, jest sprawa prezesa giełdowej spółki Optimus SA Romana Kluski.

Forsowany przez UE Zielony Ład przerzuca koszty transformacji na polskich rolników, dokładając im biurokracji, kosztownych wymogów środowiskowych i limitów produkcji, co obniża konkurencyjność i opłacalność rodzinnych gospodarstw. Fot. East News/Reporter/Karolina Misztal



Podobnych jemu biznesów, które wykończono na różne sposoby – również przy użyciu aparatu skarbowego – było niestety wiele. Doszła jeszcze do tego ideologia Balcerowicza, która doprowadziła do masowej wyprzedaży i zniszczenia polskiego przemysłu na początku lat 1990.

Wracając zaś do współczesności, Tusk i jego rząd są po prostu przysłani do Polski po to, by pilnować niemieckich interesów. I oni to robią. A narzędziem, które im w tym pomaga, jest wielkie oszustwo, całkowite odwracanie narracji. Niestety, część Polaków mu wierzy. Mogę tego do końca nie rozumieć, ale fakt ten muszę przyjąć do wiadomości. Przed nami ciężka praca nad zmianą świadomości społecznej, którą musimy wykonać. Mam nadzieję, że choćby dzięki tej rozmowie pewna część społeczeństwa usłyszy prawdę. Ale to znów sprowadza nas do kwestii mediów.

Jeśli mamy rozmawiać zupełnie szczerze, to zwolennicy PiS-u i szeroko rozumianej prawicy w Polsce mają duży żal o to, że przez osiem lat Waszych rządów praktycznie nic się w sferze mediów nie poprawiło. Nie doszło do realnego poszerzenia pola – nie udało się odbić, odzyskać większej części rynku. Tak, jak robił to Orbán na Węgrzech.

Orbán miał nieco łatwiejszą sytuację – nie był od początku pod prężeniem głównych sił europejskich, jak byliśmy my. Miał na starcie pewną swobodę działania, a Europa dosyć późno zorientowała się, że Orbán zmierza ku takiej przebudowie społeczeństwa węgierskie-

go, która uodporni je na agresję ze strony Zachodu wobec naszej części Europy. My mieliśmy trudniej, bo po węgierskim doświadczeniu natychmiast zrozumiano, że Polska może pójść tą samą drogą. I od razu nałożono na nas wyjątkowo skuteczną blokadę – w wielu obszarach, nie tylko medialnym. Podjęliśmy jednak próbę. Przypomnę, że przyjęliśmy projekt ustawy o komponencie polskiego kapitału – tzw. lex TVN; pamiętamy, jaki odzew to wywołało. Kapitał funkcjonujący na polskim rynku medialnym jest żywotnie zainteresowany, by nic się tu nie zmieniało, rządy stojące za tym kapitałem działały w tym samym kierunku. Natknęliśmy się na wielką koalicję – europejską, i amerykańską – która próbowała nas w tej sprawie szantażować. Niestety, prezydent Andrzej Duda zawetował tę ustawę, a my, przy ówczesnej większości parlamentarnej, nie mieliśmy możliwości odrzucenia weta. W związku z tym próba się nie powiodła. Nie przyjmuję jednak tezy, że nic nie zrobiliśmy. Mamy dziś na rynku medialnym sytuację inną niż wcześniej. Pojawił się potężny wyłom dzięki mediom takim jak telewizja Republika czy WPolsce. Cały czas działają media katolickie – Radio Maryja, Telewizja Trwam czy Wy. Ten wyłom istnieje i się powiększa. Dziś Republika jest największą stacją informacyjną w Polsce, przebijając TVN24. W związku z tym sytuacja jest już inna niż była. Jestem przekonany, że kiedy wrócimy do władzy, podejmiemy kolejną próbę wprowadzenia w Polsce rozwiązań funkcjonujących w wielu krajach europejskich: krajowy kapitał ma być kapitałem dominującym na rynku medialnym.

Wspomniał Pan o szantażach i blokadach ze strony Unii Europejskiej – to argument, który często pojawiał się jeszcze w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości. Co to jednak znaczy w praktyce? Przecież nikt nie wjedzie tu czołgami. Czy naprawdę musimy się aż tak przejmować tym, co mówi Unia Europejska? Może lepiej stosować własny kurs bez zakłóceń?

Problem jest dziś, w mojej ocenie, w dużej mierze psychologiczny. Wiemy już, że Unia nie ma *de facto* instrumentów, które przeciwko Polsce mogłaby skutecznie zastosować, poza pewnymi niedogodnościami. Tym bardziej, że Polska nieuchronnie staje się płatnikiem netto w Unii Europejskiej, a fundusze unijne zaczynają odgrywać coraz mniejszą rolę. Choć wciąż niezwykle istotnym komponentem pozostają dopłaty do rolnictwa, to i tu widać trend w UE, by je ograniczać – nie wiemy, jaka będzie propozycja w następnym budżecie. Groźba wstrzymania funduszy działa więc coraz słabiej. Jeśli wstrzymają nam fundusze, to dlaczego mielibyśmy płacić składkę? To

broń obosieczna i precedens niebezpieczny także dla samej Brukseli. Stawiam tezę, że w ostatecznym rozrachunku – gdybyśmy zagrali twardo, czego zabrakło za naszych rządów – Bruksela musiałaby ustąpić. Tam często gra się metodą „strachy na Lachy” – liczy się na to, że się przestraszymy. A co wtedy, gdy się nie przestraszymy? Ostatecznie okazuje się, że Bruksela niewiele może zrobić. W traktatach europejskich nie ma mechanizmu wykluczenia jakiegoś kraju, jeśli on sam tego nie chce. Oczywiście każdy kraj może wystąpić – w żadnym wypadku do tego nie namawiam, żeby było jasne. Uważamy, że nasze miejsce jest w Unii Europejskiej, ale nie w takiej, jaką mamy dziś.

Co to oznacza konkretnie?

Powinniśmy Unię zmieniać od środka i szukać partnerów do tej zmiany. Taki jest nasz cel, a nie – jak Wielka Brytania – wychodzenie z Unii. Wyrzucić nas nie mogą, choć często nas tym straszą. Wychodzić też nie zamierzamy, więc o co chodzi? Czy odetną nas od wspólnego rynku? Przecież ze wspólnego rynku korzystamy nie tylko my, ale też cała Unia Europejska, bo swój rynek mamy dla niej otwarty. Przyjmijmy to wreszcie do wiadomości: nasze członkostwo w Unii nie jest festiwalem korzyści w jedną stronę. Nie jest tak, że tylko my mamy z tego profity, a nikt inny nie ma korzyści z naszego uczestnictwa. Musimy odrzucić myślenie kategoriami kompleksu „brzydkiej panny na wydaniu bez posagu”, które sformułował Władysław Bartoszewski. Polska to kraj o wielkim potencjale. Nie jesteśmy żadną „brzydką panną bez posagu” – jesteśmy państwem silnym, z bogatym kapitałem, zarówno społecznym, jak i gospodarczym. Nasza przyszłość opiera się na budowaniu suwerenności i niezależności, co jest możliwe dzięki ścisłemu zaangażowaniu państwa w kluczowe sektory. Mamy plan, by Polska stała się silnym liderem w Europie – w gospodarce, polityce i bezpieczeństwie. Zaczniemy się wreszcie cenić w tych relacjach. Przestańmy rozmawiać z Unią na kolanach. Musimy rozmawiać twardo, językiem polskiego interesu. Unia to nie klub dżentelmenów, spotykających się po to, by jedni pomagali drugim. To nie są ani Janosikowie, ani Robin Hoodowie, tylko twardzi gracze, z których każdy chce ugrać jak najwięcej dla swojego kraju. Tymczasem my wyglądamy dziś tam jak ci, którzy przychodzą i nic dla siebie nie chcą ugrać; patrzą jedynie, by nie narazić się największym graczom. Tak się w tej Unii funkcjonować nie da. Polska jest krajem silnym – terytorialnie, gospodarczo i ludnościowo. Jest jednym z najsilniejszych państw Unii Europejskiej i należy do grona największych. Powinniśmy egzekwować tę naszą rolę i twardo stawiać pewne sprawy. Powinniśmy też



Porozumienie UE–Mercosur oznacza zalew tańszych produktów rolnych wytwarzanych według niższych standardów, co wypycha z rynku polskich rolników, uzależnia nasz rynek żywności od importu i osłabia długofalową suwerenność żywnościową Polski. Rolnicy od wielu miesięcy protestują przeciwko koalicji 13 grudnia, która te rozwiązania unijne przyjmuje bez protestu. Fot. East News/Reporter/Karolina Misztal

szukać sojuszników, jak chociażby pani premier Meloni we Włoszech – czy w wielu innych, również mniejszych krajach. Powinniśmy grać z Czechami, z Węgrami i konsekwentnie budować swoją pozycję w tej części Europy. Musimy znacznie aktywniej prowadzić politykę także z krajami bałtyckimi, a także już dziś rozmawiać na Zachodzie z siłami, które mają tam realną szansę przejąć niebawem władzę – chociażby z Zjednoczeniem Narodowym we Francji. Należy przedstawiać im naszą wizję reformy Unii Europejskiej w kierunku powrotu do korzeni, zaprzestania używania Unii jako narzędzia szantażu wobec państw oraz narzucania ideologii, a także jako instrumentu budowania „czwartej Rzeszy”. Unia powinna wrócić do swoich pierwotnych założeń.

Zaraz pojawi się krzyk, że to rozmowy z prorosyjskimi siłami.

Ma Pan rację, że w ten sposób próbujemy się dyskredytować tego typu rozmowy. Wasz autor, prof. Andrzej Nowak, którego niezwykle cenię, doświadczył tego kilka tygodni temu, kiedy pojechał z genialnym wykładem do Berlina. To bardzo ważne jednak przedstawiać naszym partnerom nasz punkt widzenia w polityce wschodniej – jeśli chodzi o Rosję, uświadamiać ich. Na Zachodzie optyka Rosji jest inna niż u nas, mamy własne doświadczenia, a oni często ich nie mają. Trzeba ich na to uwrażliwiać i na ten temat rozmawiać. Nie jest dobrą drogą nierozmawianie z kimś, bo jest on „prorosyjski” czy inny. Wiemy, jak łatwo przyklejane są takie etykiety – próbowano je przypiąć tak-

że nam, gdy tymczasem zawsze jesteśmy wobec Rosji pozbawieni złudzeń. Musimy przełamać w sobie psychologiczną niemożność konfrontowania się z Unią Europejską i być bardzo aktywni. Także na przekór temu, iż polskie społeczeństwo pozostaje wciąż bardzo euroentuzjastyczne, podchodzi do UE dość bezkrytycznie. Rośnie jednak odsetek realistów, osób eurosceptycznych, rozumiejących mechanizmy, o których mówię. Utrwalone przekonanie, że jesteśmy w Unii „gorszym partnerem”, bardzo utrudnia prowadzenie twardej polityki w Brukseli.

Jaka rysuje się perspektywa polityczna dla Prawa i Sprawiedliwości w najbliższym czasie?

Prawo i Sprawiedliwość – co chcę powiedzieć z satysfakcją – przeszło próbę ognia. Ostatnie dwa lata były dla nas niezwykle trudne. Zostaliśmy odsunięci od władzy z wszystkimi tego konsekwencjami – z próbą zakwestionowania naszego dorobku podczas ośmiu lat rządów, z represjami, które spadły na Prawo i Sprawiedliwość. Zderzyliśmy się z falą bezprawia, jakiej nie znaliśmy w Polsce od czasów komunistycznych. To było nowe doświadczenie, nastawione niewątpliwie na to, by zniszczyć Prawo i Sprawiedliwość – byśmy zeszli ze sceny politycznej i już nigdy nie stanowili realnego zagrożenia dla układu liberalno-lewicowego, który chce Polskę przemodelować całkowicie na swoją modłę. Przeszedłszy próbę ognia, wchodzimy w nowy etap, bo jesteśmy w połowie kadencji. Być może wybory parlamentarne będą wcześniej

niż w 2027 r. – mówi się o tym w kuluarach. Niezależnie jednak od tego, kiedy się odbędzie, wchodzimy w bardzo mocne przygotowania do kolejnych wyborów. Jest to przede wszystkim praca programowa – musimy przedstawić Polakom wyraźną alternatywę dla obecnych rządów, przekonać ich, że wiemy, jak rozwiązać problemy, których ta władza nie rozwiązuje albo je wręcz pogłębia.

Oprócz przeszkód wewnętrznych – czy nie obawiacie się kolejnych interwencji zagranicznych, na przykład z Niemiec czy Rosji?



Nord Stream – strategiczny układ Berlin–Moskwa. Fot. Nord Stream 2/Axel Schmidt

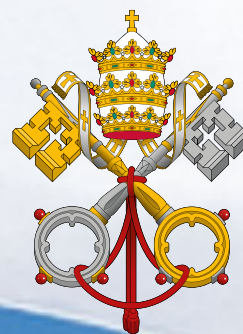
To ważna kwestia i musimy o tym wszystkim otwarcie mówić – szczególnie wtedy, gdy rozmawiamy o sprawach unijnych. Musimy pamiętać, że Polska leży między Niemcami a Rosją, a Niemcy i Rosja to wypróbowani sojusznicy – od wieku XVIII po dziś. Nawet jeśli była wojna Hitlera ze Stalinem, to był to, mimo jej okrucieństwa, w istocie wyjątek. Dostrzegam to również dziś, choćby w wypowiedziach Angeli Merkel, która niedawno mówiła o chęci bezpośredniego porozumienia z Putinem, czy w reakcji Niemiec na wysadzenie Nord Stream. Widzimy, jak jedni i drudzy konsekwentnie domagają się wydania Ukraińca, który miał brać udział w tym ataku, jak zgodnie wypowiadają się w tej sprawie różne niemieckie siły polityczne – tak odmiennie na co dzień, jak SPD, CDU i AfD. To wszystko pokazuje wyraźnie, że ten sojusz niemiecko-rosyjski wciąż trwa. Jego osią była umowa wokół Nord Stream – a więc porozumienie, w myśl którego Rosja dostarcza Niemcom tani gaz, a Niemcy, korzystając z tego gazu, budują swoją przewagę gospodarczą, niszcząc równocześnie gospodarki pozostałych krajów europejskich poprzez politykę Zielonego Ładu. Dotyczy to nie tylko Polski, ale tak-

że Francji – gospodarki opartej na atomie, który Niemcy chcą zlikwidować. Mając tani gaz rosyjski, zafundowali partnerom w Unii Europejskiej droższą energię i uzależnienie, po to, by własną gospodarkę zdominować kontynent i zbudować *de facto* nową, gospodarczą „Czwartą Rzeszę”. Oczywiście innymi metodami niż wcześniej – nie militarnymi, lecz ekonomicznymi. Niemcy zrozumieli, że militarnie próbowali już dwa razy i obie te próby zakończyły się katastrofą. Tym razem postanowili zrobić to inaczej – i właśnie to realizują. Drugim elemen-

tem tego porozumienia była niemiecka zgoda na umacnianie się Rosji w przestrzeni dawnego Związku Sowieckiego – by Rosja podporządkowała sobie Gruzję, na co nie było praktycznie żadnej reakcji, a potem Ukrainę. Także przy pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 r. Niemcy reagowały bardzo powściągliwie. W dalszej perspektywie mogłoby dojść do porozumienia między Rosją a Niemcami również w sprawie państw bałtyckich; Białoruś już jest *de facto* zdominowana przez Rosję. To wszystko miało być częścią wielkiego układu: Rosja umożliwia Niemcom budowę zjednoczonej Europy pod ich hegemonią, a w zamian odbudowuje swoją potęgę w granicach dawnego ZSRR. Pomiędzy Niemcami a Rosją zawsze istniał ten pas ziemi – Polska, Czechy, Słowacja, Rumunia – który był przedmiotem przetargów. I gdyby oba te plany się powiodły, prędzej czy później doszłoby do kolejnego porozumienia kosztem właśnie naszego regionu. Rosja mogłaby znów rościć sobie prawa do „dawniej strefy wpływu”, czyli do państw, które po II wojnie światowej znalazły się pod jej dominacją. To byłby powrót do sytuacji, przed którą przestrzegał prezes Jacek Kaczyński.

Ostatecznie wydarzenia potoczyły się jednak inaczej, a Nord Stream – przynajmniej na razie – został zawieszony.

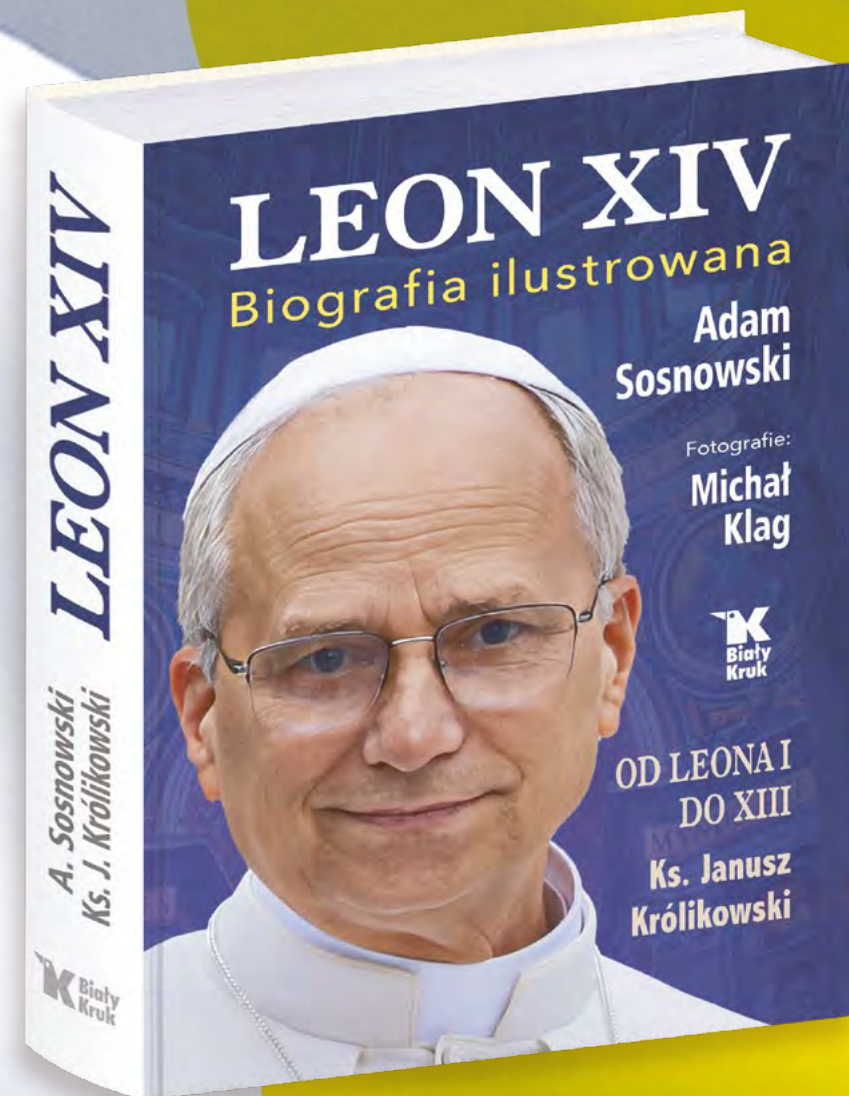
Wysadzenie Nord Stream zburzyło oś, która miała być eksterytorialnym kanałem realizacji tego projektu. Bez taniego rosyjskiego gazu plan ten stał się znacznie trudniejszy do wykonania – dziś już to wiemy. Jestem absolutnie przekonany, że kiedy Merkel mówiła ostatnio, że rząd Prawa i Sprawiedliwości przeszkodził jej w bezpośrednim porozumieniu z Putinem, to dała do zrozumienia dwie rzeczy: po pierwsze, że chciała ten plan realizować konsekwentnie, a po drugie – że podstawą tego porozumienia miało być oddanie Ukrainy Rosji. Putin przecież niczego innego by nie zaakceptował. Chodziło o podporządkowanie całej Ukrainy, może nie o włączenie jej wprost do Rosji, ale o jej wasalizację, tak, jak stało się to z Białorusią. Można więc powiedzieć, że nasz rząd uchronił Polskę. Nasz sprzeciw wobec tego porozumienia powstrzymał przekształcenie Polski w rosyjsko-niemieckie kondominium. To było niezwykle ważne, ale musimy pamiętać, że to zagrożenie wciąż istnieje. Dlatego właśnie – wracając do tego, o czym mówiliśmy wcześniej – budowanie naszej suwerenności, siły gospodarczej i obronnej, rozwijanie mocnej armii i wszystkich filarów istnienia państwa polskiego ma dziś kluczowe znaczenie. Suwerenność naszego państwa nie może podlegać żadnej dyskusji. Kiedy dziś słyszymy, że w Unii Europejskiej pojawiają się propozycje zmian traktatowych, które *de facto* likwidują suwerenność państw, musimy się temu stanowczo przeciwstawić. Jeśli pojawia się koncepcja tworzenia tzw. armii europejskiej i tym samym pozbawiania nas suwerenności nad polskimi siłami zbrojnymi, również to wymaga naszego sprzeciwu. Inaczej nie będziemy w stanie budować skutecznej siły odstraszania ani bronić własnej niepodległości w razie realnego zagrożenia ze wschodu. Budowanie suwerenności to obecnie kluczowe wyzwanie. Na poziomie praktycznym składają się na to czasami drobne działania, jak chociażby pomoc przy zakupie Carrefoura; to element budowania niezależności gospodarczej, o czym mówiliśmy. Musimy też uruchomić polski kapitał, który jest dziś w dużej mierze zamrożony. Wyraźnie pokazują to statystyki: inwestycje w Polsce napędzane są głównie przez środki publiczne lub kapitał zagraniczny, a polski biznes pozostaje stosunkowo nieaktywny. Trzeba wejść w partnerskie porozumienie z polskim biznesem, stworzyć mu warunki, przekonać małe, średnie i duże przedsiębiorstwa, że warto w Polsce inwestować.



Kontynuator dzieła Leona XIII, św. Jana Pawła II i Benedykta XVI

BESTSELLER!

Pierwsza i bardzo obszerna biografia nowego papieża Leona XIV. Dzieje życia i opis działalności. Poglądy Roberta Prevosta-Leona XIV na świat i Kościół. Liczne i obszerne cytaty z wypowiedzi papieża – zarówno z czasów jego pracy misyjnej, jak i z późniejszej posługi w Rzymie. Efekt dziesiątków rozmów i badania archiwów. Bardzo wiele fotografii, także najnowszych. Druga, krótsza część poświęcona jest wszystkim papieżom noszącym imię Leon, bowiem nowy papież chętnie odwołuje się do swoich imienników, zwłaszcza Leona Wielkiego i Leona XIII. To jest książka optymistyczna, budząca nadzieję na normalizację w Kościele i niezłomne trwanie przy nauczaniu Chrystusowym.



416 str., 246 ilustracji
16,5 x 23,5 cm, twarda oprawa
Cena det. 69 **59 zł**

ZAMÓW: bialykrak.pl,
12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl.
Przy zamówieniu powyżej 300 zł
koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Za przyznawanie się do polskości trafił do obozu w Dachau

Działacz mazurski poddany niemieckim eksperymentom pseudomedycznym

Prof. Wojciech Polak

Mazurzy to potomkowie polskich osadników z Mazowsza, którzy osiedlali się w południowych rejonach Prus. Ich język to gwara mazurska, będąca odmianą dialektu mazowieckiego języka polskiego. Po sekularyzacji państwa zakonu krzyżackiego w 1525 r. stali się oni poddanymi księcia pruskiego i musieli przyjąć wyznanie luterzańskie. Z kolei ludność polska zamieszkująca Warmię (od 1466 r. należąca do Polski) także po 1525 r. pozostawała przy katolicyzmie. Faktem jest, że wiele praktyk katolickich kultywowano na Mazurach również w parafiach luterńskich. Kwitł tam kult Matki Bożej i innych świętych, odbywały się procesje do czterech ołtarzy w Boże Ciało, podczas obrzędów religijnych stosowano wodę święconą, w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny święcono zioła itp. Mazurzy odwiedzali kościoły katolickie oraz obchodzili rozmaite święta nieuznawane przez Kościół ewangelicki, w tym uroczystość św. św. Piotra i Pawła przypadającą na 29 czerwca. W niedziele zaś nawiedzali świątynię w Świętej Lipce, słynącą z cudownego obrazu Matki Bożej. Istniał nawet zwyczaj, zgodnie z którym każdy Mazur powinien był raz w życiu przyjąć Komunię św. w kościele katolickim.

Plebiscyt na Mazurach

W XIX w. rząd pruski czynił wszystko, żeby szybko zgermanizować ludność mazurską. Działaniom tym sprzeciwiali się m.in. obrońcy i propagatorzy języka i kultury polskiej: Krzysztof Celestyn Mrongowiusz, Gustaw Gizewiusz, Marcin Gregor. Specyficzną postawę zajmował Marcin Giersz, wydawca „Gazety Leckiej” oraz corocznych edycji „Kalendarza Królew-

ska-Pruskiego i Ewangelickiego”. Uważał się on za Mazura pruskiego, odrzucał zaś tożsamość polską i niemiecką. W swoich publikacjach gloryfikował dynastię Hohenzollernów, zaznaczając odrębność językową Mazurów i Niemców. Zachowywał jednak życzliwy stosunek do sprawy polskiej oraz Polaków, zamieszczał dzieła licznych wybitnych pisarzy polskich i, obiektywnie rzecz ujmując, przyczyniał się do podtrzymywania języka polskiego wśród Mazurów.

Na początku XX w. szerokie rozpowszechnienie języka polskiego na terenach Mazur nie oznaczało jednak masowej identyfikacji z polskością. Mazurzy

Kurt Obitz (1907–1945), lekarz weterynarii, parazytolog, dziennikarz, jeden z najwybitniejszych działaczy mazurskich. Fot. Polona



zachowywali tożsamość regionalną, połączoną z przywiązaniem do monarchii pruskiej i religii luterńskiej. Część z nich odznaczała się nieufnością do Polski, którą kojarzyła z katolicyzmem. Jedynie niewielka liczba Mazurów odważnie manifestowała swoją polskości. W 1920 r. odbył się przewidziany w traktacie wersalskim plebiscyt w części Prus Wschodnich. Ludność mazurska na zamieszkanym przez siebie terenie opowiedziała się w zdecydowanej większości za pozostaniem w granicach Niemiec. Na skalę klęski wpłynął przede wszystkim brak świadomości polskiej wśród Mazurów, choć składały się na to także inne czynniki: terror niemiecki, ogromne ilości środków finansowych, które Niemcy mogli przeznaczyć na propagandę (w odróżnieniu od Polski), niezwykle trudna sytuacja militarna i polityczna Rzeczypospolitej (trwał najazd bolszewików na nasz kraj) i szereg innych przyczyn.

W okresie międzywojennym germanizacja Mazurów postępowała, chociaż znajomość języka polskiego wśród nich była jeszcze szeroka. Niestety niewiele z tego wynikało. Na listy NSDAP w wyborach parlamentarnych padało w Prusach Wschodnich procentowo więcej głosów niż w innych częściach III Rzeszy. Rządy hitlerowskie kojarzyły się tu bardziej z modernizacją (budowa dróg i budynków użyteczności publicznej, melioracja, elektryfikacja) niż z terrorem politycznym. Był to pewien paradoks, gdyż Prusy Wschodnie stanowiły obszar wybitnie zaniedbywany przez rząd w Berlinie.

Dla Mazurów związanych z odrodzoną Polską i polskością swoistym „mazurskim Piemontem” stał się powiat działdowski – jedyny skrawek Mazur przyłączony do Polski w wyniku trakta-



Kraina Tysiąca Jezior z lotu ptaka; lasy, meandry rzek i, rzecz jasna, jeziora tworzą niepowtarzalny mazurski pejzaż. Fot. Waldemar Bzura

tu wersalskiego, bez plebiscytu. Tworzone tu stowarzyszenia i organizacje mazurskie. Jednym z nich było Towarzystwo Przyjaciół Mazur, które powstało wiosną 1921 r. i skupiło wielu działaczy plebiscytowych, m.in. pastora Ewalda Lodwicha jako prezesa, Jana Majkowskiego, Wilhelma Borutę, Karola Małłkę, a także innych, którzy uszli z Prus Wschodnich do Polski.

Czasy studenckie

Kurt Obitz urodził się 16 stycznia 1907 r. w Brzozowie, niedaleko Węgorzewa. Jego rodzice byli zamożnymi gospodarzami, posiadali nawet dwa domy w Królewcu. W jego rodzinie rozmawiano jednak już tylko po niemiecku. Kurt ukończył gimnazjum w Królewcu w 1925 r. Już wtedy zaczął identyfikować się z mazurskością. Po maturze podjął studia w Wyższej Szkole Weterynaryjnej w Berlinie. Odważnie demonstrowana przez Kurta mazurska tożsamość stała się źródłem jego rozmaitych problemów. Nacjonalistycznie nastawieni studenci nazywali go polskim szpiegiem. Zaniepokojeni sytuacją rektor, prof. Friedrich Claus Albert Schottler (1869–1935), poprosił olsztyńską nacjonalistyczną organizację niemiecką o nazwie Wschodniopruska Służba Ojczyźniana (Heimatsdienst) o opinię na temat kłopotliwego studenta. Organizacja stwierdziła, że Kurt Obitz współpracuje z „Gazetą Olsztyńską” oraz „Mazurskim Przyjacielem Ludu” i sugerowała, żeby niepokornego studenta ukarać odebraniem mu stypendium. Tak też się sta-

ło. Obitz pozbawiono środków do życia i kontynuowania nauki. Na szczęście wsparli go rodzice, dorabiał też roznosząc ulotki. Pomimo przeszkód Kurt nadal i studiował, i prowadził działalność na rzecz ludu mazurskiego.

W 1923 r. w Elku utworzono organizację o nazwie Związek Mazurów (Masurenbund). Inicjatorem jej powstania był Gustaw Sawicki, do którego przyłączyli się m.in. jego brat Jan, kupiec Adolf Szymańczyk i sekretarz elckiego magistratu Burghard. Pierwsze zebranie Związku odbyło się 13 kwietnia 1924 r. w Sochach w powiecie elckim. Przedstawiono na nim szereg postulatów: zastąpienie urzędników niemieckich urzędnikami mazurskimi, wprowadzenie języka polskiego do szkół, zwłaszcza nauczanie Mazurów religii i śpiewu w tym języku, oddanie Mazurom parcel rządowych i ustanowienie dla nich systemu kredytowego, przywrócenie ludności mazurskiej dawnych przywilejów. Po zebraniu w Sochach Masurenbund liczył już 180 członków.

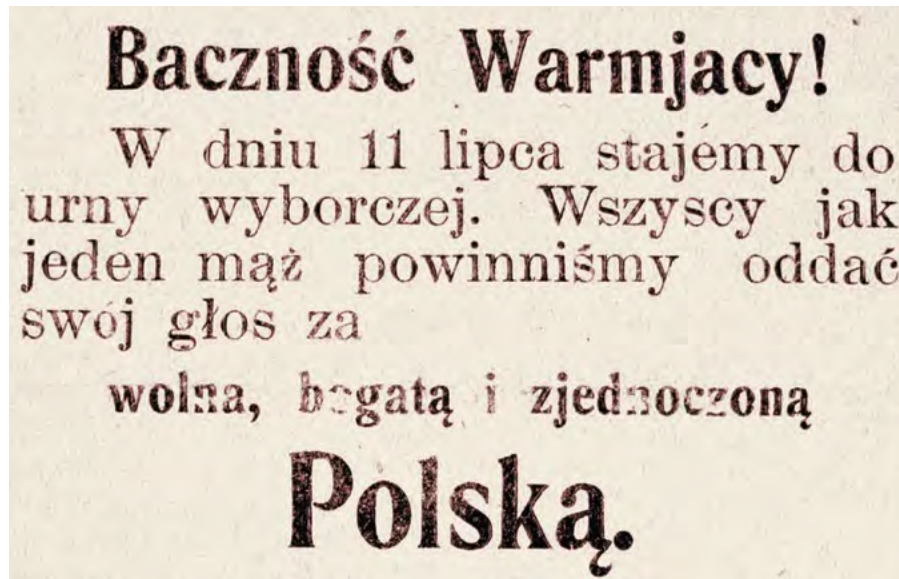
Bardzo szybko rozpoczęły się represje wymierzone w działaczy Związku Mazurów, które zahamowały jego aktywność. W listopadzie Masurenbund został reaktywowany w Berlinie przez Kurta Obitz (który został jego przewodniczącym), braci Sawickich, Adolfa Szymańczyka i doktora Dzióbka. Wkrótce ci sami działacze założyli także Centralną Radę Mazurów, której również przewodził Kurt Obitz. Od 1 maja 1929 r. wraz ze współpracownikami wydawał on miesięcznik „Cech” z podtytułem: „Gwara nasa, trzymajcie się!”,

zamienionym później na: „Wiara nasa, trzymajcie się”. Ze względu na daleko posuniętą germanizację pismo ukazywało się w języku niemieckim z wyjątkiem polskiego tytułu, zawołania i pisanego gwara mazurską przez Gustawa Sawickiego felietonu „Fryc z Płowcow soli im”. Miesięcznik wychodził w latach 1930–1933, jego redaktorem naczelnym i autorem większości tekstów był Kurt Obitz.

„Cech” krytykował przede wszystkim politykę społecznej i gospodarczej dyskryminacji ludności mazurskiej, czyniąc to często z pozycji lewicowych. Podkreślał, że Mazurzy nie są Niemcami, że ich los jest mazurski, a nie niemiecki. Głosił też pogląd, że Mazurzy są osobnym narodem. Można zatem stwierdzić, że Kurt Obitz reprezentował w „Cechu” idee separatyzmu mazurskiego, tyle że łączył się on jednak z sympatią dla polskości i ze zdecydowaną obroną języka i kultury Mazurów. W ramach miesięcznika wydrukowano też specjalny dodatek po polsku „Jutrznia, mazurskie pieśni ludowe”, a nawet „Rotę” Marii Konopnickiej.

W Polsce

Mimo zaangażowania w sprawy dotyczące Mazurów Kurt Obitz ukończył studia i 31 maja 1930 r. uzyskał stopień doktora medycyny weterynaryjnej po napisaniu pracy „O rozprzestrzenianiu się niektórych robaków i pierwotniaków pasożytniczych bydła na obszarze depresji łąkowych Równiny Północnoniemieckiej, okręgu Westhavelland”. Później



Ulotka wzywająca mieszkańców Warmii do udziału w plebiscycie 11 lipca 1920 r., który miał zadecydować o kształcie polskiej granicy. Fot. muzeum.gliwice.pl

przez rok pracował w rzeźni w Hamburgu, równocześnie kształcąc się w zakresie parazytologii (nauki o pasożytach) w Instytucie Chorób Tropikalnych (obecnie: Bernhard-Nocht-Institut für Tropenmedizin). W 1931 r. został asystentem w Wyższej Szkole Weterynaryjnej w Berlinie. Nie mógł jednak spokojnie pracować naukowo. Zarówno bowiem on, jak i jego promotor – profesor Wilhelm Nöller (1890–1964), zaczęli być szykanowani i zastraszani. Wydawana w latach 1886–1939 „Gazeta Olsztyńska” pisała: „W piątek, dnia 15 maja [1931 r.] popołudniowa prasa berlińska, głównie nacjonalistyczna, przyniosła na naczelnych miejscach wiadomość o proteście studentów wyższej szkoły weterynaryjnej w Berlinie przeciwko asystentowi teście uczelni dr. Kurtowi Obitzowi. (...) Przyczyną demonstracji miał być fakt, że dr Obitz ‘przyznaje się do polskości i utrzymuje stosunki z kołami polskimi, które nie tylko popierają narodowość polską, lecz służą wybitnie irredentystycznym [dążącym do wyzwolenia narodowego, niepodległościowym – przyp. red.] celom”.

Dalej „Gazeta Olsztyńska” stwierdzała, że za protestami stoi hakatystyczny dziennik „Ostdeutscher Heimatdienst” wydawany w Olsztynie przez Wschodniopruską Służbę Ojczyźnianą (Heimatdienst). Według tego dziennika „przestępstwem” Kurta Obitza było wydawanie miesięcznika „Cech” przeznaczonego dla Mazurów. „Gazeta Olsztyńska” informowała ponadto, że 16 maja 1931 r. pruski minister rolnictwa Steigern zwolnił Kurta Obitza z pracy na uczelni bez wypowiedzenia, „ponieważ poza swoimi obowiązkami prowadził działalność antyniemiecką na rzecz Polski”. Swoją artykul gazetę zakończyła wezwaniem: „W długim szere-

gu naszych braci Mazurów, prześladowanych za polskość zarówno przed wojną, jak po wojnie przybywa jeszcze jedna postać młodego, bo zaledwie 23-letniego lekarza-weterynarza, dr. Kurta Obitza. Sprawa jego rzuca znowu charakterystyczne światło na stosunki panujące w Rzeszy w ogóle, zwłaszcza na Mazowszu pruskim, i przypomina całemu społeczeństwu polskiemu w Niemczech o obowiązkach wobec rodaków, zamieszkujących południe Prus Wschodnich. (...) Sprawa Obitza jest sprawą całego naszego społeczeństwa, które w zwartym szeregu musi stanąć za młodym bojownikiem, który samodzielnie, wraz z gronem swych przyjaciół, wszedł na drogę związania kulturalnego szerokiego rzesz mazurskich z polskością i narodem polskim”.

Kurt Obitz zaskarżył do sądu decyzję usunięcia go z uczelni. Pomocy udzielił mu radca prawny Związku Polaków w Niemczech dr Bruno Opęchowski. Sąd jednak stwierdził, że dr Obitz jest wrogiem państwa niemieckiego. Sprawa stała się głośna w Polsce i była szeroko komentowana przez polskie gazety. W czerwcu 1931 r. Kurt Obitz otrzymał zaproszenie od Rady Wydziału Weterynarii Uniwersytetu Warszawskiego do objęcia asystentury przy tamtejszej katedrze parazytologii; wielkiej pomocy udzielił mu wówczas dr Czesław Stankiewicz. W Warszawie, w domu Emilii Sukertowej-Biedrawiny – pisarki i działaczki związanej z Warmią i Mazurami, Kurt Obitz poznał Helenę Szyłską, z którą zawarł związek małżeński 5 stycznia 1933 r. w kościele ewangelickim w Warszawie.

1 września 1935 r. powstał Zakład Parazytologii i Chorób Inwazyjnych jako Dział Parazytologii Wydziału Weterynaryjnego Państwowego Instytutu Nauko-

wego Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach. Pierwszym jego kierownikiem został właśnie dr Kurt Obitz, który w pracy naukowej zajmował się zwalczaniem chorób pasożytniczych zwierząt domowych. Dociekania prowadził wspólnie z wybitnymi uczonymi: prof. Witoldem Stefańskim i dr. Stanisławem Wadowskim. Prace swoje publikował m.in. w „Pamiętniku Puławskim” i „Wiadomościach Weterynaryjnych”. Obitz brał udział w XIII Międzynarodowym Kongresie Weterynaryjnym w Zurychu, był także delegowany do Instytutu Pasteura w Algierze, Instytutu Weterynarii w Budapeszcie i Zakładu Parazytologii Uniwersytetu Paryskiego. W marcu 1939 r. został członkiem Naukowej Rady Weterynaryjnej przy ministrze rolnictwa. Świadczy to o jego wysokiej pozycji naukowej, gdyż do rady tej należeli najwybitniejsi specjaliści.

Podczas pobytu w Polsce Kurt Obitz nie zaprzestał działalności na rzecz Mazurów. Zbierał materiały związane z historią i kulturą mazurską. W 1933 r. utworzono konspiracyjny Mazurski Komitet Opieki Kulturalnej nad Rodakami z siedzibą w Warszawie, którego był prezesem, działając pod pseudonimem „Dembowski”. Komitet wystosował szereg memoriałów postulujących zmianę polityki władz Rzeczypospolitej Polskiej wobec Mazurów na Działdowszczyźnie. Kurt Obitz odwiedzał kilkakrotnie Prusy Wschodnie, utrzymywał kontakty z działaczami Masurenbundu w Niemczech oraz Związku Mazurów w Działdowie. W tej ostatniej organizacji, utworzonej w 1935 r., został wybrany na przewodniczącego Komisji Rewizyjnej. W ramach aktywności w Związku Mazurów wygłaszał wykłady z historii Mazur, zebrane potem w pracę „Dzieje ludu mazurskiego”. Została ona opublikowana w języku polskim dopiero w 2007 r., w opracowaniu prof. Grzegorza Jasińskiego z Olsztyna. Kurt Obitz w ramach Związku Mazurów utrzymywał kontakty z wybitnymi postaciami tego ruchu: Karolem Małkiem, Janem Jagiełką-Jagertalem, Gustawem Leydingiem juniorem, z młodym artystą Hieronimem Skurpskim, a także z działaczami litewskimi w Prusach Wschodnich. Na marginesie dodajmy, że sam bardzo interesował się kulturą i sztuką litewską.

II wojna światowa

Jak widzimy, Kurt Obitz, mieszkając w Polsce, realizował swoje ambicje naukowe i nadal mocno angażował się w prace na rzecz Mazurów. W latach 1938–1939 starał się o przyznanie mu obywatelstwa polskiego, ale na przeszkodzie jego uzyskania stanął kataklizm dziejowy. Po wybuchu wojny został ostrzeżony przez

siostrę z Królewca, że szuka go gestapo. Wyjechał więc na Wołyń. Szybko jednak powrócił do pracy w Instytucie, zmieniając dla ostrożności miejsce zamieszkania. To nie wystarczyło. Niemcy aresztowali go 8 lutego 1940 r. Został przetransportowany do więzienia w Lublinie, gdzie odmówił podpisania niemieckiej listy narodowościowej i został skazany na pobyt w obozie koncentracyjnym w Dachau. Do tej straszliwej niemieckiej „fabryki śmierci” przewieziono go 21 czerwca 1940 r. Dzięki swojemu wykształceniu otrzymał zlecenie opieki nad miejscową psiarnią i królikarnią, co umożliwiło mu zdobywanie dla współwięźniów żywności. Podobnie jak inni uwięzieni w Dachau, poddawany był pseudomedycznym doświadczeniom i badaniom w stacji malarycznej, która stanowiła prywatne laboratorium makabrycznego zbrodniarza dr. Clausa Schillinga, profesora parazytologii Wyższej Szkoły Weterynaryjnej w Berlinie.

Córka Kurta Obitza przyszła na świat w 1940 r., już po aresztowaniu ojca. On zaś zobaczył ją tylko na fotografii, którą żona Helena przemyściła w przysłanej mu torbie z cukrem. W Dachau, gdzie był więziony przez 1774 dni, zachorował na gruźlicę płuc. Po wyzwoleniu obozu przez wojska amerykańskie został skierowany do szpitala Ausländer Heilstätte w Lautrach w powiecie Memmingen. W placówce tej, prowadzonej przez protestanckie diakonisy, spędził ostatnie miesiące swojego życia. Poprosił tam jedną z siostr, by o jego śmierci powiadomiono żonę mieszkającą w Polsce. Diakonisa zanotowała wszelkie jego dane, po czym zapytała go, kim jest w sensie narodowości. Gdy odpowiedział: „Jestem Polakiem”, wydawało się jej to dziwne, gdyż pacjent nienagannie mówił po niemiecku. Dlatego też bardzo dobrze go zapamiętała i mogła złożyć świadectwo dotyczące jego osoby nawet po blisko 50 latach.

Dr Kurt Obitz zmarł 26 sierpnia 1945 r., przeżywszy zaledwie 38 lat. Pochowany został na cmentarzu Zakładu Opieki Schutzengelheim w Lautrach (nr grobu 182), który po 25 latach zrównano z ziemią.

Kurt Obitz – jeden z najwybitniejszych działaczy mazurskich, czuł się przede wszystkim Mazurem, wiążąc swoje życie z częścią tradycji i kultury pruskiej współtworzonej przez polskojęzycznych ewangelików. Równocześnie jednak uważał się za Polaka, był wierny do końca Ojczyźnie, jak mawiał – swoim dawnym polskim przodkom. Po wyjeździe do Rzeczypospolitej z pewnością zaczął rozumieć, że tylko związek z Polską da Mazurom możliwość zachowania kultury, języka i tożsamości. Nie był w stanie przewidzieć sytuacji komunistycznego znie-

wolenia, w warunkach którego prawie wszyscy Mazurzy wyjadą do Niemiec. Dziś w Polsce prawie ich nie ma. W 2011 r. podczas Narodowego Spisu Powszechnego identyfikację mazurską zadeklarowało 1376 osób, w tym 1125 jako identyfikację drugą, a 1027 zdecydowało się na nią wraz z identyfikacją polską.

Pamięć o Kurcie Obitzu ciągle pozostaje żywa. Jego imię nadano jednej z ulic w Olsztynie (w Kortowie), w Działdowie umieszczono tablicę pamiątkową ku jego czci, a (jak pamiętamy) w 2007 r. prof. Grzegorz Jasiński (historyk z UWM w Olsztynie) wydał *Dzieje ludu mazurskiego* z obszernym wstępem na temat Kurta

Tekst i nuty „Hymnu Warmińskiego” z muzyką Feliksa Nowowiejskiego. Fot. muzeum.gliwice.pl



Szkic ze spotkania prof. Andrzeja Nowaka z posłami AfD

Zjawisko agresywnych imperializmów, porozumiewających się między sobą kosztem słabszych, jest stale powracającą pokusą

Olga Doleśniak-Harczuk

W miejscu, gdzie od 2003 r. stoi Marie-Elisabeth-Lüders-Haus (MELH), przebiegał ponad trzy dekady temu *Hinterlandmauer* – drugi mur wewnętrzny po stronie Berlina Wschodniego. W tym należącym do Bundestagu budynku, gdzie urzędują naukowe pionierzy Bundestagu i obradują komisje parlamentarne, można zobaczyć jego zachowane fragmenty wkomponowane w szkło i stal. Mieści się tu też archiwum i magazyn tajnych akt oraz biblioteka licząca obecnie 1,6 mln książek; co roku dochodzi kolejne 8 tys. W czytelni MELH są nie tylko najnowsze publikacje z dziedziny prawa, politologii i historii, ale i książki z XVI w.

To w tym budynku Bundestagu miało miejsce 8 października br. spotkanie z prof. Andrzejem Nowakiem, zorganizowane przez posłów AfD; jeśli przyjąć by osobliwe standardy debaty politycznej w Polsce, nie miało prawa do niego dojść. Odbyło się w sali 3.101, gdzie odbywają się posiedzenia komisji parlamentarnych, zazwyczaj nt. polityki społecznej, cyfryzacji, gospodarki i energii; czasem można im się przysłuchiwać na miejscu. W 2019 r. rozmawiali tu przedstawiciele Niemiecko-Francuskiego Zgromadzenia Parlamentarnego. Sala ta pełni ważne funkcje w życiu parlamentarnym niemieckiej stolicy i nie jest bynajmniej „salką podnajmowaną przez AfD”.

Ofensywa czaru

Gospodarzami spotkania byli posłowie AfD dr Götz Frömming, Adam Balten i dr Alexander Wolf. Wyjaśnili na początku, że w ramach Parlamentarnej Komisji ds. Kultury i Polsko-Niemieckiej Gru-

py Parlamentarnej szukali od pewnego czasu kontaktów z Polską i że rozmawiali już z reprezentantami naszego kraju. Zaznaczyli, że rozmowy są dla nich „parlamentarną oczywistością”, że zaproszenie prof. Nowaka – historyka, a nie polityka, nie było przypadkowe ze względu na zarówno charakter ich pracy parlamentarnej, jak i temat spotkania: związek między Niemcami i Polską na płaszczyźnie kultury i historii. Polskę nazwali „wschodnim przyjacielem Niemiec”, co po niemiecku brzmi mniej niezręcznie niż po polsku.

Posłowie, chcąc zapewne pokazać, że mają dobre intencje, a spotkanie nie jest dziełem przypadku, nawiązali do sporu między Warszawą a Berlinem w sprawie redukcji dotacji na nauczanie języka niemieckiego dla mniejszości niemieckiej w Polsce. Sprawa była głośna po obu stronach granicy. Gospodarze zaznaczyli, że z początku, na wieść o cięciach Warszawy, „chcieli protestować”, ale po zapoznaniu się ze sprawą zauważyli, że „Polacy nie zrobili tego tak po prostu i że w przeciwieństwie do Niemców wypełniali obowiązki wynikające z zapisów traktatu” – z 1991 r. o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy.

AFD przygotowało wtedy szereg szczegółowych pytań do rządu federalnego, dotyczących nauczania języka polskiego w Niemczech i niemieckiego w Polsce oraz projekt, który wedle Götz Frömminga: „Był tak dobry, że partie rządzące obawiały się, że mógłby zostać wcielony w życie i przyszli do nas nawet przedstawiciele SPD w tej sprawie” [posłowie nie podali ani daty, ani numeru druku wspomnianych dokumentów, ale można założyć, że

chodziło o zapytanie z 11 marca 2022 r. oraz kolejne, mające znamiona projektu, z 22 marca 2023 r.].

Sprawa polskiego napisu w Miejsu Pamięci KZ Dachau

Następnie poseł Frömming wspominał o wniosku AfD z listopada 2024 r. do rządu federalnego, by ten zmobilizował władze Bawarii do wyrzucia na pomnik w Muzeum Pamięci byłego obozu koncentracyjnego w Dachau napisu *Nie wieder* również w języku polskim: „Nigdy więcej”. Faktem jest, że napis w tym miejscu widnieje w pięciu językach – angielskim, jidysz, francuskim, niemieckim i rosyjskim, a po polsku go brak. Mimo iż Polacy stanowili w KZ Dachau największą grupę narodowościową. Ten wniosek AfD, o czym na spotkaniu już nie wspomniano, nie został poddany głosowaniu w parlamencie; od razu w grudniu skierowano go do kilku komisji parlamentarnych, które do dziś nie wydały rekomendacji.

Jak dobrze poszukamy w czeluściach wyszukiwarki Bundestagu, znajdziemy protokół z 5 grudnia 2024 r., a w nim odnotowaną reakcję posła AfD Stephana Brandnera wobec zgromadzonych: „Co tu można mieć przeciw?”. Kiedy głosami wszystkich poza AfD partii obecnych na sali wniosek trafił do komisji, Brandner skomentował to słowem: „Kartell!”. Znacząc porządku panujące w Bundestagu, niemożliwością było, by pozostałe partie przystąpiły na prośbę AfD. Powodów jest kilka, ale zasadnicze trzy. Pierwszy to zaporą ogniową między CDU/CSU i AfD, nieco poluzowana przez chadeków na gorący czas przed wyborami do Bundestagu, by wykazać deter-

minację w sprawie zmian polityki imigracyjnej. Drugi to nieujęta żadną partijną regułą niechęć pozostałych partii do AfD, połączona zwłaszcza z nieufnością w obrębie tematów okołojennych. Powód trzeci stanowi oficjalne wykluczanie delegacji posłów, radnych i samorządowców związanych z AfD przez wszystkie dyrekcje Miejsc Pamięci byłych obozów koncentracyjnych. Z uwagi zatem na wnioskodawcę sprawa napisu w Dachau w języku polskim jest przegrana, choć słuszna.

Takie są realia niemieckiego parlamentarizmu, a izolowanie AfD, zwłaszcza na płaszczyźnie kultury pamięci, nie wzięło się znikąd. Paliwa dostarczył w 2018 r. Alexander Gauland, ówczesny przewodniczący AfD i jej frakcji w Bundestagu, który, odnosząc się do odpowiedzialności Niemców za narodowy socjalizm i zbrodnie lat 1939–1945, powiedział na kongresie Junge Alternative (młodzieżówki AfD): „Tylko ten, kto przyznaje się do swojej historii, ma moc kształtowania przyszłości. Tak, przyznajemy się do odpowiedzialności za te dwadzieścia lat”. Dodał potem jednak zdanie, które przekreśliło te wcześniejsze: „Hitler i naziści byli

tylko ptasim kleksem w ponad 1000-letniej, chwalebnej historii niemieckiej”. Za każdym razem, gdy delegacja AfD składa wieniec w miejscu kaźni ofiar narodowego socjalizmu, wybucha afera.

Wypowiedź Gaulanda ustawiła na lata postrzeganie AfD jako partii relatywnizującej historię. O aktualizację tej opinii zadbał najjaskrawiej Björn Höcke i jego zaplecze spod znaku oficjalnie rozwiązanej skrajnej Skrzydła (Der Flügel). Po Gaulandzie i Höckem był jeszcze Maximilian Krah, którego kontrowersyjny komentarz dotyczący SS kosztował europosła AfD wykluczenie z grupy Tożsamość i Demokracja (ID). Sam Krah dostał w 2024 r. zakaz kandydowania do PE, stracił też miejsce w prezydium partii. Szybka akcja kierownictwa (Alice Weidel i Tino Chrupalli) została odczytana jako kara dla Krah'a i próba zminimalizowania strat wizerunkowych przed wyborami do PE. Sprawa przycichła, Krah w tym czasie kandydował do Bundestagu, dostał się i należy do klubu parlamentarnego AfD. Tego typu historie nie ułatwiają AfD pozbycia się wizerunku partii tolerującej rewizjonizm historyczny.

Pamięć historyczna w liczbie mnogiej

Na wstępie spotkania poseł Frömming zapewnił jeszcze, że AfD stara się „działać na rzecz sprawiedliwości, że szukamy też rozmów z Polską. To dzisiejsze wydarzenie nie jest po to, by zawierać nowe polityczne sojusze, dlatego też zostało zorganizowane przez polityków zaangażowanych w sprawy związane z kulturą”. Po werbalnych ukłonach w stronę prof. Andrzeja Nowaka posłowie odnieśli się do koncepcji Domu Polsko-Niemieckiego, czyli faktycznego tematu spotkania. Zaznaczyli, że projekt ten budził ich sceptycyzm, gdyż „konceptcja stworzona została przez stronę niemiecką, przez niemieckich naukowców, pedagogów, etc., a takie miejsce powinno powstać adekwatnie do swojej nazwy na skutek współpracy Niemców i Polaków, na partnerskich zasadach”. Czy podany powód sceptycyzmu był jedynym, to temat na osobny artykuł.

Wykład prof. Andrzeja Nowaka miał dotyczyć koncepcji Domu Niemiecko-Polskiego i tak też został skonstruowany, co nie przeszkodziło historykowi uczynić

Prof. Andrzej Nowak podczas spotkania w Bundestagu 8 października br. Na stole leży niemieckojęzyczne wydanie „Dziejów Polski” powstałe staraniem Białego Kruka, który opublikował również po niemiecku książkę „Polska i Rosja”; trzyma ją w rękach poseł AfD Adam Balten. Fot. YouTube/AFDFraktionimBundestag





W czasie Powstania Warszawskiego Stare Miasto było terenem krwawych walk; niektórych powstańczych reduct Niemcy nigdy nie zdobyli, jednak po upadku Starówki planowo zniszczyli historyczną zabudowę. Na zdjęciu: wypalone kamienice na Rynku Starego Miasta (Strona Dekerta). Fot. Wikimedia

z planowanego miejsca pamięci wehikułu idei znacznie przekraczających wspomniany projekt: „Jestem obywatelem Polski i w tym sensie jestem zainteresowany stosunkami z Niemcami jako naszym najważniejszym sąsiadem, czy jednym z najważniejszych; trudno tutaj o hierarchię i nie powinno się jej wprowadzać. Mówię z tego miejsca także jako historyk, bo nim jestem, od lat zajmuję się historią Europy Wschodniej, w której Niemcy odgrywały bardzo ważną rolę, choć moja specjalność kieruje mnie raczej ku stosunkom polsko-rosyjskim”.

Prof. Nowak wyjaśnił też, iż bierze udział w spotkaniu jako osoba prywatna, jako historyk i obywatel Polski, a nie jako doradca prezydenta RP. „Wcześniej żadnych funkcji publicznych nie pełniłem, nie byłem członkiem żadnej partii i nie jestem członkiem żadnej partii” – doprecyzował historyk, dziękując za zaproszenie do rozmowy oraz za inicjatywę Domu Polsko-Niemieckiego, którą nazwał „bardzo dobrą”: „Miejsce to wypełni pewną lukę dotyczącą nie tylko historii, ale też teraźniejszości i, mam nadzieję, przyszłości w stosunkach polsko-niemieckich”. W szczególny sposób powinna zostać zapamiętana propozycja, którą przedstawił polski uczyony, bo odbiega ona od sztafpowego podejścia do polityki pamięci. Podsunął on bowiem myśl, by wymienione w koncepcji, zaakceptowanej przez rząd federalny, Domu Polsko-Niemieckiego trzy

filary: Upamiętnienie, Spotkanie i Zrozumienie – rozumieć w liczbie mnogiej.

„Nie chodzi mi o to, żeby powstało 100 pomników ofiar polsko-niemieckich. Chodzi mi o to, że każdy ma prawo do indywidualnej pamięci i trzeba to uszanować. Żadna pamięć odgórnie narzucana nie może stać się obowiązującą. Musimy zachować prawo jednostek do indywidualnej pamięci. Taka jest część kultury wolności – a więc różne upamiętnienia i spotkania. (...) Chodzi też o to, ażeby spotykały się w takim miejscu i w innych miejscach ludzie o różnych punktach widzenia. Ludzie, którym nie wyznacza się wąsko ram pamięci poprawnej politycznej. A więc ludzie, którzy z różnych perspektyw, ale wspólnie są zainteresowani rozwijaniem stosunków sąsiedzkich między Polską a Niemcami, którzy patrzą na historię, teraźniejszość i przyszłość tych stosunków. Właśnie istotna różnorodność, a nie różnorodność pozorowana powoduje, że upieram się przy pojęciu spotkania w liczbie mnogiej. I wreszcie zrozumienie. (...) Choć jestem zwolennikiem arystotelejskiej definicji prawdy jako zgodności sądu i rzeczywistości, a więc wierzę w jedną rzeczywistość, to jednak uważam, że w materii opisującej tak różne doświadczenia, traumy i pozytywne doświadczenia trzeba zachować możliwość różnych perspektyw, także na doświadczenia przeszłe – a więc różnych sposobów rozumienia naszej przeszłości.

Znów obawiam się bowiem narzucania jednego, obowiązującego dla wszystkich sposobu interpretacji przeszłości. Takie metody były przyjmowane w czasach, kiedy dorastałem w Polsce pod rządami komunistycznymi. W innych przypadkach, w innych ustrojach też się to zdarzało. To nie służy ani historii, ani społeczeństwu”.

Polacy – mniej zauważane ofiary Niemców

Bardzo pozytywny aspekt projektu budowy Domu Niemiecko-Polskiego dostrzegł polski uczyony w upamiętnieniu w nim „ofiary mniej zauważanych” – to cytata z projektu rządu federalnego w tej sprawie. „Polska należy do mniej zauważanych ofiar w niemieckiej pamięci realnej, w niemieckiej kulturze pamięci – kontynuował prof. Andrzej Nowak. – Przykładem tego są badania opinii publicznej przeprowadzane przez najbardziej rzetelne instytucje w Niemczech, które tym się zajmują. Ostatnie, do których miałem dostęp, są z 2019 r., kiedy postawiono niemieckim respondentom pytanie, kto powinien być upamiętniany we współczesnych Niemczech (...). Na pierwszym miejscu słusznie zostali wymienieni Żydzi, o których upomniało się 82 proc. respondentów. Na drugim miejscu była grupa Sinti i Roma – 44 proc., a następnie niepełnosprawni, zamordowani w czasie II wojny światowej i członkowie niemieckiego ruchu oporu – 5 proc. Dalej homoseksualiści i coraz mniej liczne kategorie oscylujące już wokół lub poniżej 1 proc. Nie było w tej kategorii nie tylko Polaków, ale żadnych innych narodów wschodniej Europy poddanych niemieckiej okupacji w czasie II wojny światowej. I to jest wymierne świadectwo stanu niemieckiej pamięci. Podobne badania przeprowadził chyba dwa lata później Instytut Pileckiego, polska instytucja zajmująca się historią II wojny światowej, które potwierdziły dokładnie ten sam stan rzeczy”.

Prof. Andrzej Nowak zadał wówczas pytanie, czy zamordowanie wskutek niemieckiej agresji na Polskę i polityki okupacyjnej Niemiec miliona czterystu tysięcy polskich obywateli cywilnych, którzy nie byli Żydami, to jest dość, żeby upomnieć się o specjalne miejsce w niemieckiej pamięci – „to jest cztery razy mniej niż Żydów zamordowanych przez Niemców, ale czy cztery razy mniej oznacza, że nie warto pamiętać?”.

Warto w tym miejscu nadmienić, że w zatwierdzonym w ubiegłym roku przez rząd federalny projekcie wykonawczym Domu Niemiecko-Polskiego znalazło się wyjaśnienie dotyczące liczby ofiar II wojny światowej w Polsce: „Liczby ofiar śmiertelnych można oszacować jedynie w przybliżeniu. Wynika to z ogromnych

zniszczeń, jakim uległy również archiwa i inne źródła statystyczne. Historycy są zgodni, że do dziś losy setek tysięcy osób pozostają nieznane. Szacuje się, że ofiarą okupacji niemieckiej padło 5,2–5,3 mln obywateli polskich. Spośród nich 1,4 mln stanowili nieżydowscy Polacy, a około 3 milionów – polscy Żydzi. Do tej liczby należy dodać jeszcze Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, Romów, a także Niemców”.

Niebezpieczeństwo agresywnych imperializmów

Następnie prof. Nowak odniósł się do planowanych części ekspozycji muzealnej Domu Polsko-Niemieckiego, z których pierwsza ma przypominać tysiąclecie sąsiedztwa niemiecko-polskiego. Uczyony przekonywał, że nie przeważa w tych współlanych dziejach tylko wrogość, nienawiść i – z perspektywy polskiej pamięci – doświadczenie skupione na winie niemieckiej: „Historia stosunków polsko-niemieckich w całym tym tysiącleciu jest dużo bogatsza i warto pokazywać to w najrozmaitszych aspektach. Szczególnie lubię rozważać akurat historyczne aspekty wymiany kulturalnej, która ma bardzo duże znaczenie dla kultury polskiej, a myślę, że ma też pewne znaczenie dla kultury niemieckiej (...) cieszę się, że ten aspekt jest uwzględniony. Cieszę się ponadto, że uwzględniony został bolesny dla nas, dla polskiej strony, aspekt – bardzo ważny, a bardzo często pomijany w świadomości zachodnioeuropejskich członków Unii Europejskiej – czyli znaczenie rozbioru Polski. To oczywiście ogromna trauma w naszej historii – pozbawienie niepodległości przez 123 lata. W procesie tym kluczową rolę odegrały dwa państwa – Prusy Fryderyka II, a później jego następcy Fryderyka Wilhelma I, i oczywiście Rosja Katarzyny II. (...) chcę to podkreślić, ponieważ moment ten wskazuje na szczególne znaczenie skojarzenia polskiej pamięci, niebezpieczeństwa, jakie wynika nie z nacjonalizmu, tylko z imperializmu. Z imperializmów, które porozumiewają się między sobą kosztem słabszych państw.

Wydaje mi się, że jest to niezwykle ważny i aktualny temat także dzisiaj. Skupienie całej uwagi polityki pamięci, dyskusji publicznych, uwagi mediów na kwestii nacjonalizmu, na pewno ważnej i zasługującej na uwagę, spycha w cień dużo bardziej aktualne i ważne współcześnie niebezpieczeństwo agresywnych imperializmów, które są gotowe porozumiewać się ze sobą kosztem słabszych państw. (...) ten właśnie aspekt polskiego doświadczenia historyczne-

go, które nie jest tylko doświadczeniem partykularnym czy traumą, która nie ma znaczenia, powinna być zapomniana, wyleczona. Nie, ponieważ zjawisko imperializmów agresywnych, porozumiewających się między sobą kosztem słabszych i pokusa *appeasementu* ze strony innych mocarstw jest stale nawracającą pokusą, stale nawracającym niebezpieczeństwem, dlatego warto w Domu Niemiecko-Polskim przypominać historię porozumiewających się ze sobą imperializmów i niebezpieczeństwa polityki *appeasementu* ze strony innych mocarstw. (...) z mojego doświadczenia, jako historyka zajmującego się do pewnego stopnia także niemieckim spojrzeniem na polską historię, tym, co najbardziej uderza w ostatnich wiekach, a zwłaszcza w ostatnich latach, w ostatnich dekadach, jest niedostrzeganie Polski. Nie wrogość, tego nie doświadczaamy, tylko pomijanie Polski. Na wschód od Niemiec jest tylko Rosja. (...) taka jest moja ocena stale powtarzającego się lapsusu niemieckich polityków najwyższego szczebla, jak choćby kanclerz Merkel, która setki razy powtarzała ten frazes: ‘Naszym największym sąsiadem na wschodzie jest Rosja’. Wiem, że można to brać symbolicznie, przenieść, że istotnie Rosja jest największym krajem we wschodniej Europie i w szerokim sensie jest najważniejszym sąsiadem Unii Europejskiej. Ale Rosja nie jest sąsiadem Niemiec. Kiedy z ust polityków niemieckich, dziennikarzy niemieckich słyszy-

my, że Rosja jest najważniejszym sąsiadem Niemiec, natychmiast wraca nam to doświadczenie, kiedy Rosja rzeczywiście była sąsiadem Niemiec. To jest doświadczenie dwóch rozbiorów – tego z XVIII w. i tego z paktu Ribbentrop-Mołotow, który zlikwidował niepodległe państwo polskie. Myślę, że warto już z tego powodu upominać się o to, żeby Polska, ale także Litwa, Łotwa, Estonia, Ukraina, Białoruś były dostrzegane jako kraje, które są między Niemcami a Rosją. Też są ważne.

I jest drugi powód, bardzo prozaiczny, który też warto uświadamiać niemieckiej opinii publicznej – Polska chyba akurat ten aspekt rozumie – to aspekt ekonomiczny. Jeśli spojrzymy na dane ekonomiczne współczesnego handlu Niemiec, to w obrotach handlowych Polska jest czwartym partnerem dla Niemiec; po Stanach Zjednoczonych, Chinach i Francji, a daleko przed Wielką Brytanią, Włochami. Gdyby dołączyć do Polski jeszcze Czechy, to obroty Niemiec, czyli import i eksport do Czech i do Polski, są większe niż relacje handlowe Niemiec z Chinami. A jednak myślę, że w wyobraźni przeciwnych Niemców Polska nie istnieje jako ważny partner; dlatego istotne jest, żeby porównywać go z Chinami czy postawić wyżej od Wielkiej Brytanii. Nie chodzi mi o puszenie się obywatela Polski, jacy to my jesteśmy ważni. Nie, to są realne liczby. Po prostu Polska jest dzisiaj bardzo ważnym partnerem ekonomicznym Niemiec, a Niemcy są w pewnym sensie jesz-

Zlokalizowany bezpośrednio nad Sprewą Marie-Elisabeth-Lüders-Haus, miejsce przechowywania archiwum Bundestagu. Fot. Wikimedia



cze ważniejszym partnerem ekonomicznym dla Polski. I właśnie ta wzajemna zależność powinna nas zbliżać. Powinna sprawić, że ze sobą rozmawiamy”. Zdaniem prof. Andrzeja Nowaka najbardziej przeszkadza nam w tej rozmowie ze strony niemieckiej pokusa niedostrzegania Polski, że na wschód od Niemiec liczy się tylko Rosja, oraz to, że Niemcy ustawiają się w roli nauczycieli: „Wylącznie nauczyciela – uczyć Polaków dobrych manier, dobrej pamięci, dobrego postępowania we współczesnej Europie. Są adwokatem Polski; to jeszcze pojęcie dawniejsze, kiedy Polska wstępowała do Unii Europejskiej. Metafora strasznie nieszczęśliwa, tak jakby Polska była oskarżona. (...) Ani Niemcy nie powinni być nauczycielami Polaków, ani Polacy nie powinni być nauczycielami Niemców”.

Polski uczonego zwrócił następnie uwagę na niemal pominięcie w projektowanej wystawie Republiki Weimarskiej, jako „ważnego i niestety jednoznacznie negatywnego z polskiej perspektywy okresu w stosunkach polsko-niemieckich. Ja wiem, że Republika Weimarska w Niemczech jest postrzegana jako ofiara przewrotu nazistowskiego, ale z punktu widzenia polskiego doświadczenia nie byłoby Hitlera, gdyby nie było Republiki Weimarskiej. Nie byłoby na pewno polityki tak radykalnie antypolskiej, jaką realizował Hitler, gdyby nie skrajnie antypolska postawa niemal wszystkich partii i ogromnej części społeczeństwa w okresie Republiki Weimarskiej. (...) przecież projekt Domu Niemiecko-Polskiego ma służyć rozumieniu historii, a trudno zrozumieć historię II wojny światowej, zarówno gdy idzie o politykę narodowych socjalistów wobec Żydów, jak i też wobec Słowian, w tym wobec Polaków, jeżeli nie przejrzymy prasy Republiki Weimarskiej. Jeżeli nie przejrzymy wypowiedzi najważniejszych polityków Republiki Weimarskiej, nie z partii narodowych socjalistów, z pozostałych partii, jak agresywnie nastawione one były na likwidację państwa polskiego. Dlaczego? Bo państwo polskie zaprzeczyło rozbiorom, temu zaborowi, którego Niemcy dokonały w XVIII w. Bez tego doświadczenia z okresu Republiki Weimarskiej trudno zrozumieć to, co stało się w 1939 r. Nie byłoby paktu Ribbentrop-Mołotow, gdyby nie pakt z Rapallo z 1922 r. między Republiką Weimarską a Rosją Sowiecką, którego wszystkie tajne artykuły dotyczyły współpracy przeciwko Polsce, współpracy wojskowej na pierwszych miejscach. A więc warto uwzględnić ten ‘szczegół’, ale ważny ‘szczegół’ w tym akurat fragmencie wystawy Domu Niemiecko-Polskiego” – mówił prof. Andrzej Nowak.

W dalszej części spotkania w sali Bundestagu prof. Nowak wyraźnie dał do zrozumienia, że dzisiejszy imperializm rosyjski ma twarz Władimira Putina, a wykład o imperializmach zawierających sojusze kosztem innych, słabszych, pozostaje aktualny do dziś. Żaden z obecnych posłów AfD ani żaden z uczestników spotkania ze strony niemieckiej nie zdobył się na polemikę.

Schiller i Koselleck – dwaj przewodnicy z przesłaniem

Zdumiewające dla niemieckiej publiki musiało być powołanie się polskiego uczonego na dwóch Niemców – Friedricha Schillera i Reinharta Kosellecka. W przypadku Schillera profesor w sposób szczególny wskazał na znaczenie *Demetriusa*, jego ostatniego, niedokończonego utworu: „Jest to dramat historyczny pokazujący, że między Niemcami a Rosją jest Polska”. Historyk podkreślił, że Schiller był zafascynowany polskim prawem weta.

Co do wybitnego historyka Reinharta Kosellecka, prof. Nowak wspominał o opublikowanym przez niego w 1995 r. na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung” artykule, w którym nie zgodził się on na hierarchizowanie ofiar i protestował przeciwko jednej, ogólnie narzuconej polityce pamięci. Koselleck domagał się też postawienia pomnika polskim



Reinhart Koselleck (1923–2006), niemiecki historyk, teoretyk historiografii, współtwórca semantyki historycznej. Fot. Getty Images/Ullstein Bild

ofiarom niemieckich zbrodni. To był mocny fragment wykładu, w którym była też mowa o tym, że kiedy umierają świadkowie historii, z przeszłością można zrobić wszystko, „nawet Disneyland”.

Niemieckim uczestnikom i gospodarzom (niezależnie od ich faktycznego

stosunku do samego projektu) niełatwo słuchało się też pewnie wprost sformułowanego zarzutu, że w projekcie Domu Niemiecko-Polskiego konsekwentnie unika się nazywania zbrodni na Polakach „ludobójstwem”. Dla naświetlenia tego problemu widzowi niemieckiej polski uczonego przedstawił trzy przykłady celowej eksterminacji Polaków, mordowania ich ze względu na narodowość – Zbrodnię Pomorską, Nadzwyczajną Akcję Pacyfikacyjną (niem. *Außerordentliche Befriedungsaktion*) – przeprowadzoną na terenie Generalnego Gubernatorstwa, oraz stłumienie Powstania Warszawskiego z wyjątkowym aktem bestialstwa, jakim była Rzeź Woli. 15 ton popiołów, o których mówił prof. Nowak w nawiązaniu do ekshumacji Polaków zamordowanych przez swoich niemieckich sąsiadów na Pomorzu i potem przez nich spalonych dla zatarcia śladów, pewnie jeszcze dłuższy czas dźwięczało w niektórych głowach. Wbrew poczuciu, że istnieje przesyt literaturą nawiązującą do II wojny światowej, wbrew złudnemu przekonaniu, że regały uginające się pod książkami o narodowym socjalizmie czy Hitlerze świadczą o powszechności wiedzy o zbrodniach wojennych Niemców, w tym tych dokonanych na Polakach, nie jest to wiedza powszechna. Z różnych przyczyn, po części na skutek przyjętej przez Niemcy polityki pamięci, a po części przez zmiany demograficzne.

Słowo o gospodarzach spotkania

Dr Götz Frömming, Adam Balten i dr Alexander Wolf – to ta trójka posłów AfD zaprosiła do Berlina prof. Andrzeja Nowaka. Uczynili to dobrych kilka miesięcy temu, kiedy polski uczonego nie był jeszcze doradcą prezydenta RP. Pochodzący ze Szlezewiku-Holsztyna Frömming (ur. 1968) zasiada w Bundestagu od 2017 r.; w tej kadencji jest rzecznikiem AfD ds. kultury i zastępcą rzecznika Polsko-Niemieckiej Grupy Parlamentarnej. To jedna z 47 grup działających w ramach Bundestagu, której zadaniem jest współpraca międzynarodowa i zacieśnianie relacji z państwami partnerskimi. Zanim Götz Frömming trafił do polityki, uczył historii, języka niemieckiego i WOS-u m.in. w szkole z internatem i gimnazjum. W 2012 r. obronił doktorat z mediewistyki germańskiej na Technische Hochschule w Karlsruhe. Jest członkiem licznych kuratoriów i rad ważnych instytucji niemieckiej kultury, również tej politycznej – Bundeszentrale für Politische Bildung, która zgodnie z nazwą dba o „polityczną edukację”. W jej kuratorium zasiada także 22 parlamentarzystów, przy czym

liczba miejsc przypadających frakcjom politycznym zależy od ich reprezentacji w Bundestagu; w tej kadencji AfD, z uwagi na sporą liczbę mandatów, ma pięciu swoich przedstawicieli, a Zieloni trzech. Frömming jest również członkiem Rady Fundacji Berliner Schloss Humboldtforum.

Adam Balten urodził się w Polsce w 1983 r. i należy do wcale niemałej grupy posłów AfD, którzy mają albo polskie korzenie, albo polskie żony. Na spotkaniu chętnie opowiadał o swojej polsko-niemieckiej tożsamości. Balten z wykształcenia jest inżynierem mechatroniki, do AfD należy dopiero od czterech lat. Tak jak Frömming jest członkiem Polsko-Niemieckiej Grupy Parlamentarnej.

Alexander Wolf (ur. 1967) pochodzi z Lipska. Choć z AfD związany jest prawie od początku jej powstania, bo od 2014 r., jest to jego pierwsza kadencja w Bundestagu. W latach 2015–2025 zasiadał w hamburskim parlamencie, w Bundestagu działa w Parlamentarnej Komisji Spraw Zagranicznych i jest sprawozdawcą ds. Polski w ramach frakcji AfD. Doktoryzował się na Uniwersytecie Monachijskim nt. problemów proceduralnych związanych z orzeczeniem Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w sprawie „wyroku z Maastricht”.

Patrząc na tę trójkę polityków pod kątem ich „AfD-skości”, czy też przyjmując nieformalną skalę stosowaną w Niemczech do oceny stopnia radykalizmu, najbardziej wybija się spośród nich Alexander Wolf. W lipcu br., podczas debaty Bundestagu poświęconej 30. rocznicy masakry w Srebrenicy, sprzeciwił się nazwaniu jej ludobójstwem, co odbiło się sporym echem w mediach. Miesiąc wcześniej, odnosząc się w Bundestagu do relacji transatlantyckich, wyraził zadowolenie z wyboru Donalda Trumpa na prezydenta USA i jego „patriotycznej, antyzielonej i antygenderowej agendy”. Wystąpienie Wolfa wzbudziło sprzeciw głównie posłów Zielonych, którzy poculi się adresatami jego zarzutów skierowanych teoretycznie do amerykańskiej liberalnej lewicy. Jeszcze w latach 1990., dekadę przed powstaniem AfD, Wolf wydał śpiewnik *Der Schlachtruf* (Okrzyk bojowy), w którym znalazły się m.in. propagandowe pieśni Baldura von Schiracha, tylko w złagodzonej wersji. Fakt ten podchwyciły media w 2017 r., tuż przed landową konwencją AfD w Hamburgu, podczas której Wolf miał kandydować na szefa tamtejszych struktur. Skonfrontowany z zarzutami propagowania treści wyrastających z narodowego socjalizmu, tłumaczył, że „dziś nie wydałby już tego tomiku”. Szefem struktur hamburskich wtedy nie został, przegrał z Dirkem Nockermannem, który do dziś stoi



Alexander Wolf, poseł AfD, jeden z gospodarzy spotkania w Bundestagu. Fot. Getty Images/Florian Gaertner

na czele frakcji AfD w hamburskim parlamencie.

Co się tyczy Götz Frömminga, to jeszcze w 2017 r. „Die Zeit” klasyfikował go jako „umiarkowanego”. Później, kiedy poparł antyimigracyjny kurs swojej partii, zaczęto mu zarzucać radykalizm. W 2020 r. wraz z innymi członkami klubu parlamentarnego AfD zwrócił się do rządu federalnego z żądaniem ograniczenia zwrotów zrabowanych dzieł sztuki (*Raubkunst*) w okresie kolonializmu jedynie do wyjątkowych przypadków; podejście Frömminga nie odbiega od generalnie nieprzychylnego restytucjom dzieł sztuki podejścia AfD.

Słowa wybitnego polskiego naukowca historyka, które padły 8 października br. w jednym z budynków Bundestagu, były więc w tym sensie bardziej potrzebne niż może się wydawać. Zarówno te pośrednio ukazujące polską rację stanu, jak i te, które złożyły się na rzeczowy, suwerenny, bez krzty napuszenia, wykład o relacjach niemiecko-polskich i o ich szczególnie bolesnych rozdziałach. Można, jak widać, mówić o sprawach trudnych bez obrażania drugiej strony, ale i bez schlebienia jej, bez unikania tematów potencjalnie wybuchowych. Po zakończonym wykładzie polskiego historyka niemieccy gospodarze przyznali: *Das war keine leichte Kost* (To nie była łatwa strawa). Słuchając tego wykładu, nie miałam jednak wrażenia, że miało być miło i przyjemnie. Miało być prawdziwie, precyzyjnie i bez zostawiania przestrzeni do jakichkolwiek manipulacji.

Dobrze, że w gmachu wypełnionym książkami i starodrukami, w sercu niemieckiego parlamentaryzmu, gdzie jedna z neonowych instalacji artystycznych została zainspirowana słowami Hanny Arendt „Wolność jest możliwa tylko mię-

dzy równymi sobie” – pojawił się wątek zrabowanego przez niemieckich żołnierzy w czasie II wojny światowej pierścienia Zygmunta Starego. Jeżeli niemieckie muzea są w stanie zwrócić Włochom w geście dobrej woli nielegalnie wyłowione na ich wodach terytorialnych w latach 1970. antyczne wazy, to jakim problemem jest zwrot Polakom pierścienia ich króla? Jest to pytanie nie tylko do Pforzheimer Schmuckmuseum, ale także do polityków, bo to oni decydują ostatecznie o zwrotach zrabowanych obiektów dziedzictwa narodowego i sztuki. Również polityków z AfD, zwłaszcza gdy zasiadają oni w kuratoriach uznanych instytucji kultury. Wykład prof. Andrzeja Nowaka choćby tylko z tej perspektywy trafił tam, gdzie powinien.

Jeszcze słów kilka *à propos* uwagi polskiego uczonego na temat pominięcia w projekcie wykonawczym Domu Niemiecko-Polskiego czasów Republiki Weimarskiej. Niemcom okres ten kojarzy się dziś głównie z serialem *Babylon Berlin* (niebawem wchodzi nowy sezon), bardzo dobrze zrealizowanym, ale utrzymanym w warstwie politycznej na poziomie, o którym mówił polski profesor. Byłoby dobrze, gdyby zapamiętano jego słowa: „Bez Rapallo nie byłoby paktu Ribbentrop-Mołotow”.

Przez lata miałam poczucie, że Polska – poza nielicznymi wyjątkami, jak np. działalność Instytutu Pileckiego w Berlinie czy też często niedoceniana, moim zdaniem, praca Instytutu Zachodniego – nie potrafi wykorzystywać *soft power*, czyli miękkiej siły. Prof. Andrzej Nowak bez tiktów i bez fajerwerków pokazał, że prawdziwa *soft power* ma być zgodnie z nazwą miękka. Miękka i skuteczna.

Naszymi artystami też można, a nawet trzeba się zachwycić

Józef Chełmoński to malarz genialny

Jolanta Sosnowska

Poświęcona Józefowi Chełmońskiemu wystawa w gmachu głównym Muzeum Narodowego w Krakowie zaczyna się od szaleńczego, ekstremalnie szybkiego tempa, nazywanego w muzyce *prestissimo*. Wybijają go galop, a chwilami nawet cwał końskich zaprzęgów trójek i czwórek, rozpędzonych po rozmokłych lub zaśnieżonych stepach. O najsłynniejszej, pędzącej wprost na widza „Czwórce” z 1881 r., o wymiarach 275 x 660 cm, znanej również pod tytułem „Po stepach”, jakże słusznie napisał Tadeusz Dobrowolski, że „demonstruje takie napięcie żywiołowego wprost ruchu, że może uchodzić za typowy przejaw polskiego temperamentu i szlacheckiego zawadiactwa”. „Czwórka” ta nie opuściła jednak swego stałego miejsca, czyli Galerii Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach, ze względu na ryzyko związane z transportem tego wielkoformatowego płótna. W niezmiennym zachwycie można ją oglądać właśnie tam – nie tylko jako uzupełnienie obecnej ekspozycji. W gmachu głównym prezentowana jest miniaturowa, w porównaniu z tym monumentem, wcześniejsza o rok wersja tego obrazu.

Centralna część wystawy, zdominowana przez dzieła, których głównymi bohaterami są konie – temperamentne, gorąco krwiste, nazwana została „Ekspresja według Chełmońskiego”. Podziwiamy na niej po raz pierwszy „Powrót z balu”, obraz z 1873 r. – nie mylić z „Sanną” z 1879 r., która też jest tu prezentowana – dotychczas niepokazywany i nieznan szerokiej publiczności. To o nim pisał swego czasu bez zachwyty Bolesław Prus: „Nie wiadomo, co znaczy malowidło, na którym pewna liczba zwierząt apokaliptycznych udających konie ciągnie sanki powożone przez bezgłowego furmana...”.



Autoportret Józefa Chełmońskiego, wykonany przez artystę w jego dworku w Kuklówce w 1902 r. Fot. Michał Klag

Inaczej zupełnie oceniła to dzieło Helena Modrzejewska, która otrzymała je w darze od artysty. Znakomita aktorka była nim zachwycona; stanowiło prawdziwą ozdobę jej kolekcji w Stanach Zjednoczonych. Odmienne niż Prus spojrzał na to dzieło znawca Stanisław Witkiewicz:

„Wśród bezbarwnego spokoju czerniły się potężne karki olbrzymich karych koni, powiewały ogony i grzywy, rzucały się kopyta, krwawiły się oczy i nozdrza, leciała w powietrze peleryna furmańskiego płaszcza – wszystko to na tle ciemnego nieba, od którego odbijała się twarz ja-



„Wspomnienie z podróży po Ukrainie” zostało namalowane w Paryżu w 1877 r. Galopujące po stepie konie były jednym z ulubionych motywów w twórczości Chełmońskiego. Fot. Michał Klag

snej dziewczyny siedzącej w sankach”. W późniejszej „Sannie” Józef Chełmoński zmienił nieco kompozycję, akcję umieścił za dnia – w oddali majaczy jakaś osada, a w saniach posadził brunetkę, której warokcze fruwały w powietrzu pod wpływem szalonego pędu sań. U woźnicy w rozwianej pelerynie widać tym razem twarz.

Obrazy Józefa Chełmońskiego przedstawiające galopujące zaprzęgi, jak choćby powstała w Paryżu w 1880 r. „Trójka”, wprost nasycone są też dźwiękiem. Niemal słychać śmigłe odgłosy miarowego tętentu ciskających skry końskich kopyt, parskanie wydobywające się z rozgrzanych, nabrzmiatych pianą chrap, melodyjne dzwonki sań. Artysta fenomenalnie malował rozwiane grzywy, rozwarłe pyski, skłębione nogi tratujące rozpryskujące się pod kopytami śnieg czy błoto. Potrafił ukazać w nadzwyczaj dynamicznym pędzie końskie ruchy trwające okamgnienie. Niekoniecznie dbał o to, by szczegóły zaprzęgów odpowiadały realiom. Na wspomnianej „Trójce” tylko środkowy koń ma nad sobą długą (służy do połączenia chomąta przez uzdy z hołoblami, między którymi koń ciągnie pojazd), pozostałe dwa wydają się puszczane niemal wolno, brodaty chłop w futrzanej czapie powozi nimi tylko za pomocą lejców. Malarza nie interesowało, nad czym dywagują twórcy wystawy, czy układ kończyn zwierząt w danym chodzie jest prawidłowy. Sposób ujęcia, który zaproponował, miał służyć wydobyciu i wyrażeniu niebywalej ekspresji, a tym samym, być może, także nieokiełznanej wewnętrznej wolności samego twórcy z tamtych lat.

Odnosi się wprost wrażenie, że tryskające nieujarzmionym wigorem zaprzęgi, skomponowane i malowane z wielką fantazją przez Chełmońskiego już w czasach monachijskich (w latach 1872–1874 studiował na tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych), za chwilę wypadną z ram krępujących je obrazów. Nic dziwnego, że publiczność oglądająca niektóre z nich na wystawach monachijskiego stowarzyszenia artystów Kunstverein, wołała na ich widok: *Zu viel Leben*, a więc – zbyt dużo życia! I nie był to komplement. A jednak – nikt nie mógł dorównać polskiemu artyście w tej maestrii, nawet jeśli nie wszystkim się ona początkowo podobała. Nazywano go z włoską *signor fa presto*, czyli panem szybko malującym.

Na obrazach w środkowej części wystawy podziwiamy też konie niesforne, jak na płótnie „Próba czwórki” (1878), których woźnica nie może okiełznać. W scenach z Kozakami – „Pochód Kozaków”, „Kozacy w marszu”, zwierzęta te stają się uczestnikami przemarszu wojsk, przepraw przez rzeki. Towarzyszą też uczestnikom Powstania Styczniowego – „Polscy powstańcy”, „Scena z powstania 1863 roku”. Chełmoński, który z lubością podpatrywał chłopskie jarmarki, utrzymywał konie i w ich scenerii, podpatrując przy tej okazji ludzi z różnych warstw społecznych. Pośród takich dzieł wyróżnić należy „Targ na konie w Bałcie”, „Targ wiejski”, „Jarmark”, „Na jarmarku”, „Końskie wywczaszy”. Na tym ostatnim płótnie artysta namalował wyprężone konie podczas popasu. Stoją w rzędzie, ale każdy w innej pozie; widzimy je od strony

zadów. Tyłem zaś do nich stoi pochylony mężczyzna w podbitej futrem sukmanie i futrzanej czapie. Jest zamyślony, trzyma w ręku bat, który opiera o uniesioną stopę.

Ani podczas bytności w Monachium, ani później w Paryżu (1875–1887) miasto nie pociągnęło twórczo Józefa Chełmońskiego. Impulsów dostarczała mu niezmiennie wieś, bezkresy pól, stepów, ukwieconych łąk, rozlewiska i mokradła – piękno dzikiej przyrody. Interesujące go motywy malarskie odnajdywał w obfitości podczas podróży na Podole, Ukrainę, Wołyń, Pińszczyznę, Polesie i Litwę. Dawne Kresy Rzeczypospolitej przyciągały go i fascynowały niezmiennie.

I tu przechodzimy płynnie do części ekspozycji, która zatytułowana została „Chełmoński i chłopci”. Zgromadzono tu dzieła z różnych okresów twórczości, obrazujące zarówno uroki wsi, jak i trud, a nawet dramaty wiejskiego życia pośród wiosennych roztopów, jesiennego błota, w śnieżnym krajobrazie – „Czwórka w zaspach”, „Zjazd na polowanie”, „Napał wilków”, „Odwilż na Ukrainie”, „Sprawa u wójta”. Częstym motywem, wokół którego ogniskuje się akcja tych obrazów, jest karczma – ośrodek zabaw i uciech. Na płótnie „Przed karczmą” z 1877 r. widzimy skocznie tańczące pary w rozmokłym śniegu, zapewne w czasie zapustów. Późniejszy o rok „Oberek” ukazuje nie tylko dziarsko wywijające w tańcu pary, ale także podupadającą chłopską chałupę, dziada proszącego i dźwigającego ciężkie toboły Żyda.

Najwcześniejsze dzieło z tej grupy tematycznej to „Sobota na folwarku”, po-



„Owczarek” powstał w 1897 r. podczas życia artysty w Kuklówce, kiedy tematy wiejskie oraz pejzażowe zdominowały jego twórczość. Fot. Michał Kłag

wstałe w 1869 r. pod wpływem pierwszego nauczyciela malarstwa, Wojciecha Gersona. Może przedstawiona na nim scena jest ujęciem nieco teatralnym, ale już „Dziewczyna u przełęczy”, namalowana w tym samym roku, ma zupełnie inną stylistykę. Drzemie w tym obrazie melancholia, która stanie się jednym ze znaków rozpoznawczych późniejszych dzieł Chełmońskiego. O swoim pierwszym nauczycielu artysta pisał: „Przy wykładach swoich zaszczybiał Gerson wzniosłe wyobrażenia o powołaniu artysty, który według jego pojęcia powinien być jakby kapłanem i apostołem swych idei w sztuce, ma dla niej być gotowym do wszelkich ofiar. Nie trudno zrozumieć, że takie pojęcie o sztuce, i o zadaniu artysty, budziły w jego uczniach najgłębsze uszanowanie do tego świętego powołania”. Jakże inaczej – można by tu zapytać – miano formować artystów w czasie, gdy Ojczyzna pozostawała rozdarta pomiędzy trzech zaborców, gdy kibitki ze skazanymi polskimi patriotami nieustannie ciągnęły na syberyjskie zesłania.

W drugiej części wystawy też oglądamy wiele słynnych dzieł: „Matula są”, „Skowronek”, „Sielanka” (autor skrytykowany został swego czasu za brudne

stopy bohaterów tego obrazu – grającego na skrzypkach pasterza i zasłuchanej w jego muzykę wiejskiej dziewczyny, którzy przecież na co dzień chodzili boso!), „Przed burzą”, na którym wzruszenie budzi przedstawiony na pierwszym planie pastuszek kreślący na czole znak krzyża. Zachwycamy się nastrojowymi „Babim latem”, „Burzą”, „Bocianami”, „Orką”. Bardzo ujął mnie obraz z 1875 r. „Wieczór letni – wspomnienie Ukrainy”, namalowany przez artystę w Warszawie w pracowni, zwanej na salonach „kuźnią realizmu”, która mieściła się na ostatnim piętrze Hotelu Europejskiego. Chełmoński dzielił ją ze Stanisławem Witkiewiczem, Antonim Piotrowskim i Adamem Chmielowskim – przyszłym Bratem Albertem. Dzieło to ukazuje na pierwszym planie zmęczoną upałem dziewczynę w długiej białej sukni, która właśnie zdjęła kapelusz i rzuca go na podłogę. Siedzi plecami do widza, na tle otwartego okna z powiewającą firanką, przez które widać rozgwieżdżone niebo i siedzące na podwórku dwa białe psy.

Powoli konie i ludzie znikają z obrazów Chełmońskiego, a ich miejsce zajmuje sama natura. Wchodzimy w trzecią część wystawy: „Natura według

Chełmońskiego”, która otwiera przed nami niezwykle wprost skarbiec wspaniałych pejzaży. Są wśród nich skąpane w różnych nastrojach czyste krajobrazy, w tym przepiękna „Noc gwiazdzista” (odrzuciona w 1888 r. z jesiennej wystawy w warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w atmosferze skandalu, gdyż jury zarzuciło artyście, który świeżo wrócił do Polski po paryskich sukcesach, błędne ukazanie na niebie gwiazdnych konstelacji), „Noc księżycowa”, „Noc na Ukrainie zimą”, „Mgły poranne”, „Przed wschodem słońca”, „Dniestr nocą”, „Świt”, „Zachód słońca nad jeziorem Świteż”, „Wiosna”. Są też liczne pejzaże zasiedlone przez ptaki – „Odlot żurawi” i „Żurawie”, „Dropie”, „Kuropatwy”, „Sójka”, „Kurka wodna”, „Czajki”, „Jastrząb” czy „Bocian biały”. Szczególnie ujął mnie wspaniale namalowany, unoszący się nad fantastycznie rozkwieconą łąką „Bąk” z 1891 r., który patrzy uważnie wprost na widza. We wszystkich tych obrazach odbija się nadzwyczajna wrażliwość ucha, oka i duszy artysty na piękno świata przyrody i jej zmienność. Józef Chełmoński, który był przenikliwym obserwatorem oraz koneserem natury i życia w jej bliskości, nie zawsze musiał malować z natury,

równie doskonale odtwarzał widoki za pamiętane.

Olejnym płótnom w drugiej i trzeciej części wystawy towarzyszą szkice, studia oraz rysunki przygotowawcze do niektórych z nich, co pozwala prześledzić proces powstawania obrazów. Jakby komuś było za mało wrażeń, widz ma jeszcze do dyspozycji cztery tematyczne ścieżki zwiedzania – hipologiczną (konie w twórczości artysty), etnograficzną (zwyczaje ludu wiejskiego), ornitologiczną (nagrania głosów malowanych przez Chełmońskiego ptaków) oraz konserwatorską (prace nad odnawianiem obrazów).

Krakowska ekspozycja, trwająca od 8 sierpnia do 30 listopada br., wieńczy monumentalną serię trzech wystaw monograficznych dzieł Józefa Chełmońskiego, związanych z obchodami 110. rocznicy jego śmierci. Dwie wcześniejsze odbyły się w Muzeum Narodowym w Warszawie (27 września 2024 – 2 lutego 2025) oraz w Muzeum Narodowym w Poznaniu (6 marca – 29 czerwca 2025). Trzeba wiedzieć, że placówki te posiadają największe kolekcje dzieł Józefa Chełmońskiego. Choć każda z wystaw prezentowała niemal ten sam zestaw prac artysty, to kładła jednak akcenty na inne aspekty jego twórczości. „To jedna z naj-

ważniejszych, najbardziej znaczących i najbardziej spektakularnych wystaw w historii polskiego muzealnictwa – mówi dyrektor MNK prof. Andrzej Szczerski. – Stanowi ona fenomen artystyczny, kulturowy i społeczny, przekraczając granicę zwyczajnych wystaw monograficznych. Ta ekspozycja jest pewnego rodzaju zjawiskiem, które pokazuje raz jeszcze, co oznacza pojęcie ‘aktualizacji kanonu’, czyli spojrzenia na nowo na twórczość artysty, z którą oswoił się w naszych podręcznikach i wydaje nam się, że dobrze ją znamy, bo jest z nami od zawsze”.

Na wystawie prezentowane są obok siebie prace artysty rozproszone dotąd w kolekcjach publicznych i prywatnych, w kraju i za granicą. Łącznie wystawionych zostało w gmachu głównym MNK aż 195 dzieł Józefa Chełmońskiego – obrazy olejne, akwarele, rysunki. Pokazywane są także dwa pastelowe portrety malarza, będące dziełami Leona Wyczółkowskiego, oraz wykonany przez Olę Boznańską portret córki Chełmońskiego, Wandy. Kuratorka wystawy Aleksandra Krypczyk-De Barra podkreślała podczas otwarcia: „Stawiamy na bardzo uczuciowy odbiór dzieł tego artysty”. Rzeczywiście, podczas oglądania tej ekspozycji towarzyszą nam różne emocje.

Warte podkreślenia jest, że Józef Chełmoński był nierozdzielnie związany uczuciowo z Polską, polskością kipiały jego dzieła i polskością się żywiły. W jednym z listów z Paryża do matki pisał: „Wszystko, co mam, z naszego dostałem nieba nade mną – a w uszy dziadowskie pieśni i odpustowe Matki Boskiej blaski na oczy, a potem co tylko pomyślę, to wszystko stamtąd poszło”. Stąd czerpało źródło jego twórczej oryginalności, gdy kosmopolityzm stanowi zwykle podglebie dla dzieł w jakiś sposób zunifikowanych, zimnych emocjonalnie. Aż dziwne, że obrazy tego artysty, prezentowane na rodzimych wystawach, długo nie podobały się ani oglądającym, ani krytykom, którzy zarzucali mu wybujałą fantazję, „lekceważenie najprostszymi wymaganiami piękna”, malowane przez niego konie nazywali „piekielnymi”, a kobiety „nieforemnymi”.

Kiedy Chełmoński wystawił swoje dzieła – „Sprawę u wójta” i „Roztopy” – na paryskim Salonie w 1876 r., odbiór jego dzieł był skrajnie różny od tego w Warszawie. Cyprian Godebski relacjonował, że „były [one] niespodziewanym zjawiskiem, ściągającym uwagę publiczności. Jeszcze przed oddaniem hołdu talentowi przez publiczność skład sędziów wyraził uzna-

„Wieczór letni – wspomnienie Ukrainy” („Szara godzina”), namalowany w 1875 r. w warszawskiej pracowni, która mieściła się na ostatnim piętrze Hotelu Europejskiego. Dzieło uchodzi za najdrożej sprzedaną pracę tego artysty. Fot. Michał Kłag



nie, umieszczając obrazy Chełmońskiego na miejscu honorowym. Nazajutrz po otwarciu Salonu, dwaj powszechnie znani miłośnicy – znawcy, panowie Stewart i Goupil, ubiegali się o pierwszeństwo w nabyciu dzieł naszego artysty. Tym razem Ameryka zwycięstwo nad Francją odniosła: pan Stewart za skromną sumę 12.000 franków stał się szczęśliwym posiadaczem jedyne na sprzedaż będącego na wystawie obrazu 'Roztopy'. Pan Goupil jednak pocieszył się nabyciem obrazu, nad którym obecnie p. Chełmoński pracuje: 'Noc księżycowa', za 6.000 (sic!) franków; nadto wyraził gotowość nabycia wszystkich obrazów, ile ich zechce dostarczyć p. Chełmoński, po tejże samej cenie". Henryk Piątkowski, z którym Józef przyjechał do Paryża, dodawał: „Chełmoński wziął Paryż w ciągu tych paru godzin, które potrzebowała publiczność stolicy świata na obejrzenie oficjalnego Salonu 1876 roku. Wieczorem nazwisko jego widniało w pierwszej linii wszystkich sprawozdań”.

Polski artysta, tak bardzo niedoceniany w ojczyźnie, zdobył w Paryżu uznanie krytyki i publiczności. Odnosił wielki sukces prestiżowy i finansowy. Stał się

„Le Monde Illustré”. Był to bardzo płodny okres w jego twórczości. Dużo jego obrazów z tego czasu zostało sprzedanych we Francji, Ameryce, Anglii, Australii. Jakże nie przytoczyć tu słów innego wybitnego malarza, Leona Wyczółkowskiego, które wygłosił po śmierci Chełmońskiego: „Największy malarski talent polski, wielki poeta wsłuchany w polską naturę. Gdyby był synem innego narodu, innego kraju, byłby na ustach wszystkich, podziwiany w muzeach, publikowany w reprodukcjach, opisywany przez literatów i estetyków”.

Był wybitnym przedstawicielem malarstwa realistycznego, nie rezygnując przy tym z własnego, niepowtarzalnego spojrzenia, z własnych impresji. Reprezentował też nurt romantyczny w realizmie XIX-wiecznym, który nie wiedzieć czemu stracił swoją estymę na rzecz abstrakcji. W modernistycznych środowiskach uchodzi za kierunek absolutnie niedoceniany. Maestria warsztatu została niejako zmuszona do ustąpienia miejsca różnym konceptualizmom, mniej lub bardziej udanym eksperymentom, technikom i sposobom malowania, które nie wymagają już biegłości, a które zawsze można określić mianem nowa-

na. Tymczasem w przypadku twórczości malarskiej Józefa Chełmońskiego widz wpada wprost z zachwyty w zachwyty, który nie opuszcza go aż po ostatnie płótno tego artysty, który urodził się 176 lat temu. Minęły prawie dwa wieki, a jego twórczość wcale się nie zestarzała, co też krakowska wystawa dobitnie pokazuje. Prace artysty odwołują się bowiem do uniwersalnego kanonu piękna, dobra i prawdy – do wartości nieprzemijających. Ekspozycja w Muzeum Narodowym, która odwiedzana jest tłumnie przez widzów w różnym wieku, udowadnia ponadto, że realizm nie jest bynajmniej gorszym czy przestarzałym kierunkiem w sztuce, choć od końca XIX w. próbuje się go na wszelkie sposoby postponować. I wcale nie wyklucza operowania artystyczną fantazją. Wymaga natomiast bez wątpienia znakomitych umiejętności warsztatowych – ich brak widoczny jest gołym okiem. Można bowiem malować kiepsko albo dobrze, bez względu na to, jaki kierunek w malarstwie się reprezentuje, czy jest się nowatorem, czy tradycjonalistą.

Józef Chełmoński, herbu Prawdzic, był doprawdy genialnym malarzem – nie bójmy się używać tego określenia wobec pol-



„Przed dworem zimą” – obraz Józefa Chełmońskiego z 1890 r. Fot. Michał Klag

głośnym twórcą. Jego rodzajowe obrazy z życia polskiej wsi czy przedstawiające dynamiczne końskie zaprzęgi bardzo tu się spodobały i chętnie były kupowane. Chełmoński zawarł też stały kontrakt ze, wspomnianym przez Godebskiego, znany paryskim marszandem Adolphe'em Goupilem. W l. 1884–1892 polski artysta wykonywał też rysunki dla paryskiego

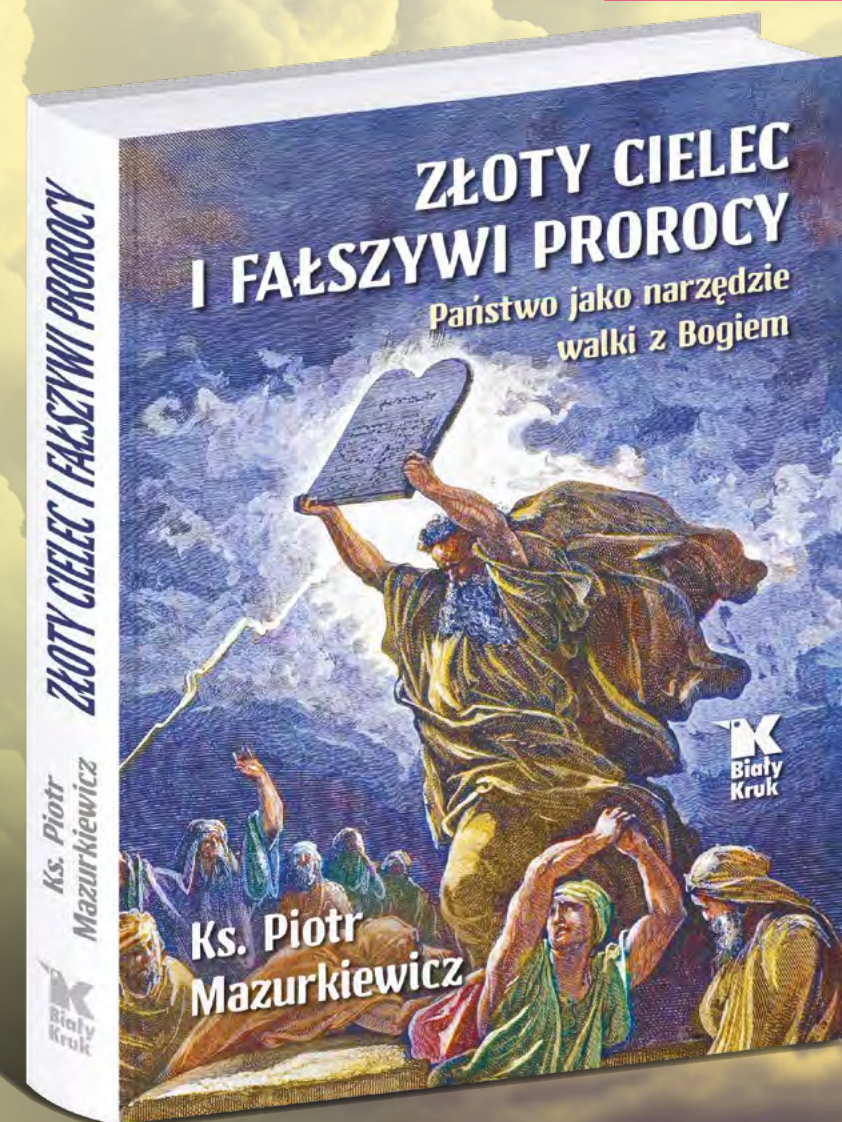
torskich, jedyne w swoim rodzaju, autorskich (coż za nadużywany termin!). Niejednoznaczność daje ponoć oglądającemu więcej miejsca dla własnych kreatywnych interpretacji, niby bardziej zaprasza go do dialogu z twórcą i jego dziełem. Na pewno jednak bardzo mało pozostawia miejsca na nieklamany zachwyty i zwyczajne kontemplowanie pięk-

skich twórców. Zachwycajmy się ich dziełami szczerze – bez najmniejszego wstydu czy kompleksu. Zresztą niebawem sukces frekwencyjny tej wystawy w trzech odsłonach – jak zwykło się o tym wydarzeniu artystycznym mówić – potwierdza w całej pełni zdolność polskich widzów do zachwyty nad rodzimą sztuką.

W ŚWIECIE, GDZIE WSZYSTKO WOLNO

NOWOŚĆ!

Doświadczamy obecnie prawdziwej inwazji państwa na nasze umysły, szczególnie na naszą wiarę. Takie działania znamy z historii, najnowszej i tej dawniejszej. Okres bolszewicki w Polsce (PRL), niemiecka okupacja, czas zaborów i konfederacji targowickiej – wszystko to wiązało się z pozbawieniem kraju niepodległości, narodu – wolności, a poszczególnego obywatela – swobodnego dostępu do oświaty i dóbr narodowej kultury. Nie tylko Polska, ale cała cywilizacja zachodnia przeżywa dziś gigantyczny kryzys. We współczesnym świecie odrzuca się Boga, katolicyzm przede wszystkim, ale także zbudowaną na nim tradycję, moralność, chrześcijańską obyczajowość. Zakłamuje się demokrację, podobno najlepszy z ustrojów politycznych. Manipulacje wyborcze powodują, że demokracja – nazywana od pewnego czasu liberalną – przemienia się na naszych oczach w autorytaryzm. Wmawia się społeczeństwu – przy pomocy mass mediów – że wojujący ateizm jest neutralny światopoglądowo, a katolicyzm to coś w rodzaju faszyzmu. Powrócił pogański kult Złotego Cielca, a Dekalog jest wyszydzany.



248 str., 107 ilustracji
16,5 x 23,5 cm, twarda oprawa
Cena det. 79 zł

Dla czytelników WPIS-u 20 zł rabatu

ZAMÓW: bialykrak.pl, 12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl.
Przy zamówieniu powyżej 300 zł
koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Bp Jan Szkodoń dał niezwykle świadectwo życia kapłańskiego

Mimo medialnej nagonki do końca życia pozostał związany tajemnicą spowiedzi

Ks. prof. Jan Machniak

28 sierpnia br., w wieku 78 lat, zmarł w Krakowie po długiej chorobie ks. bp Jan Szkodoń. Pierwsza część pogrzebu odbyła się w katedrze wawelskiej 2 września, a następnego dnia został pochowany na cmentarzu parafialnym w Chyżnem.

Był sufraganiem, czyli biskupem pomocniczym Archidiecezji Krakowskiej w latach 1988–2022. Jako pierwszy polski hierarcha został oskarżony o wykorzystanie seksualne niepełnoletniej dziewczyny. Nuncjatura apostolska w Warszawie, po przeprowadzonym procesie kanonicznym, nie stwierdziła jego winy, ale biskup Jan został ukarany za „nierozważne zachowanie wobec małoletniej” zakazem publicznego sprawowania liturgii. Sąd kościelny oczyścił go z zarzutów molestowania, ale przez media publiczne, zanim w ogóle został wszczęty proces kanoniczny, był napiętnowany i został potępiony. Sam biskup zachował w tej sprawie milczenie do końca życia, ponieważ był spowiednikiem oskarżającej go osoby; pozostał związany tajemnicą spowiedzi.

Droga życia

Jan Szkodoń urodził się 19 grudnia 1946 r. w Chyżnem na Orawie w rodzinie o korzeniach słowackich, sam też dobrze mówił po słowacku. Miał starszą siostrę i młodszego brata. W latach 1953–1960 uczęszczał do szkoły podstawowej w Chyżnem, a w latach 1960–1964 był uczniem liceum ogólnokształcącego w Jabłonce, gdzie w 1964 r. złożył egzamin dojrzałości. Po maturze wstąpił

do Seminarium Duchownego w Krakowie. W latach 1964–1970 odbył studia filozoficzno-teologiczne na Papieskim Wydziale Teologicznym, jednocześnie zdobywając formację kapłańską. Świecenia kapłańskie przyjął 22 marca 1970 r. w kościele Przemienienia Pańskiego w Jabłonce z rąk kard. Karola Wojtyły, ówczesnego metropolity krakowskiego. Magisterium z teologii uzyskał w 1972 r. na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie.

Ks. Jan Szkodoń pracował w latach 1970–1972 jako wikariusz w parafii Przemienienia Pańskiego w Makowie Podhalańskim, a następnie w latach 1972–1973 w parafii Matki Bożej Zwycięskiej w Krakowie. W latach 1973–1976 odbył studia specjalistyczne w zakresie teologii i pedagogiki rodziny w Instytucie Pastoralnym na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Zakończył je doktoratem z teologii na podstawie dysertacji „Nierozważność małżeństwa jako problem duszpasterski Kościoła w Polsce w latach 1946–1970”.

W latach 1977–1979 był ks. dr Jan Szkodoń sekretarzem II Synodu Duszpasterskiego Archidiecezji Krakowskiej. Prowadził rekolekcje w parafiach dla Grup Apostolskich i Ruchu Światło-Życie, a od 1977 r. podjął wykłady z teologii pastoralnej w seminarium krakowskim. W latach 1979–1988 pełnił funkcję ojca duchownego w Wyższym Seminarium Archidiecezji Krakowskiej, formując przyszłych kapłanów. Od 1984 r. prowadził również wykłady z teologii życia wewnętrznego na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie, który w 1981 r. decyzją Jana Pawła II został podniesiony do rangi Papieskiej

Akademii Teologicznej. Ks. dr Jan Szkodoń pełnił również funkcję kierownika Studium Wikariuszowskiego, czuwając w Archidiecezji Krakowskiej nad stałą formacją młodych księży.

14 maja 1988 r. ks. dr Jan Szkodoń został mianowany, razem z bp. Kazimierzem Nyczem, biskupem pomocniczym Archidiecezji Krakowskiej, otrzymując stolicę tytularną Turrissblanda. Świecenia biskupie przyjął na Wawelu 4 czerwca 1988 r. w Bazylice Archikatedralnej św. Stanisława i św. Wacława z rąk arcybiskupa metropolity kard. Franciszka Macharskiego w asyście abp. Jerzego Ablewicza z Tarnowa i bp. Stanisława Nowaka z Częstochowy. Jako zawołanie biskupie przyjął słowa *Dominus ipse faciet* („Pan sam będzie działał”).

W Archidiecezji Krakowskiej objął bp Jan Szkodoń urząd wikariusza generalnego, został cenzorem kościelnym, członkiem Rady Duszpasterskiej i Kolegium Konsultorów. Po śmierci bp. Juliana Grobickiego w 1995 r. pełnił w krakowskiej Kapitułe Katedralnej funkcję dziekana. W 2006 r. został przewodniczącym Komisji Teologiczno-Duszpasterskiej „Pamięć i Troska”, zajmującej się lustracją księży Archidiecezji Krakowskiej, którzy współpracowali z reżimem komunistycznym. Po osiągnięciu przez niego wieku emerytalnego (75 lat) papież Franciszek przyjął 10 marca 2022 r. jego rezygnację z obowiązków biskupa pomocniczego Archidiecezji Krakowskiej.

W ramach Konferencji Episkopatu Polski bp Jan Szkodoń był członkiem Komisji Charytatywnej, Komisji ds. Duszpaster-

stwa Rodzin, Komisji ds. Misji, Komisji ds. KUL, Komisji Duchowieństwa i Rady Rodziny. Pozostawił wiele książek z dziedziny duchowości, zajmował się również malarstwem i pisał wiersze.

Autor książek o duchowości

Pośród książek z dziedziny duchowości autorstwa bp. Jana Szkodonia znajdują się m.in.: „Wypłyni na głębię”, „Z serca do serca”, „Droga krzyżowa”, „Refleksje o życiu”, „Małżeństwo”, „Droga krzyżowa dla małżeństw”, „Szczęście czy porażka” (książka audio). Publikacje te dotyczą życia duchowego, a szczególnie powołania do życia małżeńskiego i rodzinnego. W książce z 2007 r. „Różaniec” bp Szkodoń

co podkreśla niezwykłą moc i znaczenie tej modlitwy. Biskup Jan zachęcał do korzystania z różańca nie tylko w październiku, ale także do codziennego rozważania jego tajemnic w różnych sytuacjach życiowych. Przekonywał, że rozważania te mogą pomóc choć na moment oderwać się od codzienności, skłonić do głębszych przemyśleń nad własnym życiem oraz zachęcić do wprowadzenia istotnych zmian.

Książka „Małżeństwo. Aby marzenie nie było rozczarowaniem” również pochodzi z 2007 r. Jej treść zdradza, że została napisana przez cenionego specjalistę w dziedzinie duchowości oraz pedagogiki rodzinnej, bowiem kluczowe kwestie związane z małżeństwem autor omówił wnikliwie zarówno z perspektywy reli-

żenstwa, potocznie nazywane „rozwo-dem kościelnym”. Publikacja ta stanowi bogaty zbiór przemyśleń dotyczących różnych aspektów życia małżeńskiego, zachęcając do głębszej refleksji.

Książka „Trudne pytania o życie duchowe” z 2016 r. zawiera natomiast 130 odpowiedzi na tyleż samo ważnych kwestii, odzwierciedlających codzienne wyzwania i dylematy, z którymi mierzą się chrześcijanie w kontekście ich życia duchowego. Autor porusza zarówno tematy ogólne, np. czym jest życie duchowe chrześcijanina i czym różni się ono od życia duchowego człowieka niewierzącego, jak i problemy szczegółowe – modlitwę, medytację, udział we Mszy św. Odpowiedzi bp. Jana Szkodonia są zwięzłe i kla-

Pomocniczy biskup krakowski Jan Szkodoń był częstym gościem na poświęconych nowym książkom spotkaniach Białego Kruka.
Fot. Michał Klag



przypominał, że jest to jedna z najpiękniejszych modlitw w tradycji Kościoła, że dzięki różańcowi można wyprosić wiele łask i modlić się w różnych intencjach. Wskazywał na papieża Jana Pawła II, który codziennie sięgał po różaniec, mając go zawsze przy sobie, aż do ostatnich chwil życia. Podkreślał, że Maryja, objawiająca się w różnych miejscach świata, również często ukazuje się z różańcem w dłoniach,

gijnej, jak i społecznej. Przedstawił w niej oczywiście naukę Kościoła na temat małżeństwa rozumianego jako sakrament, rozważając znaczenie oraz sens przysięgi małżeńskiej. Biskup Jan zaproponował metody pozwalające na podtrzymanie marzeń z czasów narzeczeństwa w codzienności i szarości życia. Podjął się też wyjaśnienia nader trudnego tematu, jakim jest orzeczenie o nieważności mał-

rowne, co sprawia, że doskonale rozjaśniają pojawiające się wątpliwości, które mogą nurtować osoby dążące do głębszego zrozumienia drogi wiary.

„Odpowiedzi na pytania o kapłaństwo”, książka wydana w 2007 r., przypomina z kolei o tym, że kapłani powinni być osobami w pełni rozumiejącymi istotę swojej misji. Ważne jest, przypomina i podkreśla autor, by byli ludźmi



Uroczysta prezentacja książki „Karol Wojtyła. Noc wigilijna” 3 grudnia 2017 r. w krakowskiej Kurii; od prawej: Adam Bujak, prezes Leszek Sosnowski, bp Jan Szkodoń, abp Marek Jędraszewski, kard. Stanisław Dziwisz i wojewoda Piotr Cwik. Fot. Michał Klag

głębokiej wiary, gotowymi do odważnego wyrażania swoich przekonań, do intensywnej modlitwy i do przekazywania z pełnym zaangażowaniem prawd wiary, bo ich kluczowym zadaniem jest wszak służba oparta na miłości. Według bp. Jana Szkodonia kapłan powinien też wspierać świeckich w ich codziennym życiu, inspirować ich do rozwijania kapłaństwa powszechnego polegającego na składaniu ofiary ze swojego życia. Świecenia kapłańskie umożliwiają bowiem kapłanowi działanie „w imieniu Chrystusa”.

Książka „Zbuntowany przed Bogiem” z 2012 r. jest modlitewnikiem dla osób, które czują się zranione przez Kościół, które głęboko przeżywają chwile zwątpienia i podważają prawdy wiary. Dostrzegając niedoskonałości zarówno wśród wiernych świeckich, jak i duchownych, przyjmuje biskup Jan postawę współczucia i zrozumienia. Chce pomóc tym, którzy przeżywają zniechęcenie lub rozczarowanie.

W zbiorze wierszy z 2015 r. „Refleksje o życiu” biskup-poeta porusza problemy upływającego czasu, wierności wartościom, uczciwego i odpowiedzialnego postępowania. Choć tematy mogą wydawać się banalne, autor pokazuje, że to, co oczywiste, nie zawsze jest proste. Wiersze z tego tomiku pomagają odnaleźć się w świecie, który pędzi za sensacją. Ich ilustrację stanowią reprodukcje obrazów autorstwa bp. Jana Szkodonia, który odsłania tym samym przed nami kolejny talent, którym Bóg hojnie go obdarzył. W 2017 r. ukazała się jego książka „Droga krzyżo-

wa” zawierająca rozważania Męki Pańskiej. Dzieli się w niej biskup Jan swoimi refleksjami na temat cierpienia, przyjmowania trudnego losu. Szuka sensu życia w doświadczeniu bólu i ukazuje piękno trwania przy Chrystusie. Zachęca czytelnika do pójścia drogą Zbawiciela i naśladowania Go w cierpieniu.

Fałszywe oskarżenia i medialny lincz

W grudniu 2019 r. prokuratura w Krakowie rozpoznająca zawiadomienie kobiety oskarżającej biskupa o molestowanie seksualne, do którego miało dojść w latach 1998–2003, umorzyła postępowanie z powodu przedawnienia karalności czynu, uznając jednakże w uzasadnieniu zeznania pokrzywdzonej za wiarygodne. W lutym 2020 r. po opisanu w mediach sprawy domniemanego napastowania (por. M. Wójcik: „Zły dotyk biskupa z Krakowa”. Wyborcza.pl, 2020–02–10) biskup Jan wydał oświadczenie, w którym zaprzeczył stawianym mu zarzutom i zapowiedział, że do czasu wyjaśnienia sprawy nie będzie podejmował posługi duszpasterskiej. W związku z upublicznionymi oskarżeniami opuścił archidiecezję krakowską; w czasie trwania procesu przebywał w klasztorze sióstr Albertynek w Pizunach w diecezji zamojsko-lubaczowskiej.

Po przeprowadzeniu wstępnego dochodzenia kanonicznego Kongregacja Nauki Wiary zdecydowała o wszczęciu przeciw-

ko bp. Janowi Szkodonowi kanonicznego procesu karno-administracyjnego. Do jego przeprowadzenia został wyznaczony bp Ryszard Kasyna, biskup diecezjalny pelpliński. Jednocześnie władze kościelne zakazały bp. Janowi Szkodonowi podejmowania obowiązków duszpasterskich z osobami małoletnimi i publicznego sprawowania posługi biskupiej. W lipcu 2021 r. Nuncjatura Apostolska w Polsce poinformowała, że w wyniku procesu karno-administracyjnego biskupowi nie została udowodniona вина rzekomego wykorzystywania seksualnego osoby małoletniej. Stwierdzono jednak jego nierozważne zachowanie, polegające na przyjmowaniu osoby małoletniej w prywatnym domu bez obecności jej rodziców. W wyniku procesu bp. Janowi Szkodonowi została wymierzona pokuta w postaci uczestnictwa w trzymiesięcznych rekolekcjach zamkniętych, uznana za odbytą w trakcie niepodjęcia przez niego posługi biskupiej. W 2021 r. pokrzywdzona złożyła pozew cywilny przeciwko Kurii Krakowskiej, który w następnym roku wycofała po zawarciu przed sądowej ugody, w wyniku której otrzymała finansowe zadośćuczynienie.

Bp Jan Szkodoń odszedł do Domu Ojca w 79. roku życia, dając niezwykle świadectwo życia kapłańskiego. Padł ofiarą zmasowanej nagonki na Kościół katolicki, oskarżany o nadużycia seksualne najpierw w USA, potem w Irlandii, Francji i Niemczech.

Katolicki fenomen indonezyjskiej wyspy Flores

Jest tu 2,7 tys. kościołów i kaplic, jedna z największych uczelni katolickich i nie ma braku powołań

Prof. Wojciech Roszkowski

Indonezja jest najliczniejszym państwem muzułmańskim na świecie, a jej ludność liczy ponad 283 mln osób. Relacje państwa indonezyjskiego z Kościołem katolickim kojarzą się głównie ze zbrojną akcją przeciw walczącemu o niepodległość pod koniec XX w. katolickiemu Timorowi Wschodniemu. Od czasu do czasu słyszymy też o lokalnych konfliktach i prześladowaniach tamtejszych katolików. A jednak w całej Indonezji mieszka nadal według oficjalnych danych ok. 8 mln katolików, stanowiąc ok. 3 proc. ludności. Wszędzie są oni nieznacznie mniejszością, choć znajdują często oparcie wśród bogatych Chińczyków należących do Kościoła katolickiego. Indonezyjscy katolicy mają także swego narodowego bohatera: imieniem Agustina Adisutjipto, pilota rodem z Jawy, który zginął podczas walk o niepodległość w 1949 r. i który był katolikiem, nazwano bazę lotniczą w Yogyakarcie.

Niezwykłym wyjątkiem na mapie wyznaniowej Indonezji jest jednak wyspa Flores, gdzie ponad 70 proc. z ok. 1,8 mln mieszkańców należy do Kościoła katolickiego. Leży ona w archipelagu Małych Wysp Sundajskich w południowej części Indonezji. Ma ok. 14 tys. km² powierzchni, a jej podłużny kształt rozciąga się między 8 i 9 stopniem szerokości południowej z zachodu na wschód na ok. 400 km. Wnętrze wyspy to łańcuch wulkanicznych gór, z których najwyższy szczyt Mandasawu sięga 2 370 m. Tropikalny klimat i bujna roślinność spowodowały, że Portugalczycy nazwali ją Flores, czyli „kwiaty”.

Kościół katolicki na Flores podlega arcybiskupstwu Ende i podzielony jest na pięć diecezji: Labuan Bajo na najdalszym zachodzie wyspy, Ruteng i Ende w środ-

kowej części oraz Maumere i Larantuka na wschodzie. Od śmierci w 2024 r. poprzedniego arcybiskupa, Vincentiusa Sensi Potokoty, archidiecezją Ende rządzi nowy metropolita, 60-letni werbista, o. Paul Boedhie Kleden. Na wyspie wzniesiono ok. 2,7 tys. kościołów i kaplic.

Życie Kościoła katolickiego na Flores jest bardzo intensywne. Dla ok. półtora-milionowej wspólnoty wyspy najważniejszymi uroczystościami są oczywiście: Wielki Tydzień, festiwal Golo Koe ku czci Matki Bożej oraz Boże Narodzenie. Bardzo starą tradycję mają uroczystości Wielkiego Tygodnia, organizowane głównie w mieście Larantuka. Zaczynają się one w Środę Zakutych w Kajdany (*Rabu Trewa*), gdy wierni gromadzą się w kaplicach i rozpamiętują zdradę Judasza. Larantuka

zamienia się wtedy w Miasto Żałoby. Po południu w Wielki Czwartek odprawia się rytuał *Tikam Turo*, przygotowujący procesję wielkopiątkową. Figura *Tuan Ma*, czyli Matki Bożej w żałobie, zostaje wydobyta z trumny, w której była zapieczętowana przez cały rok, obmyta i ubrana w żałobny strój. Figura ta upamiętnia wydarzenie sprzed 500 lat. Jak głosi miejscowa tradycja, morze wyrzuciło ją wtedy na brzeg koło Larantuki po tym, jak Matka Boża objawiła się tu pewnemu dziecku. Stolica Apostolska nie potwierdziła tego objawienia, niemniej jest ono częścią tradycji lokalnego Kościoła. W Wielki Piątek rusza procesja, w której niesione są figury Jezusa (*Tuan Ana*) i Matki Bożej w żałobie (*Tuan Ma*). Obchody wielkosobotnie nazywają się tu *Sabtu Santo*, a Niedziela

Katolicy mieszkańcy miasta Larantuka na wyspie Flores i przybyli na uroczystość pielgrzymi podczas tradycyjnej morskiej procesji z figurą Dzieciątka Jezus. Fot. Wikimedia





Katedra pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Różańcowej w Larantuce. Fot. Wikimedia

Wielkanocna obchodzona jest równie uroczysto jako *Minggu Paskah*.

Festiwal Golo Koe organizowany jest z kolei corocznie w diecezji Ruteng od 10 do 15 sierpnia na pamiątkę Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Oprócz Mszy św. odbywają się wtedy liczne parady z muzyką i tańcami. Obchody Bożego Narodzenia uświetniają natomiast strzały z bambusowych armatek, zwanych *bombardom*, oraz umieszczone wszędzie światełka.

W związku z tym, że znakomita większość mieszkańców Flores to katolicy, władze w Dżakarcie ich tam nie zwalczają, a nawet reklamują wyspę jako ciekawe miejsce dla turystów i cel pielgrzymek. Tamtejszy Kościół lokalny nie musi czerpać sił z zewnątrz, bowiem seminaria duchowne są w Indonezji przepełnione, a na wyspie Flores znajduje się jedna z największych uczelni katolickich na świecie. Niedługo było to seminarium w Ledalero koło Maumere, gdzie uczyło się przeciętnie ok. 600 kandydatów do kapłaństwa. W 2019 r. przekształcono je we Flores St. Paul Catholic University of Indonesia. Wykładowcami są tam na ogół werbiści.

Historia wyspy Flores jest bardzo skomplikowana. Zacząć trzeba od tego, że kiedy ok. 30 tys. lat temu dotarli tam ludzie o zbliżonej do naszej charakterystyce genetycznej, zastać mogli tu jeszcze tubylców. O ich istnieniu nie było wiadomo aż do roku 2003, kiedy to w jaskini Liang Bua odkryto szczątki osobnika płci żeńskiej, nazwanego *Homo floresiensis*, o znacznie drobniejszej od naszej budowie ciała – mierzącego ok. metra wzrostu, i o nieco odrębnej charakterystyce. W 2015 r. odkryto szczątki dalszych 15 osobników tego gatunku. „Kobieta z Flores” zmarła ok. 50 tys. lat temu, co świadczyłoby o tym, że nie mogła spotkać pierwotnych *Homo sapiens* przybyłych na wyspę. Jej potomkowie mieli już być może taką okazję, gdyż prawdopodobnie wymarli ok. 15 tys. lat temu. Nawiązując do znanych powieści J.R.R. Tolkiena, „Kobietę z Flores” nazwano żartobliwie hobbitem. Podejrzewa się, że była ona na wyspie przedstawicielką *Pitekanthropusa* skarłowaciałego.

Kiedy na wyspy indonezyjskie zaczęli przybywać Europejczycy, ich mieszkańcy stanowili mieszanek ludów malajskich, melanezyjskich i papuaskich o zróżnic-

wanych wierzeniach animistycznych i politeistycznych, a wyspa Flores rządzona była przez kilku lokalnych wodzów.

Pierwszym misjonarzem katolickim, który dotarł na wyspy indonezyjskie, był włoski franciszkanin Odoryk z Pardenone. W latach 1318–1330 odwiedził on Sumatrę, Jawę i północne Borneo, zdając papieżowi relację z tej podróży. Na początku XVI w. ten rejon penetrowali Portugalczycy, z których pierwszy to kapitan Francisco Serrão z wyprawy António de Abreu, zorganizowanej w 1511 r. W latach 1546–1547 jezuita Franciszek Ksawery ewangelizował tubylców na wyspach Ambon, Ternate i Halmahera, a misjonarze dominikańscy nawrócili sporo mieszkańców wyspy Solor. Pod koniec XVI w. liczbę katolików na Solorze, Flores i Timorze oceniano na ok. 60 tys. Portugalczykom nie udało się utrzymać kontroli nad wyspami, najpierw pod presją księstw mużulańskich, a od 1605 r. także z powodu podbojów Holenderskiego Towarzystwa Indii Wschodnich.

Misje katolickie na wyspach indonezyjskich zaczęły wtedy podupadać. Holendrzy zmuszali miejscowych katolików do

przejścia na protestantyzm, inaczej mogli się oni liczyć z brutalnymi prześladowaniami. Dominikanie odegrali wielką rolę w zaszczepieniu mieszkańcom Flores wierności Rzymowi. Gdy w 1613 r. Holendrzy zaatakowali twierdzę na wyspie Solor, jej obrońcy wycofali się wraz z dominikanami do Larantuki. Groźnie wyglądała sytuacja na Jawie i Sumatrze. W 1624 r. władze Holenderskich Indii Wschodnich pod rządami gubernatora generalnego Jana Pieterszooona Coena skazały na śmierć i straciły w Batawii, czyli dzisiejszej Dżakarcie, o. Egidiusa d'Abreu za to, że w więzieniu odprawił katolicką Mszę św. W 1646 r. francuski jezuita o. Alexandre de Rhodes został wydalony z terytorium, które było kontrolowane przez holenderskie Towarzystwo. Katolickie misje skurczyły się także na wyspach Timor i Flores. Holendrzy opanowali najpierw zachodnią część Flores, a w 1769 r. resztę tego terytorium. Kolonialne władze portugalskie wycofały się na wyspę Timor. Katolicy z Flores jednak trwali. Zarówno autochtoni, jak i ludność mieszaną, zwana *Larantuqueiros* lub *Topasses*, używali w liturgii języka portugalskiego, toteż Holendrzy nazywali ich „czarnymi Portugalczykami”.

W XVIII i na początku XIX w. delimitacja (wskazanie granic) wpływów ho-

lenderskich i portugalskich na Małych Wyspach Sundajskich była niejasna. Holenderska presja antykatolicka ustała po tym, jak w 1799 r. Towarzystwo Indii Wschodnich zbankrutowało, a napoleoński król Niderlandów Ludwik Bonaparte zgodził się w 1807 r. otworzyć w Batawii prefekturę apostolską. Tolerancja religijna w kolonii pozwoliła Kościołowi katolickiemu rozwinąć skrzydła. Dotyczyło to głównie wysp Timor i Flores. W 1846 r. władze niderlandzkie i portugalskie rozpoczęły negocjacje, które ostatecznie doprowadziły w 1854 r. do włączenia Flores pod jurysdykcję Holenderskich Indii Wschodnich.

Holenderskie władze kolonialne nie były w stanie w pełni kontrolować sytuacji na wyspie, gdzie często dochodziło do buntów i walk między lokalnymi społecznościami. W 1907 r. Holendrzy musieli użyć sił zbrojnych, by przywrócić kontrolę nad wyspą i przeorganizować swoją administrację. Jej mieszkańcy nie mogli jednak cieszyć się spokojem. W czasie II wojny światowej Flores została opanowana przez Japończyków. Wraz z wycofaniem się holenderskich kolonizatorów w 1949 r. wyspa weszła w skład Indonezji.

12 grudnia 1992 r. potężne trzęsienie ziemi o sile 7,8 stopni w skali Richtera

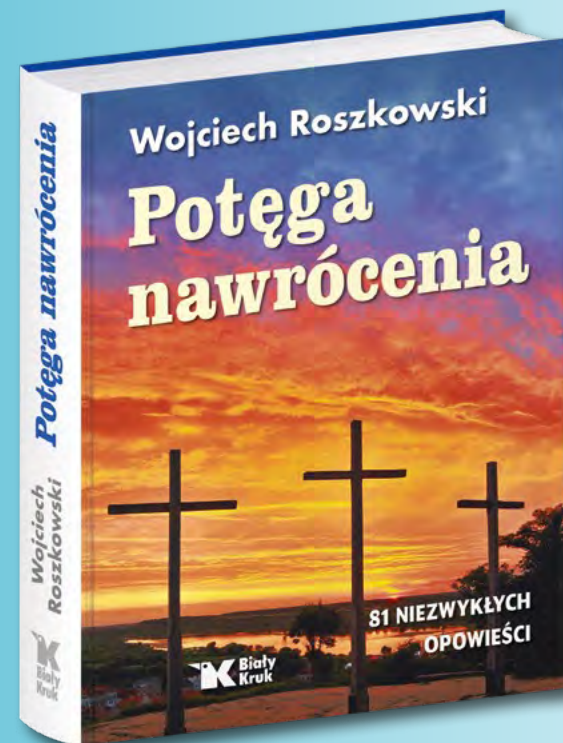
ra oraz ogromne fale tsunami zniszczyły okolicę Maumere. Zginęło wówczas ok. 2,5 tys. mieszkańców.

Obecnie mieszkańcy Flores, identyfikujący się na ogół jako Manggarai, są w większości gorliwymi katolikami. Intensywność życia Kościoła katolickiego na wyspie, rosnąca stale w XX w., jest swoistym fenomenem. Potężnym bodźcem dla tamtejszej lokalnej wspólnoty była wizyta papieża Jana Pawła II, który 11 października 1989 r. odprawił Mszę św. na stadionie Duncunha w Maumere. Flores nie odwiedził natomiast papież Franciszek podczas swej wizyty w Indonezji w 2024 r., co było dla miejscowych katolików pewnym rozczarowaniem. Mimo to społeczność katolicka wyspy jest przykładem dynamicznego rozwoju Kościoła w krajach pozaeuropejskich. Być może nie ma przesady w twierdzeniu mediów, które wówczas pisały, że zamiast sprowadzać do siebie misjonarzy, Kościół indonezyjski, w tym głównie ten rozwijający się na wyspie Flores, będzie wysyłał własnych. Wyspa zasługuje więc na uwagę, nie tylko wtedy, gdy media informują o lokalnych katastrofach, takich jak – w lecie tego roku – wybuch wulkanu Lewotobi Laki-Laki.

MASZ SZANSE DO OSTATNIEGO TCHU

Wybitny pisarz i naukowiec przedstawia w swej kolejnej książce 81 niesamowitych historii życiowych ludzi, którzy będąc bardzo daleko od Boga, w ten czy inny sposób znaleźli jednak drogę do Niego. I tak na przykład poznamy mordercę i gwałciciela, który po dziesięcioleciach więzienia i pokuty odnalazł w sobie wiarę, a żywota dokonał w klasztorze. Albo zobaczymy żołnierza, który w konającym towarzyszku w okopach zauważył twarz Chrystusa. Wzruszy nas męczennictwo młodej Saudyjki, która w surowym środowisku islamskim przyjęła chrzest, za co została zabita, i to przez własnego brata. Każda opowieść jest inna, jedna bardziej niezwykła od drugiej.

138 ilustracji, 368 str., 16,5 cm × 23,5 cm, twarda oprawa. Cena det. 74 49 zł



ZAMÓW: bialykruk.pl, 12/254 56 02, 12/254 56 19 lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl. Przy zamówieniu powyżej 300 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Rzymianie wierzyli w świat boski i modlili się

Religijność stanowiła ważny element życia państwowego i obywatelskiego

Prof. Michał Wojciechowski

Patrząc na spuściznę świata rzymskiego, dostrzegamy w nim kluczowe źródło kultury europejskiej. Prawo rzymskie z jego ideałem sprawiedliwego ładu w państwie leży u podstaw systemów prawnych krajów cywilizowanych (choć nieraz w wersji zepsutej). Rzymska myśl polityczna ukształtowała republikańskie i obywatelskie ideały, obecne w tradycji europejskiej, w tym w dawnej Polsce. Cesarska monarchia z kolei sprzyjała myśleniu o Europie chrześcijańskiej jako jedności. Łacina, będąc wspólnym językiem Starego Kontynentu, wpłynęła na kształtowanie się poszczególnych języków narodowych; literatura dostarczała wzorów; kontynuowano założenia sztuki i architektury grecko-rzymskiej. Duże zainteresowanie nadal budzi też rzymska wojskowość.

Przy tym wszystkim zapomina się często, że Rzymianie byli ludźmi religijnymi! Zeświecczenie Europy spowodowało, że tradycję rzymską odbiera się wybiórczo, na sposób świecki właśnie, a bogów rzymskich postrzega jako ciekawostkę. Tymczasem Rzymianie wierzyli w świat boski i się modlili, co stanowiło ważny element ich życia publicznego. Jest to zupełnie przeciwieństwo koncepcji „rozdzielnego Kościoła od państwa”. Kult oficjalny był obowiązkową i naturalną częścią życia państwowego i obywatelskiego.

Błędne pojmowanie boskości, wielobóstwo, powodowało oczywiście szkody. Prześladowania chrześcijan były przecież w znacznym stopniu motywowane tym błędem religijnym. Towarzyszyła temu bowiem stała obawa, że odrzucenie politeizmu pozbawi Rzymian boskiej opieki oraz naruszy ład świata, a także ład państwa. Dopiero Konstantyn Wielki zrozumiał, że swoboda wyznawania chrześcijaństwa sprzyja państwu rzymskiemu.

Z drugiej strony odczuwalne były i te dobre intuicje. Wyraziły się one w próbach głębszej interpretacji filozoficznej religii i jej uwznioślenia. Wielu myślicieli zbliżało się do monoteizmu. Wielu też głosiło wymagającą etykę. Przede wszystkim jednak Rzymianie się modlili – tak osobiście, jak i w wymiarze społecznym. Była to nieodłączna część ich życia. Wobec boskości przejawiali postawę błagalną i pochwalną.

Dawne modlitwy

„Dzieje Rzymu od założenia miasta” (Ab urbe condita) pióra Tytusa Liwiusza zawierają wiele wiadomości o religii w czasach najdawniejszych. Archaiczne teksty religijne przytacza też Warron. Inne źródła zawierające modlitwy to głównie źródła literackie (Plaut, Katon Starszy, Wergiliusz, Horacy, Owidiusz i inni poeci). Wobec konserwatyizmu obrzędów rzymskich nawet późne opisy mogą często odzwierciedlać wczesne tradycje. Mnóstwo jest wzmianek o modleniu się podczas sprawowania kultu i w innych okolicznościach. Wyrazem pobożności były stawiane posągi oraz rytuale na nagrobkach napisy. Rzymskich inskrypcji modlitewnych zachowało się jednak niewiele, podobnie zresztą jak w Grecji. Teksty liturgiczne odczytywano z woskowanych tabliczek, dlatego większość z nich nie zachowała się do naszych czasów.

Modlitwy odmawiano z największą starannością. W rytuałach ofiarniczych i wróżebnych nie mogło być żadnej pomyłki, inaczej należało je powtórzyć. Razi nas dziś ta przesada, sugerująca magiczne traktowanie modlitwy jako środka naciśku, choć świadczy ona również o gorliwości dawnych wyznawców. Z niej to wynikało też głośne wypowiadanie modlitw

i zwyczaj powtarzania ich więcej razy, który mamy i w chrześcijaństwie. Oto fragment peanu na cześć duchów opiekuńczych domów: „Pomóżcie nam, Lary, pomóżcie nam, Lary, pomóżcie nam Lary!” (z modłów o plony Braci Rolnych, arwólów, czcicieli bogini Dea Dia).

Dokładnie powtarzano dawne teksty, utrwalone w łacinie archaicznej i nie do końca zrozumiałej. Kolegium kapłanów Marsa, zwanych saliami, obchodziło Rzym z tańcami i śpiewami, które przytaczano potem jako osobliwości językowe w rodzaju: „Bogów ojca opiewajcie, bogów boga błagajcie” (Warron 7, 27); „Gdy grzmisz, Świetlisty, drżą przed tobą bogowie, którzy ciebie słyszą grzmiącego” (Terencjusz Skaurus, zachowany fragment). Z opisów wynika, że był to rodzaj litanii, w której zwracano się na przemian do ogółu bogów i do niektórych z nich.

Zachowane wczesne modlitwy miały często charakter prośbny. Błagano na przykład o boskie wsparcie na wojnie. Prośbom towarzyszyły dary i obietnice. Romulus po zwycięstwie złożył ciała i broń nieprzyjaciół, wyznaczając święty okrąg (Ab urbe condita 1, 10, 5–6). Augur, gdy obejmował władzę, modląc się nad królem Numą prosił o potwierdzenie wyboru przez znaki z nieba (1, 18, 9). Ślubowanie wystawienia świątyni w przypadku zwycięstwa powtarzało się stale i tak w starożytnym Rzymie powstało wiele miejsc kultu religijnego.

Błagając o zwycięstwo nad Sabina, Romulus, według Liwiusza, ślubował wystawienie świątyni Jowiszowi (1, 12, 4–6): „Jowiszu! Na rozkaz twoich ptaków tu na Palatynie położyłem pierwszy kamień pod budowę miasta! Zamek wzięty zbrodniczym przekupstwem dźwiga już Sabini! Stamtąd z mieczem w ręku dążą tutaj i już minęli połowę doliny! Ale ty,

ojcze bogów i ludzi, przynajmniej odtąd odeprzyj nieprzyjaciela, odejmij trwogę Rzymianom i wstrzymaj haniebną uciekłę! Ślubuję, że w tym miejscu postawię ci świątynię jako Jowiszowi Statorowi, aby była pamiątką dla przyszłych pokoleń, że twoja osobista pomoc uratowała dziś miasto!”.

Dopatrywano się tu jakiegoś przekupywania bogów czy też prób ich zobowiązania do udzielenia pomocy, choć teksty wskazują raczej na uznawanie pierwszeństwa bóstw i składanie im hołdu, analogicznie jak to ma miejsce dzisiaj przy ofiarowywaniu wotów. Modląc się dowodził słuszności swojej sprawy. Ponadto w modlitwach wychwalano bóstwa jako święte, czcigodne, wieczne, dobre, wszechmocne. Na uwagę zasługuje naczelną rolę Jowisza – ojca bogów i ludzi. Stator to ten, co utwierdza, stawia, w późniejszej interpretacji – podtrzymuje świat.

Modlitwy dotyczyły oczywiście i spraw codziennych, wtedy mogły się przeistoczyć w handel z bóstwem: „Ja cię czczę, a ty mi daj, o co proszę” (Ego te adoro, tu mi da ea, quae precor; widać przy tym, że pewne słowa łacińskie są podobne albo i identyczne w języku polskim). Ale czy i dziś ludzie nie popełniają tego błędu? Tego typu modlitwa zatracą o magię, którą reprezentują antyczne tabliczki z modlitewnymi zaklęciami, nazywane przez starożytnych defixiones.

Wjazd cesarza Tytusa Andronicusa do Rzymu na obrazie Josepha Michaela Gandy'ego. Fot. Meister Drucke



W związku z tym, że życiu starożytnych zagrażały liczne niebezpieczeństwa, modlono się o ocalenie w czasie zarazy czy na wojnie, o zdrowie, o udany poród, o pomyślną podróż morską. Wiele modlono się też o obfite plony.

W czasach pomyślności zapominały, że pokarm niezbędny do przeżycia jest podstawową potrzebą ludzką, a głód realnym niebezpieczeństwem... Katon w traktacie o rolnictwie cytuje modlitwę przed żniwami: „Ojcie Janusie! Składając ci ten placek, błagam cię dobrą modlitwą, abyś zechciał być łaskawy dla mnie, dla moich dzieci, dla mojego domu i czeladzi”. Tę samą formułę powtarza potem, zwracając się do Jowisza. A przed orką wiosenną błaga swego boga: „Jowiszu Ugaszczany, jako że przyszło mi ofiarować ci w moim domu i wśród mojej czeladzi czarę wina...” (De agricultura 132 i 134). Obszerniej omawia Katon obrzędy rolników na cześć Marsa (De agricultura 141).

Wybór bóstwa, do którego zanosił się prośby, bywał w religii politeistycznej utrudniony, choć w zasadzie poszczególni bogowie mieli swoje zakresy działania. (Naśladuje to bezwiednie charakterystyczny dla włoskiej kultury kult świętych.) Stosowano jednak również formuły typu: „do wszystkich bogów i bogiń”, za czym stoi przecucie, że boskość ma jednak charakter powszechny. Dlatego św. Paweł na Areopagu pochwalił oł-

tarz z napisem „nieznanemu bogu” (Dz 17, 23). Mówiono też ogólnie o wszystkich boskich imionach, gdyż nie da się ich wyszczególnić, czyli ogarnąć i zdefiniować boską naturę.

Do dawnych modlitw należą też te wypowiadane przez fecjalów, czyli kapłanów Jowisza, dokonujących publicznych ślubowań dotyczących wojny i pokoju, na przykład jej wypowiedzenia, zawarcia przymierza czy wezwania napastników do naprawienia szkód. „Słuchaj, Jowiszu! (...) Jeżeli ja niesprawiedliwie i niegodziwie domagam się wydania mi owych ludzi i zwrotu rzeczy, to nie daj mi już nigdy oglądać ojczystych progów” (Liwiusz, Ab urbe condita 1, 32, 6–7). Z lęku przed bogami Rzymianie przedstawiali swoje wojny jako sprawiedliwe. Mieli bowiem poczucie, że modlitwa zakłada słuszną sprawę, co w życiu codziennym manifestowało się w różny sposób. Mamy więc wykutą w kamieniu inskrypcję z prośbą do lokalnej bogini o pomszczenie kradzieży szat (CIL II, 462). Ktoś prosił nimfy źródła o uśmiercenie wroga (CIL XI, 1823). Żona rozłączona z ukochanym mężem błagała Many (duchy przodków) o to, by znowu mogła z nim być (CIL VI, 18817).

Modlitwa w literaturze

Już wczesne modlitwy liturgiczne miały cechy liryczne i mogły być śpiewa-

ne. Niewykluczony był tu wpływ dawniejszych utworów starożytnych Greków, rozpowszechnionych za pośrednictwem greckich kolonii w południowej Italii. Oprócz wczesnych hymnów znane są też krótkie zwroty, jak słowa Enniusza do Tybru: „I ty, ojcie Tybrze, z twoim świętym biegiem!” (Annales 26). Hymny wzywają do uczczenia bóstwa, opowiadają o nim i wymieniają motywy czci.

Katullus ułożył hymn do Diany i w wielu utworach nawiązywał do cech formalnych modlitw oraz hymnów; takie naśladownictwo spotykamy i u innych. Jego Ariadna skarży się więc Jowiszowi i Eumenidom mścicielkom na zdradę Tezeusza (Carmina 64, 171–176 i 188–201). Epikurejczyk i materialista Lukrecjusz zaczął swój poemat filozoficzny od inwokacji do Wenus, co pokazuje, że formy modlitewne były umowne.

U Horacego mamy hymn do Merkurego (Carmina I, 10), hymn do Diany i Apolla (I, 21) oraz jeszcze inne (Odes 1, 1–16; 3, 1–8). Jego pieśń na igrzyska stuletnie zawiera na początku prośby do boga światła i sztuki oraz bogini łowów o pokój, urodzaj i pomyślność dla kraju (Carmen saeculare 1–8):

„Febie! Diano, lasów można ksieni!
Gwiazdy niebieskie! Czcigodni i czczeni
Dajcie nam, o co błagamy w porze
W tej świętej porze.
Gdy sybillińskich prawem przepowiedni
Wybranych panien i chłopców
chór przedni
Do bóstw, co siedem wzgórz umi-
łowały,
Wznosi hymn chwały”.

Znamienny pod względem teologicznym jest dwuwiersz adresowany do Jowisza, spokrewniony z filozofią stoicką (Quintus Valerius Soranus, fragment ocalały jako cytaty u św. Augustyna): „Jowiszu wszechmocny, królów, rzeczy i bogów / rodzicieli i rodzicielko, boże bogów, jeden i wszyscy”. W myśl tych słów jeden Bóg jest sprawcą wszystkiego, wcielając i reprezentując wszelką indywidualną boskość.

Kojarzony przede wszystkim z erotyką Owidiusz wpłatał w swoje dzieła modlitwy. Obecne są one w „Przemianach” (Metamorphoses 7, 192–219; 15, 851–870). Napisał też inne dzieło – Fasti, stanowiące poetycki opis świąt kalendarza rzymskiego z mnóstwem wiadomości o religii i z modlitwami. Jedną z nich skierowaną do Palesy, opiekuna stad, przeznaczono

na wiosenne święto pasterzy, Parilla (21 kwietnia), zaczyna się tak: „Troszcz się zarówno o stado, jak o jego pana, niech nieszczęścia uciekną, odepchnięte daleko od moich owczarni” (Fasti 4, 747–748).

Modlitwy wypowiadają bohaterowie eposów. Cały ich szereg można znaleźć w „Eneidzie” Wergiliusza. Oto przykłady. Eneasza spotyka Wenus, poznaje, że to jakaś bogini, i prosi: „Nie wiem, kim jesteś, lecz sprzyjaj nam, pomóż nam w naszej niedoli (...). Złożym ci sute ofiary u twoich ołtarzy za pomoc” (1, 330. 334). A Anchizes woła: „Wszechpotężny Jowiszu, jeżeli dasz się ubłagać, / rzuć na nas tylko wejrzenie, a może, widząc w nas zbożność / przydziesz nam, ojczy, z pomocą i znakiem potwierdzisz tę wróżbę!” (2, 689–691). Modlitwa przy odbijaniu od brzegu brzmi: „Groźby odwróćcie, bogowie, i strzeżcie od udręk nas takich. / Chrońcie w dobroci swej zbożnych!”. Gdzie indziej można znaleźć błaganie o uratowanie statków przed ogniem (5, 687–692). Prośby zaś o pomoc boską znajdują swoje uzasadnienie w pobożnym życiu proszących.

W utworach scenicznych również występują modlitwy. U Plauta, jak to bywa w komediach, nie wszystkie należy traktować na serio, ale i takie się pojawiają. Kobieta składa gałąź lauru na ołtarzu Apolla i mówi: „Apollo, błagam cię, żebyś

Flora, rzymska bogini kwiatów i wiosny, na zachowanym fresku z Pompejów. Fot. Wikimedia



łaskawie / dał pokój, ratunek i zdrowie naszemu domowi, / a syna mego zachował w swojej łaskawości” (Mercator, 678–680). Modlitwa ta brzmi szczerze i dobrze wpisuje się w akcję. Pojawia się też u tego autora prywatna modlitwa dziękczynna do Jowisza po odniesionym zwycięstwie (Persa 753–757).

Modlitwy powtarzają się w naśladowających dzieła greckie tragediach. Wprawdzie z dzieł wcześniejszych autorów niewiele ocalało, ale spory i różnorodny materiał znaleźć można u Seneki. Modlitwy, a także przysięgi i zaklęcia, włączone są w monolog bohaterów i w partie chóru. Na przykład Agamemnon wypowiada modlitwę przed złożeniem ofiar Jowiszowi i Junonie (Agamemnon 802–807; greckie imiona bogów zastępowano odpowiednikami łacińskimi).

Wymieńmy też przykłady z prozy. Cyron, który wierzył w najwyższego boga i świat boski, wzywał do modlitwy i pisał też o swojej modlitewnej prośbie. „Sędziowie, w owym szczęśliwym dniu, w którym według ustalonego przez przodków zwyczaju obwieściłem zgromadzonemu centuriom wybór Licyliusza Mureny na konsula, prosiłem bogów nieśmiertelnych, by to wydarzenie okazało się dla mnie, dla narodu i ludu rzymskiego szczęśliwe i by nie zawiodło nadziei związanych z moim stanowiskiem. Do tych samych bogów nieśmiertelnych zwracam się z podobną prośbą teraz, kiedy chodzi o to, by człowiek ten utrzymał się szczęśliwie na stanowisku konsula” (początek mowy w obronie Mureny).

„Jowiszu, ty, któremu Romulus z bożego nakazu razem z tym miastem zbudował świątynię, którego słuszenie nazywamy Opiekunem tego miasta i państwa, nie pozwól temu człowiekowi i jego towarzyszom targnąć się na twoje i innych bogów ołtarze, na domy i mury miasta” (z zakończenia pierwszej mowy przeciw Katylinie).

*

Tak oto i ci, którzy nie znali jeszcze jedynego prawdziwego Boga i Jego objawienia, kierowali wzrok ku górze i szukali spotkania z boskością. Religijność i modlitwa należą bowiem do natury ludzkiej. Rzymianie wierzyli w boską obecność w swoim życiu, prywatnym i publicznym, czego wyrazem były modlitwy, cześć oddawana bogom i zanoszone do nich prośby. Niejeden zlaicyzowany, nominalny chrześcijanin mógłby brać z nich przykład.

Wojenne dramaty dzieci Lwowa (2)

Polacy sekowani byli w łagrach Kołymy przez złodziei, własowców i banderowców

Dr Marek Klecel

Stanisław Czuruk przeżył z rodziną we Lwowie całą wojnę – pierwszą okupację sowiecką od września 1939 r., okupację niemiecką od połowy 1941 r. i drugą okupację sowiecką od 1944 r. Nie doczekał jednak wolności po zakończeniu wojny w 1945 r. Przeciwnie, jako młody konspirator i partyzant, walczący przeciw z Niemcami tak jak Armia Czerwona, został aresztowany. Prawie cztery lata przebywał w przejściowych obozach pracy we Lwowie, z których etapami jechało się do łagrów w głąbi Rosji. W tym czasie, jak zapisał we wspomnieniach i listach do rodziny, „brano mnie na etap 32 razy. Ratowałem się z tych etapów w różny, czasami nieoczekiwany nawet dla mnie sposób. W większości wypadków ratowała mnie pomoc moich rodziców, ale czasem pomogło mi po prostu zrzęczenie Opatrzności. Dopiero za trzydziestym trzecim razem wyruszyłem ‘w siną syberyjską dal’”.

Na Kołymę w dzień urodzin

Skierowano go do najdalszych i największych łagrów na Kołymie, gdzie wydobywano wszelkie bogactwa naturalne: rudy złota, wolframu, kobaltu, cyny i ołowiu, gdzie były też kopalnie węgla. Wyjechał w dzień swoich 25. urodzin – 11 sierpnia 1948 r. Z pociągu udało mu się wyrzucić kartkę dla rodziców z wiadomością o zesłaniu, z poleceniem doręczenia za zapłatą 50 rubli. Jeszcze na dworcu we Lwowie naczelnik pociągu wyznaczył go „starszym wagonu”. Wszedł do wagonu i zapytał, kim są więźniowie. Wszyscy przedstawili się jako Ukraińcy, tylko Stanisław powiedział, że jest Polakiem. „No to będziesz ‘starszym’, sprawdzasz i mel-

dujesz stan osobowy wagonu” – stwierdził naczelnik.

Sowiecka obsługa sprawdzała stan wagonu, ostukując podłogę drewnianymi młotkami, bo zdarzało się, że więźniowie uciekali przez wybitą dziurę. Nieraz używano też tych młotków wobec więźniów, czego Stanisław jako „starszy” uniknął. Miał też z racji swej funkcji lepsze miejsce do spania na wyższej narze przy zakratowanym okienku. Mógł obserwować okolice, mijane w ciągu miesiąca drogi na drugi koniec Azji. Przejechali dawną granicę na Zbruczu, bezkresne pola Ukrainy, przekroczyli w Kijowie Dniepr i przez Charków dojechali do Moskwy. Po paru godzinach postoju wyruszyli w kierunku Uralu. Stanisław zobaczył po drodze słup, na którym z jednej strony był napis „Europa”, a z drugiej – „Azja”. Jechał głównym szlakiem syberyjskim, którym od prawie dwustu lat wędrowali polscy zesłańcy – pieszo, kibitkami, a później pociągami, choć nieosobowymi.

„Już na Uralu znaleźliśmy się w tajdze, przez którą jechaliśmy aż do jeziora Bajkał. Nic piękniejszego, a zarazem strasznieszego niż Bajkał nie widziałem w życiu. Czarny błękit wody, okolony modrzewiowymi lasami koloru słomy i czarnymi górami, których szczyty pokrywał śnieg, robiły na mnie wielkie wrażenie. Jeszcze większe jednak wrażenie zrobiły na mnie tunele zbudowane rękami polskich zesłańców po powstaniu 1863 roku” – pisał Stanisław w listach, które nigdy nie dotarły do rodziny.

Z Irkucka, po objechaniu Bajkału, przez pustynie mongolskie, Komsomolsk nad Amurem i Chabarowsk więźniowie dotarli na wybrzeże Oceanu Spokojnego, nad Morze Ochockie. Zatrzymali się w porcie Wanino, gdzie były obozy tran-

zytowe w drodze na północ do portu Magadan i dalej na Kołymę. Stanisław znalazł już złą sławę obozów Wanino. Usłyszał o nich jeszcze we Lwowie od niejakiego Jurija Zykowa, mieszkającego wcześniej na Syberii, z którym pracował po wojnie w lwowskim obozie. Jurij trafił do Wanino za to, że dzień po wojnie strzelał do Niemca. Udało mu się stamtąd wrócić do Lwowa; wspominał Stanisławowi, że woli pięć lat więzienia we Lwowie niż jeden dzień w Wanino.

O prawdziwie tych słów Stanisław przekonał się tam bardzo szybko po przybyciu. Któregoś dnia do jego baraku, w którym mieszkali głównie „suki”, czyli złodzieje, wpadł nagle człowiek z siekierą w ręce, krzycząc: „Frajerzy wylatywać, ‘suki’ zostają!”. Stanisław wolał wyskoczyć od razu na mróz, choć był ledwie ubrany, niż być uznany za złodzieja. Niewiele jeszcze rozumiał z tego, co w takim obozie się dzieje. Okazało się, że były to porachunki między złodziejami – pomiędzy tymi, którzy przeważnie współpracowali z władzami obozu, a „zakonnymi”, prawowitymi, „czestnymi worami”, czyli złodziejami honorowymi. „Ten młody człowiek z siekierą – zanotował – był bratem jednego zabitego i mszcząc się, zabił siekierą dziewięć ‘suk’, aż sam został zatłuczony deskami z górnych nar. Podobno zamordowano ponad czterdziestu złodziei i nikt nigdy nie dowiedziałby się o tym, gdyby nie ten ‘mściciel’. Teraz musimy siedzieć na dworze, bo wynoszą trupy z baraku”.

Stanisławowi zdarzało się spotykać kolegów ze Lwowa. Opowiadał, że któregoś dnia wkroczyła do obozu dziwna grupa opalonych ludzi w krótkich spodniach, podkoszulkach, w korkowych hełmach na głowach. Zdziwiony odezwał się do sąsiada Polaka: „Ciekawe, co to za Murzy-

ny przyjechały?”. Jeden z nich odwrócił się i odpowiedział: „Ta, panie, ta, my ze Lwowa”. Okazało się, że była to brygada budująca fortyfikacje na granicy Iranu, zapewne jeszcze z czasów gen. Andersa. Przejęta potem przez Sowietów, została z dnia na dzień wywieziona samolotem do obozu w Wanino. Owym „Murzynem” okazał się kolega Stanisława z 3. Gimnazjum – Stach Kawecki.

Do Magadanu w konwoju okrętów podwodnych

W obozie przejściowym Stanisław przebywał krótko, ale zdobył tam już pewną wiedzę o warunkach łagrowych. W końcu września 1948 r. załadowano go z tysiącem innych więźniów na statek „Nogin”, który miał ich dowieźć do Magadanu, stolicy Kołymy. Podróż okazała się burzliwa. Podczas sztormu zmarło na zawał serca dwóch starszych Estończyków, a w ładowni, gdzie gromadzono więźniów, wybuchł bunt złodziei; chcieli opanować statek i skierować go do Japonii. Stanisław wspominał, że przy jakichś czynnościach na pokładzie statku zauważył z kolegą dwa okręty podwodne. Zapewne eskortowały one statek, a w razie zdrady i ucieczki gotowe były go zatopić. Topiono przecież na północy rosyjskiego kraju całe barki z więźniami...

Żeby stłumić bunt na statku, na którym płynął Stanisław, zamknięto wszyst-

kich w ładowniach, gdzie zabrakło powietrza i więźniowie mogli się podusić. Polacy, którzy siedzieli obok zbuntowanych złodziei, również podnieśli alarm. Przekonali jednak obsługę statku, że nie mają nic wspólnego ze złodziejami i zażądali siekier, żeby móc się bronić, gdyby tamci wdarli się przez cienką ścianę ładowni. Nie wiadomo, czy wystrzelano „suków” i „czestnych worów”, w każdym razie statek nie został storpedowany i popłynął dalej. Po dwóch tygodniach dotarli do Magadanu, gdzie w kolejnym obozie przejściowym mieli oczekiwać na przydział do łagrow na rozległej Kołymie – można było trafić do najcięższej pracy w kopalniach, do złej przy budowie dróg lub najlepszej w łagrowych usługach i służbach pomocniczych.

Najpierw wysłano ich do obowiązkowej łaźni, w której Stanisław stracił swoje najlepsze ubrania. Na kwarantannie przebywali w baraku, który skontrolował naczelnik obozu. „Czy są pluskwy?” – zapytał zaraz po wejściu. „Nie ma” – odpowiedzieli więźniowie. „To nic, będą” – powiedział i wyszedł. Choć pobyt w tym obozie był tymczasowy, Stanisława wzięto od razu do pracy. Miał być stolarzem, ale udało mu się przekwalifikować na pomocnika malarza. Dodatkowo dorabiał u kucharza ze szpitala, malując mu okienka, przez które wydawano jedzenie. Liczył na to, że zatrudni się w kuchni, bo spotkał tam Polaka: „W kuchni pracuje Fra-

nek Kowalski z Warszawy. Dostał się tu w 1944 roku z powstania, po przepłynięciu Wisły. Pracując w kopalni posprzeczał się ze swoim brygadystą, który – będąc własowcem – mordował ludność Warszawy; i ten przemiły facet odrąbał Frankowi siekierą prawą dłoń. Franek nieraz bierze mnie do pracy i dobrze karmi”.

Wrodzy własowcy i banderowcy

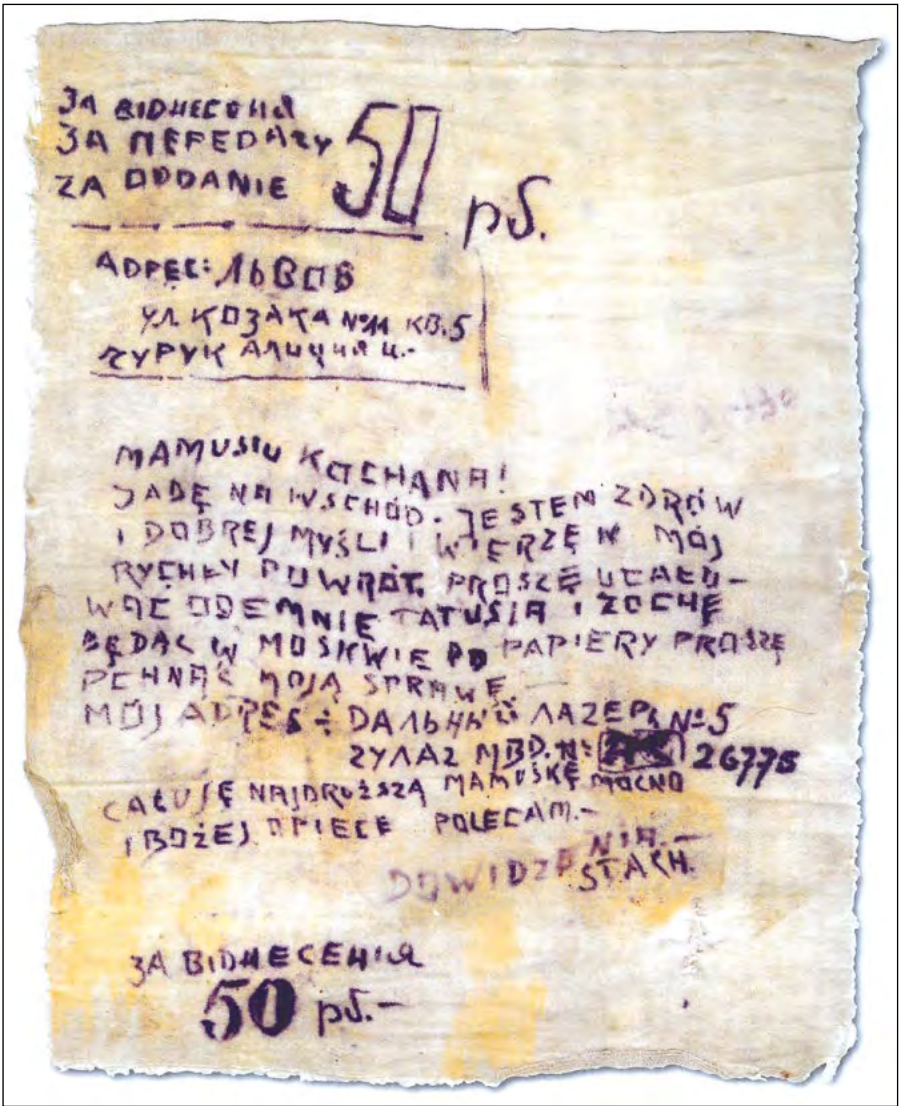
Polacy przebywający w obozach mieli za przeciwników nie tylko sowieckie władze łagrowe, ale także „współtowarzyszy niedoli”. Oprócz „suków” i „worów” wrodzy wobec nich byli kolaboranci Niemców z czasów II wojny światowej – Rosjanie z armii Własowa, czyli własowcy, oraz Ukraińcy banderowcy. Stanisław doznał tej wrogości wielokrotnie. Gdy na wiosnę 1950 r. wyprawiono go z innymi więźniami z Magadanu do odległego o 600 km Niżniego Siejmczanu, a stamtąd do obozu Łazo (5 tys. więźniów), gdzie zaczął pracować w miejscowej kopalni, najpierw na powierzchni, później jako górnik dołowy, trafił tam na brygadzystę własowca: „Podczas wojny był on żołnierzem armii Własowa – pisał Stanisław – i należał do oddziałów karnych, które mordowały Warszawę. Wszystkimi kolegami w brygadzie byli banderowcy. Gdy brygadzysta tytułował mnie ‘Panem Piłsudskim’ albo po prostu ‘polską mordą’, spotykało się

to z przychylnym śmiechem całej brygady”. Znalazł tylko jedną przyjazną duszę w osobie Józefa Kukuja z Bieszczad, skazanego za udział w UPA. Dzięki matce Polce czuł się on także Polakiem, więc rozumiał sytuację Stanisława.

W obozie taki brygadzysta jak własowiec Nikołaj Wasiljew mógł często decydować o życiu i śmierci ludzi znajdujących się pod jego władzą, których uznawał za nieprzyjaciół. Miał za takiego Stanisława, który pracował w kopalni na dużej głębokości – wysłano go w rejon niebezpieczny, „na przodek”, gdzie często następował wybuch gazu. Cudem przeżył, ognisty podmuch zmiotł całą jego brygadę. Stanisław ocalał w jakimś załomku skał, doznając niewielkich obrażeń. Musiał jeszcze zbierać szczątki kolegów, których nie dało się już rozpoznać. Poznał tylko Józka Kukuja po pierścionku na palcu...

Ocalałego Stanisława ciągnano jeszcze przed specjalną komisję, która przyjechała z Moskwy dla zbadania okoliczności wybuchu, czy nie był to sabotaż i dywersja. Potem skierowano go do pracy w kopalni z pozoru złej, ale tam brygadystą był też własowiec, tyle że Gruzin, chociaż bardziej „ludzki człowiek”. Nie mógł on sobie jednak pozwolić na pobłażliwsze traktowanie podległych mu więźniów. Wysłał kiedyś Stanisława, by oczyścić schody z lodu; ta płytsza kopalnia miała tylko 160 m głębokości i oprócz windy były tam drewniane schody. Polak zaczął skuwać lód, ale nie mając żadnego zabezpieczenia, mógł łatwo się poślizgnąć i polecieć sto metrów w dół. Zapytał więc współwięźnia Jana Kossakowskiego, skazanego jako esesman z Łotwy, czy by go nie zastąpił za dodatkowe porcje chleba, i ten chętnie się zgodził. Po jakimś czasie obsługujący windę, która wyjeżdżała w górę, krzyknął do kolegi, żeby powoli zjeżdżał w dół, bo w szybie wisi człowiek. „Jan – pisał Stanisław – pośliznął się na schodach i poleciał w przepaść szybu, ale zaciepił się o przewody i pół godziny wisiał głową w dół. Nie miał do mnie pretensji. Dałem mu dwie porcje chleba, był po prostu szczęśliwy”.

W połowie 1951 r. Stanisław donosił matce o nowych pracach i o tym, że podpadł na zdrowiu na skutek głodowego odżywiania. Do tego podczas transportu stempli do kopalni został przypadkiem uderzony w głowę, tak że spadł z ciężarówki i cały się potłukł. Postanowił w tym stanie starać się o zwolnienie i przeniesienie do złej pracy. Poszedł do naczelnika Nieczajewa, o którym słyszał, że był w Polsce naczelnikiem UB i trafił na Kołymę za pomoc aresztowanym akowcom. Liczył na lepsze potraktowanie go jako Polaka. Na pytanie, za co siedzi, odpowiedział, że za walkę z Niemcami. Nie dowierzając, bo przecież wszyscy tam kłamali, naczelnik chciał go sprawdzić, czy



List napisany przez Stanisława Czuruka na chusteczce i wyrzucony z pociągu. Odnalazł go polski kolejarz i odniósł matce autora. Fot. Ośrodek KARTA

rzeczywiście uczył się i studiował. Dał mu nawet jakieś zadanie matematyczne do rozwiązania. Widać przekonał się, bo patrząc na jego wygląd, zapytał, kto go tak urządził. Stanisław skłamał, że przesładują go własowcy i banderowcy. Naczelnik załatwił mu lepsze ubranie i jedzenie, wziął do pracy w biurze.

Był to najlepszy okres pobytu Stanisława na Kołymie. Dowiedział się wtedy, jak wyglądały losy jego korespondencji z rodziną. Jesienią 1951 r. naczelnik wezwał go i powiedział, że jest do niego list podpisany tylko literą A. „Kto to jest?” – zapytał, obawiając się, że to niedozwolona korespondencja. „To moja matka Alicja” – wyjaśnił Stanisław. Naczelnik zapytał go, dlaczego tak rzadko pisze do matki. Wyglądało to na kpinę, bo przecież on nieustannie do niej pisał, ale nie dostawał odpowiedzi. Wyjaśnił naczelnikowi, że to właśnie w jego biurze odkrył tego przyczynę. Dyżurny żołnierz, który palił w piecu, wrzucał do niego listy z pojemnika, w którym Stanisław zauważył i swój

list. Kartka od matki z widokiem Lwowa, którą dostał od naczelnika, była jedynym listem, jaki od niej otrzymał w ciągu pięcioletniego pobytu w łagrze Łazo.

Na los szczęścia

Idylla pracy u naczelnika Nieczajewa trwała tylko parę miesięcy. Potem przeniesiono go do innych obowiązków „za druty”, a tam Stanisławowi nie pozwolono już pracować. Mimo wszystko był zadowolony, bo mógł się lepiej odżywiać i zyskać na zdrowiu. Potem dostał też lepszą pracę w brygadzie poszukiwaczy nowych złóż rudy; był to rodzaj prac geologicznych. Więźniów przerzucano jednak często do innych zajęć, toteż kolejną pracą Stanisława była obsługa pomp głębinowych w kopalni. Musiał opróżniać z wody korytarze na głębokości 900 m. Kiedyś zgasiło światło i pompy oraz winda przestały działać. Kopalni groziło zalanie. Dzięki przytomności umysłu Stanisława, że nie uciekał od razu po awaryjnej dra-

Droga Stanisława Czuruka ze Lwowa na Kołymę. Fot. Ośrodek KARTA





Polskie dzieci ze Lwowa podczas zesłania na Kołymę. W środku siedzi córka Weroniki Tur. Fot. Ośrodek KARTA

binie, a zaczekał, aż włączą prąd i pompy znów zaczną pracować, kopalnia została uratowana. Dostał za to pochwałę od naczelnika obozu i w nagrodę dwa bochenki chleba, którymi podzielił się z kolegami.

Wielokrotnie przekonywał się w łagrze, że życie ludzkie niewiele tam znaczy. Nawet wydajna praca nie zabezpieczała przetrwania. Żył się od przypadku do przypadku. Wiele razy sam uniknął śmierci. Kiedyś wsadzono go zupełnie bez powodu do obozowego karceru. Znalazł się tam wśród bandytów, jak sam ich określił, którzy akurat przygotowywali ucieczkę. Był dla nich jednak intruzem, więc jeden z bandytów wyjął nóż i zapytał, czy będzie uciekał z nimi. Mieli już przygotowany podkop i narzędzia do przecinania drutów. Musiał się zgodzić. Kiedy wydostali się z karceru i przecięli druty, kierując się w stronę dalszych zabudowań, Stanisław skreślił szybko do bramy obozu. Na wartowni powiedział, że wraca z pracy u naczelnika, który zatrzymał się po drodze. Żaden więzień nie mógł swobodnie wędrować, musiał w wypadku pracy za drutami poruszać się w konwoju. Wracając później z pracy, zauważył koło bramy leżące na śniegu zakrwawione zwłoki czterech uciekinierów.

Litwin Jozuas Kraas, brygadier krawców, zaprzyjaźnił się z jednym z naczelników. Razem popijali, ale kiedyś ów naczelnik wygadał się w jakichś niewygodnych sprawach i uznano, że trzeba pozbyć się świadka. Wypuszczono go za druty z poleceniem stawienia się w sztabie, a wartownik z wieży strzelniczej śmiertelnie go postrzelił. Były też przypadki odwrotne. Kłopot nadzorcom sprawiał chłop z Powoła Iwan Dubow, należący do religijnej sekty bogoisłami, którego zamknięto, bo odmawiał służby wojskowej; nie brał broni do ręki, bo Chrystus zabronił zabijać. Wytrzymywał śledztwa i bicie, odmawiając także pracy, bo jak mówił, dla antychrysta nie będzie pracował. Stanisław, który miał wtedy dobre stosunki z naczelnikiem, zapytał kiedyś Iwana, czy w takim razie nie pracowałby dla kolegów. „Co miałbym robić?” – zainteresował się. „Mógłbyś być palaczem w kuchni i gotować nam kaszę”. Iwan zgodził się. Ucieszył się z tego naczelnik, gdy Stanisław powiedział mu o tym, bo też miał z Iwanem swój kłopot. Kiedyś później Stanisław był w kuchni świadkiem rozmowy naczelnika z palaczem, który podał mu rękę i powiedział: „Wiesz, u nas w obozie tylko trzech nie pracuje”. – Jak to trzech? – zdziwił

się naczelnik. „Dżabars (pies obozowy), ja i ty” – odpowiedział Iwan. Naczelnik tylko machnął ręką i wyszedł.

Po latach w obozie Stanisław zdobył już taką wiedzę o sowieckim życiu łagrowym oraz nabył pewnych umiejętności w poruszaniu się i radzeniu sobie, że nie raz mógł sam o sobie decydować. Wykonywał bardziej skomplikowane, ale nieraz i łatwiejsze prace. Dzięki układom z decydentami, wyrabianym przy pomocy towarów żywnościowych, które dostawał w paczkach z domu, mógł nieraz przebiegać w zajęciach, np. odmówił pracy fryzjera i praczki. Wolał być śmieciarzem, wywozić śmieci i śnieg, zamiatać zonę, co pozwalało mu poruszać się po obozie i nawiązywać kontakty z innymi Polakami. Znajomy lekarz ze Lwowa, Henryk Witrylak, załatwiał mu jakieś lekarstwa, nieraz zostawiał mu w śniegu za latryną butelkę tranu. Kiedyś w paczce przesłanej przez matkę Stanisław znalazł pudełko z napisem „hostie wyświęcone”. Dyżurny kontrolujący zapytał, co to jest. „A to jest chleb” – odparł po namyśle więzień. „A jak chleb, to możesz wziąć”. W ten sposób hostie trafiły do obozu. Stanisław najpierw starannie je ukrył, a później przekazał księdzu Czerwińskiemu, który też

był więźniem. Gdy bywał on dyżurnym swego baraku, odprowadził tam po polsku Mszę św. dla około trzydziestu Polaków.

Pamiętny rok 1953

Przyszła roku 1953, po którym więźniowie narażeni na codzienny łagrowy reżim niczego się nie spodziewali. Radosną datę 5 marca poprzedziły jednak znamienne znaki. Na początku roku poszła wieść, że jacyś Ukraińcy się zbuntowali, że chcą wywołać powstanie, jeśli wybuchnie wojna z Ameryką. W związku z tym, mocą sowieckiej logiki, Polacy od razu zostali nazwani faszystami. Ukraińców wystawiono nago na 40-stopniowy mróz, a później polano ich zimną wodą, czego nie mieli szans przeżyć. Jakiś bunt tlił się jednak. Kiedy na początku marca prowadzono do kopalni kolumnę więźniów, naczelnik zatrzymał ją i kazał siadać w brudnym śniegu. Usiedli, potem na rozkaz wstali. Później znowu mieli usiąść, ale poszła z tyłu instrukcja, żeby nie siadać. Naczelnik wrzasnął: „Siadać, bo będę strzelać!”. Wtedy rozległ się z kolumny jakiś głos: „Tak czy inaczej, kiedyś trzeba będzie umrzeć”. Naczelnik zламаł się i zawrócił kolumnę do obozu.

Następnego dnia była zamieć. Stanisława z grupą więźniów popędzono po

chleb do odległej o kilka kilometrów piekarni. Niewiele było widać, Stanisław wpadł w zaspę i przewrócił się. Naczelnik konwoju spuścił na niego psa, który poszarpał mu spodnie. Gdy chłopak jeszcze raz się przewrócił, naczelnik zaczął strzelać nad jego głowę. Z chlebem wracali już spokojnie. W nocy jednak nadzorca baraku zbudził Stanisława do nagłego zadania. Naczelnik, który strzelał do Stanisława, został w nocy zasypany przez lawinę, gdy rozprowadzał strażników na stanowiska. Więźniowie mieli odkopać go spod ośmiometrowej hałdy śniegu, która przyparła go do palisady obozu. Następnego dnia Stanisław z księdzem Czerwińskim i kucharzem Griszą poszli nad rzekę Siejmczanę kopać naczelnikowi grób na, jak to określano, cmentarzu ludzi wolnych, czyli zwolnionych po odbyciu kary i pozostawionych na osiedlenie. Zamarznięta ziemia była twarda jak skała, więc Grisza wpadł na pomysł, by użyć amerykańskich ładunków wybuchowych do kruszenia skał. Wywiercili otwory i założyli ładunki. Rozwinęli lont i schowali się za pagórkami. Kiedy nastąpił wybuch, Grisza obejrzał dół i stwierdził: „nawet trzech naczelników wlezie”.

Akurat wtedy usłyszeli jakieś okrzyki radości dochodzące z sąsiedniego obozu kryminalistów oraz strzały z wieżyczek

strażniczych. Zaniepokojeni, pospieszyli do swoich baraków. Przyjęto ich bardzo podejrzliwie, zrobiono gruntowną rewizję, co wtedy rzadziej się już zdarzało. Coś się działo. Na pytanie Stanisława kolega z baraku zdziwił się: „To ty nic nie wiesz? Nasz ukochany wódz narodów umarł”. Stan pojął wtedy triumfalne okrzyki złoździei i doszedł do wniosku, że gdyby dowiedzieli się o tym wcześniej i ucieszyli, jak tamci złoździe, to by ich wystrzelano.

Kilka miesięcy później Stanisław doznał szczęśliwych skutków śmierci „wó-dza narodów”. Przestał być więźniem numer W-1-204, a stał się wolnym człowiekiem na przymusowym osiedleniu w Niżnym Siejmczanie. Wolność w Związku Sowieckim była sprawą skomplikowaną i miała wiele odcieni. Na osiedleniu były więźniów znajdował się już na własnym utrzymaniu i sam starał się o pracę – tu dekrety Stalina żyły nadal i stanowiły właściwie kontynuację dekretów carskich. Stanisław mógł się teoretycznie starać o wyjazd do innych rejonów, a Polacy, równie teoretycznie, o powrót do kraju. Jednak w 1953 r. sytuacja była jeszcze niepewna, niewyjaśniona politycznie. Więźniowie w łagrach i przymusowi osiedleńcy trwali w zawieszeniu.

Jedną z nielicznych dobrych stron nowej sytuacji było to, że Stanisław mógł

ZAPOMNIANA HISTORIA CIERPIĄCYCH POLAKÓW

Za co?! Pytanie to nieodparcie nasuwa się podczas czytania tej przejmującej książki. Tysiące Polaków było zsyłanych na Sybir za umiłowanie własnego kraju, za walkę o jego wolność, za przywiązanie do wiary katolickiej. Wszelki sprzeciw wobec caratu karany był surowo; najczęściej właśnie wyekspediowaniem na tę nieludzką ziemię, skąd przeważnie nie było już powrotu. „Przewiną” mogło być nie tylko przygotowywanie narodowych powstań czy zamachów na cara lub jego funkcjonariuszy, ale także... czytanie nieprawomyślnych książek o patriotycznej wymowie. Są to historie prze-ważnie tragiczne, ale zarazem też bardzo budujące, ukazują bowiem wielkość i niezłomność polskiego ducha.

190 ilustracji, 600 str., 16,5 cm × 23,5 cm,
twarda oprawa. Cena det. 89 69 zł



ZAMÓW: bialykrak.pl, 12/254 56 02, 12/254 56 19 lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl.
Przy zamówieniu powyżej 300 zł koszty wysyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

swobodniej korespondować z rodziną, a właściwie tylko z matką, która pozostała przez cały czas w sowieckim Lwowie. Nie wyjechała do Polski, choć syn ją wielokrotnie do tego namawiał. Wypytywał w listach o ojca i siostrę Zofię, ale dostawał wymijające odpowiedzi. Była to zresztą korespondencja nieregularna, listy często nie dochodziły. Matka wysyłała też paczki z żywnością i odzieżą, choć syn ją uspokajał, że lepiej mu się już prowadzi, a żywności nie brakuje, jeśli się pracuje i zarabia.

Od połowy 1953 r. Stanisław zaznawał względnej swobody na warunkach Związku Sowieckiego, który jednak nieustannie starał się uczynić go swoim człowiekiem. Pracował gdzie się dało, wykonywał rozmaite zajęcia – stróża nocnego, nadzorcy garaży, kucharza dziennego i nocnego, pracownika służb rolnych. Mógł oglądać bezkresy północnej Azji, pływając rzeką Kołymą jak niegdyś Jan Czerny, który dla Rosji (i Związku Sowieckiego) odkrył jej bogactwa – złoto, minerały, węgiel, ginąc podczas ostatniej wyprawy.

Stanisław mieszkał w robotniczym baraku, odnawiał znajomości z Polakami z Kołymy, poznawał nowych, napływających z różnych stron polskich osiedleńców. Mając już rozliczne kwalifikacje

Wojna szesnastoletnia

Przeżył tak jeszcze dwa lata, ciesząc się sowiecką swobodą – tak wyglądała dyktando niewoli i wolności w Związku Sowieckim, o czym donosił w kolejnych listach do matki. Wreszcie jesienią 1955 r. zwolniono z Kołymy większość Polaków. Pozwolono im wyjechać do kraju, jeśli udowodnili, że stamtąd pochodzą. Jeśli zaś nieopatrznie przyjęli obywatelstwo sowieckie albo przyznawali się do rodziny, która przebywała teraz w granicach ZSRS, mogli być tylko przesiedleni do innego rejonu wielkiego Kraju Rad. Dlatego też pisząc pod koniec pobytu listy do matki we Lwowie, Stanisław tytułował ją „Droga Ciociu”, by upożyczyć, że najbliższą rodzinę ma już w Polsce. W listopadzie 1955 r., po jedenastu latach w sowieckich więzieniach i łagrach, wraz z towarzyszącymi niedoli statkiem „Feliks Dzierżyński” wracał Stanisław z Magadanu do Buchty Nachodka i Wanino. Stąd odprawili się oni łądem ostatecznie nie do Lwowa, a na Dolny Śląsk. Jak obrachował, była to dla niego w sumie wojna szesnastoletnia, wliczając lata okupacji niemieckiej, dwóch okupacji sowieckich we Lwowie i łagry na Kołymie.

Dzieje Stanisława Czuruksa związane są ściśle z losami jego rodziny. Po wojnie,

już na osiedleniu, namawiał ją, by rodzina wyjechała do kraju. Dopytywał o losy ojca i siostry Zofii, ale nie dostawał odpowiedzi. Matka nie mogła napisać prawdy. Ojciec Stanisława został aresztowany we Lwowie już w 1946 r. pod zarzutami działalności konspiracyjnej. Wiedział, że nie dadzą mu spokoju, więc zdecydował się opuścić Lwów pod koniec tego roku. Wcześniej wyjechała też siostra Stanisława Zofia, która była łączniczką AK. Na posterunku we Lwowie została tylko matka Alicja.

Ojciec zamieszkał w Krakowie u swojej siostry, u której zatrzymała się również Zofia. Zaczął starać się o przejęcie majątku po zamordowanym w Auschwitz bracie Bronisławie. Zaraz jednak został aresztowany z pomówienia o fałszowanie dokumentów majątkowych. Był to oczywiście pretekst, w kraju również miał nie zaznać spokoju. Przesłuchiowano jego liczną rodzinę, siostry, wielokrotnie córkę. Przeszedł śledztwa na Rakowieckiej, a potem obóz pracy w Mielęcinie pod Włocławkiem. Wyszedł stamtąd ciężko chory w końcu 1948 r. Pracował jeszcze mimo choroby jako lektor języka rosyjskiego w Katowicach i Krakowie. Zmarł 3 maja 1950 r., o czym żona wtedy nie wiedziała, a syn nie dowiedział się przez cały czas pobytu w Związku Sowieckim. Losy ojca poznał dopiero, gdy wracając z Kołymy spotkał się na chwilę na dworcu we Lwowie z matką, której nie widział przez 7 lat. Musiał jechać dalej, matka go tylko przywitała i pożegnała. Ponad 10 lat mieszkała w sowieckim Lwowie, cierpiąc samotność i nędzę. Przetrwac pomogła jej tylko głęboka wiara religijna i myśl o synu, który był w jeszcze gorszym położeniu.

Do kraju mogła przyjechać dopiero w 1957 r. Przekroczyła granicę z pomocą krewnej i syna, który oczekiwał ją po drugiej stronie. Nie było to łatwe, bo potajemnie przewoziła zarówno swoje zapiski, jak i ponad trzysta grypsów syna, przemycanych z powojennego obozu pracy we Lwowie. Razem z jego późniejszymi zapiskami, pisanymi przeważnie w formie listów do matki, stanowiły one rzadkie i cenne świadectwo łagrowych doświadczeń Polaków. Listy te pozostały niewysłane, bo Stanisław domyślał się, że do matki nie dojdą, a zapiski w formie korespondencji były dla więźnia rodzajem alibi, bezpieczniejszym niż łagrowy dziennik, zawsze podejrzany, grożący nowym wyrokiem lub karcerem.

Rozbita rodzina Czuruksów zbierała się w Polsce od 1957 r., osiedlając się na Dolnym Śląsku u krewnych, którzy wrócili wcześniej. Stanisław założył wkrótce rodzinę; jego żona przeszła po Powstaniu Warszawskim obozy niemieckie. Przeniósł się z nią do Zielonej Góry.

Czuruksowie stanowią symbol polskiej rodziny ciężko doświadczonej przez „wojnę szesnastoletnią”.



Praca przy rąbaniu drewna w tajdze na Kołymie; temperatura sięgała -52°C .
Fot. Ośrodek KARTA

robotnicze i chłopskie, chciał nabyć status inteligenta pracującego. W listach prosił matkę, by zdobyła we Lwowie wszelkie jego dokumenty, świadectwa szkolne i zaświadczenia ze studiów, co pozwoliłoby mu zdobyć bardziej wykwalifikowaną pracę. Nie zanosilo się bowiem na szybki powrót do kraju.

gdy przesiedlano Polaków z Kresów na tzw. ziemie odzyskane, jego matka pozostała we Lwowie, oczekując przez lata na powrót syna. Uznała, że pozostając tam, łatwiej będzie mogła mu pomóc. Wysyłała listy i paczki, choć nie zawsze dochodziły, o czym po jakimś czasie musiała wiedzieć. Kiedy Stanisław opuścił łagier i był

Zagrożeniem są nie tylko heretycy, ale i giętycy katolicy

Księdza Starowolskiego koncepcja Rzeczypospolitej jako Rzymu Północy

Po Bogu i religii nie masz więzi potężniejszej nad miłość ziemi ojczystej

Jakub Maciejewski

Jednego tylko nienawdził w życiu – kłamstw o Polsce i Polakach. Ks. Szymon Starowolski (1588–1656) nie mógł się wprost nadziwić, dlaczego tak świetna i potężna Rzeczpospolita pozostaje tak nieznaną, tak niedostatecznie przedstawioną i opisaną przez polskich autorów, dlaczego tak bardzo jest w Europie szkalowana. Nie próżnował więc – pozostawił po sobie nie tylko dziesiątki dzieł opisujących poszczególne dziedziny życia szlacheckiego, ale też szerszą, pogłębioną analizę polskości.

Szymon Starowolski doczekał się nieźle sławy jak na syna bojarskiej rodziny, prawdopodobnie nawet bezherbowej, plebejskiej. Nie dość, że jego pisma drukowano z ekscytacją i zapalem przez następne 200 lat oraz czytano je w różnych trudnych narodowych chwilach, to on sam pojawił się na jednym z obrazów Jana Matejki. Na płótnie owym stary, brodaty Starowolski oprowadza jako kanonik krakowski po grobach królewskich na Wawelu króla szwedzkiego (!) Karola Gustawa, który właśnie wtedy, w 1655 r., rzucił do swych stóp całą Rzeczpospolitą. Gdy dumny zdobywca pysznił się swym zwycięstwem, jego katolicki przewodnik powiedział tylko: „*Deus mirabilis, fortuna variabilis*” – „Bóg miłościwy, a fortuna zmienna”. I tak też się stało, gdyż monarcha ze Sztokholmu wywołany przez siebie potop szwedzki ostatecznie przegrał.

Historię tę opisywał później Wespazjan Kochowski, powtarzali ją potomko-

wie, a uwiecznił nie tylko Matejko, ale i Henryk Sienkiewicz, który przytoczone słowa włożył w usta Onufreму Zagłobie. Przypomnijmy i my dzisiaj postać ks. Starowolskiego. Kim był ten plebejski syn, który swoją pracowitością i intelektem zrobił w szlacheckiej Rzeczypospolitej taką karierę, że towarzyszył magnackim potomkom w kilku podróżach europejskich, został płodnym pisarzem, czytelnym w Niemczech i Francji, a ostatecznie nie bał się też rzucić retorycznego wyzwania samemu Karolowi Gustawowi?

Jego życiorys jest jak najbardziej godny uwagi, jednak tylko w drugiej kolejności, chodzi bowiem przede wszystkim o to, że Starowolski – syn zubożałych bojarów, potrafił jako pisarz i historyk stworzyć spójną i przenikliwą wizję Rzeczypospolitej. Ks. Szymon widział jej wielkie zalety, ale stanowczo wskazywał też słabości. Nie bał się łączyć Andrzeja Frycza Modrzewskiego, gromić husarii, senatorów i magnatów. Ta doprawdy nietuzinkowa postać jest niestety za mało znana. Tym marginalizowaniem skrzywdzono nie tyle kanonika krakowskiego, co nas – jego potencjalnych czytelników.

Słynne postaci i ich zasługi

Ks. Szymon Starowolski zasłynął głównie z takich dzieł, w których zestawiał dziesiątki słynnych postaci Rzeczypospolitej w kontekście ich konkretnych

zasług. W „Setniku pisarzów polskich”, w „Żywotach biskupów krakowskich” czy w „Wojownikach sarmackich” opisał chronologicznie, w kronikarskim porządku, polskich mężów stanu przez pryzmat ich konkretnych wybitności – pisarskich, duchowych czy militarnych. W dziele „O znakomitych mówcach Sarmacji” Starowolski przedstawił najlepszych retorów, posłów i senatorów, którzy potrafili porwać tłumy na sejmach, uzasadniając swoje racje zarówno przy pomocy rzeczowych argumentów, jak i pięknym językiem. W tych galeriach osobistości po-brzmiewa co prawda nuta pochlebstwa, aczkolwiek pisarz, sam będąc gorliwym katolikiem, potrafił zdobyć się na docenienie protestanckich czy prawosławnych mężów stanu. Przy opisie zwolennika reformacji Andrzeja Frycza Modrzewskiego pozwolił sobie jednak na jawną obelgę. Nie tyle wobec polskiego pisarza, ile wobec „owego sprośnego świniopasa, Lutra”. Czytamy tam też o „słynnej dyspacie w Wolborzu” w 1561 r., kiedy to Modrzewski publicznie debatował ze Stanisławem Orzechowskim, podobno smutnie przegrywając z nim na argumenty teologiczne i filozoficzne. „Niemięniej jednak Modrzewski napisał znakomity traktat ‘O obyczajach’, tak samo inne” – chwalił heretyka autor „Setnika pisarzów polskich”.

Twarda ortodoksja katolicka ks. Szymona Starowolskiego skierowana była też wobec takich osób wierzących, któ-

re z wielką lekkością szły na kompromisy ze współczesnością – z protestantami czy z zaniedbaniami Kościoła. Ostrzegał w „Setniku”, że wierze zagrażają „nie tylko heretycy, ale również giętycy katolicy, którzy wtedy uważają się za wielkich polityków, gdy oblegają Kościół Boży podkopami makiawelicznej zdrady. Oni łatwo pozwalają na to, że zduszona już herezja na skutek ich życzliwej postawy podnosi głowę i sama trucizna znów nabiera swej mocy”. Szymon Starowolski chwalił natomiast ks. Jakuba Wujka, który walczył z herezją w Wielkopolsce.

Gorliwość religijna Starowolskiego była ugruntowana, a jego wiara – szczerą. Szymon już od młodego wieku podchodził do tego bardzo poważnie, a w swoim piśmiennictwie był gorącym orędownikiem kultu maryjnego i zawierzenia wielu spraw miłości Maryi, nazywając ją „Patronką naszą, obronicielką / y orędowniczką u Syna iey najmiłszego”. Coraz częstsze modlitwy zanoszone do Matki Bożej w XVII w. zaowocowały Jej koronacją na Królową Polski właśnie podczas potopu szwedzkiego.

Autor „Wojowników sarmackich” doceniał przez całe swoje życie, jak wielkie szanse daje Kościół katolicki swoim wiernym. Od dziecka chodził do szkoły parafialnej, która pozwoliła mu pasjonować się światem. Dopiero w wieku 24 lat, będąc na Akademii Krakowskiej, dostrzegał, jak wiele rozwój nauki zawdzięcza duchownym i ich hojności, a także sprawności administracyjnej biskupów. Choć Starowolski był wielkim admiratorem autorów starożytnych, zarówno greckich, jak i rzymskich, nie uszło jego uwadze, że rozwój intelektualny opiera się na wnioskach i filozofii wielkich uczonych katolickich.

Łącząc miłość do ojczyzny (słowo „ojczyzna” często pada w jego dziełach) z głęboką wiarą i wielkim znawstwem dorobku antycznych cywilizacji, dokonał ks. Szymon arcyciekawej syntezy filarów swoich czasów, tworząc własną wizję polskości – narodu Sarmatów.

W odpowiedzi oszczercom

Zarówno podczas podróży zagranicznych, jak i w trakcie lektury licznych zachodnich druków historycznych oraz politycznych uderzyło księdza Starowolskiego to, że o Rzeczypospolitej wszędzie wiedzano mało i na dodatek – bardzo źle o niej pisano. „Niewątpliwie więcej u nas dzielności w czynach niż umiejętności w ich rozgłaszaniu, przeto nic dziwnego, że mało o nas w świecie wiedzą” – przekonywał w jednym ze swoich dzieł. Będąc z jednym z magnatów w niderlandzkim Lowanium, został wraz z nim demonstracyjnie biednie przyjęty na kolacji przez



Ilustracja do łacińskiego dzieła Szymona Starowolskiego „Polonia nunc denuo recognita et aucta”. Fot. Wikimedia

jednego z gospodarzy, bo „głupi Sarmaci” nie zasługują na nic więcej.

Niektóre opinie europejskich humanistów o Polakach były wręcz zdumiewające. Ale cóż się dziwić, skoro np. Niemcy czytali w swoim historyku z końca XVI w., który w *Joannis Berclaii iudicium de Polonia et ingeniis Polonorum* pisał o Sarmatach: „Naród to z urodzenia skłonny do dzikości i swawoli, co oni nazywają wolnością”. Język polski oceniano jako „twardy i przykry dla ucha”, kwestionowano wykształcenie polskiej szlachty i jej waleczność, i to w czasie naszych coraz większych wojennych wysiłków przeciwko kilku sąsiadom jednocześnie.

Wiele dzieł ks. Szymona Starowolskiego odnosi się we wstępie do tych właśnie kłamstw na temat Rzeczypospolitej, a jedno z nich zostało specjalnie poświęcone odpieraniu pisarskich ataków na naszą ojczyznę. „Mowa przeciw oszczercom Polski” wydana została w 1631 r. po łacinie; większość jego prac ukazywała się w tym właśnie języku, by cudzoziemcy łatwiej mogli poznać jego argumenty. Starowolski wyjaśniał w tej pracy motywy swojej aktywności: „Ponieważ ludzie o złej woli zanadto je [nasze zasługi] umniejszają

i oceniają nas jako zniesławionych wszelakim barbarzyństwem, i nie uważają nas za godnych, abyśmy dorównali pozostałym narodom Europy, ja postanowiłem, wiedziony obowiązkiem obywatelskim, albo raczej patriotyzmem/pobożnością, przy pomocy tej mowy usunąć tę zmazę i odeprzeć każde oszczerstwo popełnione przeciwko naszemu narodowi”.

Z innymi pracami ks. Szymona było podobnie, bo nieustanne nazywanie Polaków i Sarmatów „barbarzyńcami” wywołało u niego potrzebę udowodnienia, że jest zgoła inaczej, że Rzeczpospolita ma mężów stanu, wybitnych uczonych i duchownych. Dlatego powstał zarówno „Setnik pisarzy polskich”, jak i „Wojownicy sarmaccy”, przy czym to pierwsze dzieło wywodziło ludzi pióra od XV w. Autor przyznawał, że wcześniejszy okres był faktycznie nieco jałowy, jeśli chodzi o wielkie umysły, może z wyjątkiem dwóch duchownych: „Nikt też przez tyle wieków nie błyszczał uczonością, z wyjątkiem Jana Kadłubka, biskupa krakowskiego, i Marcina Polaka (...) obaj uchodzą za wszechstronnie wykształconych”. Dopiero uniwersytet w Krakowie wszystko odmienił: „Pierwszy sprowadził naukę do Sarmacji Władysław Jagiełło, wznosząc Akademię Krakowską i fundując w dogodnych miejscach kilka biskupstw wraz z seminariami”. Pisarz podkreślał przy tej okazji, że choć wszechnicę w stolicy Królestwa Polskiego ustanowił monarcha, to dbali już o nią hierarchowie katolicy: „To on [biskup krakowski kard. Zbigniew Oleśnicki], pragnąc innym umożliwić wykształcenie, wybudował przy Akademii Krakowskiej obszerny gmach dla studiującej młodzieży, zwany Bursą Jerozolimską”.

Ks. Szymon Starowolski, pisząc o mówcach, hetmanach, zagończykach i autorach pism literackich oraz politycznych, opisując Polskę i jej historię, a także ustrój czy gospodarkę, nakreślił bardzo konkretną wizję Rzeczypospolitej. Okazało się, że wpłynęła ona na kilka pokoleń szlachty, uzupełniając swój światopogląd m.in. dziełami Łukasza Opalińskiego, Wacława Potockiego, Wespazjana Kochowskiego. Przedstawmy więc Polskę kontrreformacji, baroku, Polskę XVII stulecia, czyli tzw. srebrnego wieku, jaka jawi się w dziełach Starowolskiego.

Polska jako Rzym z czasów najlepszych

Państwa słowiańskie, Węgry i Skandynawów zaliczał autor do „Północy [Europy]”, czyli właściwie do krajów, które nie wchodziły w skład cesarstwa rzymskiego. Uznawał jednak, że Niemcy częścią tego imperium były – wszak uznawano je powszechnie za dziedziców starożytnego dorobku Lacjum. Starowolski przy-

znawał zatem, że Sarmaci (Polacy) należą do tej części cywilizowanej wspólnoty, która nieco później dołączyła do grona europejskiej rodziny. Za *spiritus movens* dziejów uważał – a jakże – chrześcijaństwo, i to w rzymskim wydaniu. Wprowadzając do dziejów „wojowników sarmackich”, Starowolski podkreślał swą gorliwą religijność, a prowadząc dalej swoją opowieść, podkreślał nieodłączny wątek wiary kolejnych dowódców. Zatem Kościół, a potem kontrreformacja, jezuita, Sobór Trydencki podtrzymują w Rzeczypospolitej jej rozwój i dobrobyt, gdy zaś heretycy próbują to wszystko zmać, wprowadzając spory, waśnie i podziały. Warto podkreślić, że krakowski kanonik pisał to jeszcze przed potopem szwedzkim, podczas którego niektórzy protestanci faktycznie polską ojczyznę bardzo zdradzili. Autor „Setnika” doceniał wielkość Stanisława Hozjusza, Piotra Skargi czy Jakuba Wujka, ale wskazywał godne miejsca także Modrzewskiemu czy Janowi Kochanowskiemu. Ustrój republikański miał być więc oparty o konstytucje, decyzje władz, konsensus między królem, senatem a szlachtą, co było powiązane bezpośrednio z Biblią, będąc niejako nadbudową na wartościach Starego i Nowego Testamentu. Ks. Starowolski pisał: „Prawa bowiem, jako następne zaraz po przyka-

zaniach Bożych, uszlachetniają i regulują całe nasze życie”.

Rzeczpospolita zatem została ufundowana na fundamencie wiary katolickiej i tylko w związku z Kościołem może dbać o swoją wielkość.

A co to za wielkość? Ks. Szymon opisuje swoją ojczyznę jako podobną do starożytnego Rzymu, ale do tego sprzed okresu cesarstwa. Widzi ją raczej jako republikę, a więc bardziej obfitą w dynamikę polityczną, ustrojową, kulturową, za to mniej ekspansywną. Pisarz ciągle przyrównuje polskich autorów do Tacyty, Swetoniusza czy Wergiliusza, jakby dzieje sprzed ponad 1500 lat powtarzały się już nie w Italii, a nad Wisłą. Gdy nasz autor przedstawiał Europie polskich mężów stanu, porównywał ich często, z twarzą uzasadnieniem, do bohaterów antyku. O jednym z senatorów pisał, że „nie bez słuszości nazwany został Demostenesem łacińskim i Ciceronem polskim” („*Ut non sine merito Demosthenes Latinus et Cicero Polonicus a peritissimis eius artis nuncupetur*”). Autor „Setnika” stale łączył współczesnych sobie mężów stanu z ich antycznymi, jak mniemał, odpowiednikami. O kanclerzu i hetmanie wielkim koronnym Stanisławie Żółkiewskim pisał przykładowo, że był „nierozstający się z traktatem O powinnościach Cicerona,

nawet podczas wojennej wyprawy, przez to dawał dowód, że oręż i cnota obywatelska mogą iść razem”. Czytelnicy z Francji, Niemiec czy Anglii mieli więc dowiadywać się o państwie z północy jako o nowym Rzymie, republice, w której kwitną nauki, literatura i męstwo.

Ciekawa ta mitologia dyskretnie polemizuje z bardziej znanym „trzecim Rzymem”, czyli z samowznacznym dziedzictwem Moskwy jako rzekomej spadkobierczynie cesarstwa bizantyjskiego. Mało mówi się o tym, że tyrańskiej władzy z Kremla przeciwstawiano w tamtych czasach w naszej części Europy testament innego, „lepszego” Rzymu – republikańskiego. Ostatecznie państwo polsko-litewskie nie stworzyło na poziomie państwowym takiej narracji, nie przybrało też takiej symboliki ani dworskiej historiografii, niemniej zarodek tej idei, czy też polityki historycznej – jak byśmy to dzisiaj nazwali, był płodną i innowacyjną koncepcją intelektualną dla tej części kontynentu.

Także ustrój dawnej Rzeczypospolitej miał przypominać czasy Sulli czy Katona Starszego: „Władza w Polsce składa się z trzech podstawowych i prostych form republiki, które zakładają rządy albo jednego, albo kilku, albo wielu, czyli wszystkich do pewnego stopnia,

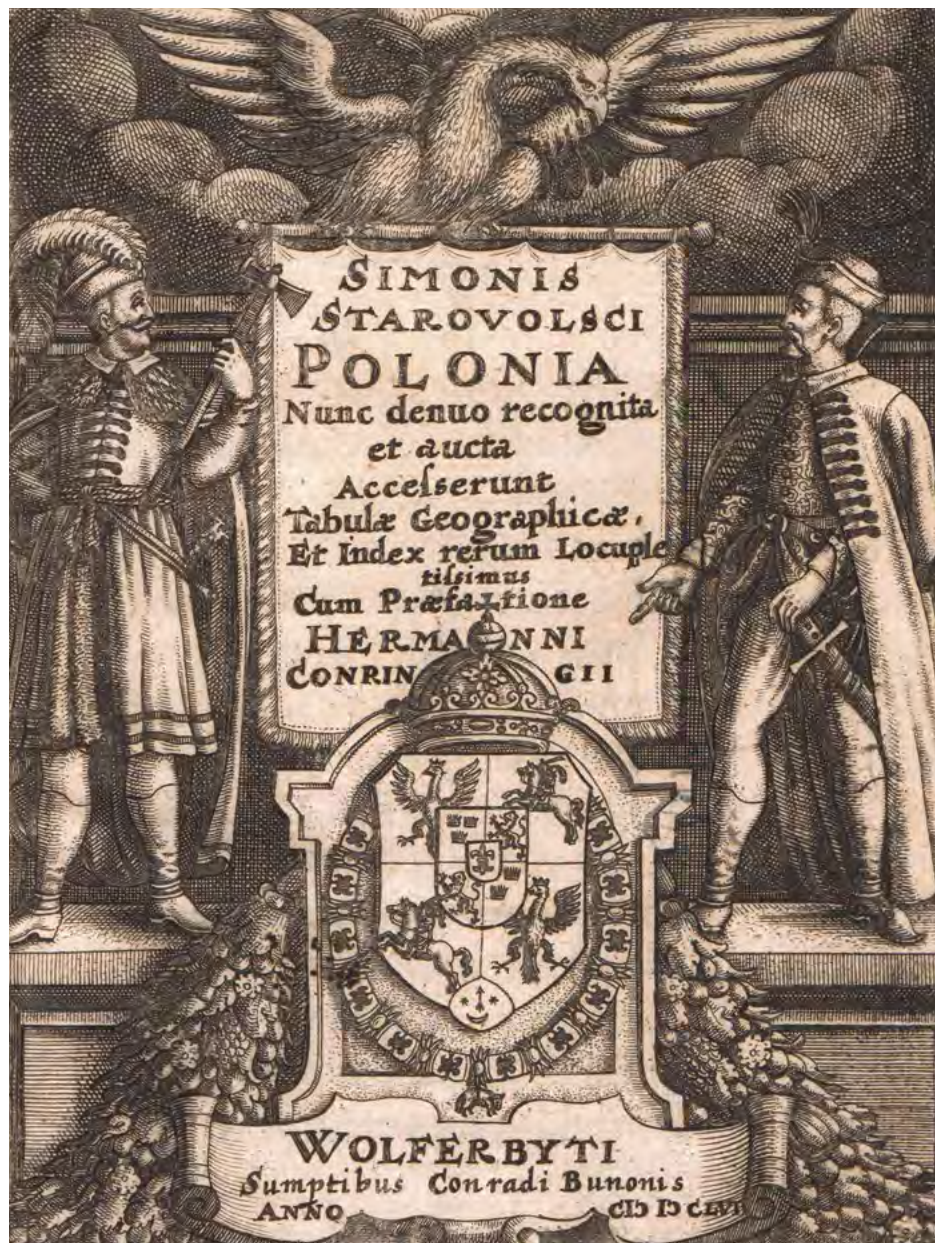
Kazimierz Alchimowicz, „Kacper Karliński podczas obrony Olsztyna”. Fot. MNW



w oparciu o równość praw. Mamy tedy króla (...). Mamy senat (...). Mamy posłów sejmowych, obranych w wolnym głosowaniu (...).

Taka wersja historii nie bardzo podobiała się jednak dworowi Zygmunta III, który wolałby podkreślać rolę monarchy. Choć ks. Szymonowi Starowolskiemu zdarzało się kajać za niektóre fragmenty swoich dzieł (np. za zbyt krótki i nieco zawstydzający rodowód szwedzkich Wazów), to jednak ze swojej wizji republikańskiej nigdy nie zrezygnował. Polacy byli w niej ludem spokojnym, może zbyt naiwnym, nie atakowali innych krajów, często natomiast musieli się bronić. Mieliby wybitnych dowódców w polu, wielkich myślicieli w senacie, wspaniałych mówców w sejmie i hojnych mecenasów wśród biskupów.

Karta tytułowa łacińskiego dzieła Szymona Starowolskiego „Polonia nunc denuo recognita et aucta”. Fot. Wikimedia



Ta całościowa koncepcja Rzeczypospolitej jako kontynuatorki dawnej republiki działała na wyobraźnię ludzi wykształconych w renesansowym humanizmie, zaczytanych w rzymskich autorach. Pisząc o polskich Horacjach, trybunach ludowych, Pompejuszach, przekazywał ks. Starowolski obraz szlachetnej, dumnej i rozwiniętej krainy na tzw. północy.

Nie była to jednak propaganda, skoro krakowski kanonik wiele miejsca poświęcał wadom ustroju, a zwłaszcza zepsuciu obyczajów. Przepych i pogubienie cnót nie były tu nowatorskim wyrzutem, wybrzmiewały bardzo jednoznacznie: „...prawa jednak od zbytku sejmy Rzeczypospolitej nie uchwalają nie wiedzieć z powodu jakiego złowrogięgo fatum, choć można ujrzeć naokoło, jak z tego nadmiernego zbytku najznaczniejsze po-

niekąd rodziny do całkowitego później ubóstwa przychodzą, z niezmierną hańbą i wstydem dla przodków swoich”.

Jacy naprawdę są Polacy?

Autor „Wojowników sarmackich” nawiązywał wprost do arystotelesowskiej tradycji „cnót”, czyli szlachetnych cech, bez których nie ostanie się w porządku i pomyślności żaden ustrój, żadne państwo, żadna rodzina. Jedną z najważniejszych cnót, zwłaszcza w republice rządzonej przez sejmowe gremia, było wykształcenie: „Uchodzi bowiem za przejaw głupoty, gdy obywatel nie zna praw i obyczajów swego państwa, a za wielce nieprzystojne, gdy (zwłaszcza na forum publicznym) nie umiesz stosownymi słowami wyrazić tego, co myślisz”. Pobożność, uczciwość, pracowitość i odwaga – też miały być filarami wielkości Rzeczypospolitej. Filary te jednak w czasach Starowolskiego nieco już, jego zdaniem, pękały, co podkreślał w „Lamencie utrapionej Matki Korony Polskiej”: „Tu Polska leży, złością wyrodków zgubiona, przy niej i złota wolność oraz pogrzebiona. W tymże dole i święta katolicka wiara zakopana, i cnota przodków naszych stara”.

Przewidywał więc kanonik krakowski nieszczęścia, jakie spadną na Rzeczpospolitą. Faktycznie – pod koniec swego życia doczekał się potrójnej katastrofy: najazdu Szwedów, najazdu Moskali oraz powstania Chmielnickiego. Akurat wtedy, w 1655 r., został kanonikiem katedry wawelskiej. Widział upadek samego Krakowa, ucieczkę króla Jana Kazimierza na Śląsk, całkowite zwątpienie polskiego rycerstwa w obronę ojczyzny.

A jednak, rzucając królowi na jeźdźców Karolowi Gustawowi słowa: „Bóg miłościwy, a fortuna zmienna”, wierzył, że kraj nasz da się podźwignąć z każdej opresji dzięki silnemu poczuciu wspólnotowości Polaków: „Po Bogu i religii nie masz więzi potężniejszej nad miłość ziemi ojczystej, żadna sprawa ludzka nie może jej zerwać”.

Prawda ta sprawdziła się w naszych dziejach wielokrotnie – nie tylko w połowie XVII w., ale także i tym bardziej podczas zaborów, podczas okupacji niemieckiej i sowieckiej oraz w trakcie innych dziejowych zakrętów. Martwił się staropolski pisarz rosnącymi przywarami, ale był spokojny, że póki naród stoi przy Bogu, to jakoś to będzie. Przy czym owo „jakoś” oznaczało całkiem znaczne zwycięstwa.

Pierwsza taka opowieść o życiu i prezydenturze

Wydanie specjalne książki Andrzeja Dudy



- **Ekskluzywna publikacja:**
 - twarda, lakierowana oprawa,
 - ponad 250 kolorowych ilustracji,
 - 672 strony.
- **Dodatkowy rozdział o Solidarności** dostępny wyłącznie w tym wydaniu.
- **Fotografie związane z Solidarnością.**
- **Słowo wstępne przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Piotra Dudy.**

Tylko u nas:

solidarnosc.sklep.pl

Naziści i hitlerowcy, czyli Niemcy są odpowiedzialni za zbrodnie na Polakach

Byli wobec nas cholernie okrutni, ale największym okrucieństwem wykazywali się wobec księży katolickich

Z HALINĄ RUTKOWSKĄ-ROGOZIŃSKĄ, więźniarką KL Soldau, powstańczą łączniczką i sanitariuszką, rozmawia dr Monika Makowska

Monika Makowska: Pani Halinko, jak mając 13 lat zapamiętała Pani wybuch wojny?

Halina Rogozińska: Byłam wtedy w Turowie (pomiędzy Płockiem a Płońskiem), w majątku moich dziadków i pradiadków. Wybuch wojny zapamiętałam bardzo dobrze, bo dokładnie 1 września widziałam nad Turowem walkę polskiego samolotu z niemieckim. Nie wiem, czy ten nasz to był myśliwiec „jedenastka” [PZL P.11] czy „Łoś” [bombowiec dwusilnikowy PZL.37], ale białoczerwona polska szachownica była na nim bardzo dobrze widoczna. Ten niemiecki to był pewnie sztukas, widziałam charakterystyczny czarny krzyż. Żadna z tych maszyn nie spadała; lotnicy starli się w tej walce, po czym każdy poleciał w swoją stronę. Niedaleko naszego majątku była droga łącząca Płock z Płońskiem; do dziś pamiętam przejeżdżające nią dudniące samochody ciężarowe wypełnione niemieckimi żołnierzami. Tę część Polski Niemcy szybko zajęli i włączyli do Rzeszy.

Jako właściciele majątku zostaliście Państwo wysiedleni?

Nie tak od razu. Mój ojciec ukończył architekturę w Niemczech, bardzo dobrze znał niemiecki, więc Niemcy go zatrzymali jako *Dolmetschera*, czyli tłumacza. Niemiec, który przejął nasz majątek, wyrzucił nas do dwóch najmniejszych pokoi, a resztę dworu sam zajął. Zaczęły się jednak aresztowania właścicieli ziemskich; Niemcy zsyłali ich do obozów. Wtedy przysłała do nas polska nauczycielka z gminy Łupki, zatrudniona przez Niemców w skonfiskowanej szkole jako sprzątaczką, i ostrzegła, że ojciec będzie lada

dzień aresztowany. Ojciec zabrał więc moje starsze rodzeństwo (brata i siostrę), uciekając z nimi przez zieloną granicę do Warszawy. Mama, ja i dwie moje młodsze siostry zostałyśmy w Turowie. Pod koniec lutego 1940 r. Niemcy aresztowali nas, załadowali na furmanki i zabrali na punkt zborny do kościoła w Blichowie. Tam przeładowali nas na otwarte samochody ciężarowe. Bardzo dobrze pamiętam, że na tej samej ciężarówce jechał z nami arcybiskup płocki [Antoni Julian Nowowiejski], dziś już błogosławiony; był już wtedy mocno starszym panem. W pewnym momencie Niemiec, który nas pilnował, podszedł do mojej mamy i powiedział, że zauważył, iż ma piękną złotą biżuterię. Mówił niezłe po polsku, okazało się że to Ślązak. Poradził mamie, żeby zaszła tę biżuterię w palcie, „bo jak dojedziemy na miejsce, to na pewno ją zabiorą”. Nawet mamę zasłonił, żeby mogła swobodnie ukryć precjoza. Przez wiele miesięcy potem go błogosławiliśmy, bo dzięki temu, że mama sprzedawała tę biżuterię, mieliśmy co jeść. To były głodne czasy.

Trafiłyście wówczas do obozu w Działdowie?

Tak, wtedy był to KL Soldau; przed wojną to miasto nazywało się Działdowo, tak jak teraz. Obóz Niemcy urządzili w starych koszarach [32. Pułku Piechoty], z niemiecką precyzją podzielili go na trzy części. Jedna była dla księży katolickich, druga dla zwykłych Polaków, takich jak my, a trzecia, odgradzona wysoką kratą, to był obóz dla Żydów. Tam, w tym KL Soldau, to nie hitlerowcy, nie naziści nas pilnowali, tylko Niemcy. Zwykli, cywilni Niemcy. I byli tak cholernie okrutni, że do dziś

na samo wspomnienie cierpieć mi skóra. Tam, w tym obozie, panowały koszmarnie warunki. WC to były wykopane doły, nad którymi ułożono żerdzie; to wszystko było niestabilne, chwiało się, o tragiczny wypadek nie było trudno. Kiedy ja albo któraś z moich siostr musiałyśmy z tego korzystać, zawsze chodziłyśmy razem, dla bezpieczeństwa. I niestety byliśmy świadkami, jak ośmioletni polski chłopiec wpadł do tej latryny. Niemcy natychmiast skierowali żerdzie w jego stronę; myślałyśmy, że chcą go stamtąd wyciągnąć, a oni zaczęli go tymi kijami podtapiać, aż utonął.

Przerażające...

Prawda? I dlatego do znudzenia powtarzam, że to zrobili Niemcy. A już największym okrucieństwem wykazywali się wobec polskich księży katolickich. Myśmy z mamą były umieszczone na czymś w rodzaju poddasza, na drugim piętrze jakiegoś budynku. Obok była jeszcze ulokowana jakaś rodzina z małym dzieckiem. Nie wolno było wyglądać przez okna, ale my kładłyśmy się na brzuchu i wtedy było widać przez nie tę część obozu przeznaczoną dla duchownych. Widziałyśmy, jak Niemcy katowali księży, jak prowadzili ich przez spacerniak do WC i przez cały czas ich bili. Obozu dla Żydów nie było stamtąd widać, ale jak szło się do ubikacji, to już tak. I tam też działy się straszne rzeczy.

Dla takich młodziutkich dziewcząt musiała to być potworna trauma. Jak udało się wam wydostać z KL Soldau?

Któregoś dnia Niemcy załadowali nas do bydlęcych wagonów i wysłali do Generalnej Guberni. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że znalazłyśmy się wśród mniej niż 10 proc. więź-

niów odesłanych do GG. Przeważnie więźniów KL Soldau Niemcy transportowali do większych obozów koncentracyjnych [m.in. Stutthof, Gross-Rosen, Ravensbrück, Auschwitz-Birkenau]. Jeszcze więcej osób Niemcy rozstrzelali w Lesie Białuckim, tam były wykopane masowe groby na takich leśnych wydmach; pod koniec wojny Niemcy zaczęli likwidować te mogiły [ekshumowali zwłoki ofiar i palili je], żeby zatrzeć ślady zbrodni.

Wstrząsające... Pamięci jednak nie byli w stanie zniszczyć. W każdym razie Pani wraz z mamą i siostrami udało się przedostać do Warszawy.

Tak, trafiliśmy do Warszawy, że tak powiem, goli i nadzy. Zamieszkaliśmy

łyśmy więźniarkami KL Soldau, w bardzo dyskretny sposób starała się nam pomóc. Prosiła zamożniejsze uczennice, żeby przynosiły do szkoły kanapki i później ona je nam przekazywała. Szkoła Sióstr Zmartwychwstanek oficjalnie była szkołą krawiecką, bo zawodowym szkołom Niemcy pozwalali na działalność. Natomiast nieoficjalnie realizowałyśmy program liceum, miałyśmy zajęcia w ramach tajnych kompletów. Pamiętam, że siostry były świetnie zorganizowane. O ile w czasie pokoju dyżuruwała przy furcie jedna, to w czasie okupacji były dwie. Jak tylko jacyś Niemcy zbliżali się do furty, jedna zostawała, rozmawiała z nimi i jak najdłużej starała się ich przetrzymać pytania-



17-letnia Halina Rutkowska (Rogozińska) „Niebieska”, sanitariuszka i łączniczka z IV Obwodu Grzymała (Ochota). Zdjęcie wykonane na kilka miesięcy przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Fot. Archiwum HR

u cioci Stasi, siostry mojej mamy, na ul. Niegolewskiego na Żoliborzu. Ciocia była wtedy sama, bo wujek ewakuował się jeszcze we wrześniu z marszałkiem Rydzem-Śmigłym. W Warszawie zaczęłam chodzić do Szkoły Sióstr Zmartwychwstanek; pamiętam, że siostra Lidia Malinowska, wiedząc o tym, że ja i moje siostry by-

mi, a druga biegła na górę, by uprzedzić siostry i uczennice, że są Niemcy. Chowałyśmy wtedy zeszyty, siostry je ukrywały, a my siadałyśmy do maszyn do szycia i szyłyśmy. Swoją drogą, nauczyłam się w tej szkole świetnie to robić, do tej pory potrafię różne rzeczy uszyć, umiem też artystycznie cerować. Siostry zmartwych-

wstanki współpracowały z AK i później, w czasie Powstania, funkcjonował u nich szpital dla walczących. Uczennice szkoły krawieckiej miały stałą opiekę medyczną polskich lekarzy. Kiedy zrobili mi prześwietlenie, okazało się, że w czasie tego pobytu w KL Soldau nawiązałam się do rodziny. Rodzice załatwili mi wówczas wyjazd do Otwocka do sanatorium-prewentorium „Olin” dla dzieci i młodzieży; działało ono normalnie aż do końca wojny.

Tam, mimo choroby, kontynuowała Pani edukację, także w tajnych kompletach?

Tak, i tutaj muszę powiedzieć, że jestem naprawdę dumna z polskich dzieci i młodzieży. Jedna z naszych nauczycielek i jej córka były Żydówkami; nie wiem, w jaki sposób wydostały się z getta, a może udało im się getta uniknąć. W każdym razie całą wojnę przeżyły jako Polki. W prewentorium w Otwocku było ok. 200 polskich dzieci i młodzieży, które o tym wiedziały, bo dla nich to była sensacja, ale żadne z tych polskich dzieci ich nie wydało. Głośno trzeba o tym mówić, bo wielokrotnie spotkałam się z antypolonizmem Żydów.

To rzeczywiście należy nagłaśniać, tym bardziej, że tylko w okupowanej Polsce istniała konspiracyjna organizacja pomagająca Żydom („Żegota”), co wiązało się z narażaniem się na pewną śmierć. W jakich okolicznościach wstąpiła Pani do konspiracyjnego harcerstwa?

Po roku pobytu w Otwocku przyjechałam z powrotem do Warszawy i podjęłam edukację w szkole Żmichowskiej. To dla odmiany była oficjalnie szkoła handlowa, ale pod tą przykrywką działała szkoła z prawdziwego zdarzenia – znów z tajnymi kompletami. W 1943 r. wstąpiłam do tajnego harcerstwa, z tym, że to było harcerstwo przy Narodowych Siłach Zbrojnych. Oni znacznie później połączyli się z AK [w marcu 1944 r.; połączyła się tylko część NSZ], ale pamiętam ten moment, bo śpiewaliśmy taką piosenkę: „to NSZ w AK”.

Czy jako harcerka przeszła Pani konspiracyjne szkolenie na sanitariuszkę i łączniczkę?

Tak, przeszłam wojskowe przeszkolenie sanitarne. Kursy były tak dobrze zorganizowane, że nawet nam załatwili praktyki w różnych szpitalach, najczęściej w Szpitalu Czerwonego Krzyża. Miałymy też w naszym harcerstwie szkolenia dla łączniczek. Mądrze nas uczyli. Wiedzieliśmy, że nam, łączniczkom, nie wolno niczego zapisywać, bo jeśli doszłoby do wpadki, znalezienie przez Niemców jakichkolwiek informacji czy, nie daj Boże, nazwisk i adresów byłoby bardzo niebezpieczne. Przez to, że nie wolno nam było robić notatek, bardzo dobrze ćwiczyliśmy pamięć. Pamiętam te ćwiczenia do

dziś, po prawie 100 latach. U nas, w harcerstwie, były one tak zorganizowane, że na stole były poukładane różne rzeczy i drużynowa mówiła: „popatrz”. Przez pewien czas patrzyliśmy, a potem ona mówiła: „za drzwi”. W tym czasie drużynowa przekładała niektóre rzeczy, a kiedy wracaliśmy, pytała, czy coś się zmieniło. Albo się dużo tych rzeczy zauważyło i dostawało dobry stopień, albo mało i dostawało się zły, ale wtedy słyszało się: „wróć i jeszcze ćwicz, i jeszcze ćwicz”. Nieźle nam dawali w kość, ale mieli rację.

Czy ktoś z Pani rodziny też działał w strukturach konspiracyjnych?

Tak, mój ojciec. Mimo że w czasie okupacji ciężko chorował, zaangażował się najpierw w ZWZ, a potem AK. Był architektem, pięknie rysował, więc wykonywał dla podchorążówek AK rysunki, np. części broni, dystynkcji etc. Chłopcy z AK przyjeżdżali, zabierali te rysunki i przynosili następne do rysowania. Mój starszy brat i moja starsza siostra też byli w AK, ale tak się złożyło, że żadne z nich nie było w Powstaniu; działali i pracowali poza Warszawą. Pamiętam bardzo bolesną historię, że kiedy zginęła moja starsza siostra, to pośmiertnie dostała krzyż za działalność w AK. Powstańcem był natomiast mój przyszły mąż, Leon Rogoziński, ps. „Babinicz” (zmarł w 2009 r.); walczył w batalionie „Ruczaj” w Śródmieściu w rejonie ulic Kruczej i Pięknej. W piwnicy na Kruczej 11 była powstańcza wytwórnia butelek zapalających i granatów. Pracował tam Leon, bo tę niebezpieczną broń wytwarzali bardzo młodzi ludzie, najmłodsi powstańcy. Jednak nadzorował to wszystko przedwojenny oficer, por. „Świderek”, który się na tym znał. Mówił tym młodziutkim ludziom, co należy robić, żeby nie doszło do samowylewu; a jeszcze przecież przez cały czas byli ostrzeliwani przez Niemców! Kiedyś doszło niestety do samozapłonu granatu. Ten bohaterski oficer, żeby ratować to młode towarzystwo, złapał wybuchający granat i usiłował wyrzucić go przez okienko piwniczne. Niestety granat wybuchł, urwał mu rękę i strasznie go poranił. Chłopcy zanieśli oficera do szpitala polowego, ale byli pewni, że umrze, bo był potwornie poharatany. Jednak por. „Świderek” przeżył. Po wojnie Leon, mój przyszły mąż, i ten oficer spotkali się na ulicy; bardzo się potem zaprzyjaźnili. Por. „Świderek” był nawet na naszym ślubie w 1950 r. Z moim przyszłym mężem poznaliśmy się dopiero po Powstaniu; on walczył w Śródmieściu, a ja na Ochocie.

Jak zapamiętała Pani wybuch Powstania Warszawskiego?

Na jakieś dwa tygodnie przed jego wybuchem została skoszarowana na pl. Narutowicza w mieszkaniu pani Zofii Namiotkiewicz, jednej z dowodzących w Wojskowej Służbie Kobiet; miałam przy-

dział na Ochotę. Razem z panią Zofią jeździłyśmy po Warszawie i organizowałyśmy wyposażenie dla szpitala polowego i punktów opatrunkowych; kupowałyśmy opatrunki, lekarstwa, etc. Żeby nie budzić podejrzeń Niemców, kupowałyśmy też warzywa i kładłyśmy je na wierzch, żeby nie było widać medykamentów. Rano 1 sierpnia 1944 r. otrzymałam rozkaz generała „Bora” o wybuchu Powstania. Oczywiście nie osobiście od generała, rozkaz przyniósł jego adiutant, wraz z zadaniem dla mnie, że mam zawiadomić, kto i gdzie ma się stawić na zbiórkę o Godzinnie „W”. Chodziłam po domach i przekazywałam rozkaz chłopakom. Nie miałam zapisanego żadnego adresu, wszystko musiałam zapamiętać. Pamiętam do dziś, jak weszłam do poczekalni u dentysty, gdzie zebrało się trzech czy pięciu chłopaków. O mało głowy mi nie urwały, bo z niecierpliwością czekali na łączniczkę, która powie im, gdzie kto ma się stawić. Nie mogli się już doczekać Powstania, ja zresztą też. Często o tym mówię, że nasi dowódcy obawiali się, że my – młodzież z AK – nie doczekamy do Powstania i sami rzucimy się Niemcom do gardeł. Taki właśnie był nasz stan psychiczny, 1 sierpnia 1944 r. bardzo chcieliśmy iść do walki o Warszawę. Jeden z moich kolegów opowiadał mi po latach, że do dziś ma w oczach, jak „Niebieska”, czyli ja, wybiega z bramy na pl. Narutowicza z rozkazem o wybuchu Powstania; wtedy już namacalnie wiedział, że Warszawa powstała.

Dostarczanie rozkazu samego generała „Bora” to nie lada wyróżnienie! Miała też Pani przydział do szpitala polowego?

Tak, miałam stawić się na ul. Filtrowej u dr. Goldmana-Zaborowskiego, który prowadził tam prowizoryczny szpital polowy. Pełniłam w tym punkcie służbę sanitarną, chociaż w czasie Powstania więcej służyłam jako łączniczka niż sanitariuszka. Na Ochocie były dwie powstańcze reduty – Wawelska i Kaliska. Jako łączniczka biegałam głównie na Wawelską, przenosiłam broń, przede wszystkim amunicję, dużo amunicji. Załatwiał ją dr Goldman-Zaborowski, nie wiem, skąd ją brał, ale było jej sporo. Przenosiłam też meldunki. Mając wtedy te 17 lat, tak byłam przekonana, że Niemcy mnie nie trafią, że biegłam pod niemieckimi kulami i jakoś nie czułam lęku. Uchodziłam za bardzo odważną, ale miałam, jak to mówią, „więcej szczęścia niż rozumu”. Przebiegałam często w okolicach pl. Narutowicza, gdzie był okropny ostrzał z kościoła św. Jakuba. Niemcy mieli na wieży gniazdo cekaemów, pozabiali z nich bardzo dużo powstańców. Czasami trzeba było przebiec ulicą, której jedna część była w naszych rękach, ale po drugiej stronie byli już Niemcy. Nie wiem, jak mi

się udawało, ale nie byłam nawet draśnięta. Pamiętam, jak w czworobok domów na ul. Filtrowej, gdzie był nasz szpital, spadła bomba zapalająca. Jeden z dowódców powiedział mi wtedy: „‘Niebieska’, idź tam do piwnic i przyprowadź jeszcze ze dwie, trzy osoby do gaszenia pożaru, bo są za duże odstępy”. Widziałam w tych piwnicach dwóch młodych ludzi, którzy mieli w oczach taki autentyczny strach, że nie byli w stanie wyjść. I nie wyszli. Podczas gaszenia pożaru stopiły się gumowe podeszwy moich butów. Wtedy jedna z mieszkanek tego domu poszła do swego mieszkania i podarowała mi bardzo porządne nowe buty. Na Ochocie zaczęło się jednak robić bardzo niebezpiecznie. 10 sierpnia weszli tam własowcy; to byli potwornie zwyrodnialcy, masowo gwałcili dziewczęta. Dr Goldman-Zaborowski, żeby ochronić swoje sanitariuszki, schował nas w szafkach w kuchni. Byłyśmy tam jednak tak poskręcane, że ledwo dał radę nas stamtąd wyciągnąć. Wtedy zaprowadził nas do piwnicy, zasypał węglem i dał każdej rurkę do oddychania. Przesiedziałyśmy w tym węglu całą dobę.

Następnego dnia, 11 sierpnia, Niemcy zdobyli Ochotę...

Niestety, na Ochocie Powstanie zakończyło się po 11 dniach. Weszli Niemcy, wyciągnęli nas z tej piwnicy i ustawili wszystkich młodych pod ścianą. Z drugiej strony stał karabin maszynowy, wyglądało to bardzo groźnie... Byłam pewna, że nas wszystkich rozstrzelają! W tym momencie przyszedł jakiś oficer niemiecki i powiedział: „wszystkich tych młodych dać nam, bo mamy zepsute samochody, ja ich zabieram”. W ostatniej chwili wyszliśmy spod tego karabinu, udało się nam! Niestety, zaraz potem popędzili nas na ten potworny Zieleniak [ówczesne targowisko warszawskie – przyp. red.], gdzie działy się dantejskie sceny. Własowcy wyrzucili ludzi z mieszkań, zbiorowo gwałcili dziewczęta (szczególnie narażone były blondynki). Zabijali każdego, kto próbował się im sprzeciwić. Ale byli tam też chłopcy z naszych oddziałów i oni nas uratowali. Leżałyśmy bezpośrednio na bruku, a chłopcy z plecaków, bagaży i z tego, co było pod ręką, zbudowali nad nami coś w rodzaju barykady. I jeszcze na tym usiedli, osłaniając nas. W ten sposób własowcy nas nie znaleźli, a jakoś nie ośmielili się zaczepiać powstańców. Z tego straszego Zieleniaka Niemcy załadowali nas do wagonów kolejki i wywieźli do obozu w Pruszkowie.

Z którego Pani, wraz z dwiema koleżankami, w brawurowy sposób uciekła.

Umówiłam się z dwiema sanitariuszkami z Ochoty, że uciekniemy przy najbliższej okazji. Moje koleżanki to były siostry – Zosia i Basia Goldmanówny, starsze



Ruiny Reduty Wawelskiej na Ochocie, w której „Niebieska” pełniła służbę łączniczką. Widoczni żołnierze Reduty: Witold Jastrzębski „Daberk”, Barbara Kotarbińska „Basia”, NN. Fot. AAN

ode mnie. Jak dojechaliśmy do Pruszkowa i Niemcy wyładowali nas z pociągu, odłączyliśmy się od kolumny, skręciłyśmy w boczną uliczkę i zaczęłyśmy biec. Niemiec konwojent strzelał za nami, ale żadnej z nas nie trafił! A byłyśmy bardzo łatwym celem... Do tej pory myślę z wdzięcznością o tym Niemcu – on przecież musiał strzelać, bo był konwojentem, ale widocznie nie chciał nas zabić. Jakaś mieszkanka Pruszkowa otworzyła ogródek i powiedziała: „dziewczyny, chodźcie tędy, ja mam ogródek na dwie strony, to już innym wyjściem wyjdziecie na zupełnie inną ulicę”. W ten sposób się uratowałyśmy.

Nie był to jednak koniec waszej powstańczej epopei; przedostaliście się do Kampinosu i zostaliście pielęgniarkami w szpitalu polowym.

Dostałyśmy się tam dzięki rekomendacji mojego brata, też żołnierza AK. To było w Łuszczewie na samym skraju Puszczy Kampinoskiej. W tym szpitalu były bardzo trudne warunki; nie było elektryczności, oświetlało się lampami naftowymi, a wodę trzeba było czerpać ze studni

i grać na kuchence. Pacjentami byli powstańcy; i ci ze Zgrupowania Kampinos, i ci z Warszawy, i partyzanci. Pamiętam rannego powstańca, którego nazywałyśmy „Łopatką”, bo odłamek niemieckiego granatu zdarł mu z łopatki skórę i całe mięśnie do kości. Ten chłopak wyzdrowiał, wyszła potem za niego Basia, jedna z tych koleżanek, z którymi uciekłam. Był też pewien, można tak powiedzieć, cudowny przypadek. Pewien ciężko ranny powstaniec, przyniesiony z Warszawy, miał całą twarz poparzoną od pocisków „szafy”. Lekarz zrobił mu opatrunek z gazy, a my musiałyśmy polewać mu poparzoną twarz jakimś lekarstwem na ten opatrunek; nie bezpośrednio na skórę. Po kilku tygodniach lekarz kazał nam zdjąć tę gazę – okazało się, że to był bardzo przystojny chłopak! I nie stracił wzroku, widział! To była rewelacja! A lekarze obawiali się, że on już do końca życia będzie niewidomy! Był też powstaniec z raną postrzałową w pośladek; jak się później okazało, kolega mojego przyszłego męża. Strasznie cierpiał, miał wysoką gorączkę,

rana była bardzo bolesna. Pamiętam, jak krzyczał: „Boże, czemu ja nie wystawiłem głowy zamiast pupy!”. Przeżył, udało nam się go uratować. Pamiętam też młodą mamę postrzeloną przez własowców; broniła się przed gwałtem, do którego niestety doszło. Boże, ileż to było okrucieństwa! Ta młoda kobieta miała kilkudniowe dziecko, maleństwo zupełne. Jeden z tych własowców chciał to dzieciątko zastrzelić, na szczęście był tak pijany, że przestrzelił tylko poduszczkę, a dziecku nic się nie stało! Opiekowałyśmy się tą kobietą, bo ona była w ciężkim stanie. Ale też miałyśmy z nią dużo kłopotu, bo lekarze powiedzieli, że przez pierwsze dni nie wolno jej dawać nic do picia, bo miała przestrzelony brzuch. Bardzo chciało jej się pić, więc myśmy zwilżały jej usta watą nasączoną wodą. Biedna ścisła usta, żeby chociaż jedną kroplę wycisnąć z tej waty. Na szczęście udało się ją uratować. W szpitalu tym pracowałyśmy do listopada 1944 r.

Była Pani prześladowana po wojnie za udział w AK i w Powstaniu?

Wtedy właśnie byłam najbliższej śmierci. Nie w KL Soldau, nie w Powstaniu Warszawskim, nie w drodze do Pruszkowa, nie potem, kiedy z Pruszkowa uciekałam, i nie w szpitalu w Kampinosie, tylko po wojnie. Chyba w 1949 r. rosyjskie NKWD i „polski” Urząd Bezpieczeństwa zrobili całonocną rewizję u moich rodziców. Zabrali mnie na jakąś konfrontację. Okazało się, że jakiś AK-owiec był tak potwornie skatowany w śledztwie, że się załamał i wydał mój adres. W pewnym momencie podszedł do mojego ojca jakiś młody UB-owiec i powiedział „Obywatelu Rutkowski, pan mnie nie zna, ale ja pana znam. I przyrzekłem mojemu ojcu, że się panu odwdzięczę za to, co pan zrobił dla nas. Obiecuje, że pańska córka wróci”. Okazało się, że to był syn Żyda, któremu mój ojciec uratował życie w czasie okupacji! Dał mu dużą sumę pieniędzy, dzięki czemu ojciec tego chłopaka mógł z rodziną wyjechać z Polski; okupację spędzili w Szwajcarii i tak się uratowali. Pamiętam, że podczas przesłuchania ten chłopak z UB cały czas stał przy mnie i trzymał mnie za ramię. Wtedy zostałam zwolniona. Nie był to jednak koniec przejść z „władzą ludową”. Mojego męża ciągle „zabierali z ulicy”. Przesłuchiowano mnie też, gdy byłam w drugiej ciąży, grozili, że „mi wyduszą to, co mam w brzuchu”... To był 1953 r., tyle lat po wojnie... Tak naprawdę to dopiero prezydent Lech Kaczyński przywrócił nam człowieczeństwo. On pierwszy upomniał się o nas, że to my jesteśmy bohaterami, a nie ci z UB. Wprawdzie zawsze mówię, że nie czułam się i nie czuję się bohaterką, ale to on zorganizował Muzeum Powstania Warszawskiego, które pozostanie dla potomności.

Druga wojna północna, czyli potop szwedzki

Od zdrady kiejdańskiej przez cud jasnogórski do tryumfu polskiego oręża

Prof. Stefan Ciara

Po wstąpieniu na tron Jana Kazimierza, którego elekcja nastąpiła w listopadzie 1648 r., a koronacja – w styczniu następnego roku, palącą kwestią polityczną stało się przekształcenie rozejmu zawartego w 1635 r. w Sztumskiej Wsi w trwały traktat pokojowy. Po dłuższych wstępnych przygotowaniach podjęto negocjacje w stolicy Związku Hanzeatyckiego – Lubece i prowadzono je z przerwami w latach 1651–1653. Strona polska próbowała skłonić szwedzkich negocjatorów m.in. do ustąpienia z ziem zdobytych w Inflantach w pierwszej połowie stulecia, do unieważnienia uchwał Riksdagu (sejmu szwedzkiego) odbierających Zygmuntovi III i jego potomkom ze starszej linii Wazów prawa do tronu w Sztokholmie oraz anulowania ostatnich uchwał z lat 1649–1650, uznających księcia Karola (wkrótce panującego jako Karol X Gustaw) i linię książąt Dwóch Mostów za sukcesorów królowej Krystyny, córki Gustawa Adolfa.

Delegaci strony szwedzkiej reprezentujący tę ostatnią władczynię i jej kancle-rza Axela Oxenstiernę przeciwnie: żądali zaprzestania używania przez polskich Wazów tytułu „dziedziczny król Szwedów, Gotów i Wandali”, świadczącego o roszczeniach do tronu w Sztokholmie. Tak sprzeczne i kategorycznie wyrażane postulaty nie wróżyły powodzenia rokowaniom mimo pojednawczych starań mediatorów, zwłaszcza francuskiego i holenderskiego. Kard. Mazarini, rządzący wtedy Francją za małoletności Ludwika XIV, zadeklarował, że uczyni wszystko dla spowodowania polsko-szwedzkiego pojednania, ale jego zapowiedź okazała się nierealna i niewykonalna. Szwedzi, znając trudne położenie Rzeczypospolitej

(m.in. od zdrajcy – byłego podkanclerzego koronnego Hieronima Radziejowskiego), spowodowane niemożliwym do spacyfikowania powstaniem na Ukrainie, coraz usilniej zgłaszali swoje roszczenia. Na początku 1653 r. szwedzcy posłowie z polecenia królowej Krystyny zażądali usunięcia szwedzkiego herbu z pieczęci Jana Kazimierza przystawionych na pełnomocnictwach dla komisarzy polskich. Ci ostatni uznali wobec tego, że dalsze rozmowy ze Szwedami i w ogóle pobyt w Lubece są bezowocne i bezcelowe. Groźba konfliktu zbrojnego pomiędzy obu państwami stała się coraz bardziej realna i to jeszcze nawet przed 1661 r., czyli przed upływem 26-letniego rozejmu ze Sztumskiej Wsi.

Geneza agresji na Polskę

Tymczasem bezrobotna armia szwedzka (dokładniej szwedzko-niemiecka), uważana słusznie za najlepszą w Europie, czekała na kolejną kampanię, na kolejną okazję do łupiestw. ... Szwedzi myśleli, że może tym razem powiedzie się im lepiej niż w latach 1626–1629 i wydarcie Prus Królewskich znękaną powstaniem ukraińskim Rzeczypospolitej umożliwi uczynienie z Bałtyku wewnętrznego jeziora dla Królestwa Trzech Koron!

Mniej znana jest rola, niechlubna, żeby nie napisać haniebna, odegrana przez Anglię jako inspiratorkę szwedzkiej agresji na Polskę. Jak wiadomo, od lat 40. Anglia była pogrążona w oddechach rewolucji i wojny domowej; w ich trakcie w 1649 r. został stracony król Karol Stuart. Royalści angielscy nie składali jednak broni: szukali pomocy za granicą. Znaleźli ją m.in. w Polsce Jana Kazimierza: sejm uchwalił podatek na wysokości

10 proc. wartości majątku nałożony na mieszkańców w Rzeczypospolitej Anglików i Szkotów. Podatek ten był wyrazem monarszej solidarności przeciw buntującemu się poddanym. Dochody z niego przekazano wysłannikom Karola II Stuarta pretendującego do restauracji monarchii. Nie uszło to uwagi Olivera Cromwella, który jako tzw. lord-protector rządził wtedy Anglią. Podjął on próbę zmontowania wielkiej protestanckiej koalicji skierowanej przeciw Habsburgom i ich katolickim sojusznikom.

Do ich grona należała również Rzeczpospolita. Zaszlepiiony nienawiścią do katolicyzmu Cromwell, opanowany pragnieniem zdobycia pozycji duchowego przywódcy protestantyzmu europejskiego, jedną z dróg, która poprowadziłaby go do realizacji tego celu, upatrywał w popieraniu szwedzkich i tureckich planów podboju ostoji katolicyzmu, jaką była Rzeczpospolita, i wyeliminowaniu jej z politycznej sceny europejskiej. Jak pisał prof. Edward Mierzwa, badacz stosunków polsko-angielskich w tej epoce, Cromwell utrzymywał przyjazną korespondencję z Chmielnickim. Do opinii publicznej trafił obelżywy list, w którym lord-protector tytułował kozackiego wodza „odnowicielem grecko-ortodoksyjnej wiary”, „biczem Bożym na Polaków”, „burzycielem papieskich błędów” itd. W innym tekście Chmielnicki nazwany został nawet „...z Bożej i Jezusa łaski generalisimusem i greckiego wyznania imperatorem, opoką przeciw szlacheckiej Polsce, pogromcą i prześladowcą heretyckiego antychrysta rzymskiego i Żydów”.

Haniebną rolę w doprowadzeniu do najazdu szwedzkiego odegrał Hieronim Radziejowski, były podkanclerzy koron-

ny. Popadłszy w konflikt z królem Janem Kazimierzem, wyrokiem sądu marszałkowskiego skazany na banicję trafił na dwór w Sztokholmie, gdzie doprowadził do zawarcia antypolskiego sojuszu szwedzko-kozacko-siedmiogrodzkiego.

Za bezpośrednią przyczynę uderzenia Szwedów uważa się postępującą agresję Moskwy na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej. Moskale „zaproszeni” przez Chmielnickiego opanowali w 1654 i 1655 r. wraz z jego Kozakami wielkie połacie Wielkiego Księstwa Litewskiego i Ukrainy, dochodząc nawet sporadycznie do Wisły. Latem 1655 r. zajęli i spalili Wilno. Wzbudziło to obawy w Sztokholmie, że najazd ten, któremu nie były w stanie oprzeć się wojska Rzeczypospolitej, wyćnięte wieloletnią wojną z ukraińskim powstaniem kozacko-chłopskim, zagrozi szwedzkiem Inflantom.

Pochód wojsk moskiewskich znaczący budzące grozę zbrodnie wojenne: masowe mordowanie Żydów i duchownych grekokatolickich, deportacje ludności, zwłaszcza rzemieślników w głąb Rosji etc. W tej sytuacji wkraczające do Wielkopolski i na Litwę regimenty króla Karola X Gustawa, władcy „politycznego”, czyli kulturalnego narodu, były często postrzegane jako jedyna zaporą zdolna zatrzymać i odrzucić barbarzyński najazd ze wschodu. Znalazło to wyraz w układach zawieranych pod Ujściem i w litewskich Kiejdanach. Szwedzi gwarantowali zachowanie dotychczasowych przywilejów szlacheckich, instytucji ustrojowych, w tym sejmu oraz praw dla religii katolickiej. Toteż podpisywali te układy także biskupi! Dla znacznej części szlachty była to „tylko” zmiana panującego, choć zaledwie kilka lat wcześniej przysięgano Janowi Kazimierzowi. Zresztą ten ostatni w swoisty sposób „ułatwił” decyzję, opuszczając granice kraju w obawie przed popadnięciem w niewolę szwedzką.

Znacznie dalej szła ugoda zawarta przez hetmana wielkiego litewskiego Janusza Radziwiłła w Kiejdanach, nb. upamiętniona pomnikiem wzniesionym niemal 20 lat temu, a więc w niepodległej Litwie. Zrywała ona unię polsko-litewską; Radziwiłł – kreując się na obrońcę ojczyzny przed wschodnim barbarzyństwem w sojuszu ze Szwedami, uchodził jednocześnie na Litwie za narodowego bohatera zrzucającego rzekomą „polską dominację”. Dopuścił się on jednak pospolitej zdrady, bo w umowie kiejdańskiej zagwarantował sobie obszerne posiadłości (ponad 100 tys. km²!) na terytorium Litwy podległym

szwedzkiemu panowaniu, co akcentują polscy historycy.

Część wojska litewskiego nie pogo-dziła się z kiejdańską zdradą i pod przewodnictwem Wincentego Gosiewskiego, hetmana polnego litewskiego i zarazem podskarbiego litewskiego, zawiązała konfederację w Wierbołowie na granicy z Prusami Książęcymi. Konfederaci wierbołowscy opowiedzieli się po stronie Jana Kazimierza pod hasłem walki ze Szwedami.

Zanim Jan Kazimierz opuścił granice Polski dowodził, choć z miernym skutkiem, wojskiem państwowym (tzw. komputowym) oraz pospolitym ruszeniem w przegranej bitwie pod Żarnowem (16 września) blisko Piotrkowa. Po poniesionej klęsce wycofał się w kierunku Krakowa, którego obroną, zakończoną honorową kapitulacją, kierował Stefan Czarniecki. W byłej stolicy Karol Gustaw pierwsze swe kroki postawił na Wawelu. Po katedrze oprowadzał go kanonik krakowski Szymon Starowolski. Przed sarkofagiem Władysława Łokietka wyjaśnił on królowi Szwecji, że władca ten trzykrotnie został wygnany z Polski i trzykrotnie odzyskał panowanie. Gdy Karol X stwierdził, że Jan Kazimierz nigdy do Polski nie powróci, kanonik ripostował: *Deus mirabilis, fortuna variabilis* (Bóg cudowny, fortuna zmienna). Rozmowa opisana przez barokowego historyka i poetę Wespazjana Kochowskiego przeszła do legendy, chociaż nie wiemy, czy naprawdę miała miejsce. Scena ta została uwieczniona na

jednym z obrazów Jana Matejki (obecnie w Lwowskiej Galerii Obrazów).

Już jesienią 1655 r. pojawiły się pierwsze symptomy zapowiadające, że przepowiednia księdza kanonika Starowolskiego jednak nie jest mrzonką. Przyczynili się do tego sami Szwedzi oraz ich niemieccy alianci i najemnicy. Oficerowie brutalnie ściągali daniny w gotówce i w naturze na utrzymanie wojska, za które płacili... kwitami. Opornych szlachciców próbujących dowodzić na podstawie tych pokwitowań, że już się wywiązali ze zobowiązań (oczywiście wielokrotnie wyższych niż przed 1655 r.), poddawano skrajnej „terapii”, zmuszając ich do... zjadania tych kwitów. Dobrze jeszcze, jeśli pozwalano na popijanie winem!

Inny aspekt polityki poddanych Karola X Gustawa w zakresie „tolerancji religijnej” luteran w stosunku do katolickiego społeczeństwa ujrzał Andrzej Kmicic w pułtuskiej kolegiacie, a przecież nie była to literacka fikcja, lecz relacja oparta na źródłach historycznych: „(...) po raz pierwszy ujrzał też Kmicic wojsko w kościele stojące. We wspaniałej gotyckiej kolegiacie, fundowanej przeszło dwieście lat temu przez biskupa Giżyckiego, stała najemna niemiecka piechota. Wnętrze świątyni płonęło światłem jak w czasie rezurekcji, bo na kamiennej posadzce płonęły porozpalane ognie. Kotły dymiły w ogniskach. Około beczek z piwem kupiło się obce żołnierstwo, złożone ze starych rabusiów, którzy całe Niemcy katolickie spłądrowali i którym zapew-

W czasie potopu szwedzkiego Rzeczpospolita doznała zniszczeń porównywalnych dopiero z tymi dokonanyymi przez Niemców i Rosjan w czasie II wojny światowej. Obraz Henryka Piłlatego. Fot. Wikimedia





Kmicicowa kompania – banda groźnych zabijaków, nad którymi jeden chorąży orszański potrafił zapanować. Ilustracja Juliusza Kossaka do nieśmiertelnego „Potopu” Henryka Sienkiewicza. Fot. MNW

ne nie pierwszy raz przyszło nocować w kościele. Więc wewnątrz rozlegał się gwar i okrzyki. Zachryple głosy śpiewały obozowe pieśni; słyhać było wrzaski, uciechy niewiast, które w owych czasach włóczyły się zwykle za wojskiem. Kmicic stanął w otwartych drzwiach; przez dymy wśród czerwonych płomieni ujrzał czerwone, porozpalane trunkiem, wąsate twarze żołdaków siedzących na beczkach i pijących piwo; innych rzucających kości lub grających w karty; innych sprzedających ornaty; innych obejmujących ładacznicę poprzybierane w jaskrawe suknie. Wrzaski, śmiechy, brzęk kufli i szczęk muszkietów, echa grzmiące w sklepieniach głużyły go. Głowa mu się zakręciła, oczy nie chciały wierzyć temu, na co patrzyły, dech zamarł mu w piersi; piekło nie mniej by go przerażało. Wreszcie porwał się za włosy i wybiegł, powtarzając jak w obłąkaniu: Boże, ujmij się! Boże, skarż! Boże, ratuj!”.

Początki przełomu

Otrzeźwienie następowało coraz szybciej. Już jesienią 1655 r. zaczęły powstawać atakujące szwedzkich okupantów pierwsze oddziały partyzanckie. Jednym z najsłynniejszych ich dowódców był Krzysztof Żegocki, przyszły wojewoda inowrocławski, który, gdy owdowiał, przyjął święcenia kapłańskie i został biskupem chełmińskim, a następnie włocławskim (kujawskim). Z pewnością przełomowym wydarzeniem przyspieszającym zmianę

nastrojów była obrona ufortyfikowanego klasztoru Paulinów na Jasnej Górze. Już sam fakt próby wojskowego zamachu na sanktuarium, niestety z udziałem niektórych polskich oddziałów, wzbudził powszechne oburzenie, wkrótce zamienione w radość, gdy paruset obrońców odniosło pierwsze w tej wojnie zwycięstwo. Zmusili oni przecież po 6 tygodniach oblężenia w listopadzie i grudniu 1655 r. kilkakrotnie liczniejszych nieprzyjaciół wyposażonych w ciężką artylerię do sromotnego odstąpienia od jasnogórskich murów!

Tymczasem w grudniu tegoż roku do Polski powrócił Jan Kazimierz. 29 grudnia hetmani koronni: wielki Stanisław „Rewera” Potocki i polny Stanisław Lanckoroński zerwali ze Szwedami i zawiązali w Tyszowcach konfederację w celu walki z najazdem szwedzkim. Na zamku w Łańcucie 20 stycznia 1656 r. konfederacja została przekształcona w konfederację generalną z udziałem króla. Kolejnym ważnym wydarzeniem konsolidującym Polaków w wojnie z nieprzyjaciółmi gnębiącymi i niszczącymi Rzeczpospolitą były śluby lwowskie Jana Kazimierza. 1 kwietnia 1656 r. w archikatedrze lwowskiej w asyście nuncjusza i licznych senatorów oraz wobec reprezentantów wszystkich stanów król ogłosił Matkę Bożą Królową Polski i patronką walki o uwolnienie kraju od wrogów. Przytoczmy za dr. Robertem Kościelnym tekst tego ślubowania: „Ciebie dziś za Patronkę moją i za Królową państw moich obieram. Tak samego sie-

bie, jak i moje Królestwo polskie, księstwo litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflanckie, smoleńskie, czerlichowskie oraz wojsko obu narodów i wszystkie moje ludy Twojej osobliwej opiece i obronie polecam, Twej pomocy i zlitowania w tym klęsk pełnym i opłakanym Królestwa mojego stanie przeciw nieprzyjaciółom Rzymskiego Kościoła pokornie przyzywam”. Król złożył też przyrzeczenie, że wraz z całym narodem będzie szerzył kult Matki Bożej oraz że dzień zwycięstwa nad Szwedami stanie się celebrowanym uroczyszcem świętem. Doceniając dotychczasowy wydatny wkład chłopów w tę walkę, Jan Kazimierz deklarował poprawę ich doli po zakończeniu wojny. Zapowiedzi te wynikały z przekonania, że klęski, których doznała Rzeczpospolita, były karą Bożą za ucisk i wyzysk ludu wiejskiego; opór szlachty uniemożliwił realizację tych obietnic.

Na osobne wspomnienie zasługuje postawa księcia pruskiego Fryderyka Wilhelma, lennika zobowiązanego do udzielenia zbrojnej pomocy Polsce. Jeszcze jesienią 1654 r. przybył do Berlina szwedzki poseł zaproponował mu sojusz w planowanej wojnie przeciw Polsce, obiecując udział w nabytkach terytorialnych kosztem Rzeczypospolitej. Od elektora oczekiwał udostępnienia portów pruskich: Kłajpedy i Piławy jako baz dla operacji wojennych. Ta ostatnia propozycja nie wzbudziła entuzjazmu elektora i wysłannik szwedzki został odprawiony z kwitkiem. Tuż przed wybuchem wojny posłańcy księcia Fryderyka Wilhelma postavili Szwedom warunki ewentualnego sojuszu: suwerenność w Prusach Książęcych, Warmię, Elbląg, część Żmudzi i pas ziemi łączącej Brandenburgię z Księstwem Pruskim. Zatem problem tzw. korytarza ma XVII-wieczną genezę!

Dla zachowania pozorów lojalności elektor chciał też, aby Szwedzi zgodzili się na wysłanie 100 żołnierzy na pomoc Rzeczypospolitej! Nową inicjatywą elektora był sojusz ze stanami Prus Królewskich przeciwko Szwedom. 12 listopada 1655 r. w Ryńsku koło Torunia elektor zawarł ze szlachtą tej prowincji sojusz, w myśl którego miasta pruskie z wyjątkiem Gdańska, Elbląga i Torunia, które do układu nie przystąpiły, byłyby obsadzone przez wojska brandenburskie. Tymczasem Karol Gustaw po zdobyciu Krakowa zwrócił się na północ, by dokończyć podboju Prus Królewskich. Nie mogąc mierzyć się ze Szwedami, Fryderyk Wilhelm zdecydował się opowiedzieć po stronie Karola X Gustawa i 17 stycznia 1656 r. zawarł z nim układ w Królewcu. Elektor miał być lennikiem Karola Gustawa z Prus Książęcych, otrzymać Warmię, zgodzić się na udostępnienie portów pruskich i przemarsz wojska, wreszcie dostarczyć 1000 żołnierzy

piechoty i 500 kawalerzystów. Jak pamiętamy, jako lennik miał obowiązek dostarczyć Rzeczypospolitej tylko 100 żołnierzy jazdy.

Wojna szarpana

W 1656 r. wojna toczyła się ze zmiennym szczęściem. Szwedom nie udało się zdobyć Zamościa. Wiosną z pułapki w widłach Sanu i Wisły wyrwał się Karol Gustaw, a idące mu na odsiecz posiłki zostały rozbite przez wojska Stefana Czarnieckiego i Jerzego Lubomirskiego pod Warką. Ale już miesiąc później pod Kleckiem w Wielkopolsce nie udało się tym polskim wodom, wspartym jeszcze przez młodego Jana Sobieskiego, powtórzyć sukcesu spod Warki: polską jazdę zdzięsiłkowal tam silny ogień bardzo licznych i mobilnych armat szwedzkich. Barwnie opisał to Jakub Łoś, jeden z polskich uczestników tej batalii: „Tego roku 1656 dnia 7 mai pod Kleckiem (...) stanęło Szwedów na 8 tysięcy wojska dobrego, do którego nasi poszedłszy i zastawszy ich między błotami, nie mogąc przeciwko ich armacie z gołymi brzuchami nic uczynić, z wielką konfuzją [wstydem] odeszli, niemałą z dział w koniach i ludziach poniósłszy szkodę”. W tej sytuacji lepsze efekty dawała tzw. wojna szarpana, w której mistrzem okazał się Stefan Czarniecki. Jak pisał prof. Janusz Wojtasik, wojna taka prowadzona z wykorzystaniem wielotysięcznych nawet gromad ludu wiejskiego polegała na „(...) unikaniu walnych bitew z dużymi siłami lepiej dowodzonego, lepiej wyszkolonego, dysponującego lepszą organizacją i większą siłą ognia przeciwnika przy jednoczesnym, codziennym niszczeniu sił wroga w małej wojnie prowadzonej metodą partyzancką”.

Ale walnych bitew też nie udawało się uniknąć. Wprawdzie 1 lipca 1656 r. skapitulowała szwedzka załoga Warszawy, a jej dowódca feldmarszałek Wittenberg dostał się do niewoli, wkrótce stolica znów wpadła w ręce wroga. Od 28 do 30 lipca 1656 r. pod Warszawą wojska polsko-litewskie wspierane posiłkami tatarskimi zostały pokonane przez połączone siły szwedzkie i brandenburskie dowodzone przez Karola Gustawa i Fryderyka Wilhelma. Szczególną pamiątką tej bitwy jest kamień umieszczony przy świątyni Matki Bożej Loretańskiej na warszawskiej Pradze z napisem: „Tu spoczywa Roch Kowalski, bohater ‘Potopu’. Poległ w bitwie ze Szwedami o Warszawę 29 lipca 1656 r. *Requiescat in Pace* [Niech spoczywa w spokoju]”. Choć zdaniem historyków Polak, który o mało nie zabił króla Karola X (co udamemnił jakoby sam Bogusław Ra-

dziwił), nosił inne nazwisko, to w lokalnej pamięci chyba na zawsze pozostanie postać wykreowana przez Henryka Sienkiewicza...

Warszawska przegrana wojsk Rzeczypospolitej szczęśliwie nie spowodowała ich rozbitcia, a jesienią tegoż roku nastąpił rewanż. Aby skłonić elektora do porzucenia sojuszu z Karolem X, wojska polskie i litewskie wspierane przez Tatarów weszły do Prus Książęcych i pod Prostkami koło Elku pokonały siły brandenburskie i szwedzkie dowodzone przez Bogusława Radziwiłła. Bitwa ta, chociaż zwycięska, nie zmieniła jeszcze w istotny sposób losów wojny, bo 2 tygodnie później pod Filipowem wojska dowodzone przez Gosiewskiego poniosły porażkę z rąk tychże Szwedów i Brandenburczyków.

Fryderyk Wilhelm nie zaniedbywał działań dyplomatycznych: zawarł w listopadzie 1656 r. w Labiawie układ, który przewidywał, że będzie on w Prusach Książęcych władcą suwerennym i otrzyma Warmię. Z lennika króla Szwecji elektor stawał się jego sprzymierzeńcem, rezygnując przy tym z roszczeń do Wielkopolski. Karol X Gustaw w układzie zastrzegł dla siebie Prusy Królewskie, Inflanty i Żmudź. Konsekwencją i rozwinięciem

Śluby Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej. Szkic Jana Matejki do późniejszego obrazu o tym samym tytule. Fot. Wikimedia



układu w Labiawie był traktat rozbiorowy Rzeczypospolitej zawarty w Radnot w Siedmiogrodzie w grudniu 1656 r. Sygnatariuszami umowy byli: król Szwecji Karol X (miał otrzymać Prusy Królewskie, Kujawy, Kurlandię i polskie Inflanty), elektor Fryderyk Wilhelm, który miał zagarnąć Warmię oraz 4 województwa wielkopolskie dające terytorialne połączenie pruskiej i brandenburskiej części jego państwa. Wysłannicy Chmielnickiego zawarowali dlań Ukrainę jako udzielne księstwo. Nie zapomniano też o „zasługach” Bogusława Radziwiłła, przydzielając mu województwo nowogrodzkie jako udzielne księstwo w białoruskiej części Wielkiego Księstwa Litewskiego. Gospodarz zjazdu w Radnot, Jerzy II Rakoczy, też miał zostać sowiec wynagrodzony województwami: krakowskim, lubelskim i podlaskim. Tak zmotywowany Rakoczy w styczniu 1657 r. najechał na Polskę i został srogo ukarany. Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny, dokonał dywersyjnego najazdu na Siedmiogród, skłaniając Rakoczego do wycofania się z Polski. Pokonał jego wojska pod Czarnym Ostrowem i zmusił do kapitulacji pod warunkiem zapłaty wysokiego okupu i zerwania sojuszu ze Szwecją.

Rzeczpospolita mogła też odnotować niemałe sukcesy na froncie dyplomatycznym. Jeszcze jesienią 1656 r. w Niemieży koło Wilna zawarto rozejm z Moskwą. Nie rozstrzygał on spornych kwestii terytorialnych, ale za cenę obietnicy polskiej korony dla cara Aleksego Michajłowicza dawał dwuletnią przerwę w działaniach wojennych. Umożliwiło to skupienie sił przeciw Szwedom i ich sojusznikom; przewidywano nawet współdziałanie wojsk obu państw w Inflantach. W następnym roku pozyskano kolejnych sojuszników. Po śmierci cesarza Ferdynanda III jego syn i następca Leopold Habsburg zawarł w maju 1657 r. z Janem II Kazimierzem sojusz i zobowiązał się wysłać na pomoc 12-tysięczny korpus wojska. Za ten sojusz Rzeczpospolita zapłaciła dochodami z żup w Wieliczce i obietnicą obrania Leopolda na króla po śmierci Jana Kazimierza. Do układu zaproszono króla Danii i Norwegii Fryderyka III oraz elektora Fryderyka Wilhelma. Dzięki sojuszowi wojska cesarskie wsparły Jerzego Lubomirskiego w odbiciu Krakowa z rąk Szwedów; cesarska artyleria pomogła w odzyskaniu innych miast polskich.

Należało teraz rozbić sojusz Szwedów z elektorem brandenburskim. W rokowaniach między Janem Kazimierzem i Fryderykiem Wilhelmem pośredniczyła dyplomacja Leopolda I Habsburga, wówczas króla Czech

i Węgier, przychylnie nastawiona do wyzwolenia się elektora z więzów lennych wobec Polski. Układy negocjowano w Welawie, a zaprzysiężono uroczyscie w Bydgoszczy 6 listopada 1657 r. Tam też nastąpiło osobiste spotkanie Jana Kazimierza i Fryderyka Wilhelma. Ustalono następujące warunki: elektor uznał suwerenność w Prusach Książących, zawarto też „wieczysty i nierozdzielny sojusz”, zgodnie z którym zobowiązał się on wysłać na pomoc Polsce wojsko liczące 2000 żołnierzy (1500 piechoty i 500 jazdy) jako oddział sojusznicy w każdej wojnie Rzeczypospolitej. Zobowiązywał się też do wystawienia oddziału złożonego z 6000 żołnierzy do walki ze Szwedami. Od Jana Kazimierza natomiast otrzymał w lenno ziemię łęborsko-bytowską oraz możliwość zajęcia Elbląga po zdobyciu go na Szwedach.

Traktat zaprzysięgli w Bydgoszczy obaj władcy: Jan Kazimierz i książę-elektor Fryderyk Wilhelm. Ratyfikacją układów z elektorem miał się zająć sejm w 1658 r. W dniu zakończenia jego obrad, 30 sierpnia, Jan Kazimierz podpisał dokument zatwierdzenia układów welawsko-bydgoskich i przekazał go posłowi elektora Hoverbeckowi.

W latach 1657–1658 nastąpił zwrot w wojnie północnej nie tylko za sprawą

przejścia Fryderyka Wilhelma na stronę Rzeczypospolitej oraz zawarcia sojuszu z Habsburgami. Oba te porozumienia przyczyniły się do odzyskania z rąk szwedzkich kolejnych miast i twierdz, np. Torunia. Do koalicji antyszwedzkiej dołączył także Fryderyk III, król połączonych unii Danii i Norwegii – wypowiedział on Szwecji wojnę, dążąc do odzyskania utraconych prowincji.

Wojnę zakończył traktat pokojowy podpisany w opactwie cystersów w Oliwie 3 maja 1660 r., zawarty za pośrednictwem francuskiego dyplomaty Antoniego de Lumbres. Ponieważ w trakcie negocjacji pokojowych zmarł w wieku 37 lat Karol X Gustaw, szwedzki egemplarz pokoju oliwskiego uwierzytelniono pieczęciami wyciśniętymi w czarnym wosku. Jan Kazimierz zachował formalnie dożywotnio tytuł króla Szwecji, rezygnując jednak z pretensji do tronu szwedzkiego. Inflanty z Rygą miały pozostać przy Szwecji. Rzeczpospolita zatrzymała jedynie ich południowo-wschodnią część jako województwo inflanckie. Szwecja zobowiązała się zwrócić zagrabione archiwa i biblioteki, z czego wywiązała się w małym stopniu. Pokój oliwski potwierdził suwerenność Fryderyka Wilhelma w Prusach Książących, zgodnie z traktatami welawsko-bydgoskimi.

Tragiczny bilans potopu

Pokój w Oliwie tylko części terytorium Rzeczypospolitej dawał wytchnienie od szczeru oręża i przemarszów wojsk polskich i nieprzyjacielskich dopuszczających się grabieży oraz przenoszących epidemie chorób zakaźnych. Na wschodnich obszarach państwa trwały aż do rozejmu andruszowskiego 1667 r. walki z Moskalami i kozakami, wznowione w 1658 r. Kilka lat po potopie szwedzkim część kraju, zaledwie dźwigająca się z ruin, doświadczyła niszczących skutków rokoszu Lubomirskiego. Jak pisała Katarzyna Fiołkowska na portalu Historykon.pl, najeźdźcy szwedzcy wsparci okresowo przez Brandenburczyków oraz Węgrów z Siedmiogrodu doszczętnie zdewastowali „188 miast i miasteczek, 81 zamków i 136 kościołów. Niektóre miasta, jak Warszawa, straciły 90 proc. populacji”. Ich odbudowa trwała nieraz i 100 lat aż do początków panowania Stanisława Augusta! Ludność Rzeczypospolitej wskutek epidemii, głodu, działań wojennych i zmian granic zmniejszyła się o jedną trzecią, z ok. 11 mln do 7–8 mln. Innym skutkiem potopu były ogromne zaległości w wypłacie żołdu dla wojska, które dla jego egzekucji zawiązywało konfederacje i łupiło zwłaszcza królewszczyzny i dobra kościelne. Doraźna próba uregulowania tych zaległości przez ogromne emisje miedzianych monet, tzw. boratunek (od nazwiska zarządcy mennicy Tytusa Liwiusza Boratiniego), których wybito podobno 1,8 mld sztuk, okazała się półśrodkiem prowadzącym do pogłębienia chaosu.

Ruina kraju przyczyniła się do niekorzystnych przeobrażeń społecznych, a w konsekwencji także politycznych i ustrojowych. Szlachcic średniozamożny, właściciel kilku wsi, w razie ich utraty stawał się dziadem. By zapewnić rodzinie jaki taki status materialny „wieszał się u pańskiej klamki”, czyli zabiegał u magnatów o dzierżawę, służbę na wielkopańskim dworze lub w nadwornym wojsku. Bo przecież służba publiczna, z wyjątkiem najwyższych stanowisk, nie dawała szans zarobkowych w związku z formalną bezpłatnością urzędów. Magnackie latyfundia też przeżywały różne losy: jedne przepadły w całości, jak „zadnieprzańskie państwo” Jeremiego Wiśniowieckiego, inne częściowo, w każdym razie dając możliwość przesuwania zasobów ludzkich (poddani chłopci) czy środków materialnych na miarę potrzeb. Opisane w skrócie zjawiska powodowały wzrost znaczenia magnaterii kosztem średniej szlachty. Trafnie ujął to prof. Andrzej Nowak: Rzeczpospolita szlachecka przeobrażała się w tym okresie w Rzeczpospolitą magnacką!

Staropolska gościnność i zasady dobrego wychowania

Bez kobiety nie masz prawdziwej ogłady ani duszy towarzyskiego życia

Prof. Ryszard Kantor

„**Z**ycie w dawnej Polsce było bardzo towarzyskie – pisze socjolog i historyk kultury Jan Stanisław Bystroń – odnosi się często wrażenie przy lekturze dawnych pamiętników, przy przeglądaniu dawnego materiału ilustracyjnego, że całe dawne życie miało towarzyski charakter, że wspólnie biesiadowano i pito, radzono i modlono się, wspólnie bawiono się i pracowano. Rzeczpospolita szlachecka wydaje się wielkim, nie kończącym się, gwarnym zebraniem towarzyskim. Nabożeństwo w kościele jest okazją do spotkania się braci szlachty, większe święto jest zarazem towarzyską uroczystością. Sejmik, zebranie sądu, większa transakcja handlowa daje znów początek zebraniom towarzyskim, charakter ten mają oczywiście wszelkie święta rodzinne, a polowania czy większe zabawy też bez gości obyć się nie mogą”.

Takie życie wytwarza bogate formy zwyczajowe, kształtuje kodeksy regulujące zachowania, buduje reguły ogłady, badaczowi zaś nakazuje uważnie obserwować ludzkie zachowania, wsłuchiwać się w opinie naocznych obserwatorów, a przede wszystkim starać się rozumieć, czym jest obyczaj, jak się on kształtuje i zmienia. Współczesny badacz prof. Jan Grad pisze: „Wedle przyjętego w refleksji nad kulturą rozumienia obyczaju, stanowi on ustalony w danej zbiorowości społecznej typ zachowania, postępowania”. Jest on rezultatem respektowania społecznych norm i reguł kulturowych obowiązujących w danej zbiorowości. Wyznaczają one sposoby reagowania na różne sytuacje, powstające w wyniku oddziaływania ludzi na siebie. Określają, jakie działania należy podejmować

w codziennych kontaktach z członkami własnej grupy, jak i z obcymi. Jest kilka określeń „dobrych obyczajów”: *savoir vivre*, *bon ton*, zasady grzeczności, etykieta, konwenans. *Savoir vivre* to francuskie określenie nakazujące „umieć żyć”, czyli umieć odpowiednio zachowywać się w towarzystwie, respektować przyjęte formy współżycia, unikać konfliktów itd. Podobnie *bon ton* oznacza właściwe zachowanie, bezkonfliktowy sposób życia w towarzystwie innych ludzi.

Być obyczajnym znaczyło dawniej być dobrze wychowanym, grzecznym. Stanisław Borodzicz (ur. w 1780 r., po Powstaniu Listopadowym zesłany na Sybir), guwerner chełmińskiego korpusu kadetów, autor adresowanego do nich opracowania „Rysy charakterystyczne złego zachowania” z 1817 r. pisał: „Grzeczność jest to postępowanie z ludźmi trafne, stosowane do zamiarów towarzyskich, ten zaś żyje trafnie z ludźmi, kto nie tylko nie razi ich, lecz nadto, kto czyni drugim i sobie przyjemność”. Jan Grad podaje zakres działań regulowanych przez zasady dobrego tonu – zawierania znajomości, przedstawiania innych i samego siebie; przywitań i pozdrowień słownych i czynnościowych (podanie ręki, ukłony, zdejmowanie nakryć głowy); zachowania się w miejscach publicznych, w pracy (stosunek do przełożonych i do podwładnych), w kościele, restauracji, kawiarni, hotelu itp.; postępowania w sytuacjach publicznych (np. na naradach, konferencjach); zachowania się na imprezach kulturalnych, sportowych, rozrywkowych; zachowania się na łonie natury; zachowania się przy stole; postępowania w prywatnych kontaktach „twarzą w twarz”, np. na

domowych przyjęciach, uroczystościach itd.; postępowania w sytuacjach konfliktowych, drażliwych (takt); zachowania wobec kobiet (galanteria); zachowywania higieny ciała, odpowiedniego, wymaganego sposobu ubierania się. To nie wszystkie wymogi dobrego tonu, jednak wystarczająco dużo, aby zrozumieć, iż nauka i stosowanie ich to nie błahostka, lecz fundament życia towarzyskiego.

Znawca szlacheckich obyczajów Zbigniew Kuchowicz (1927–1991) pisał: „Staropolski *savoir vivre* kształtował się pod wpływem dziedzictwa kulturowego sięgającego czasem głębokiego średniowiecza, obowiązującej w danym okresie mody, korzystał także ze wzorów cudzoziemskich. Obyczajowość polską charakteryzowała jednak duża niezależność, potrafiła ona stworzyć i kultywować formy towarzyskie odznaczające się zarówno dużym bogactwem, jak i szczególną specyfiką. Cudzoziemcy wielokrotnie podkreślali oryginalność obowiązujących u nas reguł, choć oceniali je raczej krytycznie”. Staropolski obyczaj szlachecki oddziaływał na formy zachowania zarówno mieszczaństwa, jak i zamożnych chłopów.

Formy towarzyskie w okresie staropolskim były niezwykle mocno uzależnione od struktury społecznej. Znaczne różnicowanie socjalne, utrwalone aż do końca Rzeczypospolitej szlacheckiej, ukształtowało trwałą hierarchię, uprzywilejowanie pozycji stanowej, podziały wewnątrzstanowe tak pośród szlachty, jak i mieszczaństwa, o włościanach nie zapominając. W konsekwencji więc także sposoby zachowania były bardzo zróżnicowane; stosunki feudalne zaważyły na kształtowaniu się

Malowidło z lunety z Sali Rycerskiej w klasztorze na Jasnej Górze, przedstawiające oblężenie klasztoru przez Szwedów w 1655 r. Fot. Adam Bujak





Szlachta polska w dawnych ubiorach. Ilustracja do albumu „Les costumes du peuple Polonais...” Leona Ziena wydanego w Strasburgu w 1841 r. Fot. MNK

form towarzyskich, nad ich rozmaitością i złożonością. Inną miarą oceniano postępowanie dygnitarza, a zupełnie inną zwykłego szlachcica, nie mówiąc o plebejuszach. Podstawą obowiązującej obyczajowości była stanowa segregacja. „Do drugiej połowy XVIII wieku – pisze Kuchowicz – zachowywano ją w miejscach publicznych, w kościele, szkole, teatrze. Pierwsze miejsce wszędzie z reguły zajmowali magnaci, ewentualnie można szlachta, dalsze – szlachta, potem zamożni mieszczaństwo, ostatnie zaś przysłowiowy szary tłum”. Prawnik i poeta Kajetan Koźmian (1771–1856) wspominał, że w szkole: „Pierwsze ławki zajmowali sami panie, ławki naprzeciw katedry zasiadała uboższa szlachta, a ostatnią mieszczaństwo, ława zaś była zajęta przez *pauperes* (biedaków)”. Nawet w miejskim teatrze widownia była podzielona: parter dla szlachty, ławki dla mieszczan, a loże dla magnatów i bogatej szlachty.

Z kolei ks. Jędrzej Kitowicz (1728–1804), wspominając warszawskie reduty (zabawy maskowe), otwarte dla każdego, kto miał pieniądze na wstęp, pisał, że sprawców awantur traktowano wedle przynależności do stanu: „Kto hałas zrobił, natychmiast przez oficjera i żołnierzy był

wyrugowany za drzwi; tam się musiał odmaskować, jeżeli był w masce; oficer sędził po osobie i podług swego rozsądku z nią postępował. Jeżeli osoba, wyprowadzona za drzwi, uznana była za podłą, kazał wziąć dla wypoczynku po fatydze redutnej do kozy albo też z miejsca kijem wytrzepać plecy. Jeżeli hałasnik był godny człowiek, oficer nie wchodząc w roztrząsanie uczynku tym go tylko ukarał, że go więcej na reduty nie wpuścił”.

Dystans i bariery społeczne znajdowały odbicie przede wszystkim w obowiązującej tytulaturze. Choć każdy szlachcic nosił miano „urodzony”, to już w szczegółowej tytulaturze istniało zróżnicowanie. „Lubiano jednak – pisze Kuchowicz – podkreślać więź ogólnoszlachecką, to charakterystyczne ‘my’, kiedy pisano ‘my rycerstwo’, ‘my Jaśnie Oświeceni, Jaśnie Wielmożni i urodzeni Ichmość Wielmożni Pano wie Bracia’”. W odróżnieniu od szlachty mieszczan określano jako „sławetnych”, a chłopów jako „pracowitych”. Określenia te pojawiały się w pismach urzędowych, stanowiąc niejako oficjalne podkreślenie podziałów społecznych. Zdarzały się rzadkie przypadki, że zamożni chłopcy używali w aktach tytułów „uczciwy”, czasem

„sławetny”, nieraz nawet z dodatkiem „pan”. Zamożny chłop z Podhala pisał o sobie: „Sławetny pan Grzegorz Tylko”; był to jednak szokujący opinii publiczną wyjątek.

Badacz rodzimej kultury Władysław Łoziński (1843–1913) zwraca uwagę na ogromne znaczenie więzów rodzinnych, szczególnie wśród szlachty: „Wpływ i znaczenie rodziny były tym potężniejsze, im szerzej pojmowano jej granice, a nigdzie nie pojmowano jej tak szeroko, jak w Polsce. Świadomość łączności rodzinnej sięgała w najdalsze filiacje; rodzina stawała się wielką rzeszą, a wymowny to symbol jej moralnego obszaru, że już sama wspólność herbu stworzyła w języku szlacheckim nazwę ze znaczeniem powinowactwa, bo nazwę ‘stryjców herbowych’”.

Niemal w każdym rodzie szlacheckim byli genealodzy – często kobiety, umiejące wyliczyć z pamięci wszystkie parantele i koligacje szlacheckich domów. „Krewny, jak żerdź po płocie, jak woda po kisielu, jak śnieżka po zagumniu” – żartowano sobie ponoć z owych fantazyjnych wywodów, które czasem sięgały nawet do greckiej lub rzymskiej historii. Żarty żartami, ale rody szlacheckie i większość magnackich – te czasem izolowały się od szlachty, były fundamentem tradycji i nosicielami zwyczajów nie tylko rodzinnych, ale także towarzyskich, w tym gościnności.

Historycy polskich obyczajów dowodzą, że dopiero w XVII–XVIII w. pojawił się i rozpowszechnił zwyczaj tytułowania per pan, który początkowo miała jedynie szlachta. Z czasem przyswoili go sobie też chłopcy i mieszczaństwo, co zastanawiało cudzoziemców. Fryderyk Schulz, Niemiec z Inflant, podróżujący po Polsce w latach 1791–1793, pisał: „Wyraz pan dokłada się do nazwisk i godności, a oznacza też co francuski Seigneur. Mówią pan król o królu, a dalej pan biskup, pan wojewoda itd., podobnie mówią do kobiet: pani krajczyzna, pani stolnikowa. Francuzi swoje Seigneur aż do rewolucji zachowali dla wybranych, w Polsce ma się inaczej. Panem jest każdy, co ma buty całe”.

Zadziwiała cudzoziemców tytułomania szerząca się wśród szlachty i magnaterii. W rozmowie czy w liście w dobrym tonie było uczcić każdego odpowiednim tytułem, choćby najskromniejszym. Nawet synów dostojników tytułowano wedle urzędu ojców, namnożyło się więc wielmożnych starościców, cześnikowców itd. Pamiętano także o orderach i tytułach wojskowych osób, z którymi kontaktowano się na gruncie nie tylko oficjalnym; zadziwiała, w jaki sposób było to możliwe. Zapomnienie bądź pomyłka w tytulatu-

rze mogła jednak doprowadzić do obrazy, poważnych konfliktów, a nawet do pojedynku. Guwerner dzieci polskich magnatów, francuski jezuita Hubert Vautrin (1742–1822), pisał złośliwie: „Nie ma państwa w Europie, w którym istniałaby taka ilość tytułów jak w Polsce. Spotyka się dygnitarzy, ale nie widać urzędów, mrowie książąt bez księstw, generałów bez armii, pułkowników bez pułków, kapitanów. Istnieje tyle stanowisk nie związanych z żadną funkcją, za to z przymiotnikiem ‘wielki’ lub tytułem generała. (...) Osoba obdarzona jakąkolwiek godnością porzuca rodowe nazwisko, staje się natomiast panem generałem, panem wojewodą, kasztelanem, starostą, stolnikiem, sędzią, pisarzem itd. Żona i dzieci przejmują ich tytuły, nie można więc zwracać się do nich po nazwisku, i to do drugiego, trzeciego pokolenia...”. Vautrin wątpił w równość szlacheckiej braci, mającej wielką potrzebę wyróżniania się mało istotnymi tytułami.

Interesująca była etykieta przynależna witanu się i żegnaniu oraz oddawaniu czci. Oznaką uszanowania było zdjęcie czapki. Zdejmowali ją przed panem służba i poddani, stojąc w jego obecności z odkrytą głową, ale była to też forma powitania wśród ludzi równych społecznie. Poeta Wacław Potocki (1621–1696) w zbiorze wierszy „Moralia” pisze: „Weszło to zwyczajem, / że przed sobą zdejmują równi czapki wzajem/ Oświadczać powolność, a dopiero młodzi/ Kto ich wiekiem, kto wyższym honorem przechodzi, / Potem głowę przykryją, zwłaszcza jeśli zima”. Tymczasem nawet podczas srogiej zimy niski stanem nie mógł włożyć czapki w obecności szlachcica. „Wypadało – pisze Jan Stanisław Bystron – aby niższy socjalnie czy też bardziej zobowiązany pierwszy do czapki sięgnął”. Na tym zwyczaju osnuta jest też relacja o spotkaniu Jana Sobieskiego z cesarzem Leopoldem po zwycięstwie wiedeńskim: „Wymagano, by uczczony ukłonem również ukłonem odpowiedział; oburzano się, że cesarz po zwycięstwie wiedeńskim kłaniającym się mu pułkownikom tylko głową skinął, a kapelusza nie ruszył, dlatego też i hetman polny Sieniawski cesarzowi tylko buławą się skłonił i chorągwi przed nim zniżyć nie kazał”.

Zwyczaj nakazywał, by uczestnicy posiedzeń sejmowych, uroczystych spotkań, oficjalnych bankietów występowali ceremonialnie w strojach polskich z nakrytą głową, uchylając czapki tylko dla pokłonu. Oznaką wielkiego uszanowania wobec króla było niewkładanie czapki w jego obecności.

Przywitanie towarzyskim równych sobie był często pocałunek, co

zadziwiała obcokrajowców, gdyż nie znano tego na zachodzie Europy. Kiedy w XVI w. najwyższe sfery w Polsce przyjmowały maniery włoskie, całowanie się na powitanie na jakiś czas ustało. Zwyczaj ten powrócił, gdy „po powściągliwości renesansu przyszła wylewność i bujność form barokowego stylu życiowego”. Ks. Szymon Starowolski (1588–1656) pisał w „Reformacji obyczajów polskich”: „Pospolicie Polacy naszy zwykli się przy witaniu obłapiać, czego inne narody we zwyczaju nie mają, nawet pokrewnością i spowinowaceniem się bliskim będąc związanymi, aby tą powierchowną ceremonią pokazali sobie wzajemny afekt przyjacielski”. Fryzyjczyk Ulryk von Werdum, odbywający podróże po Polsce w latach 1670–1677, napisał, że „ludzie z tego samego stanu obejmują się rękami i całują swych przełożonych w kolana lub nawet w same nogi i stopy. Duchownemu lud prosty kładzie głowę na piersi i całuje je”. Różne były praktyki całowania się na znak szacunku. Powszechnie przyjętym ceremoniałem było całowanie ręki królewskiej, a podanie jej przez króla było oznaką łaski władcy wobec całującego.

„Całowanie w rękę było stosowane powszechnie wobec starszych w rodzinie, tudzież wyższych socjalnie – podsumowuje Bystron. – Ludność włościańska

całowała ręce dziedzicom i ich rodzinom, nawet i dzieciom; szlachta szaraczkowa [najuboższa – R. K.] nie uważała sobie za ujmę całować ręce swych przyjaciół czy patronów”. Szambelan Stanisława Augusta Poniatowskiego Duklan Ochocki (1766–1856) pisał natomiast, że „powitanie łaskawego sąsiada stosowało się do godności jego; stolnikowi, cześnikowi itp. ręce tylko całować było trzeba, kasztelanowi i wojewodzie – płackiem do nóg”. Młodzież szlachecka z zamożniejszych domów była zobowiązana witać tak również dostojników ziemskich. W rodzinach magnackich służba przywykła do całowania rąk nawet małych chłopców, dziedziców wielkiego nazwiska. Wybitny poeta oświecenia Franciszek Karpiński (1741–1825) wspominał, że siedmioletniego Romana Sanguszkę powszechnie księciem nazywano i że „podlejsi” w ręce go całowali.

Powszechnie całowano ręce paniom i dorosłym pannom; młode kobiety całowały zaś ręce matron. „Ucałowanie nóg rodzicom – podkreśla Bystron – obowiązywało dzieci, także i dorosłe, przy odjeździe lub powrocie do domu, przy błogosławieństwie z okazji jakiegoś ważnego postanowienia, a więc np. małżeństwa lub wstąpienia do klasztoru. Z czasem w epoce powszechnej

Eleganckie towarzystwo na popołudniowej herbatce w altanie. Obraz Aleksandra Gierymskiego był protestem przeciwko kojarzeniu jego twórczości przede wszystkim z przedstawianiem życia biedoty. Fot. Wikimedia



czołobitności i uniżoności padano do nóg dygnitarzom i dobrodziejom, prosząc lub też dziękując za wyświadczoną łaskę; zdarzało się, że i kobiety z najwyższych sfer padały do nóg braciom. Kawalerowie rzucałi się do nóg panien po przyjęciu przez nie oświadczeń”.

W owych czasach silnie zarysowanej i powszechnie przyjętej struktury społecznej dzielącej ludzi wedle zamożności, pochodzenia, godności wynikającej z pełnionych funkcji każdy – mowa tu o wszystkich stanach – znał swoje miejsce i wiedział, jak się zachować. Zdarzały się błędy, pomyłki bądź świadome przekroczenia form zachowania, nieoddanie czci osobie godnej, usadowienie jej w niewłaściwym miejscu przy stole, obrażenie słowem, zbyt poufałym powitaniem. Dzieje dawnego życia towarzyskiego pełne były zarówno grzeczności i uszanowania, jak też uchybień, sporów, bójek, pojedynków, śmiertelnych obraz i nieoczekiwanych pogodzeń.

Szlachta wielce się szanowała, dbała o prestiż i źle przyjmowała zmiany zwyczajów, które podważały jej status społeczny. Jednym z nich, który podkreślał szczególną, dominującą rolę szlachty i magnaterii oraz był powodem ich dumy, stała się kultywowana przez wieki, znana i podziwiana w świecie, przysłowiowa

niemał gościnność. Historyk i powieściopisarz Władysław Łoziński (1843–1913) celnie zauważył: „Kwiatem, ale i wałną próbą cnót towarzyskich, a już głównie cierpliwości, była gościnność, ta historyczna gościnność starszlachecka, rozslawiona po całym świecie przez cudzoziemców, którzy w jakiejkolwiek porze podróżowali po Polsce – rozkosz, ale i klątwą szlachcica, bo jak z jednej strony była przyjemnością wiejskiego życia, tak znowu z drugiej źródłem niepokoju, utraty, awantury”.

Mówi o tym niejedno powiedzenie: „Zabić, kto wymyślił być gospodarzem w domu, lepiej zawsze gościem”; „Gość nie w porę gorszy od Tatarzyna”, „Gość częsty i długi rychło się sprzykrzy”; wreszcie najbardziej dosadne: „Gość i ryba trzeciego dnia cuchnie”. Wacław Potocki pisał w „Ogrodzie fraszek”: „Gość u mnie gościem, póki nie minie dzień trzeci/ Osoблиwych przyjaciół, rodziców i dzieci/ Wyjąwszy. Importunem (niepożądanym) nazowię go śmieje/ Kto miast trzech dni u mnie mieszka trzy niedziele”. Ale przecież też mówiono: „Gość w dom, Bóg w dom”.

Szlachta chętnie podróżowała, bardziej po Polsce niż po obcych krajach. Lubiła wybierać się w najdalsze strony ojczyzny, gdzie zamieszkiwała rodzina, przyjaciele, znajomi, gdzie wiadomo było,

że zostanie przyjęta jak najchętniej. Przy fatalnych drogach i mostach, braku gospód po drodze podróżowanie nie było to łatwe. Tymczasem gościa nawet nieproszonego, nieoczekiwanego, a bywało, że i kompletnie nieznanego, zgodnie z niepisanym kodeksem honorowym, należało podjąć z liczną karawaną służby i koni. „Znana była w całej Polsce anegdota – przypomina Władysław Łoziński – o szlachcicu Sobieskim, którego nawiedził znaczny gość z bardzo licznym orszakiem, a z wyjazdem się nie kwapił, aż nareszcie utrapiony szlachcic czwartego dnia rano wstawszy idzie do owego pana, żegnać go. Pan pyta, dokąd by jechał, zwłaszcza gościa mając w domu. Szlachcic na to: ‘Miłościwy Panie, ponieważ ode mnie z tą hordą nie chcecie jechać, pojedaj ja do was’”.

Pomijając niedogodności dla gospodarzy, wynikające ze zbyt długich pobytów, gościnność polska triumfowała. Wg Łozińskiego miała cechy entuzjastyczne: „Gość każdy, chociażby daleki, a nawet obcy domowi, pewien był najżyczliwszego przyjęcia – cóż dopiero gość, któremu gospodarz był szczególnie rad, gość sprzyjażniony, wesoły, a więc podwójnie utęskniony! Taki gość był bożyszczem w szlacheckim domu. Dwór cały, piwnica, spichlerz, spiżarnia, apteczka, skarbiec, kieszeń i – dusza gospodarza otwierały się przed nim szeroko”. Gość musiał być ostrożny, bowiem wystarczyło, że pochwalił coś w domu gospodarza: charta, kubek, szablę, końską uprzęż, konia, z radością mu to ofiarowywano. „Na próżno – piszą pamiętnikarze – gość wymawiał się od przyjęcia daru, musiał go przyjąć, bo gospodarz gotów był wziąć odmowę za pychę, za obrazę, za wzgardę przyjaźni, gotów był pogńiewać się, powadzić się, a w końcu nawet i porąbać”.

Ponoć obdarowywanie gościa było powszechnym zwyczajem. Znany przykładem jest wizyta wojewody mińskiego, Zawiszy, u Jana Chryzostoma Paska. „Byłem w Cisowie – wspominał Zawisza – u Jegomości pana Paska, człowieka haniebnie pocziwego, który jako mi rad był, niepodobna wypisać. Przez trzy dni nie znaliśmy, co dzień, co noc, piliśmy i hulali (...) Darował mi szkatułę kieleckiej roboty, mosiądzem nabijaną, piękną, darował stół marmurowy, nakładany, darował puzdro szlifowane et cetera, et cetera”. Łoziński z kolei opowiadał o gospodarzu Matuszewiczu, który „mając niespodziewanych gości, a nie mogąc dostać muzykantów, sam przez całą noc gra na flecie albo przyśpiewuje do tańca, a gdy się rozjeżdżają, każdego obdarowuje jakimś upominkiem: jednemu

z nich darowuje konia szpaka wartości 24 dukatów, drugiemu strzelbę francuską, trzeciemu sześć guzów rubinowych do kontusza”. W XVI w. nuncjusz papieski Juliusz Ruggieri, wysłany do Polski w 1568 r. przez Piusa V, napisał bardzo interesująco o naszych obyczajach, celnie konkludując: „Polacy są hojni aż do rozrzutności, czasem ponad stan, z takim wylaniem i szczerą chęcią przyjmują u siebie swoich i cudzoziemców, iż jest widoczne, że gościnne przyjęcie uważają za największą przyjemność”. Polska gościnność przyczyniała się do ubożenia wielu szlacheckich dworów, krzewiła pijaństwo, krytykowane przez duchowieństwo. Gość przerywał jednak monotonię życia wiejskiego, przynosił wiadomości ze świata, budził animusz do zabawy, tak więc krytyka gościnności w żadnym stopniu nie ograniczała hojności gospodarzy.

Interesująca i nie do końca jasna jest prawna, społeczna i obyczajowa pozycja kobiet w okresie Rzeczypospolitej szlacheckiej. Głębsze badania ukazują, że były co prawda w tamtych czasach, niemal do czasów porozbiorowych, dyskryminowane prawnie, ale ich znaczenie społeczne w wiekach XIV–XVIII stopniowo wzrastało, zwłaszcza w sferze obyczaju. Zbigniew Kuchowicz uważa, że „pozycja niewiasty w dawnej Polsce była bez wątpienia podobna do pozycji jej siostr w całej cywilizacji europejskiej, z tym, że u nas była ona w mniejszym stopniu dyskryminowana”.

Przez niemal cały okres istnienia Rzeczypospolitej określenie „kobieta” uważane było za obelżywe, za negatywnie oceniające jej prowadzenie się, gdy słowami o charakterze pozytywnym były: niewiasta, białogłowa, pani, a w środowiskach dworskich i mieszczańskich – dama. Pannie niezamężne, a czasem nawet mężatki, nazywano dziewczynami, dziewczkami, pannami, a o córce mówiono „dziewka”. Przysłowia traktowały je ciepło: „Dziewczyna jak anioł”; „Dziewczyna jak róża”; „Dziewczyna jak malina”. Żartobliwie nazywano kobietę podwiką, zdecydowanie pejoratywne było określenie „baba”, co potwierdzają przysłowia: „Baba gorsza niż diabeł”; „Baba babę całuje, a za oczy obgaduje”. Określenie „kobieta”, w sensie pozytywnym, przyjęło się w języku polskim dopiero pod koniec XVIII w.

„W staropolskim piśmiennictwie i w ogólnie panującej opinii – pisze Kuchowicz – występowały dwie tendencje, jedna krytyczna, która dyskryminowała kobietę, druga pozytywna, która ją nawet gloryfikowała”. Zarzucano im rzekomo wrodozoną niższość umysłową, brak zdolności do podejmowania ważkich de-



Serdeczne powitanie gości według obrazu Carla L. F. Beckera. Wycinek z niemieckiego czasopisma. Fot. MNK

cyzji, emocjonalny stosunek do spraw życiowych, lekkomyślność, zalotność, swawolność, rozwiązłość itd. Sędzia i polityk Andrzej Maksymilian Fredro (1620–1679) pisał: „Rozum mężczyzną, białogłową afekt tylko rządzi, oraz kocha, oraz nienawidzi, nie gdzie rozum, ale gdzie afekt, tam wszystko”. To jedna z łagodniejszych ocen, bo byli i tacy, którzy zalecali bicie kobiet: „Orzech, osiół, niewiasta, jednym trybem żyją/Nic dobrego nie czynią, kiedy ich nie biją”. Mówiono, że niewiasta: „Wężowej jest natury/ dosięgaj dziewiętej skóry”.

„Mamy tylko skąpe wiadomości o życiu towarzyskim w wiekach minionych – pisał Władysław Łoziński – ale to, co wiemy, wystarcza, aby odnieść uzasadnione wrażenie, że towarzyska rola kobiety nie pozostawała w odpowiednim stosunku do jej zalet i przymiotów okazywanych w praktycznym życiu”. Powodem było surowe, aż do przesady, pojmowanie skromności i wstydlivosti niewieściej, czego skutkiem był podyktowany wychowaniem brak towarzyskich kontaktów we wczesnej młodości i ich ograniczenie do spotkań domowych w czasach małżeńskich. Nie dawało to kobiecie: „dostatecznej oświaty, a już zupełnie zaniebdywało kultywowanie tych stron umysłu i fantazji, które są duszą konwersacji wykwinniejszego pożycia z ludźmi”. Łoziński uważał, że kobieta polska wieków przeszłych miała dużo wrodzonej inteligencji, ale bardzo mało umysłowego wykształcenia. Często nawet szlachcianki z zamożnych rodzin nie umiały pisać ani czytać. Mnie się jednak wydaje, że ich małe obycie i skromny udział w życiu towarzyskim wynikały z ograniczenia ich wolności i samodzielności.

Dopiero w XVII i XVIII w. zaczęto na większą skalę upowszechniać kształcenie domowe i szkolne. W miastach powstawały prywatne pensje dla dziewcząt, a także upowszechniał się zwyczaj ich wyjazdów za granicę w celu poszerzania wiedzy, nabrania obycia i nauki języków obcych, np. w francuskich szkołach klasztornych. Grono wykształconych kobiet zwiększyło się w XVIII w. na tyle, że zaczęły powstawać salony, głównie w miastach, gdzie szlachcianki i mieszcanki prowadziły centra życia towarzyskiego o ambicjach literackich. Z tego powodu Władysław Łoziński twierdzi, może zbyt optymistycznie: „Gdyby jedyną i rozstrzygającą cechą obyczajowej kultury było stanowisko kobiety, to szlacheckiej Polsce należałby się może z tego tytułu prym między narodami. Stanowisko żony i matki było w całym znaczeniu tego słowa dostojne; wpływ kobiety wielki, często nawet przemożny”. Badacz argumentuje, że w literaturze staropolskiej spotykamy określenia kobiety jako „drogiego klejnotu”, żony jako „głowy korony”; „ozdoby mężowi”, jako „miłego i wdzięcznego, a tobie równego towarzysza”, mężowie często nadawali żonie tytuł „przyjacieli – najdroższy skarbi”; żony były zatem na ogół szanowane i cenione. „Jakże często – pisze Łoziński – w życiu codziennym i praktycznym, w sprawach administracji fortun, w akcjach procesowych, a nawet w zajazdach i wojnach domowych kobiety odgrywały rolę energicznych i śmiałych adwersarek lub aliantek”. A przede wszystkim, bez czynnego udziału kobiety: „nie masz prawdziwej ogłady obyczajów i nie masz konwersacji, tej duży towarzyskiego życia”.



Scena i widownia w Teatrze Letnim w Ogrodzie Saskim w Warszawie. Drewniany budynek teatru spłonął we wrześniu 1939 r. Fot. Polona

Charles Ratton i Józef Czapski na masowcu „Hutnik”

Wyprawy po zakazaną bibułę do Maisons-Laffitte

Józef Gawłowicz

Wybierając się po bibułę antykomunistyczną drukowaną przez Giedroycia, po zostawieniu walizki w boksie na paryskim dworcu Gare Saint Lazare kupowałem bilet na kolejkę podmiejską do Maisons-Laffitte. Tam zaś, szybkim marszem, docierałem po kwadransie pod adres avenue de Poissy 91, do dworku, w którym znajdowała się znienawidzona przez komunistów z „oboju pokoju” siedziba „Kultury”. Zajmowałem redaktorowi Jerzemu Giedroyciowi około pół godziny, rozmawiając o nowościach z kraju, po czym odbierałem prezent w postaci paczki książek. Zygmunt Herz zazwyczaj odprowadzał mnie potem na dworzec, pomagając mi je nieść, gdyż – jak wiadomo – „wiedza jest ciężka”. Ten ładunek miał dodatkowo swoją wagę z powodu zawartych w nim wywrotowych treści.

Na piętrze domu „Kultury” mieszkał wybitny malarz Józef Czapski ze swą siostrą Marią. Każde z nich mierzyło około metr dziewięćdziesiąt wzrostu, więc gdy wychodzili razem na spacer, mawiano dowcipnie, że maszerują „cztery metry Czapskich”. Oboje mieli też talent literacki – Maria była autorką „Rodzinnej Europy” oraz wielu analiz literackich, a Józef ważnej politycznie książki „Na nieludzkiej ziemi”, a w późniejszym okresie wspinałego tomu „Tumult i widma”.

Mijałiliśmy się kilka razy, ale na dłuższą rozmowę załapałem się w końcówce lat 1970. Czapski wykazał umiarkowane zadowolenie z faktu, że znam jego malarstwo i książki, bardziej ożywił się, gdy podarowałem mu egzemplarz wydawanego w kraju kolorowego tygodnika „Panorama”, który zawierał tłumaczenie noweli „Włochata marynarka” niesłusznie zapomnianego sowieckiego pisarza Antoniego Ulińskiego. Był w tym utworze



Kapitan Józef Gawłowicz na pokładzie meksykańskiego statku „Cuahtemoc” podczas Zlotu Wielkich Żaglowców w Szczecinie w 2007 r.; z prawej inżynier okrętownik Zbigniew Wysocki. Fot. Archiwum JG

chłodny, lecz sugestywny opis fragmentu życia młodzieży we wczesnej porewolucyjnej rzeczywistości Kraju Rad. Całe masy zaniedbanych, wygłodniałych wyrostków, przeważnie sierot, podróżowały wtedy zdezelowanymi pociągami wzdłuż i w szerz tego ogromnego państwa w wagonach, w których oddychała ponura przestępczość. Młody bohater noweli, jeden z tysięcy „bezprizornych”, czyli bezdomnych, pozbawionych opieki dzieci, odziany był we włochatą marynarkę, którą ciotka uszyła mu z jakiegoś koca. Czapskiego urzekła prostota języka Ulińskiego; przy okazji zaznaczył, że bolszewicki reżim był nieludzki, ale prości obywatele sowieckiego imperium byli wspaniałymi ludźmi, jak owa ciotka tego chłopca z noweli. Marynarka przez nią uszyta miała co prawda ordynarną formę, ale stanowiła wystarczająco ciepłe okrycie pod-

czas podróży w zmiennych warunkach klimatycznych wielkiego kraju. To właśnie zwróciło uwagę trzech pospolitych „urków”, czyli rzeźmieszków, jadących tym samym pociągiem. Bandyci zagrali w karty o ową włochatą marynarkę, po czym zwycięzca zdarł ją chłopcu z grzbietu i kopniakiem wypchnął go z wagonu na mróz. Nowela Antoniego Ulińskiego zrobiła duże wrażenie na owiniętym w koc Czapskim, który przeczytał ją w półleżącej pozycji. Powiedział, że opisane realia są nadzwyczajnie wiarygodne.

Gdy piliśmy herbatę, zapytał mnie, jakie mam hobby. Odpowiedziałem, że cenię sobie rzeźbę Czarnej Afryki, na który to kontynent często pływałem statkami Polskiej Żeglugi Morskiej. Czapski przyrzekł wtedy przedstawić mnie znanemu marszandowi sztuki afrykańskiej Charles’owi Rat-

tonowi. W międzyczasie poczytałem we francuskich pismach o dokonaniach Rattona. Zнали się z Józefem Czapskim jeszcze sprzed wojny, kiedy ten przez dłuższy czas przebywał w Paryżu.

Rzeczywiście, przy następnej mojej wizycie doszło do obiecanego spotkania. Kiedy dojechalśmy pod biuro marszanda, powitał nas jego asystent, Jean, z oznakami pewnej czolobitości wobec Czapskiego. Wprowadził nas od razu do obszernych apartamentów eksperckiego biura Charles’a Rattona. Ten wstał zza ciężkiego dębowego biurka i kordialnie przywitał Czapskiego. Po obustronnej wymianie komplementów Czapski przedstawił mnie mistrzowi:

– Mój imiennik Józef Gawłowicz, *commandante de bateau* Pologne.

W języku francuskim *capitaine* to zastępca dowódcy, po polsku *chief*, gdy kapitanowi jednostki pływającej przypisano we Francji tytuł innego mego wielkiego imiennika, Józefa Piłsudskiego, a mianowicie komendant, czyli *commandante*. Mój mundur nie zrobił na Rattonie większego wrażenia, ale marszand cały czas traktował mnie z honorami. W rewanżu pochwaliłem jego kolekcję, która ozdabiała wszystkie ściany, jedna za drugą, okazałego, ułożonego amfiladowo biura eksperta sztuki. Zewsząd niemal spoglądały na mnie swymi pięknymi, wypukłymi oczyma rzeźby Jorubów, figury z Mali wyciągały do mnie swe prawice niczym do powitania, zaś bezcenne brązy z Beninu dosłownie powalały na kolana swą urodą. Kiedy właśnie nimi zachwyciłem się najbardziej, mistrz wyznał, że najcenniejsze eksponaty strzeżone są jednak w sejfach jednego z prominentnych banków paryskich.

po obejrzeniu kolekcji usiedliśmy na dyskusję. Jean, który był sekretarzem, kierowcą i stewardem mistrza Rattona, podał nam aromatyczną kawę i rogaliki z konfiturą. On również w trakcie rozmowy zapytał mnie o hobby. Wymieniłem stare instrumenty nawigacyjne, a wtedy Ratton wypisał od ręki rekomendację, aby przyjął mnie Alain Brioux, najlepszy w Paryżu as w tej właśnie dziedzinie. Na eleganckim firmowym druku ze znakami wodnymi widniało szumne polecenie opatrzone pieczętką, podpisem i trzema tytułami polecającego: „ekspert w dziedzinie sztuki Czarnej Afryki, ekspert Trybunału Apelacyjnego nad Sekwaną, rzeczoznawca Urzędu Celnego Republiki Francuskiej”. Równie wytworna była koperta w kolorze kremowym ze znakami wodnymi i wytłoczonymi inicjałami. Dziękując za ten gest, zaprosiłem wszystkich następnego dnia na obiad, który zostanie zaserwowany w porcie Rouen na statku Polskiej Żeglugi Morskiej m/s „Hutnik”.

Ten frachtowiec, o nośności czterestu tysięcy ton, jeden z trzech bliźniaczych, zbudowanych w Stoczni Szczecińskiej według projektu doktora inżyniera Piskorza Nałęckiego, prymusa Akademii Morskiej w Odessie i nietuzinkowego pisarza marynisty, mógł zachwycić każdego zwiedzającego. Prężna Polska Żegluga Morska mogła pozwolić sobie w tym okresie na wybudowanie owych trzech masowców towarowo-szkolnych typu „Hutnik”, zarabiających na sobie. Każdy z nich miał po trzynaście dodatkowych, dwuosobowych kajut, połączonych węzłem sanitarnym, osobną mesę studencką, której część zaadaptowano na scenę kabaretu studenckiego, jak również osobne apartamenty dla kierownika praktyk oraz dwóch wykładowców. Dwudziestu sześciu studentów po kilku dniach od zakrętownia integrowało się z trzydziestoosobową załogą, a przez dwa sobotnie wieczory podczas rejsu przez Atlantyk występował dla załogi ich kabaret „Delfin”. Ponieważ chłopcy pochodzili z ostrej selekcji podczas egzaminów wstępnych – dziesięciu na jedno miejsce – był wśród nich znaczny procent wybitnie uzdolnionych, również wokalnie. Niezależnie od znanych w kraju tekstów przemycaliśmy poezję Mariana Hemara oraz zakazane wówczas teksty Witolda Gombrowicza.

Nazajutrz, pięć minut przed dwunastą, zajechał pod trap samochód z Charles’em Rattonem i Józefem Czapskim, których powitali umundurowani studenci. Przyprawdzili gości do mojego salonu, gdzie zarządziłem podanie lanczu. Zrezygnowałem z mesy oficerskiej ze względów konspiracyjnych – o ile Rattona i jego asystenta Jeana nikt z załogi nie znał, to ktoś mógł jednak rozpoznać Czapskiego i zameldować potem do SB.

Józef Czapski (z lewej) z redaktorem naczelnym paryskiej „Kultury” Jerzym Giedroyciem. Fot. wojciechkarpinski.com.



Wizyta ta okazała się bardzo ważna dla dalszych kontaktów. Goście docenili talent konstruktora statku – doktora Jerzego Piskorza Nałęckiego, sławnego ojca nietypowych statków budowanych w Stoczni Szczecińskiej. Józef Czapski odwiedził „Hutnika” w towarzystwie Rattona tylko raz, ale Ratton razem z Alainem Brioux, kolekcjonerem instrumentów nawigacyjnych, gościł na naszym statku trzykrotnie. Brioux był zauroczony poziomem astronawigacji w szczecińskiej uczelni, toteż wkrótce za jego rekomendacją Michel, pewien francuski badacz zasobów ropy naftowej, wyznaczył mnie na swego reprezentanta podczas najsławniejszej w XX wieku aukcji starych instrumentów nawigacyjnych. Pochodziły one z kolekcji zgromadzonej przez Leonarda Littona ze znanej amerykańskiej 82. Dywizji Powietrzno-Desantowej. Michel zapewnił mi w Paryżu dwutygodniową gościnę, bym mógł lepiej poznać tę niezwykłą kolekcję. Najciekawsze było zakończenie aukcji, które świętowaliśmy w uroczej knajpce niedaleko wejścia do głównego gmachu domu aukcyjnego, kiedy rozgrzani licytacją, ale i odprężeni, siedliśmy do rozmowy. Michel, którego reprezentowałem, przybył w towarzystwie tryskającej seksem i dowcipem Hiszpanki o imieniu Manuela. Gdy pochwiliłem się, że miałem w rękach najsławniejsze astrolabium świata wykonane dla Marii Tudor i Filipa II, wielkiego króla Hiszpanii, Manuela odrzekła na to, że kolejny władca Filip III był głupszy od Filipa II, Filip IV był jeszcze głupszy, a Filip V to był już idiota, który sprzedał Skalę Gibraltarską, a tym samym wejście na Mare Nostrum (Morze Śródziemne).

Krążąc później znowu między paryskim domem aukcyjnym Nouveau Drouot

a siedzibą „Kultury” w Maisons-Laffitte, zapytałem Józefa Czapskiego o dzieła malarzy polskiego pochodzenia, będące cenowo w zasięgu przybyśców z kraju. Mistrz wymienił Katarzynę Librowicz, urodzoną w Polsce w 1912 r., ale zamieszkałą i tworzącą w Paryżu [artystka zmarła w 1991 r. – przyp. red.]. Na karcie papieru napisał: Libro – wicz, a pod jej nazwiskiem: Gawło – wicz, pytając, czy nie jesteśmy jakoś spowinowaceni.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparłem, dodając, że po Powstaniu Styczniowym dwaj moi pradziadkowie uciekli ze Żmudzi przed carem Wszechrosji do liberalniejszej Galicji Franciszka Józefa, przemycając złote monety carskie, zaszyte m.in. w obrożach ich psów, i osiedlili się nad rzeką Rabą niedaleko Bochni.

– Poznam pana w takim razie z Katarzyną – powiedział mój wielki imiennik, zawożąc mnie do jej „dziupli”, jak nazywał pracownię artystki, którą odziedziczyła ona po swoim szwagrze.

Wizyta w „dziupli” była pięknym przeżyciem, przykuwały w niej uwagę portrety dzieci – dziewczynka czytająca książkę i młodziutka skrzypaczka w trakcie koncertu. Ceny obrazów olejnych na płótnie nie były wygórowane, zarezerwowałem więc przedstawienie nieletniej czytelniczki o pięknych oczach, gdyż dzieło to kojarzyło się z nazwiskiem malarzki. W drodze powrotnej Czapski wymienił z pamięci terminy kilku zbiorowych wystaw paryskich, w których uczestniczyła Katarzyna Librowicz, w tym także jednej indywidualnej.

Reasumując swe wrażenia z Maisons-Laffitte, nawiązałem do dzieł Balthasara Klossowskiego de Rola, o pseudonimie Balthus [francuski malarz pochodzenia polsko-niemiecko-żydowskiego, żył w l. 1908–2001 – przyp. red.], o którego twórczości cyklicznie przypominał miesięcznik „Kultura”.

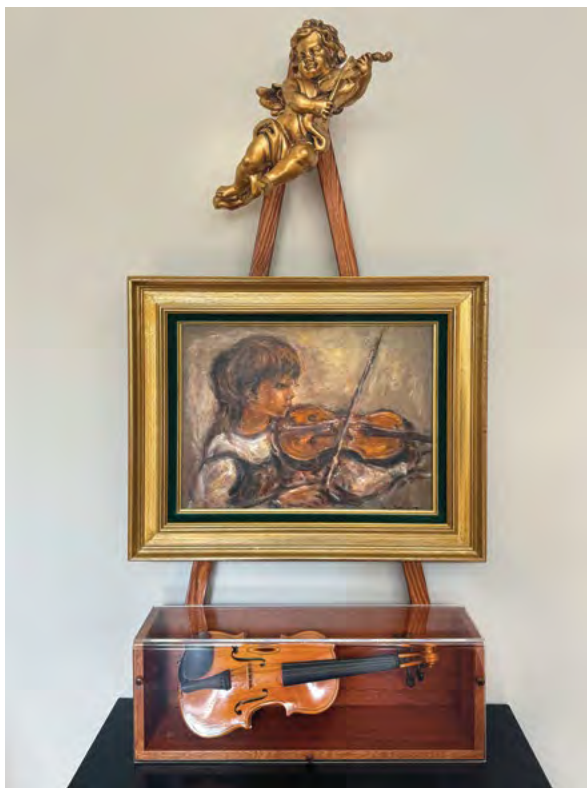
– On też maluje nastolatki, ale z rodzin arystokratycznych, tygodniami goszczących artystę, który godzinami cytuje w swoich obrazach różne szczegóły. Librowicz nie ma takiego szczęścia.

– Czy pan, mistrzu, mógłby ją szerzej zarekomendować? – zapytałem.

– Mógłbym, ale nie chcę – odpowiedział. – Jestem kapistą. Librowicz ma dobry warsztat, ale brak jej szczypty szaleństwa właściwego Balthusowi, co zbliża go do kapistów.

W międzyczasie wraz z Wincentym Sienkiewiczem, byłem dyplomatą w kra-

jach arabskich, odwiedziłem na Śląsku klasztor w Henrykowie, przechowujący słynną Księgę henrykowską [spisana po łacinie po 1268 r. kronika założenia i uposażenia opactwa cystersów w Henrykowie – przyp. red.], która zawiera jedno zdanie w języku polskim, oraz obejrzałem kolekcję obrazów olejnych Michaela Willmanna [1630–1706], porównywanego z Rembrandtem. Zostaliśmy wówczas podjęci przez J.E. Kardynała Henryka Gulbinowicza, który gościł właśnie Balthusa i jego japońską żonę oraz wziął na siebie trud wyprawienia leciwego już artysty w jego ostatnią, najważniejszą podróż... Hierarcha ten ciepło wyrażał się o żonie malarza, którą też ochrzcił. Podła i oszczerza kampania, którą wszczęto wiele lat później przeciw niemal wiekowemu kardynałowi Gulbinowiczowi, starała się zagłuszyć jego zasługi dla kultury



Obraz Katarzyny Librowicz „Skrzypaczka”, a poniżej dziecięce skrzypki – prezent od kard. Henryka Gulbinowicza. Fot. Archiwum JG

i była nasycona ordynarnymi kłamstwami wobec tego zasłużonego duszpasterza.

Mój kolejny przyjazd do Paryża opóźnił się, więc chciałem, by ktoś w zastępstwie zarezerwował mi obraz Katarzyny Librowicz „La Violiniste”, czyli „Skrzypaczkę”. Zrobił to ksiądz Henryk Hoser, pallotyn, który po śmierci dowcipnego księdza Sadzika stał się duszpasterzem Lafitu. Całkowicie odmienna to osobowość, bardzo poważna i wnosząca do dworku „Kultury” sporo elementów teologicznych. Tak się złożyło, że na pogrze-

bie redaktora Jerzego Giedroycia we wrześniu 2000 r. to ks. Hoser wygłosił homilię. Przytaczam fragment tego dzieła literackiego: „Jego wiara była trudna, ale nad biurkiem miał wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, tej z Wilna i z ‘Pana Tadeusza’. Stał teraz przed Nią z malutkim paszportem – miniaturką ‘Kultury’ drukowaną na biblijnym papierze [przemycaną w kieszeniach krajowców oraz w podwójnych dnach moich statków – przyp. JG] i rzekł: Wszystko, co osiągnąłem, było kosztem życia prywatnego, którego nie miałem”.

Później odwiedzałem Paryż już w dłuższych odstępach czasu.

Gdy na początku nowego wieku byłem dyrektorem Urzędu Morskiego w Szczecinie, reżyser Pedro Gorostiza nakręcił w Szczecinie dwa jedenastominutowe odcinki filmu dokumentalnego o mnie „Kurier Giedroycia”, których akcja toczyła się na moim statku hydrograficznym „Planeta”. Podczas rejsu do redy Świnoujścia marynarz ubrany w roboczy kombinezon chował w podwójnym dniu paczki z bibułą, co spotkało się z dużym uznaniem widzów. Wtedy Gorostiza zafundował mi podróż i trzydniowy pobyt w Laficie celem nagrania dwu kolejnych odcinków. Na miejscu brat Giedroycia wręczył mi 293 strony mojej korespondencji z Redaktorem z okresu 26 lat przemytu bibuły, celem opublikowania jej w kraju z ewentualnym omówieniem.

Film „Kurier Giedroycia” wyświetlany był głównie w godzinach nocnych 23.10 – 23.55 albo 23.30 – 00.15, zaś książka wydana została dopiero w roku 2016 i sprzedawana była za okazaniem dowodu osobistego, aby SB wiedziało, jak wielu czytelników ją kupiło. To nie miało już jednak większego znaczenia. W wydawnictwie ojców Pallotynów w Warszawie opublikowałem cykl „Rejsy bibijne”, a później eseje w „Zeszytach Literackich” u wiernej uczennicy Giedroycia Barbary Toruńczyk. Gdy ponownie zostałem dyrektorem Urzędu Morskiego, a w 2008 r. odwołano mnie z tego stanowiska ze względów politycznych, cyklicznie odwiedzałem w stolicy ojców pallotynów. Mniej więcej w tym samym czasie ksiądz Henryk Hoser został arcybiskupem warszawsko-praskim. W czasie bytności u niego otrzymałem zgodę na zakup w Paryżu zarezerwowanej przezeń dla mnie „Skrzypaczki”. Wcześniej zestaw ten uzupełniły dziecięce skrzypki, prezent od kardynała Gulbinowicza.

Jako pierwsza Polka otrzymała brązowy Order Olimpijski

Wybitna oszczepniczka Maria Kwaśniewska-Maleszewska najbardziej ceniła fair play

Krzysztof Szujcki

Wielu kojarzy ją ze wspólnego zdjęcia z Adolfem Hitlerem podczas igrzysk olimpijskich w Berlinie i możliwości, jakie dało jej to w okresie II wojny światowej. Marię Kwaśniewską-Maleszewską warto pamiętać jednak przede wszystkim jako niezwykłą kobietę o szerokich horyzontach moralnych i intelektualnych, bardzo zasłużoną dla naszego kraju. W sporcie najbardziej ceniła zasadę *fair play* i olimpijskie przesłanie, które były dla niej wartościami autotelicznymi, tłumaczącymi się same przez się.

W pantofelkach skoczyła 4,20 m

Maria Kwaśniewska urodziła się 15 sierpnia 1913 r. w Łodzi, jako jedyna córka Jana i Wiktorii z Kozłowskich. Mieszkali w centrum wielokulturowego miasta, w kamienicy przy ul. Piotrkowskiej. Rodzice przywiązywali dużą wagę do dobrego wychowania małej Marysi – nie tolerowano spóźnień czy bezcelowego włóczenia się po mieście.

Bakcyłem sportu zaraził ją bardzo lubiany nauczyciel wychowania fizycznego Ludwik Szumlewski, później znana w kraju postać, gdyż w l. 1930. pracował jako kierownik Referatu Sportowego w łódzkim oddziale Polskiego Radia. „Zaszczepił we mnie błąd o ruchu i jego piękno – wspominała Maria swego pierwszego mistrza. – Grał na fortepianie, a my w takt muzyki wchodziliśmy na salę, rozpoczynając gimnastykę. Gimnazjum należało do usportowionych. Pewnego razu podczas mistrzostw szkoły klas starszych stałem z boku, w szkolnym fartuszk, a dziewczynki starsze ode mnie o 3–4 lata mężczyły się bardzo, by skoczyć w dal choćby 3 metry. Ja, tak jak stałem, w pantofelkach i mundurku skoczyłam... 4 metry

i 20 centymetrów, czym od razu zwróciłam uwagę Ludwika Szumlewskiego”.

Maria w szkole często podpatrywała starsze koleżanki, które trenowały lekkoatletykę, zwaną „królową sportu”. Zainteresowało ją to do tego stopnia, że sama postanowiła spróbować sił; szybko okazało się, że ma niezwykle predyspozycję. Szczególnie upodobała sobie skok w dal, ale dzięki nauczycielowi wuefu zainteresowała się też innymi dziedzinami. Choć w historii polskiego sportu zapisała się jako wybitna oszczepniczka, to międzynarodowe sukcesy odnosila także w koszykówce oraz w hazenie – dyscyplinie bardzo zbliżonej do piłki ręcznej. Z Łódzkim Klubem Sportowym dwukrotnie sięgnęła w niej po mistrzostwo Polski.

Dzięki wsparciu i zachęcie brata Eugeniusza, który skakał wzwyż, Maria skoncentrowała się na lekkoatletyce, trenując początkowo pod okiem Wacława Robakowskiego w Harcerskim Klubie Sportowym, a od 1927 r. w Łódzkim Klubie Sportowym, z którym związana była do wybuchu II wojny światowej, a także przez pewien czas po jej zakończeniu, choć wówczas mieszkała już w Warszawie.

Nagroda od prezydenta Mościckiego

„Za obiecujące osiągnięcia” już jako 15-latką odebrała Maria nagrodę z rąk prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Uścisk dłoni głowy państwa okazał się dla niej szczęśliwy. W 1930 r. została powołana do reprezentacji Polski w koszykówce, dzięki czemu uczestniczyła w III Światowych Igrzyskach Kobiet w Pradze. Siegnęła tam z drużyną po brązowy medal. W tym samym roku zdobyła także swój pierwszy tytuł lekkoatletycznej mistrzyni Polski – w skoku w dal,

który na początku przygody z wyczynowym sportem najbardziej przypadł jej do gustu, choć duży potencjał dostrzeżono u niej także w pięcioboju. Z czasem Maria Kwaśniewska wyspecjalizowała się w rzucie oszczepem, osiągając w 1934 r. – jako pierwsza Polka – wynik powyżej 40 m.

Zawody Poznań–Łódź, rozegrane w stolicy Wielkopolski w maju 1935 r., zainaugurowały w kraju sezon lekkoatletyczny. Większość zawodniczek formą nie zachwycała, ale na tle uzyskanych wyników bardzo wyróżniał się ten osiągnięty przez Marię Kwaśniewską. Nic dziwnego, że korespondent „Startu” odnotował to z nieukrywaniem entuzjazmem: „Na przeciętności zajaśniał nowy rekord utalentowanej lekkoatletki łódzkiej, Kwaśniewskiej, która w rzucie oszczepem poprawiła własny rekord o 10 cm, osiągając 40,68 cm. Jak na początek sezonu, wynik doskonały, najlepszy bodaj w Europie w roku bieżącym. Rezultat Kwaśniewskiej wskazuje, że zawodniczka ta jest w stanie osiągnąć o wiele więcej i stać się, obok Wajsówny i Walasiewiczówny, jedną z faworytek na sukces olimpijski”.

Im bardziej zbliżały się igrzyska w Berlinie, tym lepsza była forma Marii. W przygotowaniach pomagał jej najwybitniejszy polski oszczepnik Eugeniusz Lokajski, którego kontuzja wykluczyła niestety z igrzysk w 1936 r. Trenowali wspólnie w warszawskim Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego na Białanach. Ostatnim sprawdzianem były zawody w Czeladzi, tydzień przed rozpoczęciem igrzysk olimpijskich w Berlinie. Kwaśniewska ustanowiła tam fantastyczny rekord Polski, rzucając 44,03 m i stając się jedną z głównych faworytek do olimpijskiego podium. Nastroje w polskiej ekipie stały się wyjątkowo optymistyczne. O tym, jak wysokiej klasy był to wynik, pokazał czas – przez 15 kolejnych



Marię Kwaśniewską-Maleszewską łatwo na tym zdjęciu rozpoznać, gdyż jako jedyna nie wyciąga ręki w geście hitlerowskiego pozdrowienia. Scena pochodzi z wręczania jej brązowego medalu olimpijskiego podczas igrzysk w Berlinie w 1936 r. Fot. Wikimedia

lat żadna polska oszczepniczka nie była w stanie rzucić dalej.

Olimpijski brąz i fotografia z Hitlerem

Podczas finału rzutu oszczepem kobiet na igrzyskach w Berlinie pogoda nie dopisała – było chłodno i deszczowo, a porywisty wiatr, utrudniający uzyskanie dalekiej odległości, potęgował odczucie dojmującego zimna. Maria Kwaśniewska, która w trakcie całego konkursu była widocznie zdenerwowana, najlepszy wynik – 41,80 m – osiągnęła w pierwszej próbie, co zapewniło jej brązowy medal. „Więcej zrobiłam niż przypuszczałam – mówiła w rozmowie z ‘Przeglądem Sportowym’ – cieszę się strasznie z tego brązowego medalu. Przed zawodami bałam się tak strasznie, że nie mogłam utrzymać oszczepu w ręku. Żeby nie silny wiatr przeciwny, wyniki byłyby lepsze co najmniej o trzy metry”.

Maria Kwaśniewska uległa dwóm Niemkom – Tilly Fleischer, która ustanowiła rekord olimpijski (45,18 m), i drugiej na podium Luise Krüger (43,29 m). Po ceremonii dekoracyjnej nasza zawodniczka wraz z pozostałymi medalistkami została zaproszona do łóż Adolfa Hitlera; kanclerz III Rzeszy miał w zwyczaju ścisnąć dłoń najlepszym zawodnikom i fotografować się z nimi. Maria Kwaśniewska wielokrotnie potem wspominała, że zdjęcie z Hitlerem pomagało jej w działalności konspiracyjnej w okupowanej Warszawie. Okazywała je bowiem zawsze oprócz dokumentów podczas niemieckich kontroli, dzięki czemu zaraz puszczano ją wolno. Fotografia ta wisiała także, obok portretów innych naszych

olimpijczyków, w znanej restauracji „Pod Kogutem”, gdzie odbywały się konspiracyjne spotkania i narady. Po Powstaniu Warszawskim zdjęcie olimpijskiej medalistki z Führerem stało się dla wielu osób przepustką do uwolnienia z pruszkowskiego obozu przejściowego. „Okazywałam przy bramie tę moją fotografię z Hitlerem. Żandarmi traktowali ją jak ausweis. Bili w czapę i przepuszczali mi transport” – wspominała po latach Maria.

Mimo ogromnego sukcesu i związanej z nim popularności pozostawała uczynną i sympatyczną osobą. Była przez wszystkich lubiana, o czym pięknie mówiła lekkoatletka Irena Dobrzańska-Krupińska: „Sentyment do Marysi jest tak powszechny, jak grypa w słotne dni. Marysia jest koleżeńska, zawsze roześmiana, ruchliwa, uczynna i ‘ma głowę’”.

Lata poolimpijskie i okres okupacji

Niedługo po igrzyskach olimpijskich Maria Kwaśniewska przeprowadziła się do Warszawy, gdzie rozpoczęła studia matematyczne. Matematyka była jedną z jej pasji, ale do wybuchu wojny zdążyła ukończyć tylko jeden rok. Zmiana miejsca zamieszkania wymogła także zmianę barw klubowych na Akademicki Związek Sportowy (AZS). Przez dwa sezony poolimpijskie nie uczestniczyła w ważnych zawodach. W 1938 r. znalazła zatrudnienie w elektrowni przy Wybrzeżu Kościuszkowskim, gdzie po wybuchu wojny skierowano ją do udzielania pomocy poszkodowanym w sanitarnie przeciwlotniczej. Była to jej pierwsza praca zawodowa. Ukończyła kurs przeciwlotniczy i sanitarny, co wkrótce okazało się bardzo przydatne.

W końcu sierpnia 1939 r. Maria przebywała z najlepszymi trenerami na obozie kondycyjnym – najpierw na Łazurowym Wybrzeżu, a potem we Włoszech, skąd na wieść o ataku Niemiec na Polskę zdecydowała się bezzwłocznie powrócić; 2 września znalazła się znów w Warszawie. W wojnie obronnej brała udział jako sanitariuszka. Po tym, jak została zmobilizowana, do jej zadań należało m.in. przenoszenie rannych z okopów nad Wisłą. Po śmierci kierowcy sanitarki, jako że posiadała prawo jazdy, przejęła jego obowiązki. Dźwigała ciężko rannych. Za swoją postawę, jeszcze przed kapitulacją, została odznaczona Krzyżem Walecznych przez prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego.

Kolejne dni okupacji spędziła w stolicy, wraz z grupą znanych sportowców, m.in. Januszem Kusocińskim, Ignacym Tłoczyńskim, Jądrwigą Jędrzejowską i Aleksandrem Szenajchem, pracowała w gospodzie „Pod Kogutem”. Życie konspiracyjne toczyło się tam do wczesnej wiosny 1940 r., do momentu aresztowania Janusza Kusocińskiego, który – w niczym nie umniejszając jego wielkiemu patriotyzmowi, heroicznej postawie podczas kampanii wrześniowej i niebawem odwadze – nie zachowywał dostatecznej ostrożności. Wspominał o tym tenisista Ignacy Tłoczyński: „Kusociński na początku pracował w ‘Kogucie’, jak my wszyscy zresztą, bardzo sumiennie (zyski dzieliliśmy równo). Po pewnym jednak czasie zaczął przychodzić do gospody nieregularnie (...). Kiedy jednak już przyszedł, siadał w ostatniej łóży na przeciwko drzwi frontowych, kładł nogi na stół, wyciągał prasę podziemną i czytał ostatnie wiadomości radiowe. Każda osoba wchodząca do lokalu mogła to zauważyć. Wielokrotnie go ostrzegałem, ale niewiele to pomagało. Postępował nieostrożnie, lekceważył sobie każde niebezpieczeństwo i był bardzo pewny siebie”.

W restauracji „Pod Kogutem” Maria Kwaśniewska poznała dyrektora elektrowni przy Wybrzeżu Kościuszkowskim – Juliana Koźmińskiego. Wkrótce się pobrali i zamieszkali w podwarszawskiej Podkowie Leśnej. Małżeństwo trwało jednak krótko, gdyż Julian niedługo potem został aresztowany i osadzony w siedzibie gestapo przy al. Szucha. Dzięki pomocy Marii udało się go uwolnić. Niestety, opuścił więzienie śmiertelnie chory i szybko zmarł.

Wielu z narażeniem własnego życia ocalała z obozu

Po Powstaniu Warszawskim niedawna medalistka olimpijska służyła w obo-

zie przejściowym w Pruszkowie jako pielęgniarka. Swoje zdjęcie z igrzysk w Berlinie, na którym była widoczna z Adolfem Hitlerem, miała schowane w kenkarcie i przy bramie okazywała je niemieckim żandarmom. Pozwoliło to na uratowanie wielu więźniów przed wywiezieniem do KL Auschwitz lub innych obozów pracy. W ten sposób na wolności znaleźli się m.in. znani pisarze – Stanisław Dygat i Ewa Szemburg-Zarembina, którym Kwaśniewska zapewniła dach nad głową w swoim domu w Podkowie Leśnej. Maria mawiała, że zorganizowała u siebie „obóz przejściowy”.

Jej działalność była bardzo ryzykowna i omal nie zakończyła się aresztowaniem. Wspominała o tym w swej książce uratowana przez nią Maria Kann, znana pisarka, harcerka i popularyzatorka szymbownictwa, Sprawiedliwa wśród Narodów Świata: „Maria Kwaśniewska (...) wyprowadzała powstańców z obozu w Pruszkowie jako swoich kuzynów. Pokazywała przy tym fotografię z olimpiady w Berlinie, na której został uwieczniony moment składania życzeń przez... Führera. Dopiero po dłuższym czasie gestapo zorientowało się, że olimpijka ma nieprawdopodobną ilość kuzynów i kuzynek. Z trudem udało się pani Marii wymigać od więzienia”.

W niemieckiej komisji lekarskiej, od decyzji której zależało, czy dany więzień kwalifikuje się do pracy, czy nie, znajdowały się także inne Polki starające się pomagać w wystawianiu odpowiednich zaświadczeń dyskwalifikujących.

Po wojnie Kwaśniewska od razu włączyła się w działania na rzecz reaktywacji polskiego sportu, szczególnie koncentrując się na sprawach sportu kobiecego. Przewodniczyła Referatowi Sportu Kobiet oraz Referatowi Spraw Zagranicznych przy Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, który w 1948 r., na fali postępującej komunizacji kraju, zastąpił Główny Komitet Kultury Fizycznej. Uczestniczyła ponadto w reaktywacji Polskiego Związku Lekkiej Atletyki; wkrótce weszła w skład jego zarządu zasiadając w nim przez 30 lat. W 2. poł. lat 1950. pracowała w komisji kobiecej Zarządu Międzynarodowej Amatorskiej Federacji Lekkiej Atletyki.

Równolegle przez kilka lat uprawiała wyczynowo ulubioną koszykówkę i rzut oszczepem; w 1946 r. zdobyła piątą w karierze tytuł mistrzyni Polski w tej konkurencji oraz wzięła udział w lekkoatletycznych mistrzostwach Europy. Awansowała do finału, uzyskawszy w kwalifikacjach

czwarty rezultat, by ostatecznie zająć 6. miejsce z wynikiem 38,57 m. Rok później sięgnęła z zespołem AZS Warszawa po tytuł mistrzyni kraju w koszykówce. Występowała również jako reprezentantka Polski w spotkaniach międzypaństwowych w tej dyscyplinie. Dzięki koszykówce poznała swego drugiego męża, który jako obrońca grywał w warszawskim AZS-ie, a potem w Polonii. Był nim Władysław Maleszewski (syn przedwojennego prezydenta Wilna, zamordowanego w 1941 r. przez NKWD), późniejszy trener męskiej reprezentacji Polski w koszykówce i autor podręczników do nauki tej dyscypliny. Poznali się podczas jednego ze zgrupowań. Pobrali się w 1946 r. i mieli dwójkę dzieci: Marka oraz Elżbietę. Maleszewski, który po zakończeniu kariery trenerskiej był aktywnym działaczem



Wspaniała polska oszczepniczka i wspaniały człowiek Maria Kwaśniewska-Maleszewska z biało-czerwonym orłem na piersi w Berlinie w 1936 r. Rezultat 41,80 m, który zapewnił jej brązowy medal, osiągnęła już w pierwszej próbie. Fot. NAC

Polskiego Związku Koszykówki i współpracownikiem „Przeglądu Sportowego”, zmarł w 1983 r.; 70-letnia Maria znów wtedy została wdową.

Mimo wielu dramatycznych przeżyć, jakich doświadczyła, nigdy nie utraciła pogody ducha i optymistycznego nastawienia do ludzi i świata. Niespożytą energię wkładała w prace na rzecz ruchu olimpijskiego; to z jej inicjatywy utworzono Centralny Klub Olimpijczyka w Warszawie. Angażowała się ponadto w działalność Towarzystwa Olimpijczyków i Fundacji Dom Rodziny Olimpijskiej. Pomogła

wielu zawodnikom w trudnej sytuacji życiowej.

Ogromna aktywność Marii Kwaśniewskiej-Maleszewskiej znana była na świecie, toteż jako pierwsza Polka uhonorowana została brązowym Orderem Olimpijskim. Zawsze starała się rozwiązywać najbardziej palące problemy polskiego sportu, była inicjatorką niezwykle ważnej dla środowiska ustawy, na mocy której medaliści olimpijscy uzyskali uprawnienia do otrzymywania dożywotniej emerytury. Ustawę poparł Sejm, a podpisał ją ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski.

Maria Kwaśniewska-Maleszewska krytycznie oceniała nowe kierunki rozwoju sportu. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo zmienił się on w trakcie jej długiego życia, jak bardzo się skomercjalizował i jak szerokie kręgi zaczął zataczać zinstytucjonalizowany doping. Nawet jednak wtedy potrafiła dostrzec pozytywne, uniwersalne wartości. „Sport się zmienia, bo świat się zmienia – mówiła. – Pleni się doping i skrajny materializm. Tam, gdzie wchodzi w grę pieniądź, za pieniądzem idzie zło – chcemy czy nie chcemy. Kiedyś sport był romantyczny. Ale nie możemy żyć przeszłością. Musimy myśleć do przodu, nie gubiąc tego, co było i jest ważne. Sport nawet skrzywiony, moralnie skrzywiony i tak ma wartości, których nie wolno stracić. Ideały olimpijskie są dzisiaj zmęczone, ale są. Dopóki istnieją, choćby na papierze, warto się wysilać, bo ciągle jest przed nami cel”.

W 2000 r. została zaproszona jako gość honorowy na igrzyska olimpijskie do Sydney. Z ogromną radością udała się do dalekiej Australii, gdzie spotkała się z ówczesnym przewodniczącym MKOl-u Juanem Antonio Samaranchem. W 2005 r. otrzymała Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Maria Kwaśniewska-Maleszewska zmarła 17 października

2007 r. w Warszawie. Zgodnie z jej życzeniem pochowano ją tylko w obecności rodziny i kilku najbliższych osób. Spoczęła na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie obok męża Władysława Maleszewskiego.

A co stało się ze słynną odbitką zdjęcia z Hitlerem? Nie przetrwało do bliższych nam czasów. Maria Kwaśniewska-Maleszewska postanowiła bowiem po wojnie pozbyć się wszystkich pamiątek związanych z igrzyskami w Berlinie, gdyż, jak mówiła, „idea olimpijska w 1940 przegrała”...



ŚWIATO-PODGLĄD

Czołowa telewizja amerykańska likwiduje działy LGBT oraz trans

NBC News przeprowadza redukcję ok. 150 etatów, czyli blisko 7 proc. newsroomu, i zwalnia zespoły zajmujące się tematyką „postępową”, czyli społecznościami mniejszości, trans oraz LGBT. W ramach zmian ograniczona zostanie również działalność NBC Out, czyli redakcji publikującej materiały dotyczące społeczności homoseksualnych oraz relacje z debat prawnych wokół transpłciowości w sporcie i kulturze. Przewodniczący NBC Universal, Cesar Conde, stara się argumentować, że decyzja ma charakter budżetowy, a nie polityczny.

Na decyzję szybko zareagowały organizacje branżowe i aktywiści, według których te cięcia wpisują się w „niebezpieczny trend”, w którym media w ostatnim czasie ograniczają zatrudnienie dziennikarzy zajmujących się tematami LGBT.

Cięcia w NBC News wpisują się w szerszy kontekst oszczędności w amerykańskich mediach informacyjnych; podobna sytuacja miała miejsce w CNN. Warto również dodać, że administracja Donalda Trumpa ucięła jakiegokolwiek finansowania dla tego typu działalności ideologicznej w mediach, a więc relacje medialne o grupach LGBT czy trans musiały same na siebie zarabiać. Jak widać po kolejnych zwolnieniach, nie są jednak w stanie wywiązać się z tego zadania.

Źródło: NBC

Donald Trump buduje ogromną salę balową

Na terenie Białego Domu oficjalnie ruszyły prace budowlane związane z powstaniem nowej sali balowej. W poniedziałek ekipy rozpoczęły częściową rozbiorę East Wing, skrzydła, w którym mieszczą się m.in. biura – w tym tradycyjnie biuro Pierwszej Damy. Ostatnie skrzydło powstało w 1902 r., było wielokrotnie modernizowane, a w 1942 r. nadbudowano kolejne piętro. Obecny etap prac zakłada demontaż wybranych fragmentów

konstrukcji, by przygotować miejsce pod nowy obiekt.

Prezydent Donald Trump przekazał, że wykonano „pierwsze wbicie łopaty” pod „nową, dużą i piękną” salą balową Białego Domu. Dodał, że – jego zdaniem – od ponad 150 lat każdy amerykański prezydent marzył o takiej przestrzeni reprezentacyjnej, a on sam czuje się zaszczycony, mogąc rozpocząć „pilnie potrzebny projekt”. Komunikatowi towarzyszą zapewnienia, że po zakończeniu prac East Wing będzie prezentowało się lepiej niż kiedykolwiek.

Według informacji przekazanych przez Białą Dom koszt inwestycji ma wynieść około 200 mln dolarów (ok. 172 mln euro). Trump podkreślił, że podatnicy nie będą obciążeni wydatkami; finansowanie ma pochodzić wyłącznie od „patriotycznych” darczyńców oraz od niego samego. Równolegle z budową sali przewidziano kompleksową modernizację samego skrzydła wschodniego, które funkcjonalnie pozostaje odrębną częścią kompleksu. Plan zakłada, że nowa sala balowa stanie się reprezentacyjną przestrzenią dla uroczystości i wydarzeń o charakterze państwowym.

Źródło: The White House

Islamiści rabują kościelną ziemię w Mozambiku

W Nampuli narasta konflikt o grunty należące do Kościoła. Arcybiskup Inácio Saure poinformował, że zorganizowane grupy islamskie zajmują i kradną kościelne działki, i wznoszą na nich zabudowania mieszkalne; w jednym z przypadków tuż obok seminarium wyrosła muzułmańska świątynia. Hierarcha alarmuje, że to nie incydenty, lecz fala zajęć, która zagraża funkcjonowaniu parafii i instytucji kościelnych.

Sporne tereny obejmują działki sióstr Służebnic Maryi, dwa seminaria oraz parafię św. Jana Chrzyciela w Marrare. Zniszczeniu uległy budynki pomocnicze i uprawy, wycięto też liczne drzewa, które wywożono ciężarówkami. „Gdy prosiliśmy o poszanowanie naszej własności, napastnicy pojawili się z maczetami

i włóczyniami, grożąc zburzeniem seminarium i zabierając zwierzęta hodowane przez kleryków”, relacjonuje abp Saure.

Mimo powagi sytuacji władze publiczne pozostają bierne. Kościół wielokrotnie składał oficjalne skargi, a sąd nakazał przywrócenie stanu posiadania, lecz orzeczenie od miesięcy nie jest wykonywane. Urzędnicy wysyłani na miejsce byli przeganiani, co budzi obawy, że sprawcy korzystają z parasola ochronnego wpływowych osób.

Duchowni katolicy ostrzegają, że eskalacja konfliktu może podsycić napięcia międzyreligijne w regionie, który i tak zmagą się z przemocą na tle religijnym. Wskazują, że po przejęciu terenu pierwszym krokiem bywa budowa meczetu, a nielegalne zajęcia nasiliły się po ubiegłorocznych protestach politycznych. Kościół domaga się egzekwowania prawa, poszanowania własności i dialogu, podkreślając, że jego dobra służą przede wszystkim ubogim, którym na co dzień niesie pomoc bez względu na pochodzenie i wyznanie.

Źródło: PKWP

W Sierra Leone zamordowano księdza katolickiego

W diecezji Kenema w Sierra Leone brutalnie zamordowano ks. Augustyna Amadu, znanego i cenionego duszpasterza. Do zbrodni doszło w sobotę 30 sierpnia w domu parafialnym; ciało duchownego znaleźli parafianie. Wstępne ustalenia wskazują na napad rabunkowy zakończony śmiercią kapłana, co wstrząsnęło lokalną wspólnotą i całym Kościołem w kraju.

Autopsja wykazała, że kapłan został najpierw uderzony w głowę, a następnie uduszony. Policja przypuszcza, że sprawcy dostali się do budynku przez uszkodzone okno; trwają intensywne czynności śledcze i poszukiwania napastników. Zbrodnia wydarzyła się w przededniu planowanej zmiany placówki – w niedzielę 31 sierpnia ks. Amadu miał przewodniczyć Mszy św. pożegnalnej w parafii Niepokalanego Poczęcia, by następnie objąć posługę w parafii św. Jana w Kailahun.

Zabity kapłan przez pięć lat wiernie służył wspólnocie w Kenemie, dbając o jej rozwój duchowy i materialny. Był związany ze strukturami Pomocy Kościołowi w Potrzebie (ACN); m.in. dzięki wsparciu organizacji udało się odbudować dach kościoła i przygotować nową plebanię.

Na śmierć kapłana zareagowały także inne wspólnoty religijne, potępiając akt przemocy i podkreślając, że ks. Amadu był „człowiekiem pokoju i współczucia”. Sierra Leone, gdzie dominują muzułmanie, a chrześcijanie stanowią nieco ponad jedną czwartą społeczeństwa, generalnie uchodzi za kraj dobrych relacji międzyreligijnych. Tym bardziej niezrozumiałe i wstrząsające pozostaje morderstwo duchownego, które wystawia na próbę poczucie bezpieczeństwa i jedności mieszkańców Kenemy.

Źródło: PKWP

Austria uznaje opiekę za „ciężką pracę”

Austriacki rząd przyjął rozwiązanie, które od 1 stycznia 2026 r. zaliczy zawody opiekuńcze do kategorii *Schwerarbeit* (ciężkiej pracy). Otwiera to pracownikom ochrony zdrowia i opieki – od pielęgniarzy i pielęgniarzy po asystentów pielęgniarstwa – dostęp do tzw. emerytury z tytułu pracy w warunkach szczególnie obciążających. Z rozwiązania mają korzystać także osoby zatrudnione w niepełnym wymiarze czasu – pod warunkiem co najmniej 50-procentowego etatu. Austriacki rząd szacuje, że co roku ok. 1000 pracowników opieki uzyska prawo do wcześniejszego przejścia na emeryturę w tym trybie.

Warunki pozostają jasne: minimalnie 45 lat okresów ubezpieczenia, z czego co najmniej 10 lat przepracowanych w warunkach *Schwerarbeit* w ciągu ostatnich 20 lat. Najwcześniejszy wiek przejścia na tę emeryturę to 60 lat. Reforma ma charakter uznaniowo-wartościujący – to symboliczny „akt docenienia” profesji, ale zarazem konkretna odpowiedź na długotrwałe przeciążenie kadr i rosnące ryzyko wypalenia. Ponadto daje beneficjentom realnie wyższą emeryturę.

Koszt dla państwa w pierwszym roku oszacowano na ok. 20 mln euro, z perspektywą wzrostu w latach kolejnych. Rząd zamierza go zrównoważyć zmianami w systemie świadczeń z tytułu niezdolności do pracy – m.in. poprzez rozwijanie „częściowej zdolności do pracy”, wprowadzanie elastycznych progów oceny aktywności zawodowej, a także wzmocnienie reintegracji z rynkiem pracy (większa rola urzędów pracy i rehabilitacji w trakcie pobierania świadczeń). To



Rys. Grzegorz Niedziela

ruch, który wpisuje się w szerszą debatę o jakości pracy w ochronie zdrowia oraz o tym, jak wyceniać i chronić zawody niosące największy ciężar opieki nad starzejącym się społeczeństwem.

Źródło: Die Presse

Hiszpański sąd: krytyka radykalnego islamu mieści się w granicach wolności słowa

Sąd Prowincjonalny w Maladze uniewinnił ks. Custodia Ballestera, ks. Jesúa Calvo oraz dziennikarza Armando Roblesa z zarzutów popełnienia przestępstwa z nienawiści. Sprawa ciągnęła się od 2017 r., kiedy w telewizyjnej debacie mocno skrytykowali oni radykalne nurty islamu. Prokuratura domagała się dla duchownych do trzech lat pozbawienia wolności, a dla dziennikarza – czterech, a także kar finansowych i zakazu wystąpień publicznych. Ostateczny wyrok, zapadły po ośmiu latach postępowań i wielomiesięcznych opóźnieniach, oczyścił i uniewinnił wszystkich oskarżonych.

W uzasadnieniu sędziowie nie kryli, że wypowiedzi były „wyraźnie obraźliwe” i „niefortunne”. Podkreślili jednak, że nie spełniają one ustawowych przesłanek „przestępstw z nienawiści”: brak było „jednoznacznego i oczywistego pod-

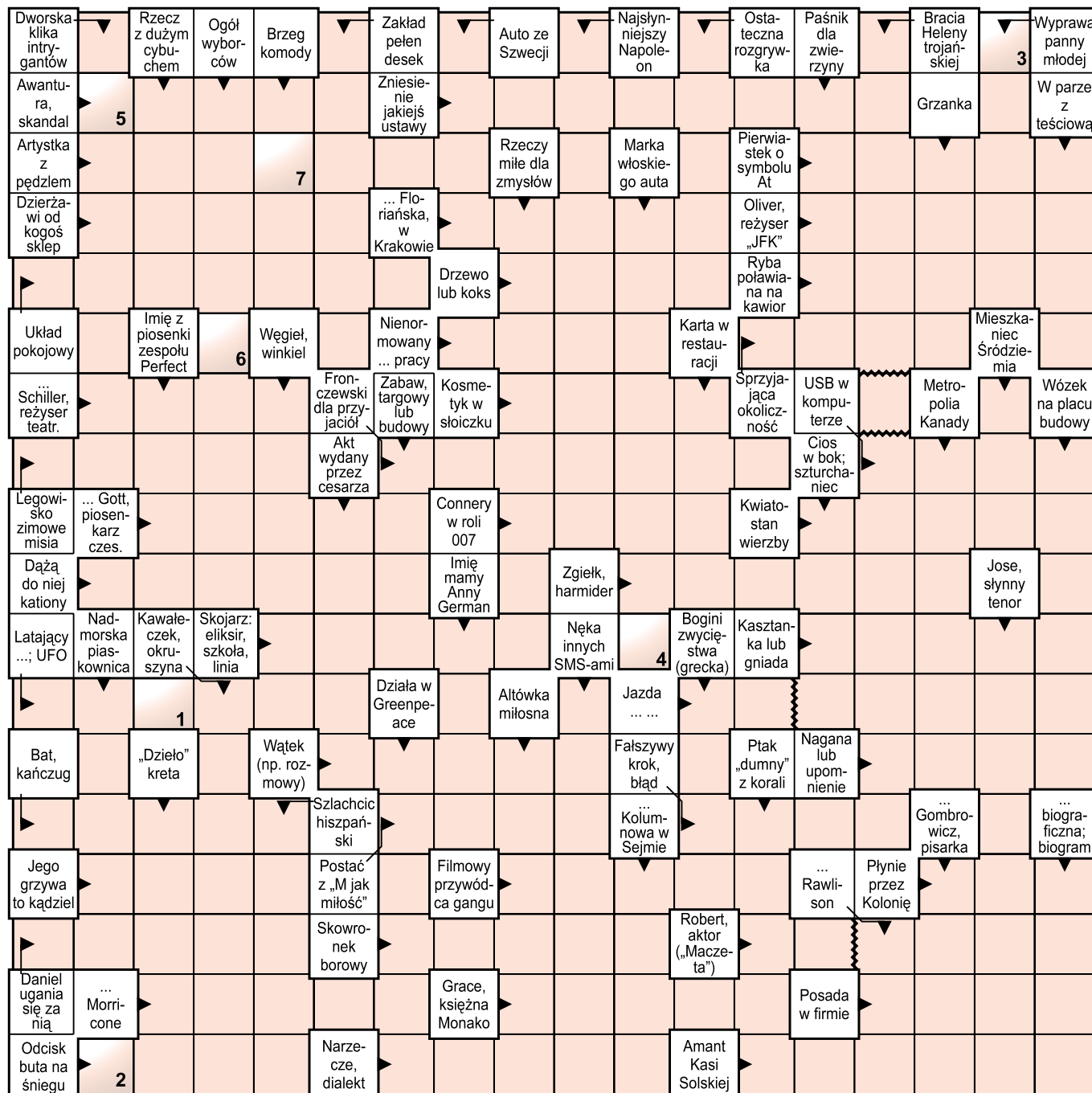
żegania do nienawiści wobec chronionej grupy”. Sąd zaznaczył, iż w sferze debaty publicznej istnieje nie tylko mowa chroniona przez wolność słowa, ale także wypowiedzi „nietolerancyjne”, które – o ile nie wzywają do przemocy czy nienawiści – nadal podlegają ochronie konstytucyjnej.

Akt oskarżenia wobec ks. Ballestera oparto m.in. na jego tekście „Niemożliwy dialog z islamem”, będącym polemiką z listem kard. Juana José Omelli zachęcającym do „koniecznego dialogu z islamem”. Postępowanie wszczęto po skardze Stowarzyszenia Muzułmanów przeciwko Islamofobii złożonej w 2017 r. Sąd ocenił, że wypowiedzi obu kapłanów, choć „manichejskie” i oparte na „nieprzejednanych stereotypach religijnych czy ideologicznych”, pozostają opiniami, których prawo nie penalizuje.

Zwolennicy uniewinnionych przyjęli orzeczenie jako ważny sygnał, że demokratyczna debata – nawet ostra i kontrowersyjna – nie powinna być automatycznie kwalifikowana jako „mowa nienawiści”. Sprawę uważnie śledziły ogólnokrajowe media, widząc w niej precedens dla granic wolności wypowiedzi w dyskusjach o religii i bezpieczeństwie.

Źródło: The Catholic Herald

OPRACOWAŁ: AS



Litery z pól ponumerowanych od 1 do 7 utworzą rozwiązanie.

1	2	3	4	5	6	7
---	---	---	---	---	---	---

Hasło ostatniej krzyżówki: SOLIDARNOŚĆ

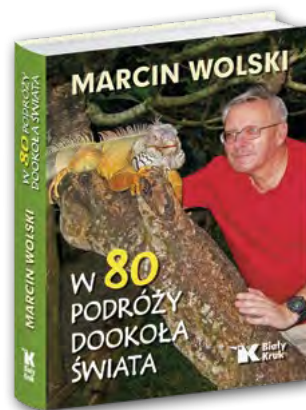
Dziękujemy wszystkim za przesłane rozwiązania.

Pięcioro zwycięzców to: Monika Barwacz – Tarnów, Jan Marek – Sułkowice, Danuta Salamon – Szczawnica, Ryszard Wilczak – Włoszakowice, Zdzisław Zaczynski – Lubin. Gratulujemy!

Hasło należy przesłać najpóźniej do 19 listopada 2025 r. na adres Wydawnictwa Biały Kruk: ul. Szwedzka 38, 30–324 Kraków lub mailiem na biuro@bialykruk.pl z dopiskiem „Krzyżówka”. Należy podać imię, nazwisko, adres oraz numer telefonu – rozwiązań bez tych informacji nie uwzględniamy. Można również przesłać rozwiązanie przez Facebook. Wystarczy wejść na www.facebook.com/WydBialyKruk i polubić profil naszego wydawnictwa, a następnie przesłać wiadomość z rozwiązaniem.

Wśród osób, które nadesłały poprawne rozwiązanie, wylosujemy jako nagrodę 5 egzemplarzy książki „W 80 podróży dookoła świata”.

Biały Krak *miesięcznik kulturalny*



NASTĘPNY NUMER UKAŻE SIĘ
28 LISTOPADA 2025 R.

OFERTA PRENUMERATY 2026

Miesięcznik „Wpis” już od piętnastu lat pozostaje wierny swym założeniom i przedstawia Czytelnikom podstawowe wartości, a więc wiarę, patriotyzm i sztukę.

Publikują u nas tak znakomici autorzy, jak m.in.: **Adam Bujak, ks. prof. Waldemar Chrostowski, Leszek Długosz , prof. Ryszard Kantor, dr Marek Klecel, ks. prof. Janusz Królikowski, prof. Grzegorz Kucharczyk, dr Monika Makowska, prof. Aleksander Nalaskowski, prof. Andrzej Nowak, prof. Krzysztof Ożóg, prof. Wojciech Polak, prof. Wojciech Roszkowski, Czesław Ryszka, dr Adam Sosnowski, Leszek Sosnowski, prof. Krzysztof Szczerski, prof. Artur Śliwiński, prof. Jan Żaryn.**

Redaktor prowadząca:
Jolanta Sosnowska



Ceny dla seniorów

1 komplet	–	1 x 12 numerów w roku	219 zł	185 zł
2 komplety	–	2 x 12 numerów w roku	334 zł	260 zł
3 komplety	–	3 x 12 numerów w roku	369 zł	330 zł
4 komplety	–	4 x 12 numerów w roku	464 zł	396 zł
5 kompletów	–	5 x 12 numerów w roku	499 zł	445 zł
10 kompletów	–	10 x 12 numerów w roku	690 zł	620 zł
20 kompletów	–	20 x 12 numerów w roku	1100 zł	980 zł

Można zamawiać inne ilości.

UWAGA: przy powyższych cenach komplety są wysyłane pod jeden wskazany adres.

Wiara, Patriotyzm i Sztuka

bialykruk.pl

WPIS

miejscownik kultury

Wpis do KRS 00006789
NIP 525-223-90-90
Kraj 12 500 zł rocznie

**ZOSTAŃ
Z NAMI –
PRZEDŁUŻ
PRENUMERATĘ
NA NASTĘPNY
ROK!**



106–124 str., 21 x 28,5 cm

**NIE ZWLEKAJ!
ZAMÓW
PRENUMERATĘ
JUŻ DZIŚ!**

**Dostępna jest również
prenumerata w wersji elek-
tronicznej za jedynie 69 zł.
Zamów na stronie
www.bialykrak.pl lub skon-
taktuj się z Wydawnictwem.**

ZAMÓWIENIA:

Wydawnictwo Biały Kruk, ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków,
tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 19, 783 250 300 lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl.
Przy zamówieniu książek na kwotę powyżej 300 zł koszty wysyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Bank PeKaO S.A. II o/Kraków 68 1240 1444 1111 0000 0936 2370

www.bialykrak.pl



**Wydawnictwo Biały Kruk zaprasza na
uroczyste spotkanie patriotyczne
22 listopada 2025 r. (sobota) o godz. 16.00
do Sali „Sokoła” w Krakowie
ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 27**

PREMIERA VII TOMU DZIEJÓW POLSKI



Wykłady:

**prof. Andrzej Nowak,
prof. Wojciech Roszkowski,
Rafał Ziemkiewicz**

Część artystyczna:

**Halina Łabonarska,
Jan Pietrzak**

Prowadzenie:

Anna Popek

O godz. 14.30 rozpocznie
się mikołajowy kiermasz
książek, trwający do końca
spotkania.

Rabaty nawet do 70%!